



Elena
Ferrante
**Genialna
przyjaciółka**

„Niezwykła powieść, która przysporzy tej znanej włoskiej pisarce kolejne rzesze fanów”.

The Barnes and Noble Review



Elena Ferrante

Genialna przyjaciółka

Z języka włoskiego przełożyła
Alina Pawłowska-Zampino



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

*PAN: Przychylność moja ciebie zabezpiecza,
nienawiść jej nie zgasi ani nie umniejszy; z rzeszy
przekornej, co wiecznie zaprzecza – sowizdrzał
ostatecznie jeszcze najznośniejszy. Czynność
ludzkiego ducha zbyt łatwo wiotczeje – baczę, aby
w lenistwie gnuśnym nie osłabła, przeto podsyłam
wolę, podżegam nadzieję niepokojącym
towarzystwem diabła.*

J.W. Goethe, *Faust*, tłum. Emil Zegadłowicz

Postaci występujące w powieści

Rodzina Cerullo (rodzina szewca):

Fernando Cerullo, szewc

Nunzia Cerullo (matka Lili)

Raffaella Cerullo, przez wszystkich nazywana Liną, dla Eleny – Lila

Rino Cerullo, starszy brat Lili, szewc jak ojciec

Rino to także syn Lili

Inne dzieci Fernanda i Nunzi

Rodzina Greco (rodzina woźnego):

Elena Greco, nazywana także Lenuccią lub Lenù, najstarsze dziecko

Peppe, Gianni i Elisa, rodzeństwo Eleny

Ojciec, woźny w magistracie

Matka, gospodyni domowa

Rodzina Carraccich (rodzina don Achillego):

Don Achille Carracci (potwór z bajek)

Maria Carracci (żona don Achillego)

Stefano Carracci, syn don Achillego, prowadzi należący do rodziny sklep z wędlinami

Pinuccia i Alfonso Carracci, młodsze dzieci don Achillego

Rodzina Peluso (rodzina stolarza):

Alfredo Peluso (stolarz)

Giuseppina Peluso, żona Alfreda

Pasquale Peluso, najstarszy syn Alfreda i Giuseppiny, pracuje jako murarz

Carmela Peluso, która chce, żeby ją nazywać Carmen, siostra Pasqualego,
sprzedawczyni w sklepie z pasmanterią

Inne dzieci Alfreda i Giuseppiny

Rodzina Cappuccio (rodzina oszalałej wdowy):

Melina, krewna matki Lili, która po śmierci męża postradała zmysły

Mąż Meliny, rozładowywał towar na targu owocowo-warzywnym

Ada Cappuccio, córka Meliny

Antonio Cappuccio, syn Meliny, mechanik

Inne dzieci Meliny

Rodzina Sarratore (rodzina kolejarza poety):

Donato Sarratore, pracownik na kolei

Lidia Sarratore, żona Donata

Nino Sarratore, najstarszy z pięciorga dzieci Donata i Lidii

Marisa Sarratore, córka Donata i Lidii

Pino, Clelia i Ciro Sarratore, młodsze dzieci Donata i Lidii

Rodzina Scanno (rodzina obwoźnych handlarzy):

Nicola Scanno, ojciec

Assunta Scanno, żona Nicoli

Enzo Scanno, syn Nicoli i Assunty, też handluje owocami

Inne dzieci w rodzinie

Rodzina Solara (rodzina właściciela baru-cukierni Solara):

Silvio Solara, właściciel baru-cukierni

Manuela Solara, żona Silvia

Marcello i Michele Solara, synowie Silvia i Manueli

Rodzina Spagnuolo (rodzina cukiernika):

Pan Spagnuolo, cukiernik, pracuje dla rodziny Solara

Rosa Spagnuolo, żona cukiernika

Gigliola Spagnuolo, córka cukiernika

Inne dzieci w rodzinie

Gino, syn aptekarza

Nauczyciele:

Ferraro, także bibliotekarz

Oliviero, nauczycielka w szkole podstawowej

Gerace i Galiani, nauczyciele w liceum

Nella Incardo, kuzynka pani Oliviero mieszkająca na Ischii

PROLOG

Zacieranie śladów

1.

Rano zadzwonił Rino. Myślałam, że znowu po prosi mnie o pieniądze i byłam przygotowana na to, żeby mu odmówić. Tymczasem Rino zadzwonił z innego powodu. Jego matka zniknęła.

– Kiedy?

– Przed dwoma tygodniami.

– I dopiero teraz do mnie dzwonisz?

Usłyszał pewnie w moim głosie wrogość, choć nie powiedziałam tego ze złością, a tylko z sarkazmem. Próbował się usprawiedliwić, ale robił to niezręcznie i niejasno, mieszając przy tym gwarę z literackim językiem. Jak powiedział, był przeświadczony, że matka jak zwykle szwenda się po Neapolu.

– Także nocą?

– Przecież ją znasz.

– Znam, ale chyba sam przyznasz, że dwa tygodnie nieobecności to trochę za długo.

– Ty już dawno się z nią nie widziałaś. Ostatnio jest z nią coraz gorzej. W nocy nie śpi, wychodzi z domu i wraca o najróżniejszych porach, robi co chce.

W końcu jednak zaczął się niepokoić o matkę. Rozpytywał o nią na mieście, obszedł wszystkie szpitale, zadzwonił nawet na policję. Bez skutku, po matce zaginął wszelki ślad. Myślałby kto – troskliwy syn! Ociężały czterdziestolatek, który nie przepracował uczciwie ani jednego dnia, zajmował się pokątnymi transakcjami, a zarobione pieniądze trwonił nie wiadomo na co. Mogę sobie wyobrazić, jak wyglądały te jego poszukiwania, jak bardzo się przejął. Wcale. To półgłówek, którego nie obchodzi nikt poza nim samym.

– Nie ma jej przypadkiem u ciebie? – zapytał nieoczekiwanie.

Jego matka u mnie? Tutaj? W Turynie?

Rino dobrze wiedział, że to niemożliwe, gadał byle gadać. To on był urodzonym podróżnikiem, już z dziesięć razy odwiedził mnie bez zaproszenia. Ale jego matka, którą zresztą chętnie bym u siebie gościła, nigdy w życiu nie wyjechała z Neapolu. Odpowiedziałam:

– Oczywiście, że nie ma jej u mnie.

– Jesteś pewna?

– Rino, na miłość boską... mówię ci, że u mnie jej nie ma.

– W takim razie, gdzie ona się podziewa?

Zaczął płakać. Nie przeszkadzałam mu w odgrywaniu tej sceny, nie przerywałam szlochów, które najpierw udawane, przerodziły się w prawdziwe. Kiedy się uspokoił, powiedziałam:

– Proszę cię, żebyś przynajmniej raz zrobił to, czego ona by sobie życzyła: nie szukaj jej.

– Co ty mówisz?!

– To, co słyszysz. Nie ma sensu jej szukać. Naucz się żyć samodzielnie. I nie dzwoń więcej do mnie.

Odłożyłam słuchawkę.

2.

Matka Rina nazywa się Raffaella Cerullo, ale dla wszystkich zawsze była Liną. Ja nie nazywałam jej tym zdrobnieniem ani pełnym imieniem. Dla mnie od sześćdziesięciu lat jest Lilą. Gdybym nagle zwróciła się do niej inaczej, pomyślałaby pewnie, że nasza przyjaźń się skończyła.

Przez co najmniej trzydzieści ostatnich lat słyszałam od niej, że pragnie zniknąć bez śladu, i nikt nie wie lepiej ode mnie, co chciała przez to powiedzieć. Nie miała na myśli zwykłej ucieczki czy zmiany tożsamości, nie zamierzała zaczynać życia od nowa w innym miejscu. Nie chciała też popełnić samobójstwa, bo nie wyobrażała sobie, żeby Rino miał dotykać jej ciała i zajmować się nim po jej śmierci. Pragnęła czegoś innego – żeby jej ciało, każda pojedyncza komórka, ulotniło się w powietrzu, żeby nie pozostał

po niej żaden ślad. A jako że znam ją dobrze, a przynajmniej tak mi się wydaje, jestem pewna, że znalazła sposób, by nie zostawić na tym świecie nawet jednego swojego włosa.

3.

Mijały dni. Bez większej nadziei sprawdzałam pocztę elektroniczną i zaglądałam do skrzynki na listy. Ja nie pisywałam do niej często, ona na moje rzadkie listy prawie nigdy nie odpowiadała. Tak się między nami ułożyło. Lila wolała telefon albo długie nocne rozmowy, gdy przyjeżdżałam do Neapolu.

Wyjęłam z szuflad metalowe skrzynki, w których przechowuję różne pamiątki. Nie jest ich dużo. Sporo wyrzuciłam, także z tych, które wiązały się z jej osobą, i ona o tym wie. Odkryłam, że nie ma wśród nich ani jednego jej zdjęcia, listu czy prezentu. Byłam zaskoczona. Czy to możliwe, że po tylu latach znajomości nie zostawiła mi nic swojego? Albo – co gorsza – że to ja nie chciałam zachować niczego, co pochodziło od niej? Możliwe.

Choć z ciężkim sercem, tym razem to ja zadzwoniłam do Rina. Nie odebrał telefonu, ani komórkowego, ani stacjonarnego. Oddzwonił wieczorem, bez pośpiechu. Miał taki sam głos jak zawsze, kiedy chciał wywołać we mnie współczucie.

– Widziałem, że dzwoniłaś. Dowiedziałaś się czegoś?

– Nie. A ty?

– Ja też nie.

I zaczął gadać bezładnie, że zamierza zgłosić się do programu telewizyjnego, w którym poszukują osób zaginionych. Zaapelować do matki, przeprosić ją za wszystko i błagać, żeby wróciła.

Wysłuchałam go cierpliwie, po czym zapytałam:

– Zajrzałeś do jej szafy?

– Po co?

Naturalnie, nie przyszło mu do głowy to, co powinno być pierwszym odruchem.

– Idź i zobacz.

Przekonał się na własne oczy, że szafa jest pusta. Nie było w niej ani jednego ubrania matki, letniego czy zimowego, wisiały tylko puste wieszaki. Poleciałam mu

przejrzeć całe mieszkanie. Zniknęły buty i nieliczne książki, zniknęły wszystkie zdjęcia i filmy. Nie było komputera ani dyskietek, jakich używało się kiedyś, nie było niczego, co wiązałoby się z jej bogatym doświadczeniem miłośniczki nowinek technologicznych, którą stała się jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych, w epoce kart perforowanych, kiedy nauczyła się posługiwać kalkulatorem. Rino był bezgranicznie zdumiony. Powiedziałam mu:

– Masz tyle czasu, ile będziesz potrzebował, ale potem daj mi znać, czy znalazłeś w domu choćby jedną szpilkę, która należałaby do niej.

Zadzwoił następnego dnia, nie krył wzburzenia.

– Nic nie znalazłem.

– Nic? Zupełnie?

– Nic. Wycięła się nawet ze zdjęć, na których byliśmy razem, tych z mojego dzieciństwa.

– Wszędzie szukałeś?

– Wszędzie.

– W piwnicy też?

– Mówię ci, że wszędzie. Zniknęło nawet pudełko ze starymi dokumentami, wiesz: akty urodzenia, umowy, rachunki. Co to może znaczyć? Okradli nas złodzieje? Ale czego szukali? Czego chcą od mamy i ode mnie?

Zapewniłam go, że może być spokojny. Od niego na pewno nikt niczego nie chce.

– Pomieszkać trochę u ciebie, dobrze?

– Nie.

– Proszę cię! Nie umiem w nocy zmrużyć oka.

– Poradzisz sobie, Rino. Nie mogę ci pomóc.

Odłożyłam słuchawkę, a kiedy po chwili znowu zadzwonił, nie odebrałam.

Usiadłam przy biurku. Pomyślałam, że Lila jak zwykle przesadza. W wieku sześćdziesięciu sześciu lat nie tylko postanowiła zniknąć, ale chce zatrzeć wszelkie ślady swojego istnienia.

Ogarnął mnie gniew.

Zobaczymy, kto tym razem wygra. Włączyłam komputer i zaczęłam spisywać naszą historię, wszystko, co mi zostało w pamięci.

DZIECIŃSTWO

Opowieść o don Achille

1.

Nasza przyjaźń zaczęła się, gdy wspinałyśmy się z Lilą po ciemnych schodach, stopień po stopniu, piętro za piętro, aż do mieszkania don Achillego.

Pamiętam niebieskawą poświatę na podwórku i zapach ciepłego wiosennego wieczoru. Matki przygotowywały kolację, o tej porze powinniśmy wrócić do domu, ale zamiast tego po raz kolejny wystawiłyśmy na próbę naszą odwagę, nie porozumiawszy się przedtem ani słowem. Od jakiegoś czasu stało się to naszym zwyczajem, w szkole i poza nią. Lila wkładała rękę aż do łokcia, a nawet wyżej, do czarnej dziury ściekowej i zaraz za nią ja robiłam to samo. Biło mi przy tym serce i starałam się nie myśleć o tym, że pewnie za chwilę karaluchy obleżą mi ramię, a szczury odgryzą palce. Lila wspinała się do okna na parterze, łapała rękami żelazny drąg, na którym pani Spagnuolo rozpięła sznury do suszenia bielizny, i huśtała się na nim przez chwilę, po czym zwalniała uchwyt i spadała na chodnik. Wtedy ja natychmiast robiłam to samo, choć strasznie się bałam, że źle zeskoczę i zrobię sobie krzywdę. Lila wkłuwała sobie pod skórę na ręce zardzewiałą agrafkę, którą znalazła kiedyś na ulicy i nosiła zawsze w kieszeni jak talizman. Patrzyłam, jak ostrze igły drąży biały tunel pod skórą, a potem, kiedy już ją stamtąd wyciągała, robiłam to samo.

Tak samo było tego dnia – w pewnej chwili spojrzała na mnie, jak to ona, nieruchomymi oczami, przez zwężone powieki i poszła w kierunku domu, w którym mieszkał don Achille. Zmartwiałam z przerażenia. Don Achille był dla mnie jak najstraszniejszy potwór z bajek. Rodzice zabronili mi zbliżyć się do niego, rozmawiać z nim, a nawet tylko patrzeć w jego stronę. Kazali mi zachowywać się tak, jakby nie

istniał ani on, ani jego rodzina.

Nie miałam pojęcia, dlaczego ten człowiek budził w moich najbliższych, i nie tylko w nich, tak wielki strach i nienawiść.

Ojciec mówił o don Achille w taki sposób, że wyobrażałam go sobie jako olbrzyma o skórze pokrytej fioletowymi pęcherzami, ziejącego złością, pomimo słowa „don”, jakim wszyscy poprzedzali jego imię, kojarzącego się raczej ze spokojem i autorytetem. Mógł być potworem – nie wiem – z żelaza czy szkła albo porośłym parzącą pokrzywą, ale na pewno był żywy, bo z jego ust i nozdrzy buchał gorący oddech. Wierzyłam, że gdybym spojrzała na niego choćby z daleka, sypnąłby mi w oczy jakąś żrącą substancją, a gdybym przypadkiem zupełnie oszalała i podeszła pod drzwi jego mieszkania, na pewno uśmierciłby mnie na miejscu.

Zatrzymałam się na chwilę z nadzieją, że Lila zrezygnuje i wróci z powrotem. Od dawna wiedziałam, co chce zrobić, ale miałam nadzieję, że o tym zapomni. Stało się inaczej.

Lampy uliczne jeszcze się nie zapaliły, żarówki na schodach też były ciemne. Zza drzwi mieszkań dochodziły podniesione głosy. Żeby nie stracić Lili z oczu, musiałam zanurzyć się w czerń bramy, zostawić za sobą niebieskawą poświatę podwórka. Kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę i weszłam do budynku, z początku nic nie widziałam, czułam tylko zapach stęchlizny i azotoksu. Dopiero po chwili wzrok przyzwyczał się do ciemności i zobaczyłam Lilę siedzącą na pierwszym stopniu schodów. Na mój widok wstała i zaczęłyśmy razem wchodzić do góry. Trzymałyśmy się blisko ściany. Podążałam za nią dwa stopnie niżej, nie mogąc się zdecydować, czy zmniejszyć czy też zwiększyć tę odległość. W pamięci pozostał mi dotyk chropowatego tynku, po którym przesuwalam ręką, i wrażenie, że stopnie w tym budynku są o wiele wyższe niż w moim domu.

Drżałam. Każdy dźwięk kroków, każdy głos za zamkniętymi drzwiami mógł zapowiadać don Achillego zbliżającego się do nas za plecami albo podchodzącego od przodu z długim nożem jak te, którymi ćwiartuje się kury. W powietrzu unosił się zapach smażonego czosnku. Byłam pewna, że Maria, żona don Achillego, tylko czeka, żeby wrzucić mnie do garnka z wrzącym olejem, jego dzieci zjedzą mnie potem na kolację, a on wyssie wszystkie moje kosteczki tak samo jak ojciec wysysał rybie głowy.

Zatrzymywałyśmy się co chwila, za każdym razem miałam nadzieję, że Lila zdecyduje się wrócić. Pociłam się ze strachu. Nie wiem, czy Lila czuła to samo. Co jakiś czas spoglądała w górę, ale nie mogłam odgadnąć na co, widać było tylko szare prostokąty okien między kondygnacjami. Niespodziewanie zapaliło się światło, ale było

słabe, pozostawiało rozległe plamy ciemności pełne grozy. Zatrzymałyśmy się na chwilę, by się upewnić, że to nie don Achille nacisnął włącznik. Nie usłyszałyśmy kroków ani odgłosu zamykanych drzwi. Lila ruszyła dalej, a ja za nią.

Lila uważała, że to, co robi, jest słuszne i konieczne, ja zaś zapomniałam o rozsądku i poszłam tam dlatego, że ona tam była. Zbliżałyśmy się krok za krokiem do naszego największego lęku, wspinałyśmy się po schodach, żeby go poznać i żeby się z nim zmierzyć.

Na czwartym podejściu Lila znienacka się zatrzymała, a kiedy do niej dołączyłam, podała mi rękę. Ten gest zmienił między nami wszystko i na zawsze.

2.

To była jej wina. Krótco przedtem – może dziesięć dni, może miesiąc, trudno mi powiedzieć, czas wtedy dla nas nie istniał – wrzuciła moją lalkę do piwnicy. Podobnie jak teraz wspinałyśmy się w górę do naszego lęku, wtedy musiałyśmy zejść w dół, i to szybko, ku nieznanemu. Czy to w górę, czy w dół, zawsze pociągało nas to, co nas przerażało, co wprawdzie istniało przed nami, ale zdawało się czekać od zawsze właśnie na nas. Kiedy jest się na świecie od niedawna, nie można wiedzieć, jakie nieszczęścia leżą u źródeł lęków. Zresztą wtedy nie czuje się nawet takiej potrzeby. Dorosli, w oczekiwaniu na przyszłość, poruszają się w teraźniejszości, przed którą było jakieś wczoraj lub przedwczoraj czy zeszły tydzień. O tym, co było jeszcze wcześniej, często wolą nie myśleć. Dzieci nie wiedzą, czym jest dzień wczorajszy czy przedwczorajszy albo jutrzejszy. Wszystko jest teraz: ulica, brama i schody; matka jest teraz i ojciec; teraz jest dzień i teraz jest noc.

Ja byłam dzieckiem i bardzo możliwe, że moja lalka wiedziała więcej niż ja. Mówiłam do niej i ona do mnie zdawała się mówić. Miała buzię z celuloide, celuloidowe włosy i oczy. Ubrana w niebieską sukienkę uszytą przez moją mamę w którejś z rzadkich chwil szczęścia, była po prostu piękna. Tymczasem szmaciana lalka Lili, uścibolona z żółtawego kretonu i wypchana trocinami, wydawała mi się brzydka i nędzna. Obydwie obserwowały się podejrzliwie, zawsze gotowe schronić się w naszych ramionach, gdyby rozszalała się burza z piorunami albo gdyby chciał je porwać jakiś olbrzym z ostrymi zębami.

Bawiłyśmy się na podwórku, niby razem ale właściwie osobno. Siadałyśmy zwykle na ziemi po dwóch stronach zakratowanego piwnicznego okienka. Lubiliśmy to miejsce, bo na cementowym parapecie przed kratą mogłyśmy układać rzeczy naszych lalek, Tiny i Nu. Były wśród nich kamyki, kapsle z butelek po oranżadzie, kwiatki, gwoździe i szkiełka. Podśluchiwałam, co Lila mówiła do Nu, i szeptem powtarzałam jej słowa Tinie, trochę je tylko zmieniając. Jeżeli Lila kładła swojej lalce kapsel na główce, udając, że to kapelusz, ja mówiłam do Tiny: załóż królewską koronę, będzie ci cieplej. Kiedy Lila grała w klasy, trzymając Nu w objęciach, za chwilę i ja, stojąc na jednej nodze i tuląc do siebie Tinę, podnosiłam kamyk z kwadratów narysowanych na chodniku. Nie zdarzało się jednak, żebyśmy wspólnie decydowały o tym, w co i jak będziemy się bawić. Miejsce zabaw też wybierałyśmy osobno, nie umawiając się wcześniej. Lila siadała przy okienku, a ja krążyłam przez jakiś czas w pobliżu, udawałam, że idę gdzie indziej, ale potem, jakby nigdy nic, też się przy nim rozkładałam, tyle tylko że po drugiej stronie.

Największą atrakcją tego miejsca był powiew piwnicznego powietrza, które przyjemnie nas chłodziło wiosną i latem. Fascynowała nas krata z pajęczynami, nieprzenikniona ciemność za nią i gęsta siatka czerwonawa od rdzy, niedokładnie przytwierdzona do okienka, przez co zwijała się po bokach, zostawiając równoległe szpary. Mogłyśmy wrzucać przez nie kamyki i słuchać głuchego stukotu, gdy uderzały o podłogę. Wszystko to było jednocześnie piękne i przerażające. Ciemność za kratą mogła w każdej chwili wessać nasze lalki, które tylko czasem chroniłyśmy w ramionach, częściej kładłyśmy je specjalnie przy kracie, w zasięgu groźnego oddechu piwnicy, w sąsiedztwie dobiegających z niej tajemniczych odgłosów: skrobania, pisków i szelestów.

Nu i Tina nie były szczęśliwe. Lęki, jakich my doświadczałyśmy każdego dnia, były też ich lękami. Nawet w najjaśniejszym świetle dnia domy, kamienie, puste pola, ludzie w mieszkaniach i na ulicy wzbudzali w nas nieufność. Podejrzewałyśmy ich o ciemne sprawy, ukryte tajemnice, tłumione uczucia, które mogły w każdej chwili eksplodować.

Na przykład don Achille mógł siedzieć sobie w mieszkaniu na najwyższym piętrze i jednocześnie przebywać pod ziemią, w piwnicy, wśród pajaków i szczurów; mógł przyjąć jakąkolwiek postać. Wyobrażałam go sobie z kłami jak u dzikiej bestii, przez które nie mógł zamknąć ust, z kamiennym ciałem pokrytym glazurą i porośniętym parzącą pokrzywą, jak wkłada do swojej ogromnej czarnej teczki wszystkie nasze rzeczy, które spadały do piwnicy przez szpary w siatce. Ta teczka była nieodstępnym atrybutem don Achillego, miałam pewność, że nigdy się z nią nie rozstaje, że nawet

w domu trzyma ją przy sobie i wkłada do środka przedmioty i żywe stworzenia.

Lila dobrze znała moje lęki, Tina często o nich mówiła w jej obecności. Właśnie dlatego, w dniu, gdy po raz pierwszy, porozumiewszy się jedynie spojrzeniem i gestami, wymieniliśmy się lalkami, przepchnęła ją przez kratę i zrzuciła w ciemność.

3.

Lila pojawiła się w moim życiu w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Od razu zwróciłam na nią uwagę, bo była wyjątkowo niesforna. Prawdę mówiąc, wszystkie dziewczynki z naszej klasy zachowywały się mało przykładowie, ale pozwalałyśmy sobie na to tylko wtedy, gdy nie widziała nas pani Oliviero. Tymczasem Lila była niegrzeczna zawsze, także w jej obecności. Pewnego dnia podarła bibułę na kawałeczki i wcisnęła do kałamarza. Potem wyławiała ją z atramentu obsadką i rzucała nią w koleżanki. Mnie trafiła dwa razy we włosy i raz w biały kołnierzyk. Nauczycielka zaczęła na nią krzyczeć tym swoim ostrym i przenikliwym głosem, którego tak bardzo się wszystkie bałyśmy, i za karę kazała jej stanąć za tablicą. Lila nie posłuchała, nie wyglądała na wystraszoną, wręcz przeciwnie – dalej rozrzucała po klasie bibułę ociekającą atramentem. Wtedy pani Oliviero, kobieta pokaźnej postury, która wydawała nam się strasznie stara, choć miała wtedy niewiele więcej niż czterdzieści lat, zeszła z podwyższenia, na którym stało jej biurko. Podchodząc do Lili z groźną miną, potknęła się nie wiadomo na czym, straciła równowagę i przewróciła się, uderzając twarzą o róg ławki. Leżała potem na podłodze jak martwa.

Nie przypominam sobie, co się działo później, pamiętam tylko nieruchome ciało nauczycielki przypominające ciemny toból i Lilę, która wpatrywała się w nią poważnymi oczami.

Mam w pamięci wiele podobnych zdarzeń. W tamtych czasach zarówno dzieci, jak i dorośli często chorowali i ulegali różnym wypadkom, rany krwawiły i ropiały, niektórzy od tego umierali. Jedna z córek pani Assunty, tej, która sprzedawała owoce, skaleczyła się zardzewiałym gwoździem i zmarła na tężec. Najmłodszy synek pani Spagnuolo udusił się, gdy chorował na krup. Jeden z moich kuzynów, dwudziestolatek, wyszedł rano do pracy przy usuwaniu gruzu, a wieczorem leżał martwy, przygnieciony kawałkiem muru, krwawiąc z ust i uszu. Mój dziadek zabił się, bo spadł z dachu, gdy

pracował przy budowie domu, a ojciec pana Pelusa nie miał ręki, bo obcięła mu ją tokarka. Z kolei siostra Giuseppiny, żony pana Pelusa, zmarła na gruźlicę, nie skończywszy dwudziestu dwóch lat. Najstarszego syna don Achillego nigdy nie widziałam na oczy, ale dużo o nim słyszałam i wydaje mi się, jakbym go znała, bo to był ten, co poszedł na wojnę i zmarł dwa razy – najpierw, kiedy utopił się w Oceanie Spokojnym, a potem, kiedy pożarły go rekiny. Cała rodzina Melchiorre zginęła, krzycząc ze strachu, podczas bombardowania; kiedy ich odkopali, leżeli razem i obejmowali się. Panna Clorinda wołała oddychać gazem zamiast powietrzem, żeby się nim zatruć na śmierć. Giannino, który uczył się w czwartej klasie, kiedy my byliśmy w pierwszej, zginął przy wybuchu niewypału; Luigina, koleżanka z podwórka, a może nie – może zostało mi w pamięci tylko jej imię – zmarła na dur plamisty.

Żyliśmy w świecie pełnym słów-morderców: krup, tężec, tyfus, gaz, wojna, tokarka, gruzy, praca, bombardowanie, gruźlica, ropienie, bomby. Rozliczne lęki, jakie towarzyszyły mi przez całe życie, wywodzą się z tych słów, z tamtych czasów.

Umierało się wtedy także z przyczyn z pozoru niewinnych. Mógł umrzeć na przykład ten, kto spocony pił zimną wodę, nie schłodziwszy sobie przedtem nadgarstków albo ten, kto jadł czereśnie i nie wypluwał pestek czy też połknął gumę do żucia. Można było stracić życie od banalnej wysypki, udusić się przy kaszlu, a już na pewno od uderzenia w skroń. Wiedziałyśmy, że skroń to bardzo delikatne miejsce, więc starałyśmy się chronić je szczególnie. Przed uderzeniem kamienia na przykład, co groziło nam na każdym kroku. Pod szkołą czekała na nas często banda chłopaków z przedmieścia dowodzona przez Enza, zwanego Enzucciem, jednego z synów Assunty, tej, która sprzedawała owoce. Chłopcy rzucali w nas kamieniami, bo czuli się od nas gorsi. Na ich widok uciekałyśmy co sił w nogach. Wszystkie, za wyjątkiem Lili. Lila nie zmieniała rytmu kroków pod gradem kamieni, czasem zatrzymywała się nawet na chwilę. Potrafiła przewidzieć tor lotu kamieni i unikać uderzenia, wykonując nieznaczne ruchy, o których dzisiaj powiedziałabym, że były pełne elegancji. Miała starszego brata, być może on ją tego nauczył, nie wiem. Moi bracia byli młodszy ode mnie i niczego mnie nie nauczyli. W każdym razie, kiedy widziałam, że zostaje z tyłu, zatrzymywałam się, pokonując strach, żeby na nią poczekać, choć bardzo dużo mnie to kosztowało.

Już wtedy z jakiejś przyczyny nie byłam w stanie zostawić jej samej. Nie znałam jej właściwie, nigdy jeszcze z sobą nie rozmawiałyśmy, choć przez cały czas rywalizowałyśmy, w szkole i poza nią. Czułam, że gdybym ją zostawiła i uciekła z innymi dziewczynkami, zyskałaby nade mną przewagę, której już nigdy nie udałoby mi się nadrobić.

Z początku chowałam się za najbliższym budynkiem i wyglądałam co chwilę zza węgła, by sprawdzić, czy Lila się zbliża. Kiedy widziałam, że nie rusza się z miejsca, zmuszałam się, by do niej dołączyć, podawałam jej kamienie i sama rzucałam nimi w chłopaków. Robiłam to jednak bez przekonania. Wiele rzeczy robiłam w życiu bez przekonania, najczęściej czułam się, jakbym własnym działaniom przyglądała się z boku. W odróżnieniu od Lili, która już we wczesnym dzieciństwie, może jako sześciolub siedmiolatka, a z całą pewnością w epoce, gdy jako dziewięciolatki wspinałyśmy się po schodach do mieszkania don Achillego, robiła wszystko z determinacją i zdecydowaniem. Kiedy łapała za trójkolorową obsadkę, za kamień lub za poręcz na ciemnych schodach, było jasne, że nie zawaha się ani przez chwilę przed następnym krokiem: przed wbiciem stalówki w drewno szkolnej ławki, uderzeniem chłopaka z przedmieścia czy dojściem do drzwi don Achillego.

Banda dzikusów podchodziła pod szkołę od strony nasypu kolejowego, chłopcy byli zaopatrzeni w kamienie, którymi wysypano torowisko. Enzo, ich prowodyr, blondyn o jasnych oczach i krótko obciętych włosach, był prawdziwym chuliganem. Wybierał kamienie o ostrych brzegach i często trafiał do celu. Lila czekała na jego rzuty, by pokazać mu, jak łatwo ich unika, i jeszcze bardziej go rozzłościć, po czym natychmiast odpowiadała na nie równie skutecznie. Pewnego razu trafiłyśmy go w łydkę. Piszę w liczbie mnogiej, bo to ja podałam Lili wyszczerbiony płaski kamień, który jak brzytwa przeciął skórę na nodze Enza, zostawiając ranę – zaraz zaczęła z niej płynąć krew. Chłopiec zatrzymał się z ręką podniesioną już do następnego rzutu. Mam go wyraźnie przed oczami, jak trzyma między kciukiem a palcem wskazującym kamień przygotowany dla którejś z nas, a na jego twarzy maluje się zdumienie. Inni chłopcy też zamarli i wpatrywali się z niedowierzaniem w krew spływającą po łydce Enza. Tymczasem Lila nie okazała nawet cienia satysfakcji z rezultatu swego rzutu i schyliła się po następny kamień. Złapałam ją za ramię. To był nasz pierwszy fizyczny kontakt, gwałtowny, spowodowany strachem. Czułam, że po tym, co się stało, banda zareaguje agresją, i chciałam stamtąd jak najszybciej zniknąć. Ale już było za późno. Enzo, pomimo krwawiącej rany, otrząsnął się zaraz z osłupienia i rzucił kamieniem, który miał w ręce. Kiedy trzymałam Lilę za ramię, kamień uderzył ją w czoło i oderwał ode mnie. Chwilę później Lila leżała na chodniku z rozbitą głową.

W naszym świecie krew zwykle lała się dopiero po tym, jak ludzie obrzucili się obelgami i plugawymi wyzwiskami. To była zwykła kolej rzeczy. Mój ojciec, którego uważałam za dobrego człowieka, wciąż wysyłał groźby i przekleństwa pod adresem tych, o których zwykł mówić, że nie są godni chodzić po ziemi. Szczególnie źle usposobiony był do don Achillego. Zawsze miał mu coś do wyrzucenia i często zasłaniałam sobie uszy rękami, żeby nie słyszeć jego bluzgów. Kiedy rozmawiał z mamą, mówił o nim: „twój kuzyn”, ale mama protestowała (w istocie ich pokrewieństwo było bardzo dalekie) i dokładała obraźliwych epitetów. Przerazała mnie ich złość, zwłaszcza kiedy przychodziło mi do głowy, że don Achille może mieć wyostrzony słuch i dotrą do niego ich inwektywy z dużej odległości. Bałam się, że przyjdzie i pozabija rodziców.

Najbardziej zapamiętałym wrogiem don Achillego nie był jednak mój ojciec, ale pan Peluso, świetny stolarz, który klepał biedę, bo przegrywał wszystkie pieniądze na zapleczu baru „Solara”. Peluso był ojcem naszej szkolnej koleżanki, Carmeli, a także starszego chłopca o imieniu Pasquale i dwojga innych dzieci. Wszyscy oni byli prawdziwymi nędzarzami, przy zabawach, w szkole i poza nią, próbowali kraść różne przedmioty – ołówki, gumki i kawałki twardej marmolady z pigwy – i do domu wracali posiniaczeni od razów, jakie obrywali, gdy ktoś ich na tym przyłapał.

Pan Peluso był najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi. Z jednej strony nie mógł wyzwolić się ze szponów hazardu i przegrywał wszystkie pieniądze, z drugiej zaś oskarżał się przed ludźmi, że nie potrafi utrzymać rodziny. Z jakiejś tajemniczej przyczyny winą za swoją klęskę życiową obarczał don Achillego. Nienawidził go, bo do niego należały teraz wszystkie jego narzędzia stolarskie, jakby ciało don Achillego było magnesem i przyciągnęło je do siebie. Nie mógł ścierpieć, że także jego warsztat, bezużyteczny bez narzędzi, przeszedł na własność don Achillego, a ten zamienił go w sklep z wędlinami i serami. Przez lata wyobrażałam sobie, że don Achille wessał przez pory swego straszliwego ciała obcęgi, piły i gwoździe zredukowane do metalicznej chmury, a potem wydalal je z siebie stopniowo w postaci mortadeli, słoniny, sera i szynki.

Działo się to w odległych, mrocznych czasach. Bo don Achille ujawnił swoją potworną naturę zanim się urodziłyśmy. Kiedyś. Lila często używała tego słowa w szkole i poza nią, ale miałam wrażenie, że tak naprawdę nie interesowało jej to, co było *kiedyś*, zanim sama pojawiła się na świecie. Nie interesowały jej zdarzenia, o których dorośli mówili półsłówkami albo wręcz milczeli. Ważny był dla niej sam fakt, że istniało owo *kiedyś*, coś przed nami. Nie dawało jej to spokoju, chwilami wręcz

irytowało ją. Kiedy już się zaprzyjaźniłyśmy, tak często mówiła o tym nierealnym *kiedys*, że udzielił mi się jej gniew. I to właśnie w owym niewyobrażalnie długim czasie, który istniał, pomimo że nas jeszcze nie było, don Achille ukazał wszystkim swoje potworne oblicze istoty odzwierzęcej, a może kamiennej, która, jak sobie wyobrażałam, wysysała krew z ludzi, a jednocześnie sama krwi nigdy nie traciła. Prawdopodobnie nie dałoby się go nawet zadrapać.

Myślę, że byłyśmy wtedy w drugiej klasie szkoły podstawowej i jeszcze z sobą nie rozmawiałyśmy, gdy rozeszły się głosy, że w niedzielę po mszy przed kościołem pod wezwaniem Świętej Rodziny pan Peluso nie wytrzymał i zaczął krzyczeć na don Achillego, któremu towarzyszył najstarszy syn Stefano, młodsza Pinuccia i Alfonso, nasz równolatek, oraz żona. Don Achille odstąpił od nich i rzucił się na pana Pelusa, co przejęło grozą świadków tej sceny. Podniósł go i rzucił nim o pień drzewa na skwerze, po czym oddalił się z tego miejsca spokojnie, podczas gdy pan Peluso leżał nieprzytomny, krwawiąc z ran na głowie i wszędzie indziej, i nie był w stanie, biedaczysko, nawet wyszeptać: pomocy!

5.

Nie tęsknię za dzieciństwem. Naszym dzieciństwem rządziła przemoc. Codziennie doświadczałyśmy wszystkiego, co najgorsze, w domu i poza domem, ale nie pamiętam, żebym kiedykolwiek pomyślała, że życie, które przypadło mi w udziale, było szczególnie podłe. Było, jakie było i tyle. Dorastałyśmy w przeświadczeniu, że musimy utrudniać je innym, zanim inni utrudnią je nam. Jasne, że wolałabym być miła i grzeczna, jak uczył nas ksiądz proboszcz i pani w szkole, ale czułam, że w ten sposób mogłabym w naszym osiedlu źle skończyć, pomimo że byłam dziewczynką. Zresztą kobiety walczyły z sobą jeszcze bardziej zawzięcie niż mężczyźni, szarpały się za włosy, sprawiały sobie ból bez zahamowań. Sprawianie bólu było powszechnym zwyczajem. W dzieciństwie wyobrażałam sobie, że w nocy przybywają do naszej dzielnicy małe, ledwie widzialne istoty. Wychodzą z kałuż, z wagonów stojących za nasypem, ze śmierdzących chwastów zwanych smrodławkami, z much, jaszczurek i zdechłych żab, z kamieni i kurzu. Przenikają do pożywienia i wody, unoszą się w powietrzu i zarażają nasze matki i babcie złością, zamieniają je we wściekłe suki.

Było z nimi gorzej niż z mężczyznami, bo ci wprawdzie złościли się częściej, ale w końcu uspokajali się, podczas gdy kobiety, z pozoru potulne i ciche, kiedy wpadały we wściekłość, nie miały umiaru.

Na Lili wywarło ogromne wrażenie to, co spotkało Melinę Cappuccio, krewną jej matki. Zresztą na mnie też. Melina mieszkała w tym samym domu co moi rodzice, my na drugim piętrze, ona na trzecim. Miała sześcioro dzieci i niewiele więcej niż trzydzieści lat, a wyglądała jak staruszka. Jej mąż był w tym samym co ona wieku, rozładowywał towar na targu warzywnym. Pamiętam, że był niski i tęgi, ale miał piękną, dumną twarz. Pewnego dnia wyszedł jak zwykle z domu przed świtem i niewiele później znaleziono go bez życia. Nie wiem, jak umarł, może z przemęczenia, a może ktoś go zabił. Na jego pogrzeb, bardzo uroczysty, przyszedli wszyscy z bliższego i dalszego sąsiedztwa, także rodzice Lili i moi. Minęło trochę czasu i w Melinie nastąpiły wielkie zmiany. Zewnętrznie pozostała tą samą przeraźliwie chudą kobieciną z wydatnym nosem i przedwcześnie posiwiałą, która przenikliwym głosem zwoływała wieczorem przez okno swoje dzieci, jedno po drugim, przeciągając sylaby ich imion, jakby w pełnej złości desperacji: Aaa-daa! Mii-chè! W pierwszym okresie po śmierci męża bardzo pomógł jej Donato Sarratore, który z rodziną zajmował mieszkanie nad nią, na czwartym, ostatnim piętrze. Donato uważał się za dobrego chrześcijanina, uznał więc, że nie może zostawić wdowy samej w potrzebie. Zbierał dla niej pieniądze, używane ubrania i buty, dzięki jego rekomendacji najstarszy syn Meliny, Antonio, dostał pracę w warsztacie Gorresia, dobrego znajomego Donata. Wdzięczność Meliny zamieniła się w krótkim czasie w głęboką, namiętą miłość do dobroczyńcy. Nie wiadomo, czy Donato Sarratore zdawał sobie z tego sprawę. Był bardzo serdecznym i porządnym człowiekiem. Żył między domem, miejscem pracy i kościołem. Pracował jako kolejarz, miał stałe zarobki, z których w miarę dostаточно utrzymywał żonę Lidię i pięcioro dzieci, w tym najstarszego syna o imieniu Nino. W przerwach między podróżami na trasie Neapol–Paola i z powrotem wykonywał drobne naprawy w domu, robił zakupy i woził wózkiem na spacer najmłodsze dziecko. Wszystko to na naszym osiedlu, a nawet w całej naszej dzielnicy było absolutnie niezwykle. Nikomu nie przyszło do głowy, że Donato robi to, by pomóc żonie, odciążyć ją w pracach domowych. Nie. Mężczyźni z sąsiedztwa, z moim ojcem na czele, uznali, że jest z nim coś nie w porządku. Jest po prostu zniewieściały, tym bardziej że pisywał wiersze i chętnie je czytał wszystkim, którzy chcieli słuchać.

Melina też mylnie interpretowała jego zachowanie. Wolała myśleć, że ma zbyt miękki charakter, co wykorzystuje jego żona i trzyma go pod pantoflem. Postanowiła zacząć bezlitosną walkę z Lidią Sarratore, by Donato wyzwolił się spod jej tyranii i

połączył z nią do końca życia. I tak rozpoczęła się wojna. Z początku bawiło mnie to, o czym opowiadano w domu i na ulicy przy wtórze złośliwych śmiechów. Gdy Lidia wywieszała wyprane prześcieradła, Melina wchodziła na parapet i smarowała po nich nadpalonymi, czarnymi od dymu patykami. Gdy Lidia przechodziła pod oknami, Melina pluła jej na głowę albo wylewała brudną wodę z miski. W ciągu dnia Lidia i jej dzieci tupwały nad głową Meliny, w nocy to ona stukiała w sufit kijem od szczotki. Donato Sarratore dokładał starań, by zaprowadzić pokój, ale był zbyt wrażliwym i łagodnym człowiekiem, żeby mogło mu się to udać. Tak więc dzień po dniu, złośliwość po złośliwości, agresja dwóch kobiet rosła, wyzwiska i obelgi, jakimi się obrzucały przy każdym spotkaniu na ulicy czy na schodach, stawały się coraz bardziej wulgarne. Z czasem zaczęły budzić we mnie lęk. Jedną z wielu strasznych scen mego dzieciństwa zaczęła się właśnie od wrzasków Meliny i Lidii, od epitetów, jakimi obrzucały się z okien, a potem na klatce schodowej. Mama podbiegła do drzwi, otworzyła je i wyjrzała przez nie, a my, dzieci, dołączyliśmy do niej dokładnie w chwili, gdy nasze dwie sąsiadki, sczepione z sobą, stoczyły się po schodach, aż w końcu głowa Meliny uderzyła o podłogę tuż przy moich butach i wyglądała jak biały melon, który wypadł komuś z rąk.

Trudno mi powiedzieć, dlaczego w tamtym czasie my, dzieci, stanęliśmy po stronie Lidii. Być może dlatego, że miała jasne włosy i ładną twarz. Albo dlatego, że Donato był jej mężem i zrozumieliśmy, że Melina chce jej go odebrać. Możliwe też, że odstręczały nas wiecznie zasmarkane, brudne dzieci Meliny, podczas gdy dzieci Lidii były czyste i uczesane, a pierworodny Nino, parę lat starszy od nas, bardzo nam się podobał. Jedynie Lila stała po stronie Meliny, ale nigdy nie wyjaśniła nam dlaczego. Powiedziała tylko przy jakiejś okazji, że nie zdziwi się, jeżeli Lidia skończy nagłą śmiercią, zasłużyła sobie na to. Pomyślałam wtedy, że mówi tak, bo sama ma złą duszę, a poza tym z Meliną łączy ją dalekie pokrewieństwo.

Pewnego dnia wracałyśmy ze szkoły razem z innymi dwiema lub trzema dziewczynkami. Była z nami Marisa Sarratore, nie przepadałyśmy za nią, ale miałyśmy nadzieję, że przez nią będziemy mogły zapoznać się z jej bratem Ninem. To ona pierwsza zauważyła Melinę, która szła wolnym krokiem po drugiej stronie ulicy i wyjadała coś z papierowej torebki trzymanej w ręce. Marisa wskazała na nią i nazwała ją dziwką. Bez złości, po prostu powtórzyła słowo zasłyszane w domu od matki. Lila, bez chwili wahania, choć wątlejsza i niższa, wymierzyła jej policzek tak silny, że Marisa straciła równowagę i przewróciła się na chodnik. Lila zrobiła to, nie okazując żadnych emocji, jak zwykle przy swoich gwałtownych reakcjach, bez słowa ostrzeżenia, nie zmieniając wyrazu twarzy, zimna i zdecydowana.

Ja najpierw podeszłam do szlochającej Marisy i pomogłam jej wstać, potem obróciłam się do Lili, żeby zobaczyć, co robi. Zeszła z chodnika i przechodziła właśnie przez jezdnię, nie zważając na przejeżdżające ciężarówki. Zobaczyłam, bardziej w jej sposobie poruszania się niż w twarzy, coś, co mnie zaniepokoiło i czego jeszcze dzisiaj nie potrafię zdefiniować. Powiem może tak – choć przecinając ulicę, poruszała się energicznie i zdecydowanie, miałam wrażenie, jakby znieruchomiała, stężała we współczuciu jak figura solna. Przywarła do tej dalekiej krewnej, podobnie jak ona – drobna, ciemna i nerwowa, zjednoczyła się z Meliną w jej nędzy, gdy ta wyjadała z papierowej torby ciemną pastę do prania zakupioną przed chwilą w sklepiku don Carla.

6.

Jak już wspomniałam, kiedy pani Oliviero spadła z podestu, na którym stała katedra, i uderzyła się o ławkę w policzek, byłam pewna, że tego nie przeżyje, że to śmiertelny wypadek przy pracy jak w przypadku mojego dziadka i męża Meliny. Myślałam też, że w związku z tym umrze także Lila, ukarana za straszny czyn, jakiego się dopuściła. Stało się inaczej. Na jakiś czas, o którym nie potrafię już dzisiaj powiedzieć, czy był krótki czy długi, zniknęły obydwie, nauczycielka i uczennica, z naszego życia, a nawet z naszej pamięci.

Później – niespodzianka. Lila wróciła do szkoły, wróciła też pani Oliviero, zdrowa i cała, i skoncentrowała prawie całą swą uwagę na Lili; nie po to, żeby ją ukarać, ale niejako w nagrodę.

Ta nowa faza rozpoczęła się w dniu, w którym do szkoły przyszła matka Lili, pani Cerullo. Zaanonsował ją w drzwiach woźny i zaraz potem pani Cerullo weszła do klasy. Była zmieniona nie do poznania. Na co dzień widywaliśmy ją, podobnie jak inne kobiety na naszym osiedlu, w rozdeptanych kapciach i znoszonych, bezkształtnych ubraniach. Tymczasem w szkole Nunzia Cerullo pojawiła się w świątecznej sukience, którą wkładała pewnie tylko na wielkie okazje: ślub, pierwszą komunię czy pogrzeb, z czarną lakierowaną torebką w ręku, w czółenkach na niewielkim obcasie, które na pewno gniotły jej obrzmiałe stopy. Podała nauczycielce dwie papierowe torebki, z cukrem i z kawą.

Pani Oliviero chętnie je przyjęła i w obecności gościa, wobec całej klasy, nie spuszczać wzroku z Lili stojącej ze wzrokiem wbitym w ławkę, wypowiedziała kilka zdań, które zupełnie zbiły mnie z tropu. Byłyśmy wtedy w pierwszej klasie szkoły podstawowej, uczyliśmy się alfabetu i liczb od jednego do dziesięciu. Ja byłam najlepszą uczennicą w klasie, potrafiłam nazywać literki i liczyć do dziesięciu, chwalono mnie za kaligrafię i wygrywałam wszystkie trójkolorowe kokardki szyte przez nauczycielkę. A jednak pani Oliviero, ku mojemu zaskoczeniu, pomimo że Lila przyczyniła się do jej niemal śmiertelnego wypadku przy pracy i pobytu w szpitalu, stwierdziła, że to ona jest jej najlepszą uczennicą. To prawda, że bywa najbardziej ze wszystkich krnąbrna i niesforna, a rzucanie w koleżanki bibułą nasączoną atramentem było niedopuszczalnym wybrykiem. To prawda, że na skutek jej karygodnego zachowania ona, nasza nauczycielka, spadła z katedry i zraniła się w policzek. To prawda, że musi ją wciąż karać linijką i posyłać za tablicę, żeby klęczała na grochu. Przy tym wszystkim jest też jednak coś, co ją, jako nauczycielkę, napełnia radością i dumą, coś wspaniałego, co odkryła przez przypadek przed kilkoma dniami.

W tym momencie przerwała swoją przemowę, jakby słowa przestały wystarczać albo jakby chciała pokazać nam i matce Lili, że w pewnych sytuacjach ważniejsze od słów są fakty. Wzięła do ręki kawałek kredy i napisała na tablicy wyraz, którego już dzisiaj nie pamiętam – dajmy na to, że było to słowo „klasa” – i zwróciła się do Lili:

– Cerullo, powiedz nam, co tu jest napisane?

W klasie zapadła cisza pełna napięcia. Lila uśmiechnęła się leciutko, a może był to grymas niechęci, i żeby lepiej widzieć, przesunęła się na część ławki zajmowaną przez koleżankę, co tej wcale się nie spodobało. Potem powiedziała naburmuszonym tonem:

– Klasa.

Nunzia Cerullo spojrzała na nauczycielkę z niepewną, lekko wystraszoną miną. Pani Oliviero początkowo zdziwiła się, dlaczego w oczach matki Lili nie było entuzjazmu, ale zaraz uprzytomniła sobie, że Nunzia jest na pewno analfabetką i nie może wiedzieć, że na tablicy rzeczywiście był napisany ten wyraz. Zmarszczyła brwi, natychmiast jednak – pewnie po to, by zniknęły wątpliwości, a także po to, by pochwalić Lilę – powiedziała:

– Doskonale! Rzeczywiście napisałam: „klasa”.

Następnie wezwała Lilę.

– Cerullo, podejdź do tablicy.

Lila podeszła niechętnie, nauczycielka podała jej kredę i powiedziała:

– Napisz: „słońce”.

Lila skoncentrowała wzrok na kawałku kredy trzymanym w dłoni i napisała nierównymi, wpadającymi na siebie literami: „słońce”. Pani Oliviero dopisała zaraz kreseczkę nad „n”, a Nunzia, widząc poprawkę nauczycielki, powiedziała do córki z wymówką:

– Pomyliłaś się.

Nauczycielka jednak natychmiast ją zapewniła:

– To nie jest ważny błąd. Lila na pewno musi jeszcze poćwiczyć, ale już teraz potrafi pisać i czytać. Kto ją tego nauczył?

– Nie ja – odparła pani Cerullo ze spuszczonej oczami.

– Może ktoś z rodziny albo z waszej kamienicy?

Nunzia energicznie pokręciła głową. Pani Oliviero zwróciła się więc do Lili z pytaniem, w którym zawarła cały swój jakże szczery podziw:

– Kto cię nauczył czytać, Cerullo?

Lila – wątła i ciemna, w czarnym fartuchu z różową wstążką pod kołnierzykiem, ledwie sześciolatka – odpowiedziała:

– Sama się nauczyłam.

7.

Według Rina, starszego brata Lili, dziewczynka nauczyła się czytać, oglądając litery i rysunki w jego elementarzu. Miała wtedy trzy lata. Siadała przy nim w kuchni, gdy odrabiał szkolne zadania, i chłonęła to, czego on się starał nauczyć.

Rino był prawie sześć lat starszy od Lili, odznaczał się śmiałością i wyróżniał we wszystkich grach i zabawach podwórkowych, szczególnie w kręceniu frygą. Jednocześnie jednak nie lubił czytać, pisać, liczyć ani uczyć się wierszy na pamięć, kiedy więc miał dziesięć lat, jego ojciec Fernando zaczął zabierać go z sobą do małego warsztatu szewskiego w jednym z zaułków odchodzących od jezdni, żeby nauczył się przynajmniej zelować buty. Kiedy spotykaliśmy go po pracy, śmierdział starą skórą, mastyksem i cudzymi niemytymi nogami. Żartowałyśmy sobie z niego i przezywałyśmy Podeszwa. Być może dlatego przypisał sobie rolę pierwszego nauczyciela mądrej siostry. W rzeczywistości nie miał nigdy elementarza i nie umiałby usiedzieć dłużej niż pięć minut przy odrabianiu zadań, więc to niemożliwe,

żeby Lila dzięki niemu poznała litery i potrafiła je składać w słowa. Prawdopodobnie czytać nauczyła się z kawałków gazet, w które klienci owijali stare buty przynoszone do naprawy i które ojciec przynosił czasem do domu, by przeczytać rodzinie o jakimś wydarzeniu.

Tak czy inaczej, fakt pozostaje faktem: Lila umiała czytać i pisać, a mnie po tym szarym poranku, w którym się tego dowiedziałam, pozostało wspomnienie uczucia nagłej słabości bliskiej omdlenia.

Od pierwszego dnia nauki szkoła wydawała mi się miejscem o wiele piękniejszym niż dom. Nigdzie nie czułam się równie bezpiecznie, chodziłam tam z ogromną przyjemnością. Uważałam na lekcjach, z zapałem wykonywałam wszystkie polecenia, uczyłam się pilnie. Przede wszystkim zaś chciałam, żeby nauczycielka mnie lubiła i żeby lubiły mnie szkolne koleżanki. W domu byłam ulubienicą ojca, bracia i siostra też mnie kochali. Problem stanowiła tylko moja matka, z nią nigdy mi się nie układało. Już w wieku sześciu lat czułam, że mnie nie potrzebuje i że stara mi się na każdym kroku to okazać. Nie lubiła mnie i ja też jej nie lubiłam. Odstępowało mnie jej ciało, z czego prawdopodobnie zdawała sobie sprawę. Miała obfite kształty, białą skórę i niebieskie źrenice. Prawe oko zezowało trochę i nigdy nie wiedziałam, w którą stronę patrzy. Także prawa noga nie była w pełni sprawna, matka nazywała ją nogą urażoną. Utykała i ten jej nierówny krok napełniał mnie niepokojem, szczególnie nocą, gdy nie mogła spać i chodziła po korytarzu, do kuchni i z powrotem. Słyszałam czasem, jak rozgniatała obcasem karaluchy wchodzące do mieszkania przez szparę pod drzwiami, i wyobrażałam ją sobie z oczami rozszerzonymi ze złości, jak wtedy, kiedy krzyczała na mnie.

Z całą pewnością nie czuła się szczęśliwa. Praca w domu była ponad jej siły i zawsze brakowało pieniędzy. Często złościła się na ojca, woźnego w magistracie, krzyczała, że musi coś zrobić, bo tak dalej być nie może. Kłócili się, ale mój ojciec nigdy nie podnosił głosu, nawet gdy tracił cierpliwość, tak więc ja zawsze byłam po jego stronie, także wtedy, gdy zdarzało mu się ją uderzyć i budził we mnie strach. To on, a nie matka, powiedział mi pierwszego dnia lekcji:

– Bądź w szkole grzeczna i ucz się pilnie. Pamiętaj, jeżeli nie będziesz się dobrze uczyć, pójdziesz do pracy, bo potrzebujemy pieniędzy.

Te słowa przeraziły mnie. Choć usłyszałam je od ojca, miałam wrażenie, jakby wyszły z ust matki albo jakby to ona mu je podpowiedziała. Obiecałam obojgu, że będę się starać, i od samego początku moje starania przynosiły pozytywne efekty.

Nauczycielka często zapraszała mnie do katedry:

– Elena, usiądź tu przy mnie.

To było wielkie wyróżnienie. Pani Oliviero ustawiała przy sobie puste krzesło, na które w nagrodę zapraszała najlepsze uczennice. W początkowym okresie siedziałam przy niej prawie stale. Nauczycielka chwaliła mnie i podziwiała moje złote loki, wzmacniając we mnie w ten sposób chęć do pracy. Dokładnie odwrotnie niż matka, która nie szczędziła mi połajanek, przez co, kiedy byłam w domu, miałam ochotę schować się w najciemniejszym kącie, żeby nie mogła mnie znaleźć. A potem przyszła do szkoły pani Cerullo i dowiedzieliśmy się, że Lila umie o wiele więcej niż cała reszta klasy. Od tego czasu nauczycielka sadzała ją przy sobie częściej niż mnie, co budziło we mnie uczucie, które trudno mi dokładnie określić... może deklasacji. Zaczęło się na pewno od lekkiej zazdrości, jak u innych dziewczynek, ale z czasem dołączył do niej lęk. Chociaż moje nogi służyły mi bez zarzutu, zaczęłam się bać, że w przyszłości okuleję. Budziłam się rano z tą myślą i od razu wstawałam z łóżka, by sprawdzić, czy mogę normalnie chodzić. Może właśnie dlatego przylgnęłam do Lili. Lila miała nogi szczupłe, zwinne i szybkie, nie przestawała nimi poruszać nawet wtedy, gdy siedziała przy pani Oliviero, co nauczycielkę denerwowało, i szybko odsyłała ją na miejsce. Przyszło mi do głowy, że jeżeli będę się zawsze trzymać blisko Lili i naśladować ją we wszystkim, także w sposobie chodzenia, nierówny rytm kroków matki zniknie z mojej głowy i nigdy nie będę utykać tak jak ona. Postanowiłam nie odstępować od tej dziewczynki, nawet jeżeli ją to zirytuje i mnie od siebie odpędzi.

8.

Bardzo możliwe, że był to mój sposób na zwalczenie w sobie uczucia zazdrości i nienawiści, na zduszenie go w zarodku. A może po prostu chciałam podporządkować się Lili, byłam nią oczarowana. Jedno jest pewne – szybko nauczyłam się akceptować przewagę Lili, i to we wszystkim. A także jej złośliwości.

Nauczycielka zachowywała się nienagannie. Co prawda często teraz sadzała Lilę przy sobie, ale sprawiała wrażenie, jakby nie zamierzała jej w ten sposób nagradzać, a tylko kontrolować z bliska. Jednocześnie chwaliła Marisę Sarratore, Carmelę Peluso, a przede wszystkim mnie za postępy w nauce. Pozwalała mi błyszczeć na tle klasy, przez co starałam się być jeszcze grzeczniejsza, bardziej pilna i bystra. W okresach,

kiedy Lila uspokajała się i poddawała szkolnym rygorom, bez wysiłku przeskakiwała moje osiągnięcia. Wtedy pani Oliviero najpierw do mnie kierowała parę komplementów, a potem wychwalała wiedzę i zdolności Lili. Smak porażki był dla mnie gorzki, kiedy wyprzedzała mnie Marisa Sarratore lub Carmela Peluso, za to bez trudu akceptowałam pierwszeństwo Lili. Myślę, że w tym czasie obawiałam się jednego – że pani Oliviero przestanie mnie łączyć z Lilą, że nie powie już: Cerullo i Greco są najlepszymi uczennicami w klasie. Gdybym któregoś dnia usłyszała, że najlepsze są Cerullo i Sarratore albo Cerullo i Peluso, umarłabym na miejscu. Dlatego robiłam wszystko, co było w mojej mocy, by z drugiego miejsca – bo o pierwszym nie mogłam nawet marzyć, było dla mnie nieosiągalne – nie spaść na trzecie, czwarte albo jeszcze niżej. Uczyłam się pilnie i oddawałam innym, trudnym i obcym dla mnie zajęciom tylko po to, by dotrzymać kroku tej niesfornej i fascynującej dziewczynce.

Fascynującej tylko dla mnie. Inni uważali ją jedynie za krnąbrną i złośliwą. Od pierwszej do piątej klasy szkoły podstawowej, z winy dyrektora oraz – częściowo – pani Oliviero, Lila była najbardziej nielubianą dziewczynką w szkole i na naszym osiedlu.

Przynajmniej dwa razy w roku dyrektor organizował w szkole turnieje wiedzy, by wyłonić najzdolniejszych uczniów i najlepszych nauczycieli. Pani Oliviero podchodziła z wielkim entuzjazmem do tego współzawodnictwa. Była stale skłócona z resztą ciała pedagogicznego, czasem niewiele brakowało, żeby dochodziło do rękoczynów. Wobec tej konfliktowej sytuacji wykorzystywała Lilę i mnie, żeby pokazać wszystkim, że jest świetną nauczycielką, najlepszą nauczycielką szkoły podstawowej w całej dzielnicy. Dlatego bardzo często zabierała nas do innych klas, także bez wyraźnego polecenia, a nawet bez wiedzy dyrektora, by porównać naszą wiedzę z wiedzą innych dzieci, dziewczynek i chłopców. Mnie zwykle posyłała jako pierwszą, niejako na zwiad, by zbadać poziom przeciwnika. Wygrywałam, ale bez przesady, moje zwycięstwo nie mogło upokorzyć innych nauczycieli i ich uczniów. Miałam wtedy złote loki i miłą buzię, byłam szczęśliwa, kiedy mogłam się popisać, ale nie byłam bezczelna, budziłam sympatię. Kiedy więc okazywało się, że znam na pamięć kilka wierszy i tabliczkę mnożenia, że umiem dzielić i odejmować, wiem, że istnieją Alpy Nadmorskie, Kotyjskie, Graickie i Pennińskie, nauczyciele głaskali mnie po głowie, a uczniowie czuli, że wykucie tego wszystkiego kosztowało mnie sporo wysiłku, więc nie okazywali mi niechęci.

Z Lilą było inaczej. Już w pierwszym roku nauki nikt nie mógł z nią rywalizować. Nauczycielka mówiła, że gdyby trochę popracowała, mogłaby zdać egzamin i przejść od razu do trzeciej klasy, zanim skończy siedem lat. Później różnica między nią

a innymi dziećmi wciąż rosła. Lila rozwiązywała w pamięci trudne zadania, dyktanda pisała bez błędów i choć na co dzień mówiła gwarą jak my wszyscy, w razie potrzeby potrafiła się posługiwać literacką włoszczyzną, używając takich słów jak: *przywykły*, *obfity* czy *owszem*. Tak więc, kiedy pani Oliviero posyłała ją na pole bitwy i kazała popisywać się odmianą czasowników regularnych i nieregularnych we wszystkich czasach i stronach albo błyskawicznym rozwiązywaniem zadań z algebry, dusze rywali opanowywała czarna zazdrość i niechęć do tej dziewczynki, która pozostawała dla każdego poza konkurencją. Na nic turnieje i konkursy, nauczyciele też musieli pogodzić się z faktem, że przy Lili wszyscy inni uczniowie są przeciętni, pozbawieni szczególnych talentów, że nikt jej nie dorówna. Jej błyskotliwość była przy naszych osiągnięciach jak przenikliwy świst, błysk płomienia, śmiertelne ukłucie. W jej wyglądzie zewnętrznym też nie było nic, co łagodziłoby negatywne uczucia, jakie budziła jej bezdyskusyjna wyższość. Smągła i chuda, była zawsze rozczochrana i niedomyta, a na kolanach i łokciach miała strupy po wciąż nowych skaleczeniach. Duże oczy zwężyły się, gdy przygotowywała odpowiedź na któreś z pytań, powieki kryły spojrzenie, które chwilami trudno byłoby określić nie tylko jako dziecinne, ale nawet jako ludzkie. Co gorsza Lili nie zależało na sympatii innych, nie robiła nic, żeby dać się lubić. Każdym swoim ruchem ostrzegała tych, którym mogłoby przyjść do głowy, żeby wyrzucić jej krzywdę, że ona jest zawsze gotowa dokuczyć jeszcze bardziej.

Otaczała ją aura nienawiści, zdawałam sobie z tego sprawę. Nienawidzili jej zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, ale chłopcy mniej się kryli z tym uczuciem. Z jakiegoś nieznanego mi powodu pani Oliviero posyłała nas częściej do klas męskich – upokarzanie tych uczniów i ich nauczycieli sprawiało jej widocznie szczególną satysfakcję. Dyrektor, z równie tajemniczych przyczyn, popierał to. Później przychodziło mi czasem do głowy, że może w szkole szły zakłady, i to wysokie, o wyniki tych naszych rywalizacji, ale chyba przesadzałam. Prawdopodobnie był to tylko sposób na wyrównanie jakichś starych porachunków albo na rozruszanie słabszych lub nie dość uległych pedagogów. Faktem jest, że pewnego ranka, w drugim roku naszej szkolnej kariery, zabrano nas do, ni mniej ni więcej, tylko czwartej klasy, prowadzonej przez pana Ferrara, tej, do której uczęszczał Enzo Scanno, nieznośny syn sprzedawców owoców, i Nino Sarratore, brat Marisy, obiekt mojej miłości.

Enza znali wszyscy. Powtarzał rok, poza tym co najmniej dwa razy przeszedł całą szkołę z kartonem zawieszonym na szyi, na którym pan Ferraro – wysoki i chudy, z siwymi włosami obciętymi na jeża, z drobną, poorlyaną bruzdami twarzą

i wystraszonymi oczami – napisał dużymi literami: OSIOŁ. Nino był natomiast tak cichy, spokojny i bezproblemowy, że znali go nieliczni, a najlepiej ja.

Rzecz jasna Enzo był dla nas absolutnym zerem, przynajmniej jeżeli chodzi o wiedzę szkolną. Zwróciłyśmy na niego uwagę tylko dlatego, że był agresywny. Miałyśmy konkurować z: Ninem oraz – co odkryłyśmy dopiero w ostatniej chwili – Alfonsem Carracciem, trzecim synem don Achillego, zadbany siedmiolatkiem, który wyglądał na jeszcze młodszego. Podobnie jak my, uczył się dopiero w drugiej klasie, ale pan Ferraro zaprosił go w tym dniu do swojego czwartego oddziału, bo prawdopodobnie polegał na nim bardziej niż na dwa lata starszym Ninie.

Z początku pani Oliviero i pan Ferraro posprzeczczeni się o tę niezapowiedzianą obecność małego Alfonsa, ale szybko przystąpiliśmy do zawodów w obecności dzieci z dwóch klas zebranych w jednej sali. Zapytano nas o czasowniki i tabliczkę mnożenia, musieliśmy wykonać cztery działania arytmetyczne, najpierw na tablicy, później w pamięci. Z tego turnieju pozostały mi w pamięci trzy rzeczy. Pierwsza to ta, że mały Alfonso Carracci, spokojny i dokładny, od razu mnie pokonał, ale miał tę zaletę, że nie dał mi odczuć swojej wyższości. Druga: Nino Sarratore, ku mojemu zdziwieniu, nie odpowiedział prawie na żadne pytanie, siedział oszołomiony, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. A trzecia to ta, że Lila rywalizowała z synem don Achillego niechętnie, jakby jej nie zależało na wygranej. Ożywiała się tylko wtedy, gdy mieli wykonać obliczenia w pamięci – dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie. Alfonso, pomimo inercji Lili, która chwilami nawet nie reagowała na pytania nauczycieli, jakby do niej nie docierały, zaczął zostawać w tyle, najwięcej pomyłek popełniał w mnożeniu i dzieleniu. Ale co ciekawe, kiedy młody Carracci się mylił, Lila też potykała się na najprostszych rachunkach, tak więc ciągle jeszcze pojedynek był wyrównany. W pewnym momencie zdarzyło się coś niespodziewanego. Dwa razy z rzędu, gdy Lila nie odpowiadała albo Alfonso się mylił, Enzo Scanno z ostatniego rzędu podawał pogardliwym tonem właściwy wynik.

To zaskoczyło wszystkich – dzieci, nauczycieli, dyrektora, mnie i Lilę. Jak to możliwe, że Enzo, ten leniwy chuligan, potrafi lepiej liczyć w pamięci niż ja, Alfonso Carracci i Nino Sarratore? Nagle Lila przebudziła się z odrętwienia. Szybko wyeliminowała z gry Alfonsa i na polecenie uśmiechniętego z dumy nauczyciela, rozpoczęła pojedynek z Enzem.

Długo szli łeb w łeb. W pewnej chwili dyrektor, nie pytając o zgodę pana Ferrary, przywołał syna Assunty do tablicy. Enzo wstał z nerwowym uśmiechem z ostatniej ławki i przy akompaniamencie chichotów swoich koleżków, usiadł posłusznie przy katedrze, naprzeciw Lili, ponury i niezgrabny. Pojedynek toczył się dalej, konkurencją

były coraz trudniejsze rachunki wykonywane w pamięci. Chłopiec podawał rozwiązania, używając gwary, jakby był na ulicy, a nie w szkole, nauczyciel poprawiał jego język, ale wyniki były prawie zawsze bezbłędne. Było widać, że Enzo jest bardzo dumny z siebie i trochę zdziwiony swoim powodzeniem. Po jakimś czasie zaczął jednak zostawać w tyle, bo Lila, już całkiem rozbudzona, patrząc na niego zwięzonymi oczami, dawała zdecydowanym głosem same poprawne odpowiedzi. W końcu Enzo przegrał. Przegrał, ale nie pogodził się z przegraną. Zaczął przeklinać, wykrzykiwał wulgarne słowa. Nauczyciel kazał mu pójść za tablicę i uklęknąć na grochu, ale Enzo nie posłuchał. Oberwał linijką po kłykciach, a potem pan Ferraro pociągnął go za ucho na miejsce kary. W ten sposób skończyła się ta próba sił.

Od tego dnia chłopcy z bandy Enza zaczęli nas obrzucać kamieniami.

9.

Turniej w klasie Enza był ważnym momentem w długiej historii naszej przyjaźni. Jego uczestnicy zostali sprowokowani do zachowań zrazu trudnych do zinterpretowania. Lila pokazała na przykład, że potrafi się kontrolować, umie wykorzystywać, jeśli jej na tym zależy, swoje umiejętności stopniowo, w małych dawkach. Tak zrobiła w pojedynku z synem don Achillego. Nie chciała go pokonać, a jednocześnie dozowała odpowiedzi w taki sposób, by nie przegrać rywalizacji. Nie byliśmy jeszcze wtedy przyjaciółkami, więc nie mogłam zapytać o powód takiego zachowania, ale nietrudno go odgadnąć. Podobnie jak mnie, jej też zabroniono zadzierać z don Achillem i całą jego rodziną.

Tak się rzeczy miały. Nie znałyśmy pochodzenia uczucia, jakie żywili nasi rodzice do rodziny Carraccich – tej mieszaniny strachu, zawiści, nienawiści i uległości – ale jego istnieniu nie dało się zaprzeczyć. To uczucie było realne, istniało tak samo jak nasze ulice i stojące przy nich domy o odrapanych, szarych tynkach, jak stęchły zapach na klatkach schodowych i kurz na chodnikach. Tym samym prawdopodobnie tłumaczyło się milczenie Nina Sarratorego. Ten śliczny, szczupły i wrażliwy chłopak z porządnie uczesaną czupryną i długimi rzęsami wyjąkał tylko parę słów, po czym zamilkł na dobre. Specjalnie nie dawał poprawnych odpowiedzi, żeby pozwolić błyszczeć Alfonsowi. Chciałam się w nim dalej kochać, wołałam więc tak właśnie o nim myśleć,

ale w głębi serca osaczyły mnie wątpliwości. Czy to był naprawdę jego wybór, tak samo jak Lili? Nie miałam co do tego całkowitej pewności. Ja odstąpiłam od walki, bo Alfonso był naprawdę lepszy ode mnie. Lila mogła wygrać z nim od razu, ale wolała zremisować. A Nino? Było coś, co wprawiło mnie w rozterkę, a nawet sprawiło przykrość. To nie była niewiedza tego chłopca ani nawet rezygnacja z walki, tylko – dzisiaj powiedziałabym – jego uległość. To jąkanie, bladość, fioletowy cień pod oczami... Był śliczny, rozczulająco delikatny, i chyba właśnie ta jego rozczulająca delikatność mnie zirytowała.

Także Lila w pewnej chwili wydała mi się piękna. Z nas dwóch tylko mnie uważano za ładną. Lila była chuda jak sardynka, pachniała dzikością, miała wydłużoną, wąską w skroniach twarz obramowaną czarnymi, błyszczącymi włosami. Kiedy jednak zdecydowała się pokonać i Alfonsa, i Enza, oblicze jej się rozjaśniło jak u świętej wojowniczkii, policzki zaróżowiły się od żaru pochodzącego gdzieś z głębi ciała i wtedy po raz pierwszy w życiu pomyślałam, że Lila jest ładniejsza ode mnie. Byłam więc druga we wszystkim. Miałam nadzieję, że nikt tego nigdy nie zauważy.

Najważniejszym doświadczeniem tego poranka stało się odkrycie, że zdanie, do jakiego często się uciekałyśmy, by uniknąć kary, miało moc, o którą go nie podejrzewałyśmy, i skutki jego użycia mogły się łatwo wymknąć spod kontroli. To zdanie brzmiało: *nie zrobiłam tego specjalnie*. Na przykład Enzo – przypadkiem znalazł się w środku szkolnej rywalizacji i wygrał z Alfonsem, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Lila wprawdzie zwyciężyła Alfonsa z własnej woli, ale z początku zaplanowała sobie coś innego, *nie zrobiła tego specjalnie*. Konsekwencje tych niezamierzonych wypadków przekonały nas, że należy zawsze robić wszystko specjalnie, bo tylko wtedy wiadomo, czego się można potem spodziewać. Żaden z bohaterów tamtych zdarzeń nie był przygotowany na to, co spotkało nas w ich następstwie. Nikt niczego nie zrobił specjalnie, tak więc potężna fala bolesnych doświadczeń, jaka w nas potem uderzyła, zastała nas nieprzygotowanych i bezbronnych.

Alfonso wrócił do domu zalany łzami z powodu przegranej. Czternastoletni brat Alfonsa, Stefano, praktykant w sklepie z wędlinami, w którym kiedyś mieścił się warsztat stolarski pana Pelusa, a którego właścicielem był don Achille, choć nigdy jego noga w nim nie powstała, przyszedł następnego dnia pod szkołę i obrzucił Lilę wyzwiskami, a nawet jej groził. Lila nie wytrzymała i poczęstowała go obraźliwym epitetem, on popchnął ją na ścianę i próbował złapać za język, krzycząc, że zaraz jej go przedziurawi igłą. Lila po powrocie do domu opowiedziała o tym bratu. Rino z każdym

słowem siostry stawał się coraz bardziej czerwony na twarzy, a oczy błyszczały mu groźnie. Tymczasem Enzo, kiedy wracał wieczorem do domu bez swojej bandy chłopaków z przedmieścia, natknął się na Stefana, który obił go i skopał w ciemnym zaułku. Następnego ranka Rino spotkał Stefana i wdał się z nim w ostrą bójkę, z której wyszli mniej więcej podobnie poszkodowani. Parę dni później do drzwi mieszkania rodziny Cerullo zapukała żona don Achillego, Maria, i kiedy Nunzia otworzyła, obsypała ją wyzwiskami i obelgami. Minęło trochę czasu, aż pewnej niedzieli po mszy Fernando Cerullo, z zawodu szewc, ojciec Lili i Rina, mężczyzna malutki i chudziutki, podszedł nieśmiało do don Achillego i przeprosił go, nie wspominając nawet słowem, za co przeprasza. Nie widziałam tej sceny, a przynajmniej jej nie pamiętam, ale ludzie mówili, że Fernando dokonał tych przeprosin głośno, tak, żeby wszyscy słyszeli, chociaż don Achille przeszedł obok niego obojętnie, jakby szewc nie do niego się zwracał. Krótco potem skaleczyłyśmy Enza w łydkę, a Enzo uderzył Lilę kamieniem w głowę. Podczas gdy ja krzyczałam ze strachu, a Lila podnosiła się z ziemi z twarzą zalaną krwią z rany we włosach, Enzo zszedł z nasypu z zakrwawioną nogą i widząc Lilę w tym stanie, ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, wybuchnął płaczem. Wkrótce potem Rino, ukochany brat Lili, przyszedł pod szkołę i obił Enza, który prawie się nie bronił. Zresztą Rino był starszy, większy i bardziej zdeterminowany. Co najdziwniejsze, Enzo nie powiedział o tym nikomu – ani chłopakom ze swojej bandy, ani matce i ojcu, ani braciom, ani kuzynom, którzy uprawiali ziemię i sprzedawali owoce i warzywa z wózków. W ten sposób, dzięki Enzowi przerwał się łańcuch wendety.

10.

Lila obnosiła się przez jakiś czas ze swoim bandażem na głowie. Kiedy już zdjęła opatrunek, pokazywała wszystkim chętnym ciemną, zaczerwienioną na brzegach bliznę, wychodzącą spod włosów aż na czoło. W końcu zapomniała o tym, co jej się przytrafiło, i jeżeli ktoś zatrzymywał wzrok na białym zgrubieniu skóry, reagowała agresywnym gestem, który oznaczał: czego się gapisz?! – albo coś jeszcze gorszego. Mnie na ten temat nie powiedziała ani słowa, nie usłyszałam od niej podziękowania za to, że podawałam jej kamienie i wytarłam własnym fartuszkim jej twarz z krwi. Ale

od tego dnia zaczęła mnie poddawać próbom odwagi, które nie miały nic wspólnego ze szkołą.

Coraz częściej spotykałyśmy się na podwórku. Niby przypadkiem pokazywałyśmy sobie nawzajem lalki, ale ciągle jeszcze byliśmy tam osobno. Stawiałyśmy je coraz bliżej jedną przy drugiej, żeby sprawdzić, czy się polubią. Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy wymieniliśmy się nimi przy piwnicznym okienku i Lila niespodziewanie przepchnęła moją Tinę przez szparę w siatce.

Przeniknął mnie wtedy nieznośny ból. Nie było dla mnie nic droższego niż ta celuloidowa lalka. Wiedziałam, że Lila ma zły charakter, ale nigdy nie przypuszczałam, że może być zdolna do tak strasznego czynu. Dla mnie Tina była żywą istotą. Kiedy wyobraziłam sobie, że leży w ciemnej piwnicy, wśród mieszkających tam przerażających bestii, wpadłam w rozpacz. Ale przy tej okazji nauczyłam się czegoś, co później doprowadziłam do perfekcji. Powstrzymałam wybuch rozpacz, zatrzymałam ją na brzegu oczu nabrzmiątych łzami. Lila zapytała gwarą:

– Nic cię to nie obchodzi?

Nie odpowiedziałam. Cierpiałam, ale czułam, że cierpiałabym jeszcze bardziej, gdybym pokłóciła się z Lilą. Dławił mnie podwójny ból – ten realny, spowodowany utratą lalki, i ten przeczuwany, który przyniosłaby utrata Lili. Nie powiedziałam ani słowa, zareagowałam gestem, który wykonałam bez złości, jakby to była rzecz najnaturalniejsza na świecie, choć wiedziałam, że sporo nim ryzykuję. Wrzuciłam do piwnicy Nu, lalkę Lili, którą trzymałam w ramionach.

Lila spojrzała na mnie zaskoczona.

– Co ty mnie, to ja tobie – wyrecytowałam piskliwym głosem, bardzo wystraszona.

– Natychmiast przynieś moją lalkę.

– Jeżeli ty przyniesiesz moją.

Poszłyśmy razem. Przy wejściu, po lewej stronie były drzwi prowadzące do piwnic, dobrze je znałyśmy. Lewe skrzydło wisiało na jednym tylko zawiasie, z drugim spinał je łańcuch, żeby trzymały się jakoś razem. Myślę, że nie było w kamienicy dziecka, którego nie kusiłaby i nie przerażała jednocześnie myśl, że mogłoby przecisnąć się przez nie na drugą stronę. My to zrobiłyśmy. Udało nam się rozszerzyć szparę w drzwiach na tyle, żeby nasze szczupłe i giętkie ciała mogły przedostać się do piwnicy.

Zeszłyśmy w dół po pięciu kamiennych stopniach. Panowała tu wilgoć i mrok trochę tylko rozjaśniony światłem z małych okienek wybitych na poziomie ulicy. Bałam się, starałam trzymać jak najbliżej Lili, po której było widać, że jest rozzłoszczona i zdecydowana za wszelką cenę odnaleźć lalkę. Szłam po omacku. Poczułam, że pod

moimi sandałkami coś chrupie i trzeszczy, szkło, żwir, owady. Wokół widziałam jakieś ciemne kształty, obłe lub wielokątne. Od czasu do czasu błysk światła wyławiał z ciemności przedmioty, które potrafiłam rozpoznać: połamane krzesła, szkielet żyrandola, skrzynki po owocach, szafy bez drzwi, metalowe ramy. Przeraziłam się na widok czegoś, co wisiało na drewnianym stojaku i wyglądało jak smutna twarz z obwisłą skórą i wielkimi oczami ze szkła, zakończona brodą przechodzącą w podbródek w kształcie pudełka. Krzyknęłam ze strachu i wskazałam na nią ręką. Lila odwróciła się gwałtownym ruchem, widziałam jej plecy, kiedy podchodziła powoli do potwora, a potem sięgnęła do niego. Gdy się obróciła do mnie, miała wielką twarz z obwisłą skórą i szklanymi oczami bez źrenic, tam, gdzie powinny być usta, zaczynał się pudełkowaty podbródek, który u Lili kończył się aż na piersiach.

To jeden z obrazów, których nic nie usunie z mojej pamięci. Nie jestem tego pewna, ale przypuszczam, że krzyk, jaki wydałam z siebie, był naprawdę przeraźliwy, bo Lila nie przeciągała tej chwili, uspokoiła mnie zaraz zmienionym głosem, że to tylko maska, maska antygaz, jak ją nazywa jej ojciec. Mają taką samą w domu, w komórce. Nie przestawałam drżeć i jęczeć ze strachu, co przekonało ją, żeby zdjąć maskę z twarzy i wrzucić w jakiś ciemny kąt. Narobiła przy tym sporo hałasu i podniosła kurz, którego gęste kłęby unosiły się w smugach światła dochodzącego z okienek.

Uspokoiliłam się. Lila rozejrzała się wokół siebie, znalazła otwór, przez który wrzuciłyśmy do piwnicy Tinę i Nu. Trzymałyśmy się chropowatej ściany i wyteżaliśmy wzrok, starając się przeniknąć nim ciemności. Lalek nie było. Lila powtarzała: nie ma ich, nie ma, nie ma – i klęcząc, przeszukiwała rękami podłogę, czego ja nie odważyłam się zrobić.

Minęło kilka długich minut. Przez moment wydawało mi się, że dostrzegam Tinę, więc z sercem ściśniętym ze strachu schyliłam się i sięgnęłam po nią, ale okazało się, że to tylko pognieciona gazeta. Nie ma ich – powtórzyła Lila i skierowała się do wyjścia. Nie wiedziałam, co robić – nie mogłam zostać sama w piwnicy i dalej szukać Tiny, ale czułam, że nie jestem w stanie zostawić jej w podziemiu i wyjść z Lilą.

Ona była już na szczycie kamiennych schodków, kiedy powiedziała:

– Na pewno zabrał ją don Achille i włożył do swojej czarnej torby.

I w tej samej chwili usłyszałam go, usłyszałam don Achillego, jak ociera się o nierozpoznawalne przedmioty w ciemnościach. Nie wahałam się ani chwili, zostawiłam Tinę samej sobie i pobiegłam, żeby nie stracić Lili z oczu, bo ta już przeciskała się przez drzwi ledwo trzymające się na zawiasach.

Wierzyłam we wszystko, co mówiła Lila. Do dziś mam wyraźnie przed oczami masywną sylwetkę don Achillego, jak biegnie podziemnym korytarzem i wymachuje rękami, w jednej trzymając głowę Nu, a w drugiej Tiny. Bardzo cierpiałam. Dostałam gorączki, po kilku dniach wyzdrowiałam, ale wkrótce znowu zachorowałam. Zapadłam w jakiś dziwny stan charakteryzujący się głównie zaburzeniami zmysłu dotyku. Chwilami miałam wrażenie, jakby moja skóra miękła, wręcz rozpuszczała się, gdy jej dotykałam, albo jakby puchło to, co znajdowało się pod nią. Czułam pod palcami, że mam policzki jak baloniki, dłonie jak worki z trocinami, płatki uszu jak nadgniłe truskawki, stopy jak chałki.

Kiedy już mogłam wychodzić z domu i wróciłam do szkoły, miałam wrażenie, że w otaczającej mnie przestrzeni też zaszły zmiany. Zdawało mi się, jakbym została uwięziona między dwoma gigantycznymi pęcherzami zagęszczonego powietrza. Z jednej strony piwniczna stęchlizna, wilgotne wyziewy podziemnych jam rozpychały się między fundamentami domów, napierały z ciemnych dziur takich jak ta, do której spadły lalki. Z góry pęcherz ciężkiego powietrza parł w dół z poziomu czwartego piętra, na którym mieszkał don Achille, ten, który ukradł nam lalki. Było mi ciasno i duszno, miałam stale mdłości i gorzki smak w ustach, czułam się bezsilna pod nieznośnym ciężarem powietrza, które stawało się coraz gęstsze.

To złe samopoczucie długo nie ustępowało, myślę, że cierpiałam z jego powodu, z różnym natężeniem, aż do początku wieku dojrzewania.

W tym czasie po raz pierwszy w życiu wyznano mi miłość.

Było to jeszcze zanim odważyłyśmy się, Lila i ja, dojść do drzwi mieszkania don Achillego. Żal po utracie Tiny był wciąż trudny do zniesienia. Tego dnia wyszłam do sklepu po chleb. Zrobiłam to niechętnie, na polecenie matki. Wracałam już do domu z resztą pieniędzy w zaciśniętej garści, żeby przypadkiem ich nie zgubić, i z ciepłym jeszcze bochenkiem przyciśniętym do piersi, kiedy spostrzegłam, że idzie za mną Nino Sarratore. Trzymał za rękę młodszego brata, Pina, który miał wówczas zaledwie pięć lat. Ich matka, Lidia, powierzała go latem opiece Nina, musiał go zabierać wszędzie z sobą i nie wolno mu było ani na chwilę spuszczać z niego wzroku. Przed zakrętem, niedaleko sklepu Carraccich, Nino przyspieszył, jak gdyby chciał mnie wyprzedzić i minąć, ale zamiast tego przeciął mi drogę, popchnął na mur i oparł na nim rękę, żeby mi przeszkodzić w ucieczce. Drugą ręką przyciągnął do siebie braciszka, milczącego

świadka tej sceny. Ciężko dysząc, powiedział coś, czego nie zrozumiałam. Był blady, na przemian to uśmiechał się, to poważniał. W końcu powiedział językiem, jakiego nauczył się w szkole, bez gwarowych naleciałości:

– Kiedy będziemy dorośli, chciałbym się z tobą ożenić.

A potem zapytał, czy tymczasem chciałabym z nim chodzić. Był trochę wyższy ode mnie, bardzo szczupły, miał długą szyję i lekko odstające uszy, do tego gęste, trudne do opanowania włosy i wyraziste oczy z długimi rzęsami. Widać było, że pokonanie własnej nieśmiałości sporo go kosztowało, i chyba mnie to wzruszyło, ale chociaż wtedy o niczym nie marzyłam bardziej niż o tym, żeby wyjść za niego za mąż, bez wahania odpowiedziałam:

– Nie, nie mogę.

Ze zdziwienia aż otworzył usta. Pino szarpnął go za rękę, a ja uciekłam.

Od tej chwili zaczęłam go unikać. A przecież uważałam, że jest śliczny! Jakże często przedtem nie odstępowałam po lekcjach jego siostry Marisy, żeby tylko móc się do niego zbliżyć, razem wrócić ze szkoły. Ale widocznie wyznał mi swoje uczucie w nieodpowiednim momencie. Nie mógł wiedzieć, jak bardzo czułam się wtedy zagubiona, jak cierpiałam z powodu utraty Tiny, ile mnie kosztowało dotrzymywanie kroku Lili, jak duszno mi było w ograniczonej przestrzeni podwórka, między domami naszego osiedla.

Po tej rozmowie Nino przez jakiś czas posyłał w moim kierunku z daleka przeciągłe, wystraszone spojrzenia, po czym on też zaczął mnie unikać. Z początku obawiał się pewnie, że powiem koleżankom, a przede wszystkim Marisie o jego wyznaniu. Wszyscy wiedzieli, że tak właśnie zachowała się Gigliola Spagnuolo, córka cukiernika, po tym, jak Enzo zaproponował jej, żeby się zaręczyli. Enzo dowiedział się o tym i strasznie się rozzłościł, pod szkołą krzyczał na nią, że jest kłamczuchą, pogroził jej nawet nożem. Mnie też kusiło, żeby komuś o tym opowiedzieć, ale nie zrobiłam tego, nie zwierzyłam się nawet Lili, kiedy już się zaprzyjaźniłyśmy. Zresztą z czasem sama o tym zapomniałam.

Przypomniął mi się ten incydent, gdy jakiś czas później cała rodzina Sarratore wyprowadziła się z naszego osiedla.

Pewnego ranka na podwórku pojawił się wóz zaprzężony w starego konia. Należał do męża Assunty, Nicoli, który dzięki niemu mógł zarabiać na życie, sprzedając owoce i warzywa na ulicach naszego osiedla. Nicola miał piękną szeroką twarz oraz jasne włosy i niebieskie oczy, które odziedziczył po nim Enzo. Poza obwoźnym handlem najmował się do przeprowadzek. I to właśnie on tamtego ranka, wraz z Donatem Sarratorem, Lidią i samym Ninem znosił z ich mieszkania materace, meble i

najróżniejsze sprzęty i ładował je na wóz.

Z okien wokół podwórka wyglądały zaciekawione kobiety, łącznie z moją matką i ze mną. Niektóre przypuszczały, że Donato dostał mieszkanie od kolei państwowych w pobliżu nowego placu o nazwie piazza Nazionale. Moja matka natomiast twierdziła, że to żona Donata doprowadziła do przeprowadzki, by uciec od natręctwa Meliny, która chce jej ukraść męża. To było możliwe. Moja matka posiadała zdolność widzenia zła tam, gdzie nikt by się go nie spodziewał, a gdzie, ku memu niezadowoleniu, po jakimś czasie okazywało się, że rzeczywiście istnieje. Pewnie tym swoim zezującym okiem widziała lepiej niż ktokolwiek ukryte życie dzielnicy. Jak zareaguje Melina? Czy to prawda, jak się szeptało w sąsiedztwie, że miała dziecko z Donatem Sarratorem i zamordowała je zaraz po urodzeniu? Czy rzeczywiście zdarzało jej się wrzeszczeć na cały głos o różnych paskudnych sprawach, między innymi także o tym?

Wszystkie, starsze i młodsze, wyglądałyśmy z okien. Niektóre po to, by pożegnać machaniem ręki rodzinę opuszczającą naszą ulicę, inne może w oczekiwaniu na przedstawienie, na wybuch złości brzydkiej, chudej wdowy. Zauważyłam, że Lila z matką też stały w oknie.

Staralam się ściągnąć na siebie spojrzenie Nina, ale on był zajęty. W jednej chwili ogarnęła mnie słabość, jak zwykle bez wyraźnej przyczyny. Pomyślałam, że może zdobył się na to wyznanie, bo zdawał sobie sprawę, że wkrótce się wyprowadzi, i chciał, żebym wiedziała, co do mnie czuje. Przyglądałam mu się, podczas gdy znosił do wozu skrzynie pełne różnych przedmiotów, i poczułam się winna. Było mi przykro, że mu odmówiłam, a teraz on uciekał od nas jak skrzywdzony ptaszek.

Wreszcie załadunek mebli i sprzętów domowych dobiegł końca. Nicola i Donato przywiązywali wszystko sznurami do wozu. Pojawiła się Lidia, wystrojona jak na niedzielę, założyła nawet słomiany granatowy kapelusik. Pchała przed sobą wózek z najmłodszym synkiem, po bokach szły córki, sześciolatka Clelia i Marisa, moja rówieśnica, która miała wtedy osiem lub dziewięć lat. W tej samej chwili z drugiego piętra dobiegł hałas tłuczonych naczyń i krzyk Meliny. Był to rozdzierający krzyk udęrczonej istoty. Zobaczyłam, że Lila zasłania sobie uszy rękami. Chwilę potem usłyszałyśmy przerażony głos Ady, drugiej z kolei córki Meliny, która wołała: „Nie, mammo! Nie!”. Ja też zakryłam uszy, ale tymczasem z okna zaczęły lecieć różne przedmioty, co mnie zaciekało, opuściłam więc ręce, jakby dźwięki mogły mi pomóc zrozumieć, co się dzieje. Melina nie artykułowała słów, tylko jęczała jakby z bólu: „Ajaj! ajaj!”.

Pozostawała niewidoczna dla świadków tej sceny, nie było nawet widać ręki, która wyrzucała patelnie, szklanki, butelki i talerze. Zdawało się, jakby wszystkie te

przedmioty same wyfruwały z okna na drugim piętrze. Pod nim szła Lidia szybkim krokiem, z głową schowaną w ramionach, pchając wózek. Za nią biegle córki, Donato wdrapywał się na załadowany wóz, a don Nicola przytrzymał konia za uprzęż. Na asfalcie rozbijały się wciąż nowe przedmioty, ich kawałki upadały między nogi wystraszonego zwierzęcia. Spojrzałam na Lilę. Jej twarz wyrażała teraz oszołomienie. Zauważyła pewnie, że jej się przyglądam, bo cofnęła się w głąb mieszkania. Tymczasem wóz ruszył z miejsca. Lidia szła pod samym murem z czwórką młodszych dzieci, nie żegnając się z nikim, podczas gdy Nino stał w miejscu jak zahipnotyzowany aktem zniszczenia. Jako ostatni z okna wyleciał jakiś czarny przedmiot. To było żelazko, całe z litego żelaza, z metalową rączką i ciężką płytą. Kiedy jeszcze miałam Tinę i bawiłam się czasem w domu w burzę na morzu, używałam do zabawy żelazka matki, identycznego jak to, bo miało kształt statku. Ciężki kawał żelaza uderzył w ziemię z głuchym odgłosem, tworząc sporą dziurę w odległości kilku centymetrów od Nina. Mało, naprawdę bardzo mało brakowało, żeby go zabił.

12.

Nikt dotąd nie wyznał Lili miłości, ale nigdy od niej nie usłyszałam, żeby cierpiała z tego powodu. Gigliola Spagnuolo bez przerwy otrzymywała propozycje zaręczyn, zresztą ja też nie mogłam narzekać na brak powodzenia. Natomiast Lila nie podobała się chłopcom, przede wszystkim dlatego, że była chuda, chodziła brudna i miała wiecznie pokaleczone nogi i ręce. Na pewno przeszkadzał im także jej ostry język i fakt, że każdemu nadawała jakieś złośliwe przezwisko, i choć przy nauczycielce popisywała się literackimi słowami, których reszta klasy nie rozumiała, zwykle mówiła gwarą, nie stroniąc od przekleństw. Wszystko to dusiło w zarodku wszelkie miłosne uczucia. Jedynie Enzo zrobił kiedyś coś, co było może dalekie od propozycji zaręczyn, ale wyrażało jego podziw dla Lili. Pewnego dnia, długo po tym, jak rozbił jej głowę kamieniem i – jak mi się wydaje – zanim jeszcze odrzuciła go Gigliola Spagnuolo, dogonił nas na ulicy i w mojej obecności wręczył Lili koronę zaplecioną z gałęzi jarzębu obsypanych owocami. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– Co mam z tym zrobić? – zapytała Lila.

– Zjedz.

- Takie kwaśne?
- Poczekaj, aż dojrzeją.
- Nie chcę tego.
- To wyrzuc.

I tyle. Enzo odwrócił się plecami i pobiegnął do pracy. A my wybuchnęliśmy śmiechem. Mało z sobą rozmawialiśmy, ale często śmiałyśmy się razem.

Powiedziałam rozbawionym głosem:

- A ja lubię te owoce.

Kłamałam. Nigdy za nimi nie przepadałam, ale podobał mi się ich żółtoczerwony kolor, gdy były jeszcze cierpkie i gdy złociły je promienie słońca. Kiedy jednak, zerwane z drzew, dojrzewały na balkonach, brązowiały i miękły, przypominały przejrzyste dzikie gruszki; ich skórka łatwo oddzielała się od miąższu, ukazując ziarnistą pulpę; lekko nadgniła, choć o przyjemnym smaku, mnie kojarzyła się ze zdechłymi szczurami, które leżały czasem na brzegu ulic, więc brzydziłam się nimi i nawet ich nie dotykałam. Powiedziałam, że je lubię, bo miałam nadzieję, że zaproponuje: no to weź je sobie. Gdybym dostała od niej coś, co podarował jej Enzo, sprawiłoby mi to większą przyjemność niż gdyby dała mi coś swojego. Ale nie zrobiła tego, a ja jeszcze dzisiaj pamiętam, że poczułam się zdradzona, patrząc za nią, jak się oddala z koroną z jarzębu. Widziałam potem, jak wbiła gwóźdź w ramę okna i zawiesiła ją na nim.

13.

Lila już nigdy więcej nie dostała od Enza prezentu. Po kłótni z Gigliolą, która rozpowiedziała dokoła o propozycji, jaką jej zrobił, rzadko go widywałyśmy. Chociaż miał niezwykle zdolności matematyczne, był leniwy i krnąbrny, więc nauczyciel nie zaproponował mu, żeby przystąpił do egzaminu wstępnego do gimnazjum, a on wcale się tym nie zmartwił, wręcz przeciwnie, był zadowolony. Zapisał się do szkoły przysposobienia zawodowego, ale w rzeczywistości już pracował z rodzicami. Budził się przed świtem i jeździł z ojcem na targ po owoce i warzywa, które potem sprzedawali z wozu na ulicach naszego osiedla, więc wkrótce rzucił szkołę.

Tymczasem nam powiedziano, że jesteśmy zdolne i powinniśmy kontynuować

naukę. Brakowało kilku tygodni do zakończenia piątej klasy szkoły powszechnej, gdy pani Oliviero wezwała do szkoły rodziców, najpierw moich, potem Giglioli i Lili, żeby ich przekonać, że powinniśmy nie tylko zdać egzamin kończący szkołę powszechną, ale także przystąpić do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, żeby ojciec na rozmowę z nauczycielką nie posłał matki z tą jej kulawą nogą i zezującym okiem i do tego jeszcze z tym jej nieprzyjemnym usposobieniem, ale to mi się nie udało. Matka poszła do szkoły, porozmawiała z nauczycielką i do domu wróciła z ponurą miną.

– Nauczycielka chce, żeby jej płacić. Mówi, że dziewczynki muszą chodzić na dodatkowe lekcje, bo egzamin jest bardzo trudny.

– Do czego jest jej potrzebny ten egzamin? – zapytał ojciec.

– Żeby się mogła uczyć łaciny.

– A po co?

– Bo Oliviero powiedziała, że jest zdolna.

– Jeżeli jest zdolna, to po co nauczycielka ma jej dawać płatne lekcje?

– Po to, żeby jej było lepiej, a nam gorzej.

Długo dyskutowali. Z początku matka była przeciwna, a ojciec niezdecydowany; po jakimś czasie ojciec coraz bardziej skłaniał się ku propozycji pani Oliviero, a matka już nie protestowała tak stanowczo. W końcu zdecydowali, że mogą przystąpić do egzaminu, ale pod warunkiem, że będę się bardzo pilnie uczyć, w przeciwnym razie od razu zabiorą mnie ze szkoły.

Tymczasem rodzice Lili nie zgodzili się. Nunzia Cerullo próbowała z początku, bez większego przekonania, wysuwać argumenty za dalszym kształceniem córki, ale ojciec nie chciał nawet rozmawiać na ten temat i wymierzył Rinowi policzek, kiedy ten odważył się powiedzieć, że popełnia błąd. Rodzice Lili nie zamierzali przychodzić na rozmowę z nauczycielką, ta jednak poprosiła dyrektora szkoły, by wezwał ich osobiście, więc Nunzia nie miała wyboru. Usłyszawszy wyrażoną pokornym głosem, ale stanowczą odmowę wystraszonej kobiety, pani Oliviero, surowa, lecz spokojna, pokazała jej piękne wypracowania Lili, jej bezbłędne klasówki z matematyki, a nawet kolorowe rysunki, którymi zachwycaliśmy się w klasie. Gdy Lila była w dobrym nastroju, szkicowała podebranymi komuś kredkami realistyczne portrety – kolorowe królowy z fryzurami, sukniami i biżuterią, jakich nie widziałyśmy w żadnej książce ani nawet w kinie parafialnym. To jednak nie wpłynęło na zmianę decyzji Nunzii. Pani Oliviero straciła zimną krew i zaprowadziła ją do dyrektora jak niegrzeczną uczennicę. Ale Nunzia nie mogła ustąpić, nie dostała pozwolenia od męża, w związku z czym powtarzała swoje „nie” aż do wyczerpania siebie, dyrektora i nauczycielki.

Następnego dnia w drodze do szkoły Lila powiedziała zwykłym dla siebie, stanowczym tonem, że i tak będzie zdawać egzamin. Uwierzyłam jej od razu, wszyscy wiedzieli, że nie można jej niczego zabronić, to daremne. Lila była mocna, najmocniejsza ze wszystkich dziewczynek, mocniejsza nawet od Enza, Alfonsa, Stefana i własnego brata, Rina. Mocniejsza od naszych rodziców i wszystkich dorosłych, łącznie z panią Oliviero i karabinierami, którzy mogli każdego zamknąć w więzieniu. Choć krucha z wyglądu, była mocniejsza od wszelkich zakazów. Potrafiła przekraczać granice, nie ponosząc za to konsekwencji. W końcu ludzie, choć z ciężkim sercem, zawsze jej ustępowali i w dodatku byli zmuszeni ją chwalić.

14.

Zbliżanie się do don Achillego też było zabronione, a jednak Lila postanowiła to zrobić, i ja poszłam za nią. Co więcej, właśnie przy tej okazji przekonałam się po raz kolejny, że nic nie może jej zatrzymać, a konsekwencje każdej jej niesubordynacji bywają zaskakujące, nawet zbliżone do cudu.

Chciałyśmy, żeby don Achille oddał nam lalki. Dlatego właśnie weszłyśmy po tych schodach, gotowe w każdej chwili odwrócić się i uciec na podwórko. Czuję jeszcze uścisk dłoni Lili. Wolę myśleć, że złapała mnie za rękę nie tylko dlatego, że wątpiła w moją odwagę, ale też dlatego, że sama potrzebowała wsparcia. Tak czy inaczej, jedna przy drugiej, ja od ściany, ona przy poręczy, trzymając się mocno za ręce śliskie od potu, dotarłyśmy do celu. Gdy stanęłyśmy przed drzwiami mieszkania don Achillego, serce biło mi tak silnie, że dosłownie słyszałam jego pulsowanie, ale możliwe, że na odgłos jego uderzeń nałożyło się równie przyspieszone i równie głośne bicie serca Lili. Z mieszkania dobiegały głosy, może były to głosy Alfonsa, Stefana albo Pinuccii. Lila nacisnęła na dzwonek. Po chwili ciszy usłyszałyśmy szuranie kapci. Drzwi otworzyła donna Maria ubrana w wypłowiały zielony szlafrok. Kiedy zaczęła mówić, zobaczyłam w jej ustach błyszczący złoty ząb. Była zdziwiona, ale umiarkowanie, zapytała, czy przyszłyśmy do Alfonsa. Lila odparła gwarą:

- Nie, chcemy rozmawiać z don Achillem.
- Mnie powiedzcie, o co chodzi.
- Nie, chcemy rozmawiać z don Achillem.

Kobieta zawołała w głąb mieszkania:

– Achiii!

I znowu szuranie kapci. Zbliżała się do nas krępa postać. To był don Achille. Miał potężny tułów i krótkie nogi, jego ramiona sięgały kolan, w ustach trzymał papierosa, widać było zapaloną końcówkę. Zapytał zachrypniętym głosem:

– Kto to jest?

– Córka szewca i najstarsza od tych Greco.

Don Achille stanął w świetle i w ten sposób po raz pierwszy w życiu mogliśmy go zobaczyć. Żadnych minerałów, żadnego błysku szkła, żadnych pokrzyw. Miał zwykłą twarz, może trochę bardziej pociągłą niż inni mężczyźni, których znałyśmy. Nad uszami zostało mu trochę zmierzwionych włosów, czubek głowy był łysy. Oczy błyszcząły, białka przecinały czerwone żyłki. Usta o wąskich wargach były szeroko wycięte. W tłustej brodzie miał dołek. Był brzydki, ale nie tak bardzo, jak sobie wyobrażałam.

– O co chodzi?

– O lalki – odparła krótko Lila.

– Jakie lalki?

– Nasze.

– Nie potrzebujemy tutaj waszych lalek.

– Pan je zabrał z piwnicy.

Don Achille odwrócił się i krzyknął w głąb mieszkania:

– Pinù, zabrałeś lalkę córce szewca?

– Nie!

– Alfò, ty ją wziąłeś?

Usłyszałyśmy śmiechy.

– To pan je zabrał, widziałyśmy pana – powiedziała Lila zdecydowanym głosem. Nie mam pojęcia, skąd wzięła całą tę odwagę. Nastąpiła chwila ciszy.

– Ten pan to niby ja?

– Tak. I włożył ją pan do czarnej teczki.

Słyszając te słowa, don Achille zmarszczył czoło z poirytowaniem.

Nie mogłam uwierzyć, że to się naprawdę działo, że naprawdę stoimy przed don Achillem i Lila mówi do niego w ten sposób, a on patrzy na nią zaskoczony. W głębi mieszkania widziałam Alfonsa, Stefana, Pinuccię i ich matkę, która nakrywa do stołu. Nie mogłam uwierzyć, że don Achille jest zwyczajnym człowiekiem, łysym, niewysokim i nieproporcjonalnie zbudowanym – najzwyczajniejszym. Oczekiwałam, że lada chwila się przeobrazi.

Don Achille powtórzył słowa Lili, jakby chciał lepiej zrozumieć ich sens:

– Ja zabrałem wasze lalki i włożyłem je do czarnej teczki?

Nie wyglądał, jakby był na nas zły, sprawiał raczej wrażenie zbolełego, jak gdyby otrzymał potwierdzenie przykrew wiadomości, której się spodziewał. Powiedział gwarą coś, czego nie rozumiałam. Donna Maria zawołała:

– Achiii! Kolacja na stole!

– Idę.

Don Achille sięgnął potężną dłonią do kieszeni z tyłu spodni. Ścisnęłyśmy się mocniej za ręce, pewne, że wyciągnie z niej nóż. Tymczasem wyjął portfel, otworzył go, spojrzał do środka i podał Lili pieniądze, nie pamiętam już ile.

– Kupcie sobie lalki – powiedział.

Lila złapała banknot i pociągnęła mnie w dół po schodach. Don Achille wychylił się przez poręcz i zawołał:

– Pamiętajcie, że to prezent ode mnie.

Wtedy ja, uważając, żeby nie spaść przy tym ze schodów, odparłam czystą literacką włoszczyzną:

– Życzymy smacznej kolacji i dobrej nocy.

15.

Zaraz po Wielkanocy zaczęłam chodzić z Gigliolą Spagnuolo dwa razy w tygodniu, jeśli dobrze pamiętam, do pani Oliviero, która miała nas przygotować do egzaminu. Nauczycielka mieszkała przy kościele pod wezwaniem Świętej Rodziny, okna wychodziły na skwer i dalej na pola oraz słupy wysokiego napięcia przy torach kolejowych. Gigliola wołała mnie pod oknem, na co ja, już gotowa, zbiegałam po schodach i dołączałam do niej na ulicy. Lubiłam te prywatne lekcje. Przed wyjściem nauczycielka częstowała nas zawsze oranżadą i herbatnikami w kształcie serca.

Lila nigdy nie przyszła, jej rodzice nie zgodzili się płacić nauczycielce, ale często od niej słyszałam, bo byłyśmy już wtedy prawdziwymi przyjaciółkami, że i tak zda egzamin i będziemy chodzić razem do pierwszej gimnazjalnej.

– A co z podręcznikami?

– Pożyczę od ciebie.

Tymczasem za pieniądze don Achillego kupiła książkę *Małe kobiety*. Czytała ją już kiedyś i ogromnie jej się podobała. W czwartej klasie pani Oliviero pożyczyła najlepszym uczennicom parę książek. Lila dostała *Małe kobiety* z komentarzem: to powieść dla starszych dziewcząt, ale ty możesz ją przeczytać. Mnie przypadło *Serce Amicisa*, bez słowa wyjaśnienia. Lila w krótkim czasie przeczytała obydwie i powiedziała, że nie można ich nawet porównać, *Małe kobiety* to po prostu piękna książka. Mnie nie udało się nawet do niej zajrzeć, ledwo zdołałam skończyć *Serce* w ustalonym przez nauczycielkę terminie. Zawsze, także teraz, czytałam bardzo wolno. Kiedy Lila musiała oddać *Małe kobiety* pani Oliviero, żałowała, że nie będzie mogła czytać tej książki na okrągło, a także, że nie może ze mną o niej porozmawiać. Dlatego pewnego ranka powzięła decyzję. Zawołała mnie z ulicy i poszliśmy nad stawy, gdzie zakopałyśmy metalową skrzynkę z pieniędzmi don Achillego. Zaniosłyśmy je do sklepu papierniczego i zapytałyśmy Iolandę, jego właścicielkę, czy wystarczy ich na pożółkły egzemplarz, który od dawna stał w oknie wystawowym. Wystarczyło. Kiedy tylko książka znalazła się w naszym posiadaniu, zaczęłyśmy się spotykać na podwórku, żeby ją razem czytać. Siadałyśmy jedna przy drugiej i czytałyśmy *Małe kobiety*, albo każda po cichu dla siebie, albo na głos. Czytałyśmy ją miesiącami, tyle razy, że była dosłownie w strzępach, wybrudzona, bez grzbietu, z rozprutymi zszytami. Ale wciąż jeszcze była to nasza najukochańsza książka. Ja się nią opiekowałam, przechowywałam ją w domu między podręcznikami, bo Lila bała się trzymać ją u siebie. Jej ojciec złościł się, gdy przyłapywał ją na czytaniu.

Za to Rino ją wspierał. W okresie dyskusji na temat egzaminu do gimnazjum wciąż kłócił się z ojcem. Był bardzo pobudliwy, miał wtedy mniej więcej szesnaście lat i właśnie rozpoczął batalię o zapłatę za pracę, jaką wykonywał. Rozumował w sposób następujący: wstaję rano o szóstej i zaraz potem przychodzę do warsztatu, w którym pracuję aż do ósmej wieczorem, należy mi się więc zapłata. Ale jego słowa gorszyły zarówno ojca, jak matkę. Rino miał gdzie spać, miał co jeść; po co mu pieniądze? Jego zadaniem było pomóc rodzinie, a nie odbierać jej środki do życia. Niemniej jednak chłopiec nie rezygnował, twierdził, że to niesprawiedliwe; pracuje tak samo jak ojciec i nie dostaje za to ani grosza. Fernando Cerullo odpowiadał mu z pozornym spokojem: – Ja ci płacę, Rino, płacę ci bardzo dobrze, ucząc cię zawodu. Wkrótce będziesz umiał nie tylko zelować podeszwy, obciągać obcasy skórą i dorabiać fleki. Twój ojciec przekazuje ci wszystko, co umie, i niedługo sam uszyjesz buty.

Ale Rinowi nie wystarczała taka zapłata, sprzeczali się więc ciągle, zwłaszcza przy kolacji. Zaczynali zawsze od rozmów o pieniądzach, a kończyli na kłótniach o Lilę.

– Jeżeli dasz mi wynagrodzenie za moją pracę, ja będę opłacać jej naukę.

– Naukę? A czy ja się uczyłem?

– Nie.

– Ty się uczyłeś?

– Nie.

– Więc niby dlaczego twoja siostra miałyby się uczyć?

Takie rozmowy kończyły się dla Rina prawie zawsze siarczystym policzkiem za to, że nie okazał ojcu dość szacunku. Chłopak przeproszał potem naburmuszonym głosem, ale nigdy nie płakał.

Lila nie wtrącała się do tych dyskusji. Nigdy tego od niej nie usłyszałam, ale mam wrażenie, że podczas gdy ja nienawidziłam mojej matki, nienawidziłam jej prawdziwie i głęboko, ona pomimo wszystko nie miała do ojca żalu. Mówiła, że jest dla niej miły, że kiedy musi robić rachunki w sklepie, prosi ją zawsze o pomoc, i słyszała, jak chwalił się przed kolegami, że w całej dzielnicy nie ma nikogo równie inteligentnego jak jego córka. Powiedziała mi też, że w dniu imienin przynosi jej do łóżka gorącą czekoladę i cztery herbatniki. Co mu nie przeszkadzało przeciwstawiać się jej dalszej nauce. Cóż, takie miał poglądy na życie, nie było na to rady. Zresztą edukacja Lili rzeczywiście przekraczała jego możliwości finansowe. Cała liczna rodzina, łącznie z dwiema niezamężnymi siostrami Fernanda i rodzicami Nunzii, żyła z zakładu szewskiego. Tak więc wszelkie argumenty za kontynuowaniem nauki przez Lilę odbijały się od niego jak groch od ściany, a żona podzielała jego zdanie. Tylko brat myślał inaczej i odważnie walczył z ojcem. Lila zaś, nie wiadomo czemu, była pewna, że w końcu wygra. Dostanie regularne wynagrodzenie i swoimi pieniędzmi opłaci jej naukę.

– Jeżeli każą zapłacić wpisowe, Rino zapłaci – przekonywała mnie. Była pewna, że brat znajdzie pieniądze także na podręczniki, a nawet na pióro, kredki, piórnik, mapę świata, fartuszek i wstążkę do zawiązywania pod kołnierzykiem. Uwielbiała go. Powiedziała, że kiedy skończy gimnazjum, zarobi dużo pieniędzy tylko po to, żeby brat stał się najbogatszym człowiekiem na naszym osiedlu.

W tym okresie, w piątej klasie szkoły powszechnej, pieniądze były naszą obsesją. Snułyśmy plany: kiedy staniemy się bogate, zrobimy to czy tamto... Rozmawiałyśmy o pieniądzach, jakby miały nam spaść z nieba. Gdyby nas ktoś słuchał, mógłby pomyśleć, że gdzieś w sąsiedztwie leży ukryty skarb, który czeka tylko na to, żebyśmy go znalazły. Później, nie wiem dlaczego, to się zmieniło i zaczęłyśmy łączyć pieniądze z wykształceniem. Wymyśliłyśmy sobie, że jeżeli będziemy się dużo uczyć, zaczniemy pisać książki i w ten sposób się wzbogacimy. Bogactwo kojarzyło się nam z blaskiem złotych monet zamkniętych w szkatułce. Żeby ją otworzyć, należało się uczyć i pisać

książki.

– Jedną napiszemy razem – powiedziała kiedyś Lila i te słowa napełniły mnie radością.

Być może przyszło nam to do głowy po tym, jak dowiedziałyśmy się, że autorka *Małych kobietek* zarobiła tak dużo pieniędzy na tej powieści, że obdarowała całą swoją rodzinę. Nie jestem pewna. Często o tym rozmawiałyśmy. Zaproponowałam, żebyśmy zaczęły pisać zaraz po egzaminie wstępnym do gimnazjum. Zgodziła się, ale nie wytrzymała. Podczas gdy ja miałam popołudnia zajęte dodatkowymi lekcjami z Gigliolą i panią Oliviero oraz samodzielną nauką, ona była wolna jak ptak, zabrała się więc do pracy i w końcu napisała książkę sama.

Było mi przykro, kiedy dała mi ją do przeczytania, ale udało mi się ukryć rozczarowanie i obsypałam ją komplementami. Lila zapełniła około dziesięciu kartek w kratkę, złożyła je na pół i spięła agrafką. Książka miała nawet okładkę z rysunkami wykonanymi kredkami i tytułem, który doskonale pamiętam: *Błękitna wróżka*. Pamiętam też, że była porywająca i pełna trudnych słów. Powiedziałam Lili, żeby dała ją do przeczytania nauczycielce, ale nie chciała. Nalegałam, zaproponowałam, że sama ją zaniosę. Wreszcie, choć nie całkiem przekonana, kiwnęła głową na znak zgody.

Krótko potem, podczas dodatkowych lekcji u pani Oliviero, wykorzystałam moment, kiedy Gigliola wyszła do ubikacji, i podałam nauczycielce *Błękitną wróżkę*. Powiedziałam, że Lila napisała śliczne opowiadanie i prosi, żeby pani je przeczytała. Jednak nauczycielka, która przez całe pięć lat była wielką entuzjastką wszystkiego, co robiła Lila – oprócz jej wybryków, rzecz jasna – odparła zimno:

– Powiedz twojej koleżance Cerullo, żeby zamiast tracić czas, przygotowała się porządnie do egzaminu.

Nie oddała mi powieści Lili, rzuciła ją na biurko, nie poświęcając jej nawet chwili uwagi. Jej zachowanie zbiło mnie z tropu. Co się stało? Czy była zła na matkę Lili, bo liczyła na pieniądze za dodatkowe lekcje, i teraz przeniosła swój gniew na córkę? Nie mogłam tego pojąć. Po kilku dniach zapytałam nieśmiało, czy przeczytała *Błękitną wróżkę*. Odpowiedziała mi poufałym tonem, jakby uważała, że tylko my dwie możemy się naprawdę zrozumieć.

– Czy wiesz, co to jest plebs, Greco?

– Tak. Plebs, trybuni plebejscy, Grakchowie...

– Plebs to okropna rzecz.

– Tak...

– Jeżeli ktoś chce należeć do plebsu i chce, żeby jego dzieci i wnuki też do niego

należały, na nic innego nie zasługuje. Daj sobie spokój z tą Cerullo, myśl o sobie.

Pani Oliviero nigdy nie powiedziała ani słowa na temat *Błękitnej wróżki*. Lila zapytała mnie o to parę razy, ale w końcu dała za wygraną. Któregoś dnia powiedziała z ponurą miną:

- Jak tylko będę miała czas, napiszę nową powieść. Ta nie jest dobra.
- Nieprawda! Jest piękna!
- Jest okropna.

Stała się jednak bardziej apatyczna, zwłaszcza w szkole. Pewnie zauważyła, że pani Oliviero nie obsypywała jej już pochwałami, wręcz przeciwnie, irytowała się, gdy Lila udawała, że wciąż świetnie sobie radzi ze szkolnymi zadaniami. Lila wygrała turniej wiedzy na koniec roku, ale nie okazywała już niedawnej arogancji. Jako ostatni punkt rozgrywek dyrektor szkoły dał uczestnikom pozostałym na placu boju, to znaczy Lili, Giglioli i mnie, bardzo trudne zadanie, które sam wymyślił. Gigliola i ja męczyliśmy się nad nim dłuższy czas, ale bez efektu. Lila zwięzła oczy do dwóch szparek jak zwykle, gdy bardzo się koncentrowała. Poddała się jako ostatnia.

Powiedziała niezwykłym u niej, nieśmiałym tonem, że tego zadania nie da się rozwiązać, bo w tekście jest jakaś pomyłka, ale ona nie potrafi jej znaleźć. Nastąpił istny koniec świata. Pani Oliviero strasznie jej nawymyślała. Patrzyłam na Lilę stojącą przy tablicy z kawałkiem kredy w ręce, drobniutką i bardzo bladą.

Wiedziałam, że cierpi, nie mogłam znieść drżenia jej dolnej wargi, byłam bliska łez.

– Kto nie potrafi rozwiązać zadania – rugowała ją bezlitośnie nauczycielka – nie powinien mówić, że w zadaniu jest pomyłka, musi mieć odwagę przyznać, że nie jest dostatecznie zdolny.

Dyrektor się nie odezwał. Jeżeli dobrze pamiętam, na tym skończył się ten incydent.

16.

Krótko przed egzaminem końcowym Lila namówiła mnie do zrobienia czegoś, na co sama nigdy bym się nie odważyła. Postanowiłyśmy pójść na wagary i przekroczyć granice naszej dzielnicy.

Nigdy przedtem tego nie zrobiłyśmy. Od kiedy sięgałam pamięcią, nigdy nie oddaliłam się od jasnoszarych czteropiętrowych domów, od naszego podwórka, kościoła

parafialnego i skweru. Nigdy mnie nawet nie kusilo, zeby to zrobic. Widzialam pociagi toczace sie po torach za polem, widzialam samochody i cięzarówki, które tam i z powrotem przejeżdżaly szeroką jezdnią graniczącą z naszym osiedlem, ale nie pamietam, zebym kiedykolwiek zastanawiala sie albo pytala ojca lub nauczycielkę, dokąd zdążają wszystkie te auta, cięzarówki i pociagi, do jakich miast, do jakiego swiata.

Lila tez nigdy nie okazala, ze ją to jakoś szczególnie interesuje, ale dokładnie zaplanowala naszą wyprawę. Kazala mi powiedziec matce, ze pani Oliviero zaprosila wszystkie dziewczynki z klasy po lekcjach do siebie na podwieczorek, zeby swiętować zakonczenie roku szkolnego. Przypomniałam jej, ze w dziejach szkoły nigdy sie jeszcze nie zdarzylo, zeby jakaś nauczycielka zaprosila uczennice do domu, ale ona odparła, ze właśnie dlatego rodzice nie odwazają sie pytać w szkole, czy to prawda. Zaufalam Lili jak zawsze i rzeczywiście stalo sie, jak przewidziala. U mnie wszyscy uwierzyli, nie tylko ojciec i rodzeństwo, ale także matka.

W noc poprzedzającą wyprawę nie zmruzyłam oka. Co bylo poza granicami naszej dzielnicy, poza doskonale nam znanym swiatem? Z jednej strony zamykal ją pagórek gęsto porośnięty drzewami z nielicznymi domami i błyszczącymi w słońcu torami kolejowymi. Po przeciwnej stronie, za szeroką jezdnią szlo sie dziurawą drogą do stawów. Gdy po wyjściu z bramy naszego domu patrzylo sie na prawo, wzrok gubilo sie na nagich polach pod rozległym niebem. Po lewej horyzont zamykal tunel z trzema wylotami, ale kto w słoneczny dzien wspiął sie na pagórek aż do torów kolejowych i popatrzył daleko, poza ciasno ustawione domy i mury z tufu, poza pas gęstych zarośli, mógł zobaczyc niebieską górę o dwóch wierzchołkach różnej wysokości. Wiedzialam, ze ta góra nazywa sie Wezuwiusz i jest wulkanem.

Nic z tego, co nas na co dzien otaczalo albo co można bylo zobaczyc, wspiawszy sie na pagórek, nie robilo na nas wrazenia. W szkole przyzwyczajono nas do mówienia ze znawstwem o tym, czego nigdy nie widzialyśmy na oczy, i może dlatego najbardziej interesowalo nas to, o czym czytalyśmy w książkach. Lila twierdzila, ze tam, gdzie jest Wezuwiusz, jest tez morze. Rino, który widzial morze, mówil, ze jest błękitne i lśniące, po prostu przepiękne. W niedziele, zwłaszcza latem, ale czasem także zimą kąpal sie w nim z kolegami, obiecal, ze zabierze ją kiedyś z sobą. Naturalnie nie byl jedynym wśród znajomych nam ludzi, który widzial morze. Opowiadali nam o nim kiedyś Nino Sarratore i jego siostra Marisa takim tonem, jak gdyby wycieczka na plażę i *frutti di mare* na obiad byly rzeczą najzwyczajszą pod słońcem. Gigliola Spagnuolo tez bywala nad morzem. Ona, Nino i Marisa mieli rodziców, którzy

zabierali ich na dalekie wycieczki, a nie tylko na skwerek przy probostwie. My nie miałyśmy tego szczęścia. Naszym rodzicom brakowało czasu, pieniędzy i chęci. W jakimś zakamarku pamięci tkwił mi niezmierny błękit, matka twierdziła, że zabrała mnie nad morze, gdy byłam całkiem malutka, bo lekarze poradzili jej wygrzewać urażoną nogę w piasku. Ale ja matce nigdy za bardzo nie wierzyłam i Lili powiedziałam, że tak samo jak ona, nie widziałam morza. Lila postanowiła, że zrobimy to samo co Rino – pójdziemy nad morze piechotą. Przekonała mnie bez trudu. Umówiłyśmy się na następny dzień.

Wstałam z łóżka wcześniej, przygotowałam się, jakbym miała iść do szkoły. Zupa mleczna z pokruszonym chlebem, fartuszek, teczka. Jak co dzień poczekałam na Lilę przed bramą naszej kamienicy, potem jednak, zamiast pójść na prawo, pokonałyśmy szeroką jezdnię i skierowałyśmy się do tunelu.

Było wcześniej rano, ale już panował upał. W powietrzu unosił się mocny zapach ziemi i trawy schnącej na słońcu. Weszłyśmy między zarośla i zaczęłyśmy się wspinać do torów kolejowych. Przy pierwszym słupie elektrycznym zdjęłyśmy fartuszki, włożyłyśmy je do teczek i schowały w krzakach. Puściłyśmy się biegiem przez pole najkrótszą drogą do tunelu. Prawy wylot był zupełnie czarny. Złapałyśmy się za ręce i z determinacją weszłyśmy w ciemność. Droga była długa, świetlisty krążek wyjścia zdawał się bardzo odległy. Kiedy już przyzwyczaiłyśmy się do półmroku, dostrzegłyśmy srebrzyste strumyczki wody ściekające po ścianach do dużych kałuż. Byłyśmy lekko ogłuszone spotęgowanym w tunelu odgłosem naszych kroków, ale choć kosztowało nas to wiele nerwów, nie zatrzymywałyśmy się. W pewnej chwili Lila krzyknęła i zaraz wybuchnęła śmiechem, rozbawiona gwałtowną eksplozją dźwięku. Ja natychmiast zrobiłam to samo, krzyknęłam i się roześmiałam. Od tej chwili przez cały czas bawiłyśmy się, razem i osobno, naszymi głosami. Napięcie opadło, zaczęła się przygoda.

Wiedziałyśmy, że przez wiele godzin żaden z rodziców ani nikt inny nie będzie nas szukał. Kiedy zdarza mi się myśleć o tym, ile szczęścia daje poczucie wolności, przypominam sobie od razu tamten ranek i moment, w którym wyszłyśmy z tunelu i znalazłyśmy się na prostej drodze, której koniec był poza zasięgiem naszego wzroku i która według Rina miała nas zaprowadzić nad morze. Z radością wyglądałyśmy nieznanego, inaczej niż wtedy, gdy schodziłyśmy do piwnicy albo wspinałyśmy się po schodach do mieszkania don Achillego. Słońce świeciło za lekką mgiełką, w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Maszerowałyśmy wzdłuż murów, gdzieniegdzie dziurawych, porośniętych zielskiem, między niskimi zabudowaniami, z których dobiegały rozmowy prowadzone gwarą. Widziałyśmy konia, jak schodził ostrożnie z

nasypu, a potem, rżąc, przeszedł przez drogę. Widziałyśmy młodą kobietę, która stała na balkonie i czesała włosy gęstym grzebieniem. Widziałyśmy dużo umorusanych dzieci, które na nasz widok przerywały zabawę i przyglądały się nam groźnie. Widziałyśmy też grubego mężczyznę w podkoszulku, który rozpiął spodnie i pokazał nam kutasa. Ale nie bałyśmy się niczego. Don Nicola, ojciec Enza pozwalał nam czasem głaskać konia, niektóre dzieci na naszym podwórku też groźnie na nas spoglądały, a stary Mimì pokazywał nam swój obrzydliwy członek za każdym razem, gdy wracałyśmy ze szkoły. Przez co najmniej trzy godziny marszu drogą, jaką szłyśmy, nie wydawała nam się inna niż te, którymi chodziłyśmy każdego dnia. Nie czułam ciężaru odpowiedzialności za naszą decyzję. Trzymałyśmy się za ręce, maszerowałyśmy jedna przy drugiej, ale ja – jak zawsze przy Lili – miałam wrażenie, jakby moja przyjaciółka szła dziesięć kroków przede mną i doskonale wiedziała, dokąd mnie prowadzi i co nas tam spotka. Przyzwyczyłam się do zajmowania drugiej pozycji we wszystkim i może dlatego miałam pewność, że dla niej, która zawsze była pierwsza, także tym razem wszystko jest jasne, łącznie z tym, ile czasu zajmie nam droga nad morze i z powrotem. Sądziłam, że w głowie wszystko precyzyjnie poukładała i otaczający nas świat nie jest w stanie zakłócić tego porządku. Ufnie i z radością poddałam się jej przewodnictwu.

Po około trzech godzinach zaczęły nam dokuczać zmęczenie, pragnienie i głód. Tego nie przewidziałyśmy. Lila zwolniła, zwolniłam i ja. Zauważyłam, że zmieniło się światło, zmętniało, zdawało się pochodzić nie z nieba, ale z głębi ziemi. Parę razy złapałam skierowane na mnie spojrzenie Lili – dostrzegłam w nim skrucę, jakby chciała mnie przeprosić, że wciągnęła mnie w tarapaty. Czy działo się coś złego? Zauważyłam, że patrzy co jakiś czas do tyłu, więc ja też zaczęłam odwracać głowę. Dłoń Lili była spocona. Od dawna nie widziałyśmy już za plecami tunelu graniczącego z naszą dzielnicą. Droga, którą posuwałyśmy się naprzód, przestała wyglądać tak swojsko jak przedtem. Spotykani ludzie spoglądali na nas obojętnie, otoczenie stawało się coraz nędzniejsze, jeszcze bardziej zaniedbane niż u nas: nadpalone drewno, stare karoserie bez podwozi, porzucone krzywe koła, połamane meble, jakieś zardzewiałe żelastwo. Dlaczego Lila patrzy do tyłu? Dlaczego przestała mówić? Co się stało?

Rozejrzałam się uważnie dokoła. Niebo, które początkowo było bardzo wysokie, teraz jakby obniżyło się, za naszymi plecami stawało się coraz ciemniejsze, ciężkie chmury zdawały się dotykać drzew i słupów elektrycznych. Przed nami było ciągle jeszcze jasne, ale po bokach napierała na nie szarość o fioletowym odcieniu, jakby chciała je zadusić. Słyszałyśmy dalekie grzmoty. Ogarnął mnie lęk, ale najbardziej wystraszyła mnie twarz Lili, jakiej nigdy dotąd u niej nie widziałam. Usta miała

rozchylone, oczy szeroko otwarte, obracała nerwowo głową, spoglądając to naprzód, to na boki, to znowu do tyłu, i mocno ścisnęła mnie za rękę. Czy to możliwe, żeby się bała? Co się z nią dzieje?

Spadły pierwsze krople, uderzyły ciężko w kurz pokrywający drogę, zostawiając małe brązowe plamy.

– Wracamy do domu – powiedziała Lila.

– Co z morzem?

– Jest za daleko.

– Nasz dom nie jest daleko?

– Jest.

– Chodźmy więc nad morze.

– Nie.

– Dlaczego?

Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak zdenerwowanej. Z jakiegoś powodu postanowiła zmienić plany i szybko wrócić do domu, ale nie chciała mi go zdradzić. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego musimy przerwać wyprawę. Miałyśmy jeszcze dużo czasu, morze na pewno jest już blisko, a jeżeli zacznie padać, to czy wrócimy zaraz do domu, czy pójdziemy dalej, zmokniemy tak samo. To od Lili nauczyłam się rozumować w ten sposób i teraz byłam zdumiona jej zachowaniem.

Pociemniałe niebo rozdarła fioletowa błyskawica, zagrzmiało. Lila pociągnęła mnie za sobą, zaczęłam biec bez przekonania w przeciwnym niż dotąd kierunku. Podniósł się wiatr, krople spadały coraz gęściej, w ciągu kilkunastu sekund zamieniły się w prawdziwą ulewę. Żadnej z nas nie przyszło do głowy, żeby poszukać schronienia. Biegłyśmy oślepienie deszczem, przemoknięte do suchej nitki, nasze sfatygowane sandały ślizgały się po błotnistej drodze. Biegłyśmy tak długo, aż brakło nam tchu.

Potem opadłyśmy z sił, zwolniłyśmy. Błyskawice i grzmoty, potok wody spływający brzegiem drogi, hałaśliwe ciężarówki chlapiące nas błotem... Szłyśmy szybko poboczem, najpierw w ulewnym, potem w drobnym deszczu, aż wreszcie pod ołowianym niebem, z którego przestało padać. Serca biły nam w przyśpieszonym rytmie, byłyśmy mokrusieńkie, miałyśmy włosy przyklepione do czoła, sine wargi i wystraszone oczy. Ponownie przemierzyłyśmy tunel i wspięłyśmy się na nasyp. Gdy dotykałyśmy gałęzi ciężkich od deszczu, wstrząsały nami dreszcze. Znalazłyśmy szkolne tornistry, założyłyśmy suche fartuszki na przemoczone sukienki i pobiegłyśmy do domu. Lila była przez cały czas spięta, oczy trzymała opuszczone, ani na chwilę nie podała mi ręki.

Zaraz się zorientowałyśmy, że nic nie potoczyło się tak, jak to zaplanowałyśmy.

Niebo nad naszym osiedlem pociemniało, kiedy w szkole kończyły się lekcje. Matka zjawiła się pod szkołą z parasolką, żeby mnie odprowadzić do domu pani Oliviero. Od razu odkryła, że nie poszłam na lekcje i nie było żadnego podwieczorku u nauczycielki. Natychmiast zaczęła mnie szukać. Jak tylko zobaczyłam z daleka jej krzywą sylwetkę i rozpoznałam nierytmiczne ruchy, podbiegłam do niej, zostawiając Lilę, żeby nie wyładowała na niej złości. Nie pozwoliła mi powiedzieć ani słowa na usprawiedliwienie. Zadawała mi razy parasolką i krzyczała, że mnie zabije, jeżeli jeszcze raz zrobię coś podobnego.

Lili się upiekło, jej rodzice o niczym się nie dowiedzieli. Wieczorem moja matka opowiedziała wszystko ojcu i namawiała go, żeby mi sprawił lanie. Ojciec zdenerwował się, bo wcale nie miał zamiaru mnie bić, i w końcu rodzice się pokłócili. Ojciec uderzył matkę, po czym, zły na siebie, wyładował się na mnie. Przez całą noc zastanawiałam się, co się właściwie wydarzyło. Miałyśmy dojść nad morze i nie doszłyśmy, oberwałam za nic. Poza tym nastąpiła zaskakująca zamiana ról. Ja, pomimo burzy, chętnie dotarłabym do morza, nie przerwałabym wędrówki. W drodze czułam się daleka od wszystkiego i od wszystkich i ten dystans – wtedy odkryłam to po raz pierwszy – uciszył we mnie wszelkie zmartwienia i niepokoje. Tymczasem Lila szybko pożałowała swojej decyzji, łatwo zrezygnowała z naszego planu, pragnęła jak najprędzej znaleźć się z powrotem blisko domu. Nie mogłam tego pojąć.

Następnego dnia nie czekałam na nią przy bramie, poszłam do szkoły sama. Spotkałyśmy się na skwerze. Zauważyła siniaki na moich ramionach i zapytała, co się stało. Wzruszyłam ramionami, ta sprawa była dla mnie zamknięta.

– Tylko cię zbili? Nic więcej?

– A co jeszcze mieli mi zrobić?

– Poślą cię na lekcje łaciny?

Spojrzałam na nią zdziwiona.

Czy to możliwe? Namówiła mnie na wagary w nadziei, że rodzice za karę nie pozwolą mi zdawać do gimnazjum? Czy też zdecydowała o szybkim powrocie, żebym uniknęła tej kary? A może – jak dzisiaj czasem przychodzi mi do głowy – zmagaly się w niej obydwaj te pragnienia?

Egzamin kończący szkołę podstawową zdawałyśmy razem. Kiedy już nie było wątpliwości, że przystąpię też do egzaminu wstępnego do gimnazjum, Lila jakby straciła energię. I zdarzyło się coś, co zaskoczyło wszystkich – ja zdałam obydwie egzaminy z najwyższymi ocenami, dostałam dziesiątki z wszystkich przedmiotów, a ona skończyła szkołę powszechną na dziewiątkach, z wyjątkiem arytmetyki, z której dostała ósemkę.

Ani słowem nie dała po sobie poznać, że rozzłościło ją to albo choćby sprawiło jej przykrość. Zaprzyjaźniła się w tym czasie z Carmelą Peluso, córką stolarza, jak gdyby przyjaźń ze mną już jej nie wystarczała. Zaczęłyśmy tworzyć trójkąt, w którym ja, najlepsza uczennica w szkole, byłam prawie zawsze tą trzecią. Paplały z sobą i żartowały albo raczej to Lila gadała i żartowała, a Carmela słuchała jej i śmiała się. Kiedy spacerowałyśmy między probostwem a jezdnią, Lila szła w środku, a my po bokach. Cierpiałam, kiedy widziałam, że większość uwagi poświęca Carmeli, i w takich chwilach najchętniej zostawiłabym je same i wróciła do domu.

W tym okresie zachowywała się jak w stanie zamroczenia, na przykład od udaru słonecznego. Już zaczęły się upały i często chłodziłyśmy sobie głowy przy wodotrysku. Pamiętam Lilę z mokrą twarzą i włosami, z których kapie woda, i jej opowiadania o tym, jak to będzie, kiedy w przyszłym roku będziemy się razem uczyć w gimnazjum. To był jej ulubiony temat, miałam czasem wrażenie, że na głos układa historyjki, które później napisze, żeby zarobić dużo pieniędzy. Zwracała się najczęściej do Carmeli, która na egzaminie końcowym dostała same siódemki i nie zamierzała zdawać do gimnazjum.

Lila tak sprawnie operowała słowami, że wszystko, o czym mówiła, wydawało się rzeczywistością, szkoła, nauczyciele i koleżanki, jakie poznamy. Rozśmieszała mnie i niepokoiła. Jednak któregoś dnia przerwałam jej fantazjowanie.

– Lila, przecież wiesz, że nie pójdziesz do gimnazjum, bo nie zdałaś egzaminu wstępnego – powiedziałam. – Ani ty, ani Carmela.

Rozzłościłam ją tymi słowami. Powiedziała, że i tak będzie się uczyć w gimnazjum, z egzaminem czy bez.

– Carmela też?

– Też.

– To niemożliwe.

– Zobaczysz.

Ale widocznie ta uwaga zrobiła na niej wrażenie, bo od tego czasu przestała fantazjować o przyszłej szkolnej karierze i w ogóle ucichła. Później, nieoczekiwanie, zaczęła bombardować tematem szkoły członków swojej rodziny. Suszyła im głowę, że

chce uczyć się łaciny tak samo jak ja i Gigliola Spagnuolo. Miała pretensje do Rina, który obiecał, że jej pomoże, a tego nie zrobił. Nie docierały do niej tłumaczenia, że nic się już nie da zrobić, jest za późno. Nie chciała być rozsądna, była za to jeszcze bardziej złośliwa niż zwykle.

Na początku lata ogarnęło mnie uczucie trudne do zdefiniowania. Widziałam Lilę nerwową i agresywną i to akurat sprawiało mi przyjemność, znałam ją taką od zawsze. Chwilami jednak odnosiłam wrażenie, że za tym dobrze mi znanym zachowaniem kryło się jakieś cierpienie, i to mnie drażniło. Wolałam, kiedy różniła się ode mnie, kiedy była odporna na niepokoje, którym ja się poddawałam. Ale ona okazała się krucha. Irytacja, jaką wzbudziło we mnie to odkrycie, zmieniła się jakimś dziwnym sposobem w poczucie wyższości. Kiedy tylko nadarzała się okazja, zwłaszcza gdy nie było z nami Carmeli Peluso, robiłam wszystko, żeby jej przypomnieć, że skończyłam szkołę z lepszym świadectwem niż ona i że w odróżnieniu od niej będę kontynuować naukę w gimnazjum. Po raz pierwszy nie byłam druga, wyprzedziłam ją i uważałam to za sukces. Prawdopodobnie zdawała sobie z tego sprawę i ciążyło jej to, bo stała się jeszcze bardziej przykra, nie tyle wobec mnie, ile w stosunku do swojej rodziny.

Często, gdy czekałam na nią na podwórku, słyszałam jej krzyki. Używała języka, jakim posługiwali się najgorsi ulicznicy. Nie podobało mi się, że nie szanuje starszych, wyzywa ich paskudnymi słowami, nawet ukochanego brata. Co prawda, kiedy ojca Lili, szewca Fernanda, ogarniała wściekłość, lepiej było trzymać się od niego z daleka, ale przecież wszyscy ojcowie wpadali czasem w szał. Na co dzień, gdy nikt go nie prowokował, Fernando był łagodnym, sympatycznym i bardzo pracowitym człowiekiem. Z twarzy przypominał trochę popularnego wówczas aktora, Randolpha Scotta, ale rzecz jasna, bez jego subtelności i elegancji. Miał ciemną karnację, czarny zarost podchodzący aż do oczu, i szerokie dłonie o krótkich palcach, na których brud zdawał się wrosnięty w każdą bruzdę i pod paznokciami. Chętnie żartował. Kiedy przychodziłam do nich, łapał mój nos zgiętymi palcami i udawał, że odrywa mi go od twarzy. Chciał, żebym uwierzyła, że nos uwięziony w jego dłoni próbuje się uwolnić i wrócić na swoje miejsce. Bardzo mnie to bawiło. Ale bałam się go, kiedy złościł się na Lilę, Rina albo inne swoje dzieci i jego krzyki dochodziły aż na ulicę.

To się wydarzyło pewnego letniego popołudnia. Latem zostawałyśmy poza domem aż do kolacji. Tego dnia nie mogłam znaleźć Lili, postanowiłam więc zawołać ją przez okno. Choć mieszkała na parterze, nie mogła usłyszeć mojego wołania: Liii! Liii!, bo zagłuszały je krzyki Fernanda, podniesiony głos jego żony i ona sama, uparcie powtarzająca wciąż te same słowa. Czułam, że dzieje się coś niedobrego. Z okien na

parterze dochodziły ordynarne wrzaski i brzęk tłuczonych przedmiotów. Niby nic w tym dziwnego, to samo zdarzało się w moim domu, kiedy matka złościła się, bo nie starczało jej pieniędzy na życie, a ojciec miał jej za złe, że za dużo wydaje. A jednak u nas było inaczej. Mój ojciec potrafił się kontrolować nawet wtedy, gdy wpadał w szal, trzymał nerwy na wodzy, nie pozwalał sobie na wrzaski choć na szyi nabrzmiewały mu żyły i płonęły mu oczy. Fernando zaś wrzeszczał, tłukł wszystko, co wpadało mu w ręce, jego złość sama się napędzała; żona usiłowała go uspokoić, ale to rozwścieczało go jeszcze bardziej, i choć nie ona była przyczyną jego złości, w końcu na nią spadały razy. Nie przestawałam wołać Lili pod oknem, także po to, by wyciągnąć ją spod gradu ordynarnych wyzwisk i tłuczonych naczyń. Wołałam: Liii! Liii!, jednak przez cały czas słyszałam, jak ubliża ojcu.

Miałyśmy wtedy dziesięć, prawie jedenaście lat. Ja stawałam się coraz bardziej krągła, ale Lila wciąż jeszcze była drobna i chuda, lekka i delikatna. Nagle krzyki ucichły, a chwilę później moja przyjaciółka wyleciała z okna nad moją głową i spadła na asfalt za moimi plecami. Zamarłam z otwartymi ustami. W oknie pojawił się Fernando, wykrzykując groźby pod adresem córki. Wyrzucił ją przez okno jak stary garnek.

Patrzyłam przerażona, jak Lila usiłuje się podnieść z ziemi i mówi do mnie z uśmiechem, jakby rozbawiło ją to, co się wydarzyło:

– Nic mi się nie stało.

Ale krwawiła i miała złamaną rękę.

18.

Ojcom wolno było wymierzać kary nieposłusznym i aroganckim córkom, ale po tym, co się stało tego popołudnia, Fernando stał się bardziej ponury i pracował jeszcze pilniej niż przedtem. Tamtego lata często przechodziłyśmy przed jego warsztatem, jednak podczas gdy Rino za każdym razem pozdrawiał nas gestem i uśmiechem, szewc nie podnosił nawet oczu na córkę i na jej rękę w gipsie. Było widać, że żałował swego wybuchu. Lecz jego gwałtowna reakcja na bezczelność córki nie była niczym niezwykłym w naszej dzielnicy, gdzie rządziła przemoc. W barze „Solara”, na przykład, zwłaszcza w upalne dni, gdy podpici klienci tracili większe niż zwykle sumy

w grach hazardowych, dochodziło do desperacji (którym to słowem określało się u nas utratę wszelkiej nadziei, a także pozostanie bez grosza przy duszy) i w konsekwencji do krwawych bójek. Właściciel baru, Silvio Solara, człowiek o potężnej posturze, wydatnym brzuchu, niebieskich oczach i wysokim czole, trzymał za kontuarem pałkę i nie wahał się nią okładać tych, którzy nie płacili za zamówione trunki albo nie oddawali długów w umówionym terminie. Pomagali mu w tym synowie, Marcello i Michele, chłopcy w wieku brata Lili – zadawali jeszcze cięższe razy niż ojciec. Potem mężczyźni wracali do swoich domów, źli z powodu przegranych pieniędzy i rosnących długów, podnieceni wypitym alkoholem i atmosferą bójki, i pod byle pretekstem wylewali swoją złość na najbliższą rodzinę. Nieskończony łańcuch przemocy.

W środku tego długiego lata wydarzyło się coś, co wzburzyło wszystkich, a na Lili zrobiło wrażenie szczególne. Don Achille, ten straszny don Achille został zamordowany w swoim własnym domu wczesnym popołudniem pewnego sierpniowego dnia. Padał wtedy deszcz, co już samo w sobie było zjawiskiem niezwykłym. Zabójca zastał go w kuchni. Don Achille właśnie wstał z łóżka, przerwał poobiednią drzemkę, żeby wpuścić do mieszkania trochę powietrza odświeżonego deszczem. Miał na sobie niebieską, spraną pizamę, na stopach żółte skarpetki pociemniałe na piętach. Gdy otworzył okno, w twarz uderzył go podmuch wiatru z kroplami deszczu, a w szyję, dokładnie między szczęką a obojczykiem, ostrze noża.

Krew trysnęła z rany, pochlapała miedzianą patelnię wiszącą na ścianie. Miedź była tak doskonale wypolerowana, że – jak opowiadała potem Lila – krew wyglądała na niej jak plama z atramentu. Ściekała wąską krętą strużką i kapiała na podłogę. Morderca – choć zdaniem Lili była to morderczyni – nie włamał się do mieszkania. Wybrał porę, kiedy dzieci były na podwórku, a rodzice, jeżeli nie pracowali, oddawali się poobiedniej drzemce. Drzwi otworzył prawdopodobnie dorobionym kluczem i miał zamiar ugodzić don Achillego w serce podczas snu, ale niespodziewanie zastał go w kuchni. Uderzył więc nożem w szyję. Don Achille obrócił się twarzą do swego zabójcy, miał wytrzeszczone oczy, krew lała się strumieniem na pizamę. Osunął się na kolana, a potem upadł twarzą na podłogę.

To zabójstwo zrobiło na Lili ogromne wrażenie. Prawie codziennie opowiadała nam o nim, dodając wciąż nowe szczegóły, jakby je widziała na własne oczy. Zarówno ja, jak i Carmela Peluso słuchałyśmy jej wystraszone, Carmela nawet nie mogła spać w nocy. Przy opisie najbardziej przerażających szczegółów, jak na przykład tego ze strużką krwi ściekającej z miedzianej patelni, oczy Lili zwięzały się do dwóch szparek. Myślę, że wyobrażała sobie mordercę don Achillego jako kobietę, bo w ten sposób łatwiej jej było się z nim utożsamiać.

W tamtym czasie często przesiadywałyśmy w mieszkaniu rodziny Peluso. Grałyśmy w warcaby i młynek, bo Lile naszła taka pasja. Matka Carmeli pozwalała nam wchodzić do jadalni, gdzie stały meble wykonane przez męża, zanim don Achille odebrał mu narzędzia i warsztat stolarski. Siadałyśmy przy stole ustawionym między dwoma bliźniaczymi bufetami zwieńczonymi lustrami. Coraz bardziej nie lubiłam Carmeli, ale udawałam, że uważam ją za przyjaciółkę taką samą jak Lila, a nawet w niektórych sytuacjach zachowywałam się, jakby na niej zależało mi bardziej. Za to bardzo lubiłam panią Peluso. Była okrągłutka, miała obfity biust i rumiane policzki. Pracowała w fabryce papierosów, ale przed paroma miesiącami dostała wymówienie i od tego czasu siedziała w domu. Niezależnie od tego, czy powodziło jej się lepiej czy gorzej, zawsze była wesoła i choć w domu się nie przelewało, częstowała nas smakołykami. Jej mąż też zdawał się spokojniejszy. Pracował teraz jako kelner w pizzerii i powstrzymywał się od odwiedzania baru „Solara”, żeby nie przegrać w karty tych marnych groszy, które zarabiał.

Pewnego ranka grałyśmy w warcaby, ja z Carmelą przeciwko Lili, siedząc po dwóch stronach stołu w jadalni państwa Peluso. Za naszymi plecami stały identyczne bufety z ciemnego drewna, z lustrami w ozdobnych ramach. Patrzyłam na nasze odbicia zwielokrotnione do nieskończoności i nie potrafiłam się skoncentrować. Utrudniały to jeszcze wrzaski Alfreda Pelusa, który tego dnia był bardziej nerwowy niż zwykle i wyzywał się na żonie.

W pewnej chwili usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyła matka Carmeli, nastąpiły krzyki i straszne zamieszanie. Wyjrzałyśmy w trójkę na korytarz i zobaczyłyśmy karabinierów, którzy we wszystkich mieszkańcach naszego osiedla budzili respekt i strach. Trzymali pod rękę pana Alfreda i ciągnęli go do wyjścia. Pan Peluso starał się uwolnić, krzyczał głośno, wołał kolejno wszystkie swoje dzieci, Pasqualego, Carmelę, Cira i Immacolatę, starał się złapać żony i własnoręcznie wykonanych mebli i przysięgał, że to nie on zabił don Achillego, jest niewinny. Carmela szlochała rozpaczliwie, płakali wszyscy, łącznie ze mną. Oprócz Lili. Lila miała to samo spojrzenie co parę lat wcześniej przy Melinie, z tą różnicą, że teraz zdawała się w ruchu towarzyszyć panu Alfredowi w jego drodze do drzwi wyjściowych, przy akompaniamencie przerażających krzyków.

To była chyba najgorsza rzecz, jaka nas spotkała w dzieciństwie. W każdym razie na mnie odcisnęła głębokie piętno. Lila martwiła się o Carmelę, starała się ją pocieszyć, mówiła, że jeżeli rzeczywiście jej ojciec zabił don Achillego, dobrze zrobił. Ale jej zdaniem był niewinny i wkrótce na pewno ucieknie z więzienia. Szeptaly do siebie bez przerwy, a kiedy zbliżałam się do nich, odchodziły na bok, żebym nie

usłyszała, o czym mówią.

WIEK DOJRZEWANIA

Opowieść o butach

1.

Trzydziestego pierwszego grudnia 1958 roku Lila po raz pierwszy doświadczyła wykonturowania. Nie ja wymyśliłam ten wyraz. Używała go Lila, naciągając potoczne znaczenie jego rdzenia do swoich potrzeb. Twierdziła, że w niektórych sytuacjach nagle przerywają się kontury osób i przedmiotów. Takie właśnie uczucie ogarnęło ją zniecka, kiedy w noc sylwestrową czekałyśmy na tarasie na nadejście nowego, 1959 roku. Przeraziła się, ale nikomu o tym nie powiedziała, także dlatego, że nie była w stanie określić go słowami. Dopiero wiele lat później, pewnego listopadowego wieczoru 1980 roku, kiedy miałyśmy po 36 lat, mężów i dzieci, opowiedziała mi ze szczegółami o tym, co jej się wtedy przytrafiło i co od tego czasu zdarzało jej się wiele razy. Wtedy też po raz pierwszy użyła tego wymyślonego przez siebie słowa.

Na nadejście Nowego Roku czekałyśmy na dachu jednego z budynków na naszym osiedlu. Chociaż panował dojmujący chłód, miałyśmy na sobie tylko lekkie, wydekoltowane sukienki, chciałyśmy ładnie wyglądać. Patrzyłyśmy na chłopców, ożywionych i wesołych, podnieconych wypitym szampanem, obfitym jedzeniem i świąteczną atmosferą, jak zapalają lonty sztucznych ogni. Lila uczestniczyła w ich przygotowaniu i może dlatego z takim przejęciem przyglądała się świetlnym rysunkom na niebie. Nagle – jak mi opowiedziała wiele lat później – pomimo chłodu, zaczęła się strasznie pocić. Wydawało jej się, że wszyscy wokół za głośno krzyczą i zbyt szybko się poruszają. Zrobiło jej się niedobrze. Czuła obecność jakiejś siły, od zawsze będącej przy niej, choć dotąd przez nią niedostrzeganej, która kruszyła kontury osób i przedmiotów, tym samym ujawniając się.

Serce zaczęło jej bić jak szalone. Coraz bardziej przerażały ją krzyki wydobywające się z gardeł otaczających ją ludzi, wykonujących gwałtowne ruchy w dymie zapalanych fajerwerków. Zbierało jej się na wymioty, nie mogła ścierpieć brzmienia gwary, wyobrażenie wilgotnych gardeł, w których ślina moczy wydobywające się z nich słowa, budziło w niej fizyczny wstręt. Jakże jesteśmy odrażający, pomyślała, jacy jesteśmy ułomni. Szerokie ramiona, ręce, nogi, uszy, nosy, oczy otaczających ją ludzi zdawały się należeć do monstrów spuszczonej na Ziemię z czarnego nieba. Szczególną odrazę czuła, nie wiadomo czemu, do Rina, osoby jej najbliższej, do której żywiła przecież najcieplejsze uczucia. Miała wrażenie, jakby po raz pierwszy zobaczyła go takim, jakim był naprawdę: zwierzęco prostackim, przysadkowatym, najgłośniejszym ze wszystkich, najbardziej zachłannym, gwałtownym i ograniczonym. Szaleńcze bicie serca osłabiło ją, brakowało jej powietrza. Przeszkadzał jej dym, zapach spoconych ciał, ogniste błyski w lodowatym powietrzu. Starła się uspokoić, mówiła sobie: muszę wyrzucić z siebie mrok, który mną zawładnął. Ale w tej samej chwili, wśród okrzyków radości usłyszała odgłos podobny do eksplozji kończącej pokaz sztucznych ogni i poczuła na twarzy podmuch, jakby wywołany ruchem olbrzymiego skrzydła. Ktoś, zamiast odpalać petardy, strzelał z pistoletu. Jej brat wykrzykiwał wulgarne słowa w stronę żółtych błyskawic.

Po tej opowieści Lila dodała, że choć wtedy po raz pierwszy jasno zdała sobie sprawę ze zjawiska, które nazywała wykonturowaniem, już wcześniej zdarzało jej się go doświadczać. Odnosiła czasem wrażenie, jakby na ułamki sekund przenosiła się do wnętrza innej osoby albo rzeczy, albo cyfry czy słowa, przeniknąwszy przez ich kontury. W momencie, kiedy ojciec wyrzucił ją przez okno, zanim upadła na asfalt, wyraźnie widziała małe czerwone zwierzątka, które starały się zmiękczyć dla niej i wygładzić powierzchnię ulicy. Ale tamtej sylwestrowej nocy po raz pierwszy zdała sobie sprawę z istnienia siły zdolnej rozbić znajomy obraz świata i pokazać jego przerażającą naturę. To był dla niej wstrząs.

2.

Kiedy zdjęto Lili gips i ukazała się jej bledziutka, lecz doskonale sprawna ręka, Fernando Cerullo przemógł się i nie bezpośrednio, ale posługując się Rinem i żoną,

pozwolił Lili kontynuować naukę. Nie jestem już dzisiaj pewna, czy miała się zapisać na kurs maszynopisania, księgowości, gospodarstwa domowego, czy może wszystkiego razem.

Lila zaczęła naukę bez entuzjazmu. Nunzia często była wzywana do szkoły, bo Lila miała nieusprawiedliwione nieobecności, zakłócała spokój podczas lekcji, nie odpowiadała na pytania nauczycieli, wszelkie zadania wykonywała w pięć minut, a potem przeszkadzała koleżankom. Wreszcie ona, która zawsze była zdrowa jak ryba, ciężko zachorowała na gripę. Zdawało się, jakby nie zależało jej na wyzdrowieniu i rozmyślnie pozwalała wirusowi panoszyć się w jej organizmie tak, że w końcu prawie całkiem straciła siły. Mijały dni, a ona nie wracała do zdrowia. Jak tylko wstawiała z łóżka i blada jak prześcieradło zaczynała normalne życie, dostawała na powrót gorączki. Pewnego dnia spotkałam ją na ulicy i od razu przypomniała mi się ilustracja z książki pani Oliviero, na której był duch dziewczynki zmarłej po zjedzeniu trujących jagód. Później rozniosły się po sąsiedztwie pogłoski, że Lila wkrótce umrze, co obudziło we mnie nieznośny lęk.

Tymczasem Lila wyzdrowiała, właściwie wbrew samej sobie. Potem jednak rzadko chodziła do szkoły, usprawiedliwiając się osłabieniem organizmu, tak że na koniec roku nie zdała do następnej klasy.

Ja też nie czułam się dobrze w pierwszej gimnazjalnej. Z początku miałam wielkie oczekiwania i chociaż się do tego przed sobą nie przyznawałam, byłam zadowolona, że chodzę do szkoły z Gigliolą Spagnuolo, a nie z Lilą. Tkwiła gdzieś we mnie, bardzo głęboko, nadzieja, że w szkole, do której Lila nie będzie miała wstępu, ja będę najlepsza. Lili będę o niej opowiadać i chwalić się moimi sukcesami. Stało się inaczej, szybko pojawiły się trudności, wielu uczniów okazało się lepszych ode mnie. Osiadłam razem z Gigliolą na mieliźnie, wystraszona odkryciem własnej mierności. Przez cały rok walczyłyśmy, żeby się nie znaleźć wśród ostatnich. Było to dla mnie trudne do zniesienia. Przychodziło mi czasem do głowy, że bez Lili już nigdy nie będę należeć do szkolnej elity.

Co jakiś czas przy wejściu do szkoły spotykałam Alfonsa, najmłodszego syna don Achillego, ale oboje zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się nie znali. Nie wiedziałam, jak z nim rozmawiać. Uważałam, że Alfredo Peluso dobrze zrobił, zabijając jego ojca, i nie umiałam się zdobyć na słowa współczucia. Nie potrafiłam się nawet wzruszyć jego sieroctwem, być może obciążałam go winą za strach, jakiego kilka lat wcześniej doświadczyłam z winy don Achillego. Alfonso nosił czarną przepaskę przyszytą do żakietu, nigdy się nie uśmiechał, trzymał się osobno. Nie byliśmy w tej samej klasie, ale słyszałam o nim, że bardzo dobrze się uczy. Po zakończeniu roku dowiedziałam się,

że jego oceny na świadectwie dawały średnią osiem, co mnie wprawiło w rozpacz. Gigliola miała poprawkę z łaciny i matematyki, ja przeszłam do drugiej klasy na samych szóstkach.

Po wystawieniu ocen nauczycielka wezwała do szkoły matkę. Chciała jej powiedzieć w mojej obecności, że tylko dzięki jej wspaniałomyślności nie mam poprawki z łaciny, ale w przyszłym roku bez korepetycji nie dam sobie rady. Poczułam się podwójnie upokorzona. Wstydziałam się, bo nie potrafiłam osiągnąć równie wysokich wyników jak w szkole podstawowej. Wstydziałam się też za matkę, która ze swoim kalectwem, rozdeptanymi butami, matowymi włosami i niegramatyczną włoszczyzną, różniła się diametralnie od harmonijnie zbudowanej i elegancko ubranej nauczycielki, posługującej się językiem podobnym do tego, jakim była napisana *Iliada*.

Moja matka też pewnie czuła się upokorzona. Wróciła do domu w ponurym nastroju, powiedziała ojcu, że nauczyciele nie są ze mnie zadowoleni, a ona potrzebuje pomocy w domu, może więc lepiej, żebym przerwała edukację. Długo dyskutowali na ten temat, w końcu się pokłócili i ojciec zdecydował, że zasłużyłam sobie na dalszą naukę, bo przeszłam do drugiej klasy, podczas gdy Gigliola ma poprawki z dwóch przedmiotów.

Lato spędziłam leniwie, przesiadując na podwórku albo nad stawami najczęściej w towarzystwie Giglioli. Wysłuchiwałam opowieści o studencie, który udzielał jej korepetycji i który, jej zdaniem, był w niej zakochany. Śmiertelnie się przy tym nudziłam. Widywałam czasem Lilę na spacerach z Carmelą Peluso. Ona też uczyła się na jakichś kursach i też nie przeszła do drugiej klasy. Czułam, że Lila nie chce się już ze mną przyjaźnić, i ta świadomość dziwnym sposobem przyprawiała mnie o senność. Czasami, gdy nie musiałam się obawiać, że matka mnie zobaczy, kładłam się na łóżko i zapadałam w płytki sen.

Pewnego popołudnia zasnęłam mocniej, obudziło mnie uczucie wilgoci między nogami. Poszłam do łazienki, żeby sprawdzić, co się stało i zobaczyłam na majtkach plamy z krwi. Byłam przerażona, właściwie nie wiem czym, może bałam się reakcji matki, gdy się dowie, że skaleczyłam się między nogami. Zdjęłam więc majtki, wyprałam je dokładnie, wyżełam i włożyłam mokre. Potem wyszłam na upalne podwórko. Serce biło mi silnie ze strachu.

Spotkałam Lilę z Carmelą i poszłam z nimi na spacer aż do probostwa. Czułam, że znowu mam mokro między nogami, ale uspokajałam się myślą, że to dlatego, że majtki jeszcze nie wyschły. Kiedy nie mogłam dłużej znieść uczucia niepokoju, szepnęłam do Lili:

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

Wzięłam ją pod ramię, starając się oddalić od Carmeli, ale Carmela poszła za nami. Byłam tak bardzo przestraszona, że w końcu zwierzyłam się obu, choć zwracałam się tylko do Lili.

– Co to może być? – zapytałam.

Carmela już wszystko wiedziała. Krwawiła od ponad roku, co miesiąc.

– To normalne – stwierdziła. – Kobiety tak mają, raz w miesiącu przez parę dni wycieka z nich krew, boli je wtedy brzuch i plecy, ale potem to przechodzi.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wobec milczenia Lili, zwróciłam się do Carmeli. Naturalność, z jaką podzieliła się ze mną swoją skąpą wiedzą, uspokoiła mnie i sprawiła, że patrzyłam na nią z sympatią. Całe popołudnie, aż do kolacji spędziłam na rozmowie z Carmelą. Upewniłam się, że od tej rany się nie umiera.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała Carmela – to znaczy, że jesteś dorosła i możesz mieć dzieci, jeżeli jakiś chłopak włoży ci do brzucha swój interes.

Lila słuchała nas prawie bez słowa. Zapytałyśmy, czy ona też krwawi tak jak my. Lila zawahała się, zanim zaprzeczyła. Nagle zobaczyłam w niej małą dziewczynkę, o wiele mniejszą niż przedtem. Była sześć lub siedem centymetrów niższa ode mnie, bledziutka pomimo spacerów na słońcu, sama skóra i kości. Poza tym nie przeszła do następnej klasy, nie wiedziała, że kobiety krwawią i żaden chłopak nie wyznał jej dotąd miłości.

– Ty też się doczekasz – zapewniłyśmy ją obydwie tonem pocieszenia.

– Mam to gdzieś – odparła – ja nie krwawię, bo nie chcę krwawić. To jest wstrętne, tak samo jak wstrętne są dziewczyny, które mają miesiączkę.

Zrobiła ruch, jakby chciała się od nas oddalić, ale zatrzymała się i zapytała:

– Fajna jest łacina?

– Fajna.

– Jesteś dobra z łaciny?

– Tak.

Pomyślała przez chwilę i mruknęła:

– Specjalnie zrobiłam tak, żeby nie przejść do drugiej klasy. Nie chcę już chodzić do żadnej szkoły.

– Co będziesz robić?

– To, na co będę miała ochotę.

I odeszła, zostawiając nas na środku podwórka.

Do końca lata już jej nie spotkałam.

W tym okresie bardzo się zbliżyłam do Carmeli Peluso, która wprawdzie działała mi na nerwy swoimi chichotami i wiecznym narzekaniem, ale dostrzegałam u niej ślady wpływu Lili tak wyraźne, że mogła mi służyć za jej surogat. Carmela mówiła podobnym tonem i używała charakterystycznych dla Lili wyrażeń, tak samo gestykulowała i starała się naśladować jej sposób chodzenia, choć fizycznie była bardziej podobna do mnie, miała miłą, pyzată buzię, tryskała zdrowiem. To jej bezprawne zapożyczenie cech Lili z jednej strony pociągało mnie, a z drugiej sprawiało mi przykrość. Drażniła mnie ta imitacja, która chwilami miała wymiar karykaturalny, a jednocześnie byłam pod urokiem jej sposobu bycia przypominającego, choć tylko trochę, sposób bycia Lili.

Przez to właśnie przywiązałam się do Carmeli. Opowiadała mi, jak strasznie cierpi w nowej szkole, koledzy robią jej przykrości, nauczyciele nie lubią. Opowiadała też o widzeniach z ojcem w więzieniu Poggioreale, o płaczu matki i rodzeństwa. Mówiła, że ojciec jest niewinny, don Achillego zabiło czarniawe indywiduum, pół mężczyzna, pół kobieta, które mieszka w kanałach ze szczurami i wychodzi z nich pomimo krat, także za dnia, robi straszne rzeczy i ucieka z powrotem. Powiedziała mi też kiedyś z łagodnym uśmiechem, że zakochała się w Alfonsie Carraccim. Zaraz jednak zgasiła uśmiech i wybuchnęła płaczem. Ta miłość była jej udręką. Bo jakże córka mordercy może być zakochana w synu ofiary! Wystarczyło, że widziała go, jak przechodzi przez podwórko albo idzie ulicą, żeby czuć się bliska omdlenia.

To wyznanie zrobiło na mnie ogromne wrażenie i umocniło naszą przyjaźń. Carmela przysięgała, że nigdy o tym nikomu nie powiedziała, nawet Lili. Zdecydowała się mnie zwierzyć z tej tajemnicy, bo trzymanie jej tylko dla siebie stało się ciężarem nie do zniesienia. Podobała mi się dramatyczna atmosfera jej wyznania. Rozważaliśmy szczegółowo wszelkie możliwe konsekwencje tej miłości, aż wreszcie rozpoczął się nowy rok szkolny i nie mogłam już poświęcać jej tyle czasu. Co za historia! Nawet Lila nie wymyśliłaby podobnej.

Zaczął się dla mnie zły okres. Przytyłam, pod skórą na piersiach wyrosły mi dwie twarde gule, pachy i łono pokryły się włosami, zrobiłam się smutna i nerwowa. W szkole było mi jeszcze trudniej niż wcześniej osiągać dostateczne oceny. W zadaniach z matematyki rzadko otrzymywałam wynik podany w podręczniku, nie umiałam doszukać się sensu w łacińskich zdaniach. Kiedy tylko mogłam, zamykałam się w łazience, rozbierałam i przyglądałam sobie w lustrze. Nie poznawałam samej siebie. Zaczęłam się bać, że będę się tak długo zmieniać, aż upodobnię się do matki, kulawej i zezowatej, i nikt mnie nie będzie lubić. Często płakałam, także bez wyraźnego powodu. Z biegiem czasu twarde gule piersi zmiękły i powiększyły się. Czułam się jak we władzy jakichś mrocznych sił, które bez mojej woli działają wewnątrz mojego ciała. Zapomniałam co to spokój.

Pewnego dnia w drodze ze szkoły zaczepił mnie Gino, syn aptekarza, i powiedział, że zdaniem jego kolegów moje piersi nie są prawdziwe, powiększam je sobie watą. On uważa, że są prawdziwe, i założył się o to z kolegami o dwadzieścia lirów. Śmiał się, kiedy to mówił. Zaproponował, że jeżeli wygra, dziesięć lirów zatrzyma dla siebie, a dziesięć będzie dla mnie, ale muszę mu teraz pokazać, że nie mam waty.

To żądanie wystraszyło mnie. Nie wiedziałam, jak zareagować, postanowiłam wziąć wzór z zuchwałego sposobu bycia Lili.

- Daj mi te dziesięć lirów.
- Dlaczego? Mam rację?
- Tak.

Gino uciekł, a ja, trochę rozczarowana, poszłam swoją drogą. Ale po chwili wrócił do mnie, towarzyszył mu kolega z klasy, chudy chłopak, którego imienia nie pamiętam, z ciemnym puszkiem nad górną wargą. Gino powiedział:

- On też musi przy tym być, jak nie, to inni nie uwierzą, że wygrałem.

Znowu użyłam tonu Lili:

- Najpierw pieniądze.
- A jeżeli okaże się, że masz tam watę?
- Nie mam.

Dał mi dziesięć lirów, po czym weszliśmy w trójkę na ostatnie piętro domu, który stał niedaleko skweru. Tam, przy metalowych drzwiach prowadzących na taras na dachu, wyraźnie oświetlona plamą słońca, podniosłam bluzkę i pokazałam im piersi. Chłopcy patrzyli na nie bez ruchu, jakby nie wierzyli własnym oczom. Potem odwrócili się na pięcie i zbiegli po schodach.

Odetchnęłam z ulgą i poszłam do baru „Solara”, żeby sobie kupić lody.

Ten epizod pozostał mi głęboko w pamięci. Po raz pierwszy przekonałam się wtedy,

że moje ciało może oddziaływać na mężczyzn z magnetyczną mocą, ale przede wszystkim zdałam sobie sprawę, że podobnie jak dla Carmeli, tak samo dla mnie Lila jest jak wymagający, stale obecny duch. Co bym zrobiła, gdybym w takiej sytuacji jak ta miała zareagować, kierując się jedynie własnymi chaotycznymi emocjami? Uciekłabym. A gdyby była przy tym Lila? Pociągnęłabym ją za łokieć, szepnęła do ucha: chodźmy stąd, a potem, jak zawsze, zostałabym, gdyby ona postanowiła zostać. Tymczasem bez niej, po krótkim wahaniu, zajęłam jej miejsce albo raczej – zrobiłam jej miejsce w sobie. Rozmyślałam później o tej chwili, kiedy Gino złożył mi swoją propozycję, i przypomniałam sobie dokładnie, że zrobiłam minę Lili, odezwałam się jej tonem, obrzuciłam chłopaka jej bezczelnym spojrzeniem i byłam bardzo zadowolona z siebie. Czasami jednak nachodziły mnie wątpliwości: czy to znaczy, że jestem podobna do Carmeli? Wydawało mi się, że nie, uważałam się za zupełnie odmienną osobę, ale nie bardzo umiałam powiedzieć, na czym ta odmienność polegała, i to pomniejszało moje zadowolenie. Kiedy przechodziłam przed warsztatem Fernanda Cerulla, liżąc lody, dostrzegłam Lilę porządkującą buty na długiej półce. Przez chwilę miałam ochotę zawołać ją, opowiedzieć o tym, co mi się przytrafiło, i zapytać, co o tym myśli, ale Lila nie zauważyła mnie, i przeszłam, nie zwracając na siebie uwagi.

4.

Zawsze była zajęta. Po wakacjach Rino zmusił ją, żeby zapisała się na powrót do szkoły, ale ona znowu opuszczała lekcje i ponownie nie zdała do następnej klasy. Matka wymagała od niej, żeby pomagała w domu, ojciec chciał, żeby przychodziła pracować do warsztatu, a ona, niespodziewanie, zamiast po swojemu się buntować, wyglądała na zadowoloną, że może harować dla obojga rodziców. Spotykałyśmy się rzadko, czasem w niedzielę po mszy albo na spacerze między skwerem a jezdnią, i przy tych okazjach nigdy nie okazywała zainteresowania moją nauką, mówiła za to bez przerwy o tym, jak ważną pracę wykonują ojciec i brat.

Dowiedziała się, że ojciec w młodości chciał się uniezależnić, uciekł z warsztatu dziadka Lili, który też był szewcem, i zatrudnił się w fabryce w Casorii, gdzie pracował przy produkcji różnych rodzajów butów, także wojskowych, dla żołnierzy, którzy szli na wojnę. Lila odkryła, że nie tylko potrafi samodzielnie zrobić but, od

początku do końca, ale też umie obsługiwać maszyny obuwnicze: wycinarkę, lamowacz, polerowarkę. Opowiadała mi o rodzajach skóry, o przyszwach, o kaletnictwie, o szpilkach i półobcasach, o tym, jak się przykleja i poleruje podeszwy. Używała tych zawodowych terminów, jakby to były magiczne słowa poznane przez ojca w jakimś cudownym świecie – w fabryce w Casorii – z której wrócił do domu jak odkrywca nieznanymi lądów, nasycony wspaniałymi doświadczeniami do tego stopnia, że teraz wolał swój rodzinny zakład szewski, spokój małego warsztatu i odurzający zapach kleju wymieszany z wonią długo używanych butów. Wciągnęła mnie w świat szewskiej terminologii z takim entuzjazmem, że Fernando i Rino Cerullo wydawali mi się najbardziej wartościowymi mieszkańcami naszej dzielnicy tylko dlatego, że zaopatrywali ludzi w solidne i wygodne trzewiki. Po każdej rozmowie z Lilą wracałam do domu z przeświadczeniem, że mając za ojca zwykłego woźnego i nie mogąc w związku z tym spędzać całych dni w zakładzie szewskim, jestem pozbawiona jakiegoś rzadkiego przywileju.

Nauka szkolna zaczęła mi ciążyć, wydawała mi się zupełnie nieprzydatna, ze szkolnych książek zniknęła wszelka energia i obietnica ciekawego życia. Przez długie miesiące zawsze po lekcjach czułam się zatruta goryczą. Przechodziłam potem przed zakładem pana Cerulla tylko po to, by zobaczyć Lilę, jak siedzi w głębi przy swoim miejscu pracy, jej szczuplutki, zupełnie jeszcze płaski tors, wysmukłą szyję, wychudzoną buzię. Właściwie nie wiedziałam, na czym polegała jej praca, ale z zazdrością zerkałam na nią przez oszklone drzwi – skupioną, ze spuszczoną głową, między ojcem a bratem, bez książek, bez lekcji do odrobienia, daleką od szkoły. Czasami zatrzymywałam się przed witryną i jakbym była potencjalną klientką, patrzyłam na tubki pasty do butów, na świeżo podzielowane obuwie ustawione równo na półkach i nowe, nie dość wygodne buty w prawidłach. Odchodziłam stamtąd niechętnie, dopiero wtedy, gdy Lila dostrzegała mnie za szybą, pozdrawiała gestem i zaraz wracała do swojej pracy. Ale często to Rino jako pierwszy zauważał moją obecność i stroił do mnie miny, żeby mnie rozbawić. Onieśmielona, uciekałam sprzed zakładu, nie czekając, aż spojrzy na mnie Lila.

Pewnego dnia zaskoczyłam samą siebie entuzjastycznym wykładem na temat butów, z jakim wystąpiłam przed Carmelą Peluso. Carmela regularnie kupowała pisemko zatytułowane *Marzenie* i była namiętą czytelniczką fotograficznych komiksów o miłości. Z początku wydawało mi się to czystą stratą czasu, ale z czasem i ja coraz częściej do nich zaglądałam, a teraz czytałyśmy je razem na skwerze, komentowałyśmy zachowanie bohaterów i ich wypowiedzi zapisane białym drukiem

na czarnym tle. Carmela miała skłonność do przechodzenia od komentarzy na temat wymyślonych historii miłosnych do opowieści o swojej prawdziwej miłości do Alfonsa. Ja, chcąc się odwzajemnić podobnym wyznaniem, powiedziałam jej kiedyś, że zakochał się we mnie syn aptekarza, Gino. Nie uwierzyła. Syn aptekarza, ten przyszły spadkobierca całej apteki, był dla niej kimś równie nieosiągalnym jak księżę pełnej krwi, arystokrata, który nigdy nie ożeniłby się z córką zwykłego woźnego. Mało brakowało, a opowiedziałabym jej o tym, jak mnie poprosił, żebym mu pokazała piersi, i jak dostałam za to dziesięć lirów. W tym samym jednak momencie moje spojrzenie padło na piękne pantofelki jednej z bohaterek komiksu w *Marzeniu*, które Carmela trzymała rozłożone na kolanach, i zamiast opowiadać o swoich piersiach, zaczęłam mówić o tych butach, co wydawało mi się nieporównanie bardziej interesujące od przygody z Ginem. Nie skąpiłam słów podziwu dla pantofli i dla szewca, który je zrobił. Spuentowałam swoje pochwały stwierdzeniem, że gdybyśmy miały równie piękne buty, nie oparłby nam się żaden Alfonso czy Gino. Dopiero po chwili z zakłopotaniem zdałam sobie sprawę, że przyswoiłam sobie nową pasję Lili. Carmela słuchała mnie z roztargnieniem, a po chwili stwierdziła, że musi już iść. Widocznie mało albo wcale nie interesował jej temat butów i szewców. W odróżnieniu ode mnie, chociaż naśladowała sposób bycia Lili, pozostała wierna swoim własnym zainteresowaniom: komiksom fotograficznym i miłości.

5.

Tak wyglądały wtedy nasze dni. Musiałam przyznać się przed sobą, że to, co robiłam sama, nie było w stanie przyspieszyć rytmu mojego serca, ważne dla mnie było tylko to, co interesowało Lilę. Ale wystarczyło, żeby Lila się oddaliła, żebym przestała słyszeć jej głos, a to, co do niedawna mnie ekscytowało, szarzało, pokrywało się kurzem, traciło blask. Gimnazjum, łacina, książki, nauczyciele, język literacki – wszystko to mogło z dnia na dzień stać się mniej pociągające niż kokarda na pantofelku. Ta świadomość przygnębiała mnie.

Pewnej niedzieli znowu wszystko się odmieniło. Byłyśmy razem, Carmela, Lila i ja, na lekcji katechizmu, bo przygotowowałyśmy się do Pierwszej Komunii. Po lekcji Lila powiedziała, że się spieszy, i zostawiła nas, jednak ku mojemu zdumieniu,

zobaczyłam, że zamiast pójść do domu, weszła do budynku szkoły podstawowej. Skierowałam się z Carmelą w stronę domu, ale w pewnej chwili ogarnęła mnie straszna nuda, pożegnałam się więc z nią w połowie drogi i wróciłam, skąd przyszłyśmy. Wiedziałam, że w niedzielę szkoła jest zamknięta. Jak to możliwe, że Lila weszła do szkolnego budynku? Po chwili wahania odważyłam się przekroczyć bramę. Od dnia ukończenia piątej klasy nigdy więcej nie byłam w starej szkole, i ogarnęło mnie teraz wzruszenie. Dobrze znany zapach przypomniiał mi uczucie bezpieczeństwa i spokoju, którego już dawno nie doświadczyłam. Weszłam do jedyne go otwartego pomieszczenia na parterze. Obszerną salę ze ścianami obstawionymi półkami pełnymi starych książek oświetlały lampy neonowe. Nie byłam w niej sama, zobaczyłam kilku dorosłych i wiele dzieci. Zdejmowali książki z półek, przeglądali je, odkładali na miejsce, brali inne, a potem ustawiali się z wybranymi tomami w kolejce przed biurkiem, za którym siedział największy wróg pani Oliviero, pan Ferraro, chudy, z siwymi włosami obcięty mi na jeża. Pan Ferraro brał od nich książki, zapisywał coś w grubym zeszycie i oddawał je czytelnikom, a oni wychodzili z nimi z sali.

Rozejrzałam się dokoła, Lili nie dostrzegłam. Być może już wyszła. Co ona tu robiła? Nie chce chodzić do szkoły, interesuje się namiętnie butami, a jednocześnie, nie pisnąwszy na ten temat ani słowa, przychodzi tutaj, żeby wypożyczać książki? Czy to znaczy, że jej się tu podoba? Dlaczego nigdy nie poprosiła, żebym jej towarzyszyła? Dlaczego zostawiła mnie z Carmelą? Dlaczego opowiada mi, jak się poleruje brzegi podeszew, a nie o tym, co czyta?

Rozzłościłam się i szybko stamtąd wyszłam.

Jeszcze przez jakiś czas szkoła nie miała dla mnie większego znaczenia, ale później zaabsorbowały mnie na nowo klasówki i odpytywania, tym bardziej że zbliżał się koniec roku i obawiałam się słabych ocen. Uczyłam się chaotycznie, choć poświęcałam nauce dużo czasu. Gnębiły mnie też inne zmartwienia. Matka stwierdziła, że wyglądam nieprzyzwoicie z tak obfitym biustem i kupiła mi biustonosz. Stała się w stosunku do mnie jeszcze bardziej oschła i opryskliwa niż dotąd. Jakby się wstydziła, że wyrosły mi piersi i dostałam okres. Czuła się czasem w obowiązku dać mi jakąś radę czy wyjaśnienie, ale te powierzchowne, zredukowane do kilku słów wskazówki niewiele mi pomagały. Zaraz potem odwracała się do mnie plecami i odchodziła szybko, kuśtykając, jakby się bała, że mogę ją o coś zapytać.

Mój biust w biustonoszu był jeszcze bardziej widoczny niż bez niego. W ostatnich miesiącach roku szkolnego nie mogłam się opędzić od chłopaków i szybko zrozumiałam dlaczego. Gino i jego kolega rozpowiedzieli, że bez oporów pokazują piersi, w związku

z czym co rusz przychodzili do mnie chłopcy i prosili, żebym powtórzyła przedstawienie. Uciekałam od nich, zakrywając piersi rękami. Nie wiedzieć czemu, czułam się winna i jeszcze bardziej samotna w tej swojej winie. Chłopcy nalegali, zaczepiali mnie także na ulicy i na podwórku. Śmiali się i żartowali sobie ze mnie. Próbowałam odpierać ich, używając sposobów, jakich – jak sobie wyobrażałam – użyłaby Lila, ale bez powodzenia i często kończyło się na tym, że wybuchałam płaczem. Ze strachu przed zaczepkami zamknęłam się w domu. Spędzałam mnóstwo czasu na nauce, wychodziłam tylko do szkoły, a i to bardzo niechętnie.

Pewnego dnia w maju Gino dogonił mnie po wyjściu ze szkoły i zapytał, bez zwykłej arogancji, wręcz przeciwnie: nieśmiało, czy chcę z nim chodzić. Odmówiłam, bo czułam się urażona i chciałam mu się w ten sposób odplącić za przykrości, na jakie mnie naraził, ale byłam dumna, że dostałam taką propozycję od syna aptekarza. Następnego dnia zapytał mnie o to samo i aż do czerwca nie przestał mnie o to pytać. W czerwcu, z małym opóźnieniem spowodowanym zagmatwanym życiem naszych rodziców, przystąpiłyśmy do Pierwszej Komunii. Zaraz potem, ciągle jeszcze ubrane w białe sukienki niczym panny młode, zatrzymałyśmy się na dziedzińcu kościoła, żeby natychmiast nagrzeszyć, rozmawiając o miłości.

Carmela nie mogła uwierzyć, że odrzuciłam syna aptekarza, i doniosła o tym Lili. Ta, ku memu zaskoczeniu, zamiast odwrócić się na pięcie z miną oznaczającą: „A co mnie to obchodzi!”, wykazała zainteresowanie tą wiadomością. Z tego powodu rozmawiałyśmy teraz o tym w trójkę.

– Dlaczego mu odmówiłaś? – zapytała Lila gwarą.

Odpowiedziałam jej czystą włoszczyzną, żeby zrobić na niej wrażenie. Niech wie, że chociaż tracę czas na rozmowy o chłopakach, nie powinna mnie mierzyć tą samą miarką co Carmelę.

– Ponieważ nie jestem pewna swoich uczuć.

Widziałam, że to zdanie, które przeczytałam w pisemku Carmeli, zrobiło na Lili duże wrażenie. Zaczęłyśmy rozmowę językiem romansów powieściowych. Carmela ograniczyła swój udział do roli słuchaczki. Poczułam się jak podczas turniejów wiedzy w szkole podstawowej. Serce zabiło mi mocniej z emocji: my dwie i wszystkie te wyszukane słowa! W gimnazjum nigdy mi się to nie przytrafiło, ani z koleżankami, ani nawet z nauczycielami. To było cudowne uczucie.

Lila przekonywała mnie kwiecistymi zdaniem, że aby być pewnym miłości swojego pretendenta, należy poddać go ciężkim próbom, po czym, już gwarą, poradziła mi zgodzić się na chodzenie z Ginem, ale dopiero po wakacjach i to pod warunkiem, że przez całe lato będzie nam kupować lody, jej, Carmeli i mnie.

– Jeżeli się na to nie zgodzi, to znaczy, że jego miłość nie jest prawdziwa.

Zrobiłam, jak mi poradziła, i Gino zniknął. A więc to nie była prawdziwa miłość.

Nie cierpiałam z tego powodu. Rozmowa z Lilą sprawiła mi tak ogromną przyjemność, że postanowiłam zbliżyć się do niej jak najbardziej, zwłaszcza latem, kiedy będę miała więcej wolnego czasu. Pragnęłam, żeby ta niezapomniana rozmowa była wzorem dla wszystkich naszych rozmów w przyszłości. Na nowo poczułam się zdolna i inteligentna, jak gdybym uderzyła się w głowę i dzięki temu powróciły do niej zapomniane obrazy i słowa.

Ten epizod nie miał jednak dalszego ciągu, jakiego się spodziewałam. Zamiast umocnić naszą przyjaźń i zapewnić mi do niej wyłączone prawo, przyciągnął do Lili wiele dziewczynek. Charakter naszej rozmowy, rada, jaką Lila mi dała, i jej efekt zrobiły tak silne wrażenie na Carmeli, że opowiedziała o tym koleżankom. W wyniku tego córka szewca, która nie miała jeszcze piersi ani miesiączki i której żaden chłopak nie wyznał miłości, stała się w krótkim czasie najbardziej poszukiwaną powierniczką w sprawach sercowych. A ona, zaskakując mnie po raz kolejny, chętnie przyjęła tę funkcję. Kiedy nie pracowała w zakładzie ojca i nie pomagała w domu, widywałam ją, jak plotkowała z dziewczynkami z sąsiedztwa. Przechodziłam obok, pozdrawiałam ją, ale ona najczęściej mnie nie zauważała, tak bardzo była skoncentrowana na rozmowie. Do moich uszu dochodziły czasem pojedyncze zdania, które bardzo pięknie brzmiały. Sprawiało mi to ból.

6.

To był smutny czas. Chwile najgorsze nadeszły w wyniku upokorzenia, którego mogłam się spodziewać, a o którym jednak wolałam wcześniej nie myśleć. Alfonso Carracci przeszedł do następnej klasy ze średnią ocen: osiem, Gigliola Spagnuola – siedem, a ja z samymi szóstkami i czwórką z łaciny. Z tego przedmiotu miałam zdawać poprawkę we wrześniu.

Tym razem to od ojca usłyszałam, że nie ma sensu, żebym kontynuowała naukę. Podręczniki szkolne dużo kosztują, łaciński słownik Campaniniego i Carboniego, choć kupiony z drugiej ręki, też był sporym wydatkiem, nie mamy pieniędzy na korepetycje. Ale przede wszystkim nie ma się co łudzić, że jestem zdolna. Najmłodszy

syn don Achillego przeszedł bez problemów do następnej klasy, a ja nie; córka cukiernika Spagnuola przeszła, a ja nie. Trzeba się pogodzić z losem.

Przeplakałam całą noc i cały dzień, zrobiłam to specjalnie, chciałam zbrzydnąć, żeby się w ten sposób ukarać. Byłam najstarszym dzieckiem w rodzinie, miałam dwóch młodszych braci o imionach: Peppe i Gianni oraz małą siostrzyczkę Elisę. Wszyscy oni przychodzili do mnie teraz po kolei, żeby mnie pocieszyć. Przynosili mi owoce, proponowali, że się ze mną pobawią, ale ja i tak czułam się bardzo samotna i nieszczęśliwa i nie umiałam się uspokoić. Po kilku dniach, po południu usłyszałam za plecami kroki matki. Oznajmiła mi gwarą, zwykłym dla siebie szorstkim tonem:

– Nie możemy płacić za korepetycje, ale jeżeli chcesz, możesz się uczyć sama, może zdasz tę poprawkę.

Spojrzałam na nią niepewna, co o tym myśleć. Wyglądała tak samo jak zawsze: włosy bez połysku, zezujące oko, duży nos, ciężka sylwetka. Dodała:

– Nigdzie nie jest napisane, że nie może ci się udać.

Powiedziała tylko tyle, a przynajmniej tyle pamiętam. Następnego dnia zaczęłam się uczyć, postanowiłam sobie, że nie będę wychodzić na podwórko ani na skwer.

Ale pewnego ranka usłyszałam, że ktoś woła mnie z ulicy. To była Lila; zdarzyło jej się to po raz pierwszy od czasu, jak skończyłyśmy szkołę podstawową. Wołała:

– Lenuuu!

Wyrzłam z okna.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Zejdź na dół.

Zeszłam niechętnie. Wołałabym jej nie mówić, że mam poprawkę. Chodziłyśmy trochę po podwórku, w pełnym słońcu. Zapytałam bez zainteresowania, co nowego słyhać w sprawach sercowych. Pamiętam, że zapytałam wprost, jak się układają sprawy między Carmelą a Alfonsem.

– Jakie sprawy?

– Ona jest w nim zakochana.

Kiedy tak jak teraz, poważna, bez uśmiechu, zwięźła oczy do małych szparek, jak gdyby ograniczając swoje pole widzenia do tego, co ją w tym momencie interesowało, żeby zobaczyć to wyraźniej, przypominała drapieżniki, które widziałam kiedyś na filmie wyświetlonym w kinie parafialnym. Tym razem dodatkowo odniosłam wrażenie, że to, na co patrzyła przez zwięzione powieki, jednocześnie ją złościło i przerażało.

– Nic ci nie powiedziała o swoim ojcu? – zapytała.

– Powiedziała, że jest niewinny.

– W takim razie kto jest zabójcą?

– Czarniawe indywiduum, pół mężczyzna, pół kobieta, które mieszka w kanałach ze szczurami i wychodzi z nich przez kraty.

– A więc to prawda... – powiedziała, a w jej głosie usłyszałam coś jakby współczucie.

– Carmela wierzy we wszystko, co jej mówię. Tak samo jak inne dziewczynki na podwórku... Koniec! Nie będę już z nimi gadać. Nie chcę już z nikim rozmawiać – mruknęła i spochmurniała.

Nie mówiła tego z pogardą ani pobłażaniem. Uświadomiła sobie, jak ogromny wpływ ma na nas, i nie wbiło jej to w dumę. Ja na jej miejscu pyszniłabym się tym, ale ona zdawała się pozbawiona pychy. Wyczułam w jej reakcji raczej obojętność oraz obawę przed odpowiedzialnością.

– Miło jest rozmawiać z ludźmi – zaprotestowałam słabo.

– Tak, ale tylko wtedy, gdy rozmawiasz z kimś, kto potrafi ci odpowiedzieć.

Serce zaczęło mi bić, jakby oszalało z radości. Czy nie była to przypadkiem prośba skierowana bezpośrednio do mnie? Czy nie chciała przez to powiedzieć, że chciałaby rozmawiać tylko ze mną, bo nie biorę za dobrą monetę wszystkiego, co jej ślina na język przynosi, i prowadzę z nią prawdziwy dialog? Czyż nie stwierdziła tym zdaniem, że tylko ja rozumiem, co jej się roi w głowie?

Właśnie tak. I w dodatku powiedziała to głosem, jakiego u niej wcześniej nie słyszałam: słabiutkim, chociaż jak zawsze zdecydowanym. Jak wyznała, to ona zasugerowała kiedyś Carmeli, że gdyby to była powieść albo film, córka zabójcy zakochałaby się w synu ofiary. Mogłaby się z tego narodzić prawdziwie wielka miłość. Carmela wzięła to sobie do serca i już następnego dnia opowiadała wszystkim, że zakochała się w Alfonsie. Tym kłamstwem chciała sobie zapewnić popularność wśród koleżanek, ale mogło ono mieć nieprzewidziane skutki. Długo o tym dyskutowaliśmy. Miałyśmy zaledwie dwanaście lat, ale przechadzałyśmy się, trzymając się pod ramię, po rozpalonych ulicach naszego sąsiedztwa, wśród kurzu i much wzbijanych w powietrze przez przejeżdżające ciężarówki jak dwie dojrzałe kobiety, które podsumowują swoje życie pełne zawodów i rozczarowań. Myślałam sobie, że tylko my dwie się rozumiemy. Tylko my zdajemy sobie sprawę, że atmosfera nad naszą dzielnicą, ciemna i ponura, odkąd sięgałyśmy pamięcią, mogłaby się trochę rozjaśnić, gdyby się okazało, że to nie pan Peluso, bezrobotny stolarz, wbił nóż w szyję don Achillego, ale że zrobiło to indywiduum mieszkające w kanałach albo że córka zabójcy wyszła za mąż za syna jego ofiary. Coś w otaczających nas domach, ulicach, ludziach sprawiało, że życie w tym miejscu było nie do zniesienia. Dałoby się tu wytrzymać, gdyby uwolnić wyobraźnię i wymyślić wszystko na nowo. Do tego potrzeba polotu i

fantazji, ale my dwie – tylko my dwie – miałyśmy ich pod dostatkiem.

W pewnej chwili zadała mi pytanie, które z pozoru nie miało związku z naszą rozmową, ale zabrzmiało tak naturalnie, jakby wszystkie wypowiedziane dotąd słowa do niego właśnie prowadziły:

– Czy nadal jesteśmy przyjaciółkami?

– Tak.

– Czy w takim razie mogłabyś coś dla mnie zrobić?

Zrobiłabym dla niej wszystko tego ranka, kiedy na powrót stałyśmy się sobie tak bliskie. Uciekłabym dla niej z domu, zostawiła naszą dzielnicę, nocowałabym w opuszczonych zagrodach, żywiłabym się korzonkami i schodziła do kanałów przez kraty. I nie wróciłabym nigdy z powrotem, nawet gdyby było zimno i gdyby padał ulewny deszcz. Jej prośba trochę mnie rozczarowała, zdawała mi się niczym w porównaniu z tym, co byłam gotowa dla niej poświęcić. Chciała tylko, żebyśmy się spotykały każdego dnia na skwerze, choćby tylko na godzinę, i żebym na te spotkania przynosiła podręcznik do łaciny.

– Nie będę ci przeszkadzać – dodała.

Wiedziała więc o mojej poprawce i chciała się ze mną uczyć.

7.

W czasach gimnazjalnych wiele się zmieniło na naszym osiedlu dosłownie na naszych oczach, ale działo się to stopniowo, nie czułyśmy się świadkami jakiejś prawdziwej transformacji.

Bar „Solara” powiększył się o sporą cukiernię, w której wypiekaniem ciastek i tortów kierował ojciec Giglioli Spagnuolo. W niedzielę cukiernia zapełniała się mężczyznami, starszymi i młodymi, kupującymi ciastka, którymi w rodzinach kończyło się niedzielny obiad. Synowie Silvia Solary, dwudziestoletni Marcello i niewiele młodszy Michele, kupili biało-granatowego fiata 1100 i pysznili się nim, jeżdżąc tam i z powrotem po ulicach naszej dzielnicy.

W warsztacie stolarskim, który don Achille zabrał panu Pelusowi, nadal sprzedawano wędliny i sery, ale był teraz lepiej zaopatrzony, a towar niekiedy wykładano także na straganach przed sklepem. Rozchodzący się stamtąd zapach

oliwek, suchej kiełbasy, przypraw, słoniny i świeżego chleba wzbudzał głód u przechodniów. Po śmierci don Achillego rozwiął się jego ponury cień, tak długo przytłaczający naszą dzielnicę i jego rodzinę. Wdowa, donna Maria, stała się dla wszystkich bardzo serdeczna, to ona prowadziła teraz sklep, razem z piętnastoletnią córką Pinuccią i synem Stefanem. Stefano nie był już tym samym porywczym chłopakiem, który chciał przedziurawić Lili język. Stał się zrównoważony, miał łagodne spojrzenie i ujmujący uśmiech. Sklep odwiedzała liczna klientela. Moja matka właśnie do nich wysyłała mnie na zakupy, a ojciec nie protestował, tym bardziej że kiedy nie mieliśmy pieniędzy, mogliśmy tam kupować na kredyt. Stefano zapisywał wszystko w specjalnym zeszycie i płaciliśmy pod koniec miesiąca.

Assunta, która z mężem prowadziła obwoźną sprzedaż owoców i warzyw, przestała pracować z powodu bólu kręgosłupa, a miesiąc później mało brakowało, żeby ostre zapalenie płuc zabrało jej męża. Te niedomagania jednakże wyszły im na dobre. Nie objężdżali już teraz codziennie, latem i zimą, w słońcu i deszczu, ulic naszej dzielnicy z ciężkim wozem ciągniętym przez konia. Robił to za nich najstarszy syn, Enzo, w którym nie sposób było rozpoznać chuligana obrzucającego nas niegdyś pod szkołą kamieniami. Wyrósł na silnego krępego młodzieńca o jasnych rozwichrzonych włosach i niebieskich oczach i grubym głosem zachwalał swój towar, zresztą bardzo dobrego gatunku. Już samym zachowaniem Enzo sprawiał wrażenie kupca uczciwego, który zrobi wszystko, żeby jak najlepiej obsłużyć klientów. Zręcznie posługiwał się wagą, lubiłam patrzeć, jak błyskawicznie przesuwają odważnik na skali, szybko znajduje punkt równowagi, po czym brzęczy metalowym talerzem, gdy uwalnia go od ciężaru, i pakuje ziemniaki albo owoce do papierowych torebek, by następnie włożyć je do koszyka pani Spagnuolo, Meliny albo mojej matki.

Cała dzielnica kipiała energią, rodziło się wiele inicjatyw. Do pasmanterii, w której Carmela Peluso zaczęła pracować jako sprzedawczyni, zgłosiła się krawcowa, proponując spółkę, i w krótkim czasie sklep zamienił się w pracownię krawiecką dla pań. Warsztat, w którym pracował syn Meliny, Antonio, dzięki inicjatywie syna właściciela, Gentilego Gorresia, miał szansę stać się małą fabryczką skuterów. Jednym słowem wszystko wrzało, jakby dzielnica chciała zmienić swój dotychczasowy charakter, zapomnieć o dawnych urazach, podłościach i szpetocie i pokazać nową twarz. W czasie, gdy uczyliśmy się z Lilą łaciny na skwerze, zmieniło się nawet nasze najbliższe otoczenie, oczyszczono fontannę, przystrzyżono krzewy, zniknęła dziura w chodniku. Często pachniało smołą, dymił walec drogowy toczący się powoli ulicą, robotnicy z gołymi torsami albo w samych podkoszulkach asfaltowali nawierzchnię. Zmieniały się kolory naszego otoczenia. Starszy brat Carmeli, Pasquale, zatrudnił się

przy wycinaniu roślinności w sąsiedztwie torów kolejowych. Przez wiele dni dochodziły do nas z tamtej strony dźwięki walki z naturą, zapach świeżo pociętego drewna, skoszonej trawy i wilgotnej ziemi. Pasquale i inni robotnicy ścinałi drzewa, a te upadały na ziemię z odgłosem podobnym do głębokiego westchnienia, potem rąbali drewno na kawałki, piłowali gałęzie, wyrywali korzenie pachnące podziemiem. Plama zieleni zniknęła, na jej miejscu zostało żółtawe, nagie pole. Pasquale znalazł tę pracę przypadkiem. Jakiś czas wcześniej dowiedział się od kolegi, że do baru „Solara” przyszło paru mężczyzn, którzy szukają chętnych do wycinania nocą drzew w centrum Neapolu. Pasquale zwykle nie zaglądał do baru, miał pretensje do właściciela i jego synów, bo to u nich jego ojciec uległ nałogowi i przegrał swoje życie, ale tym razem poszedł tam i najął się do pracy, musiał przecież utrzymać rodzinę. Wrócił o świcie, śmiertelnie zmęczony, w nozdrzach czuł jeszcze zapach świeżo ściętych drzew, okaleczonych liści i morza. Potem wzywano go jeszcze czasem do prac tego typu, a teraz chodził codziennie na plac budowy przy torach kolejowych, można go było zobaczyć na rusztowaniach otaczających nowe budynki, jak rozkręca metalowe rurki, piętro za piętro albo jak w czapce z gazety na głowie je kanapkę z kiełbasą i duszonymi liśćmi brokułów podczas przerwy obiadowej.

Lila złościła się, kiedy patrzyłam na Pasqualego i traciłam koncentrację. Od razu spostrzegłam, ku memu ogromnemu zdziwieniu, że łacina nie była jej całkiem obca. Znała na przykład wszystkie deklinacje, radziła sobie także z czasownikami. Zapytałam, skąd to wszystko wie, na co ona w charakterystyczny dla siebie sposób, jak wtedy, kiedy nie chciała tracić czasu na sprawy bez znaczenia, wyznała, że już na początku mojej nauki w gimnazjum pożyczyła z biblioteki, którą prowadzi pan Ferraro, podręcznik do gramatyki i przeczytała go sobie, ot tak, z ciekawości. Powiedziała, że ta biblioteka jest wielkim dobrodziejstwem. Od słowa do słowa, pokazała mi z dumą cztery karty czytelnicze wystawione na nazwiska jej rodziców, Rina i jej własne. Na każdą kartę mogła wypożyczyć jedną książkę, więc za jednym razem dostawała aż cztery. Pochłaniała je w ciągu tygodnia i w następną niedzielę wypożyczała następne cztery tomy.

Nie zapytałam o tytuły książek, jakie przeczytała, nie było na to czasu, musiałyśmy się uczyć. Odpytywała mnie i strasznie się złościła, kiedy czegoś nie wiedziałam. Pewnego dnia uderzyła mnie dość silnie w ramię tymi swoimi długimi chudymi rękami i wcale mnie za to nie przeprosiła. Wręcz przeciwnie – powiedziała, że jeżeli jeszcze raz się pomylę, oberwę mocniej. Była zachwycona słownikiem łacińskim, nigdy przedtem nie widziała tak opasłego i ciężkiego tomiszcza. Wiecznie szukała w nim jakichś słów, nie tylko tych, na które natykałyśmy się w podręcznikowych

ćwiczeniach, ale wszystkich, jakie tylko przychodziły jej do głowy.

Zadawała mi prace domowe tym samym tonem co pani Oliviero. Kazała mi tłumaczyć trzydzieści zdań dziennie, dwadzieścia z łaciny na włoski i dziesięć odwrotnie. Ona też je tłumaczyła i robiła to o wiele szybciej ode mnie. Pod koniec lata, kiedy do egzaminu zostało niewiele dni, z większą niż zwykle uwagą przyglądała się mojej metodzie pracy przy tłumaczeniu. Jak zwykle szukałam nieznanych słów w słowniku w takiej kolejności, w jakiej pojawiały się w przekładanym zdaniu, zapisywałam ich najważniejsze znaczenia i dopiero potem zastanawiałam się nad sensem całości. Widząc to, Lila zapytała:

– Czy to nauczycielka w szkole powiedziała ci, że masz tak robić?

Nauczycielka nigdy nam nic nie mówiła, ograniczała się do zadawania pracy domowej. Ja sama wypracowałam sobie taką metodę.

Lila milczała przez chwilę, po czym poradziła mi:

– Przeczytaj sobie najpierw łacińskie zdanie i poszukaj czasownika. Pomyśl, w której jest osobie, wtedy łatwo znajdziesz podmiot. Kiedy już będziesz miała podmiot, poszukaj dopełnień: dopełnienia bliższego, jeżeli czasownik jest przechodni, jeżeli nie, szukaj innych. Spróbuj w ten sposób.

Spróbowałam i nagle tłumaczenie łacińskich zdań wydało mi się łatwe. We wrześniu stanęłam do egzaminu, w pisemnym nie zrobiłam ani jednego błędu, na ustnym odpowiedziałam na wszystkie pytania.

– Z kim się przygotowywałaś do egzaminu? – zapytała nauczycielka, marszcząc brwi.

– Z koleżanką.

– To studentka?

Nie zrozumiałam, ale odpowiedziałam, że tak.

Lila czekała na mnie na zewnątrz, w cieniu. Uścisnęłam ją, powiedziałam, że bardzo dobrze mi poszło, i zapytałam, czy mogłybyśmy się razem uczyć przez cały przyszły rok szkolny. To ona jako pierwsza zaproponowała, żebyśmy się razem uczyły, zapraszając ją do dalszej wspólnej nauki, chciałam jej okazać radość i wdzięczność. Tymczasem Lila cofnęła się, jakby moje słowa ją zirytowały. Powiedziała, że chciała tylko zobaczyć, co to jest ta łacina, której uczyli się ci szczęściarze, którzy zdali do gimnazjum.

– I co?

– Już wiem. I to mi wystarczy.

– Nie podoba ci się?

– Tak, podoba. Pożyczę sobie jakąś książkę w bibliotece.

– Po łacinie?

– Tak.

– Będziesz się musiała jeszcze dużo nauczyć.

– Ty się ucz. A kiedy będę miała jakiś problem, to mi pomożesz. Ja teraz mam coś innego do roboty. Z moim bratem.

– Co takiego?

– Później ci pokażę.

8.

Zaczął się nowy rok szkolny. Dobrze wystartowałam we wszystkich przedmiotach. Nie mogłam się doczekać, aż Lila poprosi mnie o pomoc w łacinie albo w czymś innym.

Myślę, że uczyłam się nie tyle dla siebie, ile dla niej. Wkrótce byłam najlepsza w klasie. Nawet w szkole podstawowej nie osiągałam tak dobrych wyników.

W tamtym okresie miałam wrażenie, że rozrastam się jak ciasto na pizzę pozostawione do wyrośnięcia. Miałam coraz bardziej obfity biust, pełne uda i krągłe siedzenie. Pewnej niedzieli, kiedy szłam na skwer, gdzie umówiłam się z Gigliolą Spagnuolo, zatrzymał się przy mnie samochód, fiat 1100. Za kierownicą siedział Marcello Solara, towarzyszył mu młodszy brat Michele. Obaj byli przystojni, mieli czarne błyszczące włosy i olśniewający biały uśmiech, ale bardziej podobał mi się Marcello, przypominał Hektora z ilustracji w szkolnym wydaniu *Iliady*. Eskortowali mnie aż do skweru, oni w aucie, ja na chodniku.

– Jechałaś już kiedyś samochodem?

– Nie.

– Wsiadaj, weźmiemy cię na przejażdżkę.

– Ojciec mi nie pozwala.

– Nic mu nie powiemy. Kiedy znowu będziesz miała okazję przejechać się takim samochodem?

Nigdy, pomyślałam. Ale i tak odmówiłam. Powtarzałam swoje „nie”, aż doszłam do skweru, a oni zniknęli ze swoim fiatem za nowo budowanymi domami. Odmówiłam, bo gdyby ojciec dowiedział się, że wsiadłam do samochodu braci Solara, to chociaż był dobrym i spokojnym człowiekiem i bardzo mnie kochał, stłukłby mnie na śmierć.

A moi młodszy bracia, Peppe i Gianni, choć to jeszcze dzieci, czuliby się w obowiązku zabić braci Solara, albo od razu, albo kiedyś w przyszłości. Nie istniało żadne pisane prawo, ale wszyscy wiedzieli, że tak właśnie musi być. Bracia Solara też o tym wiedzieli, i dlatego nie nalegali, zaprosili mnie tylko grzecznie na przejażdżkę i tyle.

Inaczej się zachowali jakiś czas później w stosunku do Ady, najstarszej córki Meliny Cappuccio, oszalałej wdowy, która zrobiła całe to przedstawienie, gdy rodzina Sarratore wyprowadzała się z naszego osiedla. Ada miała wtedy czternaście lat, w niedzielę malowała sobie usta w tajemnicy przed matką i ze swoimi długimi prostymi nogami, z biustem większym nawet niż mój, wydawała się prawie piękna i starsza niż była naprawdę. Bracia Solara zaczepili ją wulgarnymi słowami, Michele pozwolił sobie na to, by złapać ją za ramię i wciągnąć na siedzenie samochodu. Odwieźli ją godzinę później w to samo miejsce. Ada była trochę naburmuszona, ale chichotała.

Ktoś, kto widział, jak bracia Solara wciągali ją do samochodu, doniósł o tym Antoniowi, starszemu bratu Ady, który pracował jako mechanik w warsztacie pana Gorresio. Antonio był bardzo pracowity i sumienny, cichy i nieśmiały. Ciężko przeżył śmierć ojca i nienormalne zachowanie matki. Nie mówiąc ani słowa rodzinie czy znajomym, poszedł któregoś wieczoru przed bar „Solara”. Kiedy pojawili się Marcello i Michele, bez słowa ostrzeżenia rzucił się na nich z pięściami. Przez pierwszych parę minut był górami, ale potem przed bar wyszedł ojciec braci i jeden z pracowników. W czwórkę stłukli Antonia do krwi, nikt z klientów baru ani z przechodniów nie interweniował.

Wśród dziewcząt panowały różne opinie na temat tego zajścia. Gigliola i Carmela stanęły po stronie braci Solara, pewnie dlatego, że byli przystojni i mieli fiata 1100. Ja się wahałam. Przy koleżankach mówiłam to samo co one, zachwyciłam się braćmi Solara, każda z nas dużo dałaby za to, by móc się pokazać na przednim siedzeniu fiata w towarzystwie jednego z tych ślicznych chłopaków. Jednocześnie jednak czułam, że bracia Solara zachowali się paskudnie w stosunku do Ady, a Antonia należy podziwiać za to, że miał odwagę stawić im czoła, choć nie był przystojny ani silny jak Marcello i Michele, którzy trenowali w klubie sportowym podnoszenie ciężarów. Dlatego przy Lili, która bez ogródek i zdecydowanie wyrażała podobne do mego zdanie, ja też wysuwałam niejake wątpliwości.

Pewnego razu podczas gorętszej niż zwykle dyskusji na ten temat Lila z bładą ze wzruszenia twarzą stwierdziła, że gdyby jej przytrafiło się to co Adzie, sama porachowałaby się z braćmi Solara, żeby zaoszczędzić kłopotów ojcu i Rinowi. Jasne, że było jej łatwiej niż nam mówić w ten sposób, bo z racji swego dziecięcego wyglądu, nie znała dreszczu przyjemności wymieszanej z lękiem przy napotkaniu wzroku

któregoś z braci Solara. Gigliola nie omieszkła dać jej tego do zrozumienia:

– Nie przejmuj się, Marcello ani Michele nawet by na ciebie nie spojrzeli.

Myślałyśmy, że Lila będzie urażona tym stwierdzeniem, tymczasem odparła poważnie:

– No i bardzo dobrze.

Pozostała drobna jak zawsze, ale sprawiała wrażenie naprężonej jak struna. Ze zdumieniem patrzyłam na jej dłonie, które w krótkim czasie upodobniły się do spracowanych rąk jej ojca i brata, z pożółkłą i zgrubiałą skórą na opuszkach palców. Choć nikt jej do tego nie zmuszał, choć nie należało to do jej obowiązków, w warsztacie wykonywała proste prace szewskie: kleiła, szyła, lamowała, posługiwała się narzędziami ojca prawie równie zręcznie jak Rino. Pewnie dlatego w tym roku szkolnym wcale nie interesowała się łaciną. W zamian za to opowiedziała mi o pewnym swoim planie, który nie miał nic wspólnego z książkami. Usiłowała przekonać ojca, żeby zaczął robić nowe buty. Fernando nie chciał o tym nawet słyszeć. „Ręczne szycie butów nie ma przyszłości” – mówił – „dzisiaj wszystko robią maszyny, a maszyny kosztują. Pieniądze zaś mają banki albo lichwiarze; na pewno nie nasza rodzina”. Lila nie dawała za wygraną, chwaliła jego umiejętności i robiła to szczerze: „Tato, nikt nie potrafiłby szyc butów tak dobrze jak ty”. On odpowiadał jej wciąż tak samo, że nawet jeżeli jest w tym dużo prawdy, teraz buty produkuje się w fabrykach, niskim kosztem. On pracował w takiej fabryce, więc wie najlepiej, jak słaba jest jakość butów, które trafiają na rynek, ale nic na to nie można poradzić. Ludzie, którzy potrzebują nowych butów, nie zamawiają ich u szewca, tylko kupują w wielkich sklepach przy Rettifilo. Ktokolwiek zdecydowałby się robić buty ręcznie, tak jak należy, wyrzuciłby tylko pieniądze, stracił czas i szybko musiałby zamknąć interes.

Lila nie dała się przekonać i, jak zwykle, przeciągnęła na swoją stronę starszego brata. Z początku Rino trzymał stronę ojca, bo irytowało go, że siostra wypowiada się o sprawach, które były jego domeną i wykraczały poza sferę książek i szkoły. Z czasem jednak dał się porwać entuzjazmowi Lili i skończyło się na tym, że prawie co drugi dzień kłócił się z ojcem, podpierając się argumentacją siostry.

– Przynajmniej spróbujmy!

– Nie.

– Widziałeś, jaki samochód mają bracia Solara? Widziałeś, jak prosperuje sklep Carraccich?

– Widziałem, że właścicielka pasmanterii zrezygnowała z salonu krawieckiego, a Gorresio przez głupotę swojego syna za dużo zainwestował i teraz ma kłopoty.

– Ale bar „Solara” się powiększa.

– Nie interesuj się rodziną Solarą, pilnuj swoich spraw.

– Przy torach kolejowych budują nowe osiedle.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Tato, ludzie teraz lepiej zarabiają i chcą wydawać pieniądze.

– Ludzie wydają na jedzenie, bo każdy musi codziennie jeść. A butów nie zjedzą.

Poza tym, jak się przedziurawią, dadzą je do naprawy i będą mogli w nich chodzić następne dwadzieścia lat. I to właśnie musimy robić – naprawiać buty. Nic więcej.

Lubiłam Rina, bo zawsze był dla mnie miły, potrafił przeciwstawić się ojcu i w każdych okolicznościach solidaryzował się z siostrą. Zazdrościłam jej tej podpory. Moi bracia byli młodszy ode mnie i nie miałam nikogo, kto wspierałby mnie i dodawał mi odwagi w codziennych starciach z matką, a Lila zawsze mogła liczyć na Rina, on obroniłby ją przed każdym, cokolwiek by jej przyszło do głowy. Jednocześnie jednak pomyślałam, że pan Cerullo ma rację i ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że Lila też tak uważała.

Pokazała mi kiedyś projekty butów, męskich i damskich, które chciała zrobić z bratem. Zobaczyłam piękne precyzyjne rysunki wykonane na papierze w kratkę, kolorowe i bogate w detale jak jej obrazki księżniczek ze szkoły podstawowej. Wymyśliła te buty sama, w najdrobniejszych szczegółach, ale wyglądały, jakby zobaczyła je w jakimś równoległym, lepszym od naszego świecie. W niczym nie były podobne do tych, które nosili mieszkańcy naszej dzielnicy ani nawet do pantofli aktorek z komiksów fotograficznych.

– Podobają ci się?

– Są bardzo eleganckie.

– Rino mówi, że trudno byłoby je wykonać.

– Ale on by potrafił?

– Twierdzi, że tak.

– A twój ojciec?

– On na pewno.

– No to je zróbcie.

– Ojciec nie chce.

– Dlaczego?

– Mówi, że nie ma nic przeciwko temu, żebym ja się w to bawiła, ale ani on, ani

Rino nie mogą ze mną tracić czasu.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że potrzeba czasu i pieniędzy, żeby szyć takie buty.

Sporządziła już nawet, w tajemnicy przed Rinem, kosztorys tego przedsięwzięcia.

Wyjęła wygniecione kartki papieru, żeby mi go pokazać, ale w ostatniej chwili zrezygnowała, złożyła je z powrotem i powiedziała, że ojciec ma rację, nie może tracić na to czasu.

– I co teraz zrobisz?

– Musimy spróbować sami.

– Twój ojciec będzie zły, kiedy się dowie.

– Ale jeżeli nie spróbujemy, nigdy się nic nie zmieni.

Uważała, że powinno się zmienić jedno: z biednych musimy stać się bogate, powinniśmy dojść od zera do punktu, w którym niczego nam nie będzie brakować. Przypomniałam jej nieśmiało o naszych niegdysiejszych planach wzbogacenia się na pisaniu powieści, jak to się udało autorce *Małych kobietek*. Ja pozostałam na tamtym etapie i ciągle jeszcze bardzo mi na tym zależało. Łaciny uczyłam się właśnie dlatego i w głębi serca łudziłam się, że chociaż Lila zrezygnowała ze szkoły i upiera się przy tych swoich butach, to przecież wypożycza mnóstwo książek z biblioteki pana Ferraro, co na pewno oznacza, że nadal chce napisać ze mną powieść i zarobić na tym dużo pieniędzy. Lila jednak na moje słowa wzruszyła ramionami, okazując tym gestem zupełny brak zainteresowania *Małymi kobietkami*. Wyjaśniła mi, że w dzisiejszych czasach bogacą się tylko przedsiębiorcy. Miała zamiar zacząć od jednej pary butów pięknych i wygodnych, które chciała pokazać ojcu i w ten sposób przekonać go do swego pomysłu. Jeżeli jej się to uda, złączą produkcję. Dzisiaj dwie pary, jutro cztery, trzydzieści par w ciągu miesiąca, czterysta w pierwszym roku. I tak, w krótkim czasie będą w stanie – ona, ojciec, Rino, matka, reszta rodzeństwa – otworzyć zakład produkcyjny wyposażony w maszyny obsługiwane przez pięćdziesięciu pracowników. Fabryka obuwia Cerullo.

– Fabryka obuwia?

– Tak.

Mówiła, jak to ona, z przekonaniem. Posługując się piękną literacką włoszczyzną formułowała zdania, którymi opisywała znak firmy Cerullo oraz buty piękne, eleganckie i tak wygodne, że będzie można nie zdejmować ich nawet do spania.

Świetnie się bawiłyśmy, co chwila wybuchałyśmy śmiechem. Ale po jakimś czasie Lila zatrzymała się, jakby ta rozmowa skojarzyła jej się z naszymi zabawami sprzed lat z Tiną i Nu przy piwnicznych okienkach, i z miną starej maleńkiej, którą ostatnio widywałam u niej bardzo często, zapytała:

– Wiesz, dlaczego bracia Solara uważają się za panów naszej dzielnicy?

– Bo to bezczelne bubki.

– Nie, to dlatego, że mają pieniądze.

– Tak myślisz?

– Jasne. Zauważyłaś, że nigdy nie zaczepili Pinuccii Carracci?

– Zauważyłam.

– A wiesz, dlaczego tak się zachowali w stosunku do Ady?

– Nie.

– Bo Ada nie ma ojca, jej brat, Antonio, jest nikim, a ona myje z matką schody

w kamienicach. Z tego wniosek, że albo zacznijemy zarabiać i staniemy się bogatsze od braci Solara, albo musimy umieć się przed nimi obronić.

Pokazała mi ostry jak brzytwa nóż szewski, który zabrała ojcu z warsztatu.

– Mnie nie tkną, bo jestem brzydka i nie miałam jeszcze miesiączki – powiedziała – ale ciebie będą zaczepiać. Jeżeli coś się stanie, musisz mi o tym powiedzieć.

Patrzyłam na nią zmieszana. Miałyśmy niecałe trzynaście lat i nic nie wiedziałyśmy o prawie, instytucjach państwowych czy systemie sprawiedliwości. Wiedziałyśmy tylko to, co znałyśmy z doświadczenia, co widziałyśmy wokół siebie od dzieciństwa. Czyż sprawiedliwości nie dochodziło się siłą? Czy Peluso nie zamordował don Achillego? Wróciłam do domu. Uświadomiłam sobie, że swoimi ostatnimi słowami Lila pokazała, że troszczy się o mnie, i poczułam się bardzo szczęśliwa.

9.

Egzamin gimnazjalny zdałam na same ósemki, a z włoskiego i łaciny dostałam dziewiątki. Byłam najlepsza w całej szkole, lepsza od Alfonsa, który zdał ze średnią ocen osiem, i o wiele lepsza niż Gino. Długo rozkoszowałam się tym moim pierwszeństwem. Ojciec był ze mnie bardzo dumny i od tego czasu zaczął się chwalić przed wszystkimi pierworodną córką, która dostała ni mniej ni więcej, tylko dziewiątkę z łaciny. Matka, ku memu zaskoczeniu, powiedziała któregoś dnia, nie odwracając się od zlewu, w którym myła jarzyny:

– W niedzielę możesz zakładać moją srebrną bransoletkę. Tylko jej nie zgub!

Na podwórku nie stałam się z tego powodu bardziej popularna. Tam liczyło się powodzenie u chłopców. Kiedy pochwaliłam się Carmeli Peluso, że jestem najlepszą uczennicą w szkole, od razu zaczęła mówić o tym, jak na nią patrzył Alfonso, kiedy

przechodziła obok niego. Gigliola Spagnuolo spochmurniała na moją nowinę, bo sama miała poprawkę z łaciny i matematyki, ale zaraz postarała się podnieść swój prestiż w naszych oczach, mówiąc, że Gino chodzi za nią, ale ona nie zwraca na niego uwagi, bo jest zakochana w Marcellu Solarze i prawdopodobnie Marcello także się w niej kocha. Lila też nie była szczególnie zachwycona moim pierwszeństwem. Kiedy wymieniałam oceny z wszystkich przedmiotów, zaśmiała się złośliwie:

– Dziesiątki nie dali ci z niczego?

Było mi przykro. Dziesiątkę można było dostać tylko z zachowania. Nauczyciele nikogo nie oceniali tak wysoko z głównych przedmiotów. Wystarczyło mi jednak to jedno zdanie, żeby pewna ukryta myśl ujawniła się i już mnie nie opuszczała: gdyby Lila chodziła ze mną do gimnazjum, do tej samej klasy, gdyby jej kiedyś na to pozwolili, teraz zdałaby egzamin na same dziesiątki. Wiedziałam to od zawsze, ona też o tym wiedziała i teraz dawała mi to do zrozumienia.

Wróciłam do domu zasmucona świadomością, że tylko przypadkiem jestem najlepsza. Poza tym rodzice zaczęli się zastanawiać, do jakiej pracy posłać mnie z tym pięknym świadectwem gimnazjalnym. Matka zamierzała zapytać w sklepie papierniczym czy nie nadam się – ja, taka dobra uczennica – do sprzedawania ołówków, zeszytów i podręczników. Ojciec fantazjował, że może poprzez swoje znajomości uda mu się w przyszłości załatwić dla mnie posadę w magistracie. A mnie opanowywał smutek z dnia na dzień coraz większy, aż w końcu nie chciało mi się nawet w niedzielę wyjść z domu.

Już nie czułam się zadowolona z siebie, wszystko zdawało się przyćmione. Patrzyłam na siebie w lustrze i nie widziałam w nim tego, co chciałabym zobaczyć. Moje jasne włosy pociemniały, miałam szeroki spłaszczony nos, ciało wciąż się jeszcze rozrastało, ale nie przybywało mi wzrostu, nawet skóra zbrzydła, na czole, brodzie i wokół ust mnożyły się wypryski, które najpierw czerwone, nabierały fioletowego odcienia, po czym wykwitwały na nich żółtawe pęcherzyki. Sama z siebie zaczęłam pomagać matce w gotowaniu, w opanowywaniu bałaganu, który zostawiali po sobie bracia, i w opiece nad Elisą, najmłodszą w rodzinie. W czasie wolnym nie wychodziłam z domu, tylko siadałam gdzieś w kąci i czytałam książki pożyczone z biblioteki: Pirandella, Grazię Deledę, Czechowa, Dostojewskiego, Gogola, Tołstoja. Czułam czasem ogromną potrzebę podzielenia się z Lilą wrażeniami z lektur, chętnie odwiedziłabym ją w warsztacie, żeby porozmawiać o postaciach, które stały mi się szczególnie bliskie czy zacytować zdania, których nauczyłam się na pamięć, ale w końcu zawsze z tego rezygnowałam. Pewnie znowu powiedziałyby coś złośliwego, a potem zaczęłyby mówić o planach, jakie snują z Rinem: o butach, fabryczce

i pieniądzech, a ja po kilku minutach stwierdziłabym, że całe to moje czytanie niczemu nie służy, moje życie jest nędzne, a przyszłość beznadziejna, będę grubą, pryszczatą sprzedawczynią w sklepie papierniczym naprzeciw probostwa albo najwyższej urzędniczką w magistracie, starą panną, zezowatą i kulawą jak matka.

Pewnej niedzieli postanowiłam przeciwstawić się tym czarnym myślom.

Bezpośrednim bodźcem stało się imienne zaproszenie do biblioteki, wysłane przez pana Ferrara. Zrobiłam wszystko, żeby ładnie wyglądać. Wydusiłam pryszczę, przez co stały się jeszcze bardziej widoczne, założyłam srebrną bransoletkę matki i rozpuściłam włosy, ale i tak się sobie nie podobałam. Drogę do biblioteki przebyłam w ponurym nastroju, w skwarze, który o tej porze roku przytłaczał naszą dzielnicę już od wczesnego rana jak ciężka ręka spuchnięta od gorączki.

Przez główne wejście do szkoły wlewał się strumień dzieci z rodzicami. Domyśliłam się, że okazja jest niecodzienna. Weszłam do sali udekorowanej kolorowymi girlandami, z rzędami zajętych już krzeseł. Dostrzegłam naszego proboszcza, pana Ferrara, a nawet dyrektora szkoły podstawowej i panią Oliviero. Z inicjatywy pana Ferrara mieli zostać nagrodzeni najpilniejsi czytelnicy biblioteki. Na czas uroczystości przerwano wypożyczanie książek, usiadłam więc w głębi sali i szukałam wzrokiem Lili. Nie dostrzegłam jej, zauważyłam za to Gigliolę Spagnuolo w towarzystwie Gina i Alfonsa. Czułam się skrępowana, kręciłam się na krześle. Po kilku minutach usiedli obok mnie Carmela Peluso i jej brat, Pasquale. Zakryłam włosami policzki zaczerwienione po operacji na pryszczach. Zaczęła się uroczystość. Pierwszą nagrodę dostała Raffaella Cerullo, drugą – Fernando Cerullo, trzecią – Nunzia Cerullo, czwartą – Rino Cerullo, piątą – Elena Greco, czyli ja.

Chciało mi się śmiać. Pasquale zareagował podobnie. Spojrzeliśmy na siebie, starając się zatrzymać śmiech, podczas gdy Carmela pytała szeptem: „Co was tak bawi?”. Nie odpowiedzieliśmy. Patrzyliśmy na siebie, trzymając dłonie na ustach, żeby nie wybuchnąć śmiechem. I tak, odczekawszy, aż pan Ferraro wywoła całą rodzinę Cerullo, ogarnięta niespodziewaną falą radości, poszłam odebrać nagrodę za piąte miejsce w rywalizacji. Pan Ferraro wręczył mi *Trzech panów w łódce* Jerome’a K. Jerome’a i obsypał pochwałami. Podziękowałam i zapytałam półgłosem:

– Czy mogę zabrać nagrody dla rodziny Cerullo? Zaniosę im do domu.

Pan Ferraro nie miał nic przeciwko temu, dał mi wszystkie książki dla rodziny Lili. Po uroczystości Carmela pobiegła do Giglioli, zazdrosna o jej męskie towarzystwo, i już razem rozmawiały z Alfonsem i Ginem.

Pasquale pozostał przy mnie i rozśmieszał mnie do łez żartami na temat Rina, który

psuł sobie wzrok nad książkami, szewca Fernanda, który nie śpi nocami, żeby móc czytać, i Nunzii zatopionej w lekturze, podczas gdy stoi nad fajerkami i miesza sos do makaronu. Pasquale chodził z Rinem do jednej klasy, siedzieli w tej samej ławce i – jak mi powiedział, płacząc ze śmiechu – obaj, wzajemnie sobie pomagając, mieli trudności z odszyfrowaniem sklepowych szyldów. W końcu zapytał, jaką nagrodę dostał szkolny kolega.

– *Brugia umarła.*

– To jest o duchach?

– Nie wiem.

– Mogę pójść z tobą, żeby mu zanieść tę książkę? Albo nie – wręczę mu ją osobiście, dobrze?

Znowu wybuchnęliśmy śmiechem.

– Dobrze.

– Rinuccio dostał książkę w nagrodę! Tego jeszcze nie było! A swoją drogą, to nie do wiary, ile ta Lina czyta. Niesamowita dziewczyna!

Spotkanie z Pasqualem bardzo dobrze mi zrobiło, sprawił mi przyjemność fakt, że poświęcił mi całą swoją uwagę i starał się mnie rozbawić. Pomyślałam, że może nie jestem aż tak brzydka, jak siebie widzę.

W tym momencie usłyszałam, że ktoś mnie woła; to była pani Oliviero. Podeszłam do niej. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i stwierdziła, jakby czytała w moich myślach:

– Wyrosłaś na piękną dziewczynę.

– To nieprawda, proszę pani.

– Prawda, prawda. Jesteś śliczna, dorodna, tryskasz zdrowiem. A do tego jesteś mądra... Słyszałam, że skończyłaś gimnazjum jako najlepsza uczennica.

– Tak.

– I co teraz będziesz robić?

– Pójdę do pracy.

Zasępiła się, ale zaraz powiedziała:

– Nie ma mowy! Musisz się dalej uczyć.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Czego miałam się jeszcze uczyć? Nie miałam pojęcia, jak wygląda system szkolnictwa, nie wiedziałam nawet, gdzie można się uczyć po gimnazjum. Takie słowa jak liceum czy uniwersytet nic dla mnie nie znaczyły, podobnie jak wiele wyrazów, które znajdowałam w powieściach.

– Nie mogę. Rodzice na pewno mi nie pozwolą.

– Co dostałaś z łaciny na koniec roku?

– Dziewiątkę.

– Na pewno?

– Tak.

– W takim razie porozmawiam z twoimi rodzicami.

Wystraszyłam się. Jeżeli pani Oliviero naprawdę pójdzie do rodziców i powie im, żeby posłali mnie dalej do szkoły, znowu zaczną się kłótnie. A ja za nic nie chciałam po raz kolejny tego przeżywać, wolałam pracować w sklepie papierniczym, pomagać mamie w domu, pozostać na zawsze brzydkim i pryszczatym okazem zdrowia – jak to określiła pani Oliviero – i harować przez całe życie za nędzne grosze. Czy Lila nie tak właśnie żyła od trzech lat, czasem tylko pozwalając sobie na szalone marzenia o fabryce obuwia?

– Dziękuję, proszę pani. Do widzenia.

Ale Oliviero przytrzymała mnie za ramię.

– Nie trać na niego czasu – powiedziała, wskazując na Pasqualego czekającego w odległości paru metrów. – Jest murarzem i nigdy nie będzie nikim innym. Poza tym pochodzi ze zdegenerowanej rodziny. Jego ojciec zamordował don Achillego i jest komunistą. Nie chcę cię więcej widzieć z tym chłopakiem. Na pewno też jest komunistą jak ojciec.

Kiwnęłam potakująco głową i odeszłam, nie pożegnawszy się z nią ponownie. Pasquale pozostał na miejscu, ale po chwili usłyszałam za sobą, w niewielkiej odległości, jego kroki. Sprawilo mi to przyjemność. Pasquale nie był przystojny, ale ja też już nie byłam ładna. Miał bardzo kręcone czarne włosy, ciemną karnację, szerokie usta i był synem mordercy, a może nawet komunisty.

Powtarzałam w myślach to słowo, które dla mnie nie miało sensu, ale pani Oliviero dała mi do zrozumienia, że jego znaczenie było pejoratywne. Komunista, komunista, komunista... Byłam nim urzeczona. Komunista i syn mordercy.

Za rogiem Pasquale dołączył do mnie. Przeszliśmy razem prawie całą drogę, zatrzymaliśmy się niedaleko domu i wciąż jeszcze rozbawieni, umówiliśmy się na następny dzień, żeby razem zanieść książki Rinowi i Lili do zakładu szewskiego. Zanim się pożegnaliśmy, Pasquale powiedział, że w następną niedzielę wybiera się z siostrą do Giglioli. Będzie jeszcze kilka osób, zamierzają się uczyć tańczyć. Zapytał, czy nie miałabym ochoty przyjść, może uda mi się namówić także Lilę. Zaskoczył mnie. Wiedziałam, że matka nie pozwoli mi pójść, ale powiedziałam, że dobrze, pomyślę o tym. Wtedy Pasquale podał mi rękę na pożegnanie, na co ja, nieprzyzwyczajona do takich gestów, zawahałam się, po czym dotknęłam tylko na

moment jego szorstkiej dłoni i zaraz cofnęłam swoją.

– Pracujesz jeszcze jako murarz? – zapytałam, chociaż dobrze wiedziałam, jaką usłyszę odpowiedź.

– Tak.

– I jesteś komunistą?

Spojrzał na mnie zmieszany.

– Tak.

– Odwiedzasz ojca w Poggioreale?

Pasquale spoważniał:

– Kiedy tylko mogę.

– No to cześć.

– Cześć.

10.

Tego samego popołudnia pani Oliviero przyszła bez zapowiedzi do mojego domu. Po jej wizycie ojciec był przygnębiony, a matka rozdrażniona. Oliviero wymusiła na nich obietnicę, że zapiszą mnie do najbliższego liceum o profilu humanistycznym.

Zaofiarowała się, że sama znajdzie dla mnie podręczniki. Powiedziała ojcu, patrząc przy tym na mnie surowo, że widziała, jak spacerowałam z Pasqualem Pelusem, który na pewno nie jest odpowiednim towarzystwem dla dziewczyny, która rokuje nadzieje.

Rodzice nie ośmielili się jej przeciwstawić. Przyrzekli uroczyście, że zapiszą mnie do pierwszej klasy, i zaraz potem ojciec, ze srogą miną, zwrócił się do mnie:

– Żebyś mi się nie ważyła więcej rozmawiać z Pasqualem Pelusem!

Przed wyjściem pani Oliviero zapytała mnie w obecności rodziców o Lilę.

Powiedziałam, że Lila pomaga ojcu i bratu w prowadzeniu zakładu, zwłaszcza w rachunkach. Wykrzywiła pogardliwie usta i dodała:

– Czy ona wie, że dostałaś dziewiątkę z łaciny?

Kiwnęłam głową, że tak.

– Powiedz jej, że teraz będziesz się uczyć także greki. Nie zapomnij jej o tym powiedzieć.

Pożegnała się z rodzicami wyprężona i zadowolona z siebie. Jeszcze w progu

odezwała się:

– Ta dziewczyna da nam wiele satysfakcji.

Wieczorem rozsierdzona matka utyskiwała, że teraz trzeba będzie mnie posłać do tej szkoły dla wielkiego państwa, bo Oliviero nie da jej spokoju, poza tym gotowa jeszcze mścić się na Elisie i mała będzie miała kłopoty w szkole. Tymczasem ojciec groził, że połamie mi nogi, jeżeli się dowie, że rozmawiam z Pasqualem Pelusem, jakby to był teraz największy problem. Nagle dał się słyszeć przenikliwy krzyk, który przerwał gderanie w naszym domu. To Ada, córka Meliny, wzywała pomocy.

Podbiegliśmy do okien, na podwórku panowało zamieszanie. Po przeprowadzce rodziny Sarratore Melina zachowywała się na ogół spokojnie. Co prawda była często smutna i roztargniona, ale dziwactwa, na jakie sobie pozwalała, miały łagodny charakter. Śpiewała czasem na cały głos, gdy myła schody albo wylewała brudną wodę na ulicę, nie patrząc, czy ktoś przechodzi. Teraz jednak opanowało ją prawdziwe szaleństwo, i to z radości. Skakała po łóżku i śmiała się głośno, podnosiła przy tym spódnicę, pokazując majtki i chude uda swoim wystraszonej dzieciom. Matka dowiedziała się tego od sąsiadek, które jak ona wyglądały z okien. Dostrzegłam, że Nunzia Cerullo i Lila poszły zobaczyć, co się dzieje, skierowałam się więc do drzwi, żeby do nich dołączyć, ale matka mnie zatrzymała. Poprawiła sobie włosy i utykając, sama poszła ocenić sytuację.

Wróciła oburzona. Ktoś dostarczył Melinie książkę. Tak, ni mniej ni więcej, tylko książkę – jej, która skończyła edukację na drugiej klasie szkoły podstawowej i nigdy w życiu nic nie przeczytała. Na okładce widniało nazwisko Donata Sarratorego, na pierwszej stronie odręczna dedykacja dla Meliny, w środku Donato zaznaczył wiersze, które dla niej napisał. Ojciec, gdy usłyszał o tych dziwactwach, zwyzywał poetę kolejarza od najgorszych. Matka stwierdziła, że ktoś powinien rozwalić głupi łeb temu zasranemu poecie. Przez całą noc słyszeliśmy, jak Melina śpiewa ze szczęścia, słyszeliśmy też głosy jej dzieci, zwłaszcza Antonia i Ady, które bezskutecznie starały się ją uspokoić.

Ja tymczasem miałam zamęt w głowie. W ciągu jednego dnia zwróciłam na siebie uwagę tak skrytego chłopaka, jakim był Pasquale, otworzyła się przede mną możliwość kontynuowania nauki w szkole i odkryłam, że ktoś, kto do niedawna mieszkał na naszym osiedlu, dosłownie naprzeciw mojego okna, wydał książkę. Ta ostatnia wiadomość stanowiła dowód na to, że Lila miała rację, mówiąc, że nam też może się to udać. Co prawda ona już z tego zrezygnowała, ale być może ja, jeżeli będę się uczyć w tej trudnej szkole, która nazywa się liceum, wzmocniona atencją Pasqualego, zdołam sama napisać książkę, tak jak to zrobił Sarratore. I być może,

jeżeli wszystko dobrze pójdzie, wzbogacę się szybciej niż Lila na tych swoich butach.

11.

Następnego dnia poszłam po kryjomu na spotkanie z Pasqualem Pelusem. Pojawił się zaspany i spocony, w ubraniu roboczym poplamionym wapnem. Po drodze opowiedziałam mu o Donacie Sarratorem i Melinie. Stwierdziłam, że historia z książką jest dowodem na to, że Melina nie jest wariatką; Donato naprawdę się w niej zakochał i wciąż jeszcze żywi do niej takie uczucie. Ale podczas kiedy o tym mówiłam i kiedy Pasquale przyznawał mi rację, okazując wrażliwość i zainteresowanie tematem miłości, uświadomiłam sobie, że w całej tej sprawie interesuje mnie tylko i wyłącznie fakt, że Sarratore wydał książkę. Ten skromny pracownik kolei państwowych jest autorem tomu, który pan Ferraro mógłby postawić na półce swojej biblioteki i wypożyczać czytelnikom. Donato Sarratore, którego znaliśmy jako pantoflarza, bo pozwalał żonie wchodzić sobie na głowę, w rzeczywistości jest poetą. W dodatku na naszych oczach dał się ponieść uczuciu tragicznej miłości do Meliny. Z bijącym sercem, podniecona tymi myślami, podzieliłam się nimi z Pasqualem. Natychmiast jednak zauważyłam, że nie podąża za moimi słowami, przytakiwał mi, ale był roztargniony. Zaraz zresztą zmienił temat, zaczął pytać o Lilę – o to, jaką była uczennicą, co o niej myślę, czy bardzo się przyjaźnimy. Chętnie mu odpowiedziałam, po raz pierwszy ktoś chciał się czegoś dowiedzieć o naszej przyjaźni. Przez resztę drogi mówiliśmy tylko o tym. Zauważyłam, że postawiona wobec konieczności znalezienia słów na ten temat, wybieram tylko te pozytywne, a nawet entuzjastyczne, którymi przedstawiam moje stosunki z Lilą w samych superlatywach.

Kiedy doszliśmy do warsztatu szewskiego, ciągle jeszcze o tym rozmawialiśmy. Zastaliśmy tylko Rina i Lilę, pan Cerullo poszedł do domu na poobiednią drzemkę. Brat i siostra siedzieli obok siebie z ponurymi minami, pochyleni nad czymś, co schowali pod stołem, jak tylko nas zobaczyli za przeszkłonymi drzwiami. Podałam Lili nagrody pana Ferrara, podczas gdy Pasquale żartował z Rina:

– Jak już przeczytasz książkę o umarłej Brugii, powiesz mi, czy ci się podobała, to może i ja ją przeczytam.

Śmiali się razem i szeptali między sobą coś na temat Brugii, prawdopodobnie jakieś święstwa. W pewnej chwili zauważyłam, że rozmawiając z Rinem, Pasquale rzucał co chwila ukradkowe spojrzenia na Lilę. Dlaczego tak na nią patrzy? Czego w niej szuka, co w niej widzi? Jego spojrzenia były długie i intensywne, ale Lila zdawała się ich nie zauważać. Dostrzegł je za to Rino i pociągnął kolegę na ulicę, niby po to, żebyśmy nie słyszały żartów na temat Brugii, ale w rzeczywistości dlatego, że nie podobało mu się, jak Pasquale patrzy na siostrę.

Poszłam z Lilą na zaplecze i starałam się dostrzec w niej to, co przyciągnęło uwagę Pasqualego. Miałam jednak przed sobą wciąż tę samą Lilę, bladą i chudą, sama skóra i kości, może tylko jej oczy stały się bardziej wyraziste, a klatka piersiowa nie była już całkiem płaska. Postawiła książki na półce obok innych, które już tam stały, wśród starych butów i zeszytów w podartych okładkach. Napomknęłam o Melinie i jej ataku szaleństwa, ale przede wszystkim dałam ujście entuzjazmowi, jaki ogarnął mnie na wiadomość, że znamy kogoś, kto opublikował książkę. Szeptalam do niej, podniecona, posługując się literacką włoszczyzną:

– Pomyśl tylko, że Nino, jego syn, chodził z nami do szkoły! Być może cała rodzina Sarratore stanie się wkrótce bardzo bogata.

Lila skwitowała to sceptycznym uśmiechem.

– I co z tego? – powiedziała.

Wyciągnęła rękę w kierunku półki, stała na niej książka Donata Sarratorego. Do warsztatu przyniósł ją Antonio, najstarszy syn Meliny, żeby zniknęła matce sprzed oczu. Sięgnęłam po nią, obejrzałam dokładnie. Na czerwonej okładce widniał tytuł: *Próby łagodności* i rysunek gór oraz jasnego słońca nad nimi.

Widok nazwiska: Donato Sarratore nad tytułem zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Otworzyłam książkę i przeczytałam na głos dedykację napisaną piórem: *Melinie, która wzbogaciła moje poezje. Donato. Neapol, 12 czerwca 1958 roku.*

Wzruszyło mnie to, poczułam dreszcze na karku, u nasady włosów. Powiedziałam:

– Nino będzie miał piękniejszy samochód niż bracia Solara.

Lila zwróciła wzrok na książkę, którą trzymałam w ręce.

– Na razie te wiersze przyniosły same szkody.

– Dlaczego tak mówisz?

– Sarratore nie miał odwagi osobiście pójść do Meliny, zamiast tego posłał jej książkę.

– Czy to nie był piękny gest?

– Nie wiem... Teraz Melina na pewno czeka na niego i jeżeli Sarratore nie przyjdzie,

będzie cierpieć jeszcze bardziej niż dotąd.

Jakże pięknie to powiedziała. Patrzyłam na jej twarz o białej gładkiej skórze bez najmniejszej skazy, patrzyłam na jej usta, na delikatny kształt uszu. Podobały mi się jej ręce i gesty, jakie nimi wykonywała. Pomyślałam, że ona też się zmienia, i to nie tylko fizycznie. Zmienił się jej sposób mówienia. Odniosłam wrażenie, że nie tylko potrafiła składnie wyrazić swoje myśli, ale rozwinęła umiejętność, którą posiadała już w dzieciństwie – umiejętność zwiększania napięcia, intensyfikowania rzeczywistości słowami, dodawania jej energii. Jednocześnie zauważyłam z zadowoleniem, że kiedy Lila zaczynała mówić w ten sposób, potrafiłam odpowiedzieć jej podobnie. I pomyślałam sobie, że to właśnie odróżnia mnie od Carmeli i innych koleżanek: zapalam się razem z nią, wystarczy, że słyszę, jak mówi. W pewnej chwili, podczas gdy Lila rozprawiała o miłości, a ja bez trudu dotrzymywałam jej pola, uczucie zadowolenia zakłóciła przykra myśl. Dotarło do mnie, że się pomyliłam: Pasquale, murarz, komunista i syn mordercy, przyszedł ze mną do zakładu szewskiego nie po to, żeby mi towarzyszyć, ale z powodu Lili, żeby móc ją zobaczyć.

12.

Ta myśl odebrała mi na chwilę oddech. Chłopcy weszli do warsztatu, przerywając naszą rozmowę. Pasquale wyznał ze śmiechem, że uciekł z budowy, nie pytając o zgodę szefa, i teraz musi jak najszybciej wrócić do pracy. Zauważyłam, że znowu patrzy na Lilę, długo i intensywnie, jakby wbrew sobie, jakby jej chciał tym spojrzeniem powiedzieć: dla ciebie ryzykuję zwolnienie z pracy. Zaraz potem zwrócił się do Rina:

– W niedzielę idziemy wszyscy na potańcówkę do Giglioli. Lenuccia też przyjdzie, a wy?

– Niedziela jest jeszcze daleko. Pomyślimy o tym później – odparł Rino.

Pasquale po raz ostatni spojrzął na Lilę, ta jednak nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi, wyszedł więc z zakładu, a mnie nie zapytał nawet, czy będę mu towarzyszyć.

Ogarnęło mnie uczucie przykrości i rozdrażnienia. Dotknęłam palcami policzków, były rozpalone. Siłą powstrzymałam się od powtórzenia tego gestu. Rino wyciągnął

spod stołu przedmioty, które tam schował, gdy weszliśmy z Pasqualem do zakładu, i znowu zaczął je przeglądać, a my wróciłyśmy z Lilą do rozmowy o książkach i miłości. Powiedziałyśmy sobie wszystko, co przyszło nam do głowy na temat Donata Sarratorego, szaleńczej miłości Meliny i tomiku poezji. Zastanawiałyśmy się, co się teraz wydarzy, jak zachowa się ta na wpółobląkana kobieta po tym, jak książka z poezjami – może nie tyle jej treść, ile nazwisko autora na okładce i dedykacja na pierwszej stronie – na nowo rozpałała płomień w jej sercu. Rozmawiałyśmy z przejęciem, aż wreszcie Rino stracił cierpliwość i przywołał nas do porządku:

– Przestańcie! Lila, wracaj do pracy, bo zaraz przyjdzie ojciec i nic już dzisiaj nie zrobimy!

Przestałyśmy. Rzuciłam okiem na skrzynkę, którą Rino miał przed sobą. Była w niej forma wycięta z drewna, podeszwy, kawałki skóry, noże, szydła i grube igły. Lila wyjaśniła mi, że próbują z Rinem uszyć parę męskich butów, a Rino natychmiast kazał mi przysiąc na głowę małej Elisy, że nikomu o tym nie powiem. Robili to w tajemnicy przed ojcem. Skórę Rino dostał od kolegi, który pracował w garbarni w Ponte di Casanova. Na szycie butów poświęcali każde pięć minut wolnego czasu, nie udało im się przekonać ojca, żeby im pomógł, wręcz przeciwnie – za każdym razem, gdy zaczynali mówić na ten temat, pan Cerullo wyrzucał Lilę z zakładu, krzycząc za nią, że nie ma więcej przychodzić, a Rinowi groził, że go zatłucze, jeżeli nie nauczy się w wieku dziewiętnastu lat szanować ojca.

Udałam zainteresowanie ich perypetiami, ale w rzeczywistości niewiele mnie obchodziły. Chociaż wybrali mnie na swoją powiernicę, nie miałam nic wspólnego z ich planami, mogłam być tylko obserwatorką. Jeżeli Lila osiągnie sukces w tej dziedzinie, zrobi to beze mnie. Poza tym nie potrafiłam zrozumieć, jak chwilę po naszej gorącej dyskusji o miłości i poezji, może odprowadzać mnie obojętnie do drzwi, jakby w jednym momencie przestało ją interesować wszystko, co nie było związane z szyciem butów. Przecież tak dobrze nam się rozmawiało o Melinie i Donacie Sarratore! Nie mogłam uwierzyć, że skrzynka ze skrawkami skóry i narzędziami szewskimi jest dla niej ważniejsza niż cierpienia z powodu miłości. Buty nie obchodziły mnie ani trochę. Czy mogłam przejmować się choć trochę męskim pantoflem, jeżeli czułam jeszcze tę bliskość, jaka nawiązała się między nami na zapleczu warsztatu, jakbyśmy przeczytały tam razem jakąś powieść albo wspólnie obejrzały szczególnie dramatyczny film? Bolało mnie, że Lila wybrała swoje szewskie przedsięwzięcie a nie naszą dyskusję i spokojnie szła ze mną do drzwi, nie wracając już do wcześniejszego tematu. Bolało mnie, że była niezależna, a ja potrzebowałam jej desperacko, że miała swój świat, do którego ja nie mogłam wejść. Cierpiałam na myśl, że Pasquale – nie jakiś

dzieciuch, ale dorosły już chłopak – na pewno znajdzie sposób, żeby się z nią spotykać, i przekona ją, żeby zaręczyła się z nim w tajemnicy przed wszystkimi, będzie ją całować i pieścić, robić to wszystko, co – jak słyszałam – robią narzeczeni, a wtedy Lila już wcale nie będzie mnie potrzebować.

Chcąc się pozbyć uczucia odrzucenia i pokazać, ile jestem warta, oznajmiłam jej, że będę się uczyć w liceum. Zrobiłam to na jednym oddechu, już w drzwiach. Powiedziałam, że pani Oliviero przekonała moich rodziców, obiecując, że poszuka dla mnie używanych podręczników, za które nie będziemy musieli nic płacić. Pragnęłam, żeby wierzyła, że jestem kimś specjalnym, nie do zastąpienia. Nawet kiedy wspólnie z Rinem wzbogaci się już na tych swoich butach, będzie mnie potrzebować tak samo jak ja jej potrzebuję.

Patrzyła na mnie skonsternowana.

– Co to jest liceum?

– Szkoła, w której można się uczyć po skończeniu gimnazjum.

– I co ty tam będziesz robić?

– Będę się uczyć.

– Czego?

– Łaciny.

– Tylko?

– Także greki.

– Greki?

– Tak.

Widać było po jej minie, że jest skonsternowana i nie wie, co powiedzieć. Po chwili rzekła:

– W zeszłym tygodniu dostałam okres – i weszła z powrotem do warsztatu, choć Rino jej nie wezwał.

13.

Teraz więc i ona krwawiła. Tajemnicze procesy, w wyniku których zmieniło się moje ciało, zaczęły zachodzić także w niej. Ona też się zmieni; już się zmienia. Przede mną zauważył to Pasquale, a może i inni chłopcy. Wobec tej wiadomości perspektywa nauki

w liceum straciła znaczenie. Długo nie mogłam myśleć o niczym innym jak tylko o metamorfozie, której wkrótce ulegnie Lila. Czy wypięknieje jak Pinuccia Carracci, Gigliola i Carmela? A może zbrzydni jak ja? Po powrocie do domu przyglądałam się sobie w lustrze. Jaka jestem naprawdę? Jaka będzie Lila?

Zaczęłam więcej dbać o siebie. Pewnego niedzielnego popołudnia na spacer na skwer włożyłam niebieską świąteczną sukienkę z dekoltem w karo i srebrną bransoletkę matki. Na widok Lili, takiej samej jak w dni powszednie, z czarnymi rozczochranymi włosami, w skromnej wypłowiałej sukience, poczułam satysfakcję. To ta sama Lila co zawsze, nerwowa i chuda. Tyle tylko, że urosła, była teraz tylko trochę, może centymetr niższa ode mnie. Ale co to za zmiana? Żadna w porównaniu z moimi kobiecymi kształtami.

Chodziłyśmy między skwerem a jezdnią, było wcześnie, nie ustawili się jeszcze przy tej trasie spacerowej sprzedawcy nasion białego łubinu, prażonych orzeszków i migdałów. Lila, jakby od niechcienia, zaczęła wypytywać mnie o liceum. Przekazałam jej, co wiedziałam na ten temat. Nie było tego dużo, ale starałam się przedstawić to jak najbardziej atrakcyjnie. Chciałam ją zaciekawić, chciałam, aby zapragnęła uczestniczyć w tej mojej przygodzie, by poczuła, że coś ze mnie traci, tak samo jak ja zawsze bałam się, że stracę coś z niej. Szłam od strony ulicy, ona przy mnie. Mówiłam przez cały czas, ona słuchała uważnie.

W pewnej chwili podjechali do nas bracia Solara swoim fiatem 1100. Przy kierownicy siedział Michele, obok Marcello. Ten ostatni zaczął nas zaczepiać, nie tylko mnie, ale nas obie: „Ale ładne panienki! Nie nudzi wam się tak chodzić tam i z powrotem tą samą ulicą? Neapol jest duży! To najpiękniejsze miasto na świecie, piękne jak wy! Wsiadajcie, przewieziemy was, za pół godziny będziecie z powrotem”.

Nie powinnam była tego robić, ale zrobiłam. Zamiast patrzeć do przodu i nie zwracać na nich uwagi, jakby nie istnieli ani oni, ani ich samochód, zamiast nie przerywać rozmowy z Lilą, jakbym ich nie usłyszała, poczułam się atrakcyjna i pożądana, już jedną nogą w szkole dla wielkich państwa, gdzie na pewno będą chłopcy z samochodami lepszymi niż fiat braci Solara. Obróciłam się więc do nich i powiedziałam:

– Dziękujemy, ale nie możemy.

Wtedy Marcello wyciągnął do mnie rękę przez okienko. Zobaczyłam ją z bliska, była szeroka i krótka, choć Marcello był wysoki i dobrze zbudowany. Pięć rozwartych palców złapało mnie za przegub, podczas gdy on mówił do brata:

– Zahamuj, Michele. Widziałeś, jaką bransoletkę nosi córka woźnego?

Samochód się zatrzymał. Krótkie palce chłopaka zaciśnięte na moim przedramieniu

pofałdowały mi skórę. Cofnęłam gwałtownie rękę z odrazą. Bransoletka rozerwała się i upadła między krawężnik a koła samochodu.

– O Boże! Zobacz, co zrobiłeś! – od razu pomyślałam o matce.

– Spokojnie – odrzekł, otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu. – Zaraz ci ją naprawię.

Był wesoły i miły. Znowu wyciągnął rękę do mojego przegubu, jakby chciał odbudować zażyłość przerwana gwałtownym gestem. To była chwila. Lila, o połowę mniejsza od niego, popchnęła go na auto, przystawiła do gardła szewski nóż i spokojnie gwarą powiedziała:

– Dotknij ją jeszcze raz i zobaczysz, co się stanie.

Zaskoczony Marcello znieruchomiał. Michele wyszedł natychmiast z samochodu, mówiąc uspokajająco:

– Nic się nie bój, Marcello, ta mała dziwka na pewno nie będzie miała odwagi, żeby ci coś zrobić.

– Chodź, podejdź do mnie, to zobaczysz, czy mam odwagę.

Michele obszedł samochód, a ja wybuchnęłam płaczem. Z miejsca, w którym stałam, widziałam, że szpic noża przeciął skórę na szyi Marcella, z ranki wypłynęło kilka kropel krwi. Mam tę scenę wciąż przed oczami: upał, nieliczni przechodnie, Lila pochylona nad Marcellem, jakby dostrzegła na jego twarzy jakiegoś ohydneho robaka i chciała mu go zdjąć. Została mi też w pamięci pewność, jaką miałam w tamtej chwili, że Lila nie zawaha się poderżnąć mu gardło. Zrozumiał to także Michele.

– No dobrze, niech ci będzie – powiedział spokojnym, prawie rozbawionym głosem i wrócił na miejsce kierowcy. – Wsiadaj, Marcello, przeproś panienki i jedziemy.

Lila powoli odsunęła nóż od gardła Marcella. Chłopak uśmiechnął się do niej nieśmiało, był wyraźnie zbity z tropu.

– Chwileczkę – powiedział.

Klęknął przede mną na chodniku, jakby chciał mnie przeprosić kornym ukłonem. Sięgnął ręką pod samochód i podniósł z ulicy bransoletkę. Obejrzał ją i naprawił, zaciskając paznokciami przerwane srebrne ogniwo. Podał mi ją, ale patrzył nie na mnie, tylko na Lilę. To do niej powiedział: przepraszam. Potem wsiadł do samochodu i odjechali.

– Rozpłakałam się z powodu bransoletki, nie ze strachu – powiedziałam.

Tamtego lata granice naszej dzielnicy zaczęły się dla mnie zacierać. Pewnego ranka ojciec zabrał mnie z sobą do miasta. Chciał mi pokazać, jaką drogą i jakimi środkami komunikacji będę musiała jeździć od pałacu do liceum.

To był piękny, słoneczny i wietrzny dzień. Czułam się kochana, ważna dla ojca. Ja ze swej strony podziwiałam go bardziej niż kiedykolwiek. Widziałam, że doskonale się orientuje w ogromnych przestrzeniach miasta, wiedział, gdzie są stacje metra, gdzie wsiąść do tramwaju czy autobusu. Łatwo nawiązywał kontakt z obcymi ludźmi w środkach komunikacji czy urzędach i w rozmowie zawsze potrafił przemycić informację, że pracuje w magistracie i w razie potrzeby może wpłynąć na przyspieszenie różnych spraw, pomóc otworzyć drzwi, które pozostają zamknięte przed zwykłymi obywatelami. Na ulicy, wobec napotkanych osób zachowywał się przyjacielsko i grzecznie. W domu nigdy go takim nie oglądałam.

Spędziliśmy razem dzień, jedyny taki w naszym życiu, innych nie pamiętam. Poświęcał mi całą swoją uwagę, jak gdyby chciał mi przez ten czas przekazać wszystko, czego się dowiedział w swoim życiu. Zaprowadził mnie na plac Garibaldiego i na budowę dworca kolejowego. Jak powiedział, była to tak nowatorska konstrukcja, że z Japonii przyjeżdżały delegacje, by się jej przypatrzeć, zwłaszcza kolumnom wspierającym strop, i wybudować podobną w swoim kraju. Wyznał mi, że stara stacja bardziej mu się podobała, darzył ją sentymentem. Ale na to nic nie można poradzić, taki właśnie jest Neapol: wciąż kroi się go i zszywa, przerabia na okrągło, dzięki temu krąży pieniądź i ludzie mają pracę.

Przeszliśmy przez corso Garibaldiego aż do budynku mojej przyszłej szkoły. W sekretariacie ojciec łatwo zaskarbił sobie sympatię urzędników, miał miłe usposobienie, którego nie ujawniał, gdy przebywał u siebie, na naszym osiedlu, a tym bardziej w swoim domu. Kiedy rozmawiał ze szkolnym stróżem, okazało się, że jest dobrym znajomym świadka na jego ślubie, nie omieszkał się też pochwalić przed nim moim pięknym świadectwem. Słyszałam, jak pyta na prawo i lewo: „Co słyhać?”. I powtarza: „Zrobi się, co się da”. Pokazał mi plac Karola III, budynek Albergo dei Poveri, ogród botaniczny, via Foria i muzeum Capodimonte. Poprowadził mnie przez via Costantinopoli, Port'Alba, piazza Dante i Toledo. Byłam oszołomiona natłokiem nazw, kolorów i dźwięków, ulicznym zgiełkiem, atmosferą święta. Staralam się wszystko jak najlepiej zapamiętać, by móc o tym opowiedzieć Lili. Nie mogłam się

nadziwić, z jaką łatwością ojciec nawiązywał kontakty z przypadkowo spotkanymi ludźmi: z właścicielem pizzerii, gdzie kupił mi gorącą pizzę z serem, i ze sprzedawcą owoców, od którego dostałam żółtą brzoskwinię. Czy to możliwe, że tylko w naszej dzielnicy królują przemoc i waśnie, podczas gdy reszta miasta jest radosna i przyjazna?

Poszliśmy do miejsca pracy ojca przy piazza Municipio. Tam też, jak mi powiedział, wszystko zostało odnowione, poza tym wycięto roślinność.

– Widzisz, ile jest teraz miejsca? Wszystko tu jest nowe. Stary jest tylko Maschio Angioino, stary, ale piękny, bo musisz pamiętać, że oprócz niego jest tylko jeden w Neapolu, godny tego miana, prawdziwy mężczyzna, to twój ojciec, maleńka – zażartował sobie na temat podwójnego znaczenia popularnej nazwy Nowego Zamku.

Weszliśmy do magistratu. Ojciec witał się z napotkanymi ludźmi, zdawało się, że wszyscy go tu znają. Do niektórych zwracał się szczególnie poufale, przedstawiał mnie i do znudzenia powtarzał, że miałam w szkole dziewiątki z włoskiego i łaciny. Z innymi był bardziej powściągliwy, prawie milczący, mówił tylko: „Tak jest, dobrze, robi się”. Wreszcie obiecał, że pokaże mi z bliska Wezuwiusza i morze.

Nigdy tego nie zapomnę. Szliśmy w kierunku via Caracciolo, wiatr wiał coraz mocniej, słońce świeciło coraz jaśniej. Wezuwiusz jawił się jako delikatna pastelowa forma, u której stóp tłoczyły się białe domy przypominające z daleka otoczaki. Widziałam ziemiste kontury Castel dell’Ovo, widziałam morze. Było piękne: wzburzone i głośnie. Wiatr zapierał oddech, oblepiał ciała ubraniami, zdmuchiwał włosy z czoła. Staliśmy w grupce ludzi, którzy podziwiali ten sam co my widok. Fale toczyły się jak rury z niebieskiego metalu zwieńczone białą pianą, po czym rozpryskiwały na tysiące lśniących łusek przy samej ulicy, czemu towarzyszyło westchnienie zachwytu przyglądających się temu ludzi. Jaka szkoda, że nie ma Lili! Czułam się ogłuszona potężnymi podmuchami wiatru i szumem morza. Bałam się, że pomimo moich starań, by jak najwięcej wchłonąć ze wspaniałego widowiska, dużo szczegółów umknie mojej uwadze.

Ojciec ścisnął moją dłoń, jakby się bał, że mu się wyśliznie. To prawda, że chętnie zostawiłabym go samego i pobiegła na drugą stronę ulicy, by dać się obsypać morzu błyszczącymi łuskami. Wyobraziłam sobie, że jestem sama w tym nowym dla mnie świecie i że ja też jestem całkiem nowa, wolna od minionych doświadczeń, i mam przed sobą całe życie; zostanę w nim wystawiona na trudy i niebezpieczeństwa, z których jednak będę umiała wyjść zwycięsko. W tej chwili istniałam tylko ja; ja i Lila, z którą razem – i tylko razem – mogłyśmy chłonąć kolory i dźwięki, obserwować otaczających nas ludzi i przedmioty, opowiadać o nich i tym samym

obdarzyć je większą mocą.

Po powrocie poczułam się w naszej dzielnicy, jakbym wróciła z bardzo daleka. Oto te same co zawsze, dobrze mi znane ulice, sklep z wędlinami Stefana i jego siostry Pinucci, Enzo sprzedający owoce z wozu i fiat 1100 braci Solara zaparkowany przed barem, na który teraz nie chciałam nawet spojrzeć. Szczęście, że matka nie dowiedziała się o wypadku z bransoletką i nikt nie doniósł Rinowi o tym zajściu.

Opowiedziałam Lili o ulicach w centrum miastach, o dźwiękach i niezwykłym świetle przy morzu. Ale od razu opadł ze mnie entuzjazm. Gdybym to ja słuchała jej opowieści, zaraz włączyłabym się do niej drugim głosem, podsycalabym ją pytaniami i komentarzami, okazywałabym zaciekawienie i starała się ją przekonać, że musimy razem zobaczyć te same miejsca – koniecznie! – bo ja wzbogacę jej wrażenia, będę najlepszym towarzystwem, jakie można sobie wyobrazić, o wiele lepszym niż ojciec. Tymczasem Lila słuchała mnie bez zainteresowania. W pierwszej chwili pomyślałam, że to przez zawiść chce osłabić mój zachwyt, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że jest inaczej. Na pewno mnie słuchała, jednak myślami była na ulicach naszego osiedla, wśród jego mieszkańców, wśród rachitycznej roślinności na skwerze, przy Giglioli spacerującej z Alfonsem i Carmelą, blisko Pasqualego, który machał do niej ręką z rusztowania, obok Meliny mówiącej o Donacie Sarratore i Ady starającej się zaciągnąć ją do domu. Była ze Stefanem, który kupił sobie właśnie fiata 500 giardinetta i wiozł teraz na przednim siedzeniu matkę, a na tylnym siostrę. Myślała o braciach Solara objeżdżających sąsiedztwo samochodem, o Marcellu, który nie tracił okazji, by posłać nam miłe spojrzenie, podczas gdy Michele udawał, że nas nie widzi, myślała wreszcie o swych planach trzymanyh w tajemnicy przed ojcem, o planach produkowania butów. Moje opowieści były dla niej pustymi słowami, opisywały miejsca, które nic jej nie obchodziły. Zainteresuje się nimi, kiedy sama będzie je mogła odwiedzić. Jediną reakcją Lili na mój słowotok było stwierdzenie:

– Muszę powiedzieć Rinowi, że Pasquale Peluso zaprosił nas na potańcówkę w niedzielę.

No właśnie – ja jej opowiadam o centrum Neapolu, a dla niej centrum stanowiło mieszkanie Giglioli w jednym z domów naszego osiedla. Było mi przykro.

Pasquale często organizował wspólne rozrywki w dni wolne od pracy, był bardzo wielkoduszny – zapraszał na nie wszystkich, starszych i młodszych. My nigdy dotąd nie skorzystałyśmy z jego zaproszenia. Ja – żeby uniknąć dyskusji z rodzicami, Lila – bo Rino był temu przeciwny. Chodziłyśmy czasem po kryjomu patrzeć, jak czekał w umówionym miejscu, odświeżony i przyczesany, na przyjaciół i znajomych. Spotykali się najczęściej przy stacji benzynowej, widziałyśmy Enza, Gigliolę i

Carmelę, która chciała, żeby ją nazywać Carmen, czasem także Rina, kiedy nie miał nic do roboty, i Antonia, którego jednak ograniczały problemy z matką, a kiedy Melina była spokojna, przychodziła też jego siostra Ada, ta sama, którą bracia Solara wciągnęli do samochodu i wozili gdzieś przez godzinę. Gdy była ładna pogoda, szli nad morze i wracali wieczorem z twarzami zaczerwienionymi od słońca. Częściej zbierali się u Giglioli, której rodzice byli bardziej gościnni od naszych, i tam uczyli się tańczyć.

Od tego czasu Lila zaczęła ciągnąć mnie z sobą na te potańcówki. Nieoczekiwanie naszło ją upodobanie do tańca. Zarówno Pasquale, jak i Rino okazali się świetnymi tancerzami i to od nich nauczyłyśmy się tanga, polki, walca i mazurka. Rino, jako nauczyciel, szybko tracił cierpliwość, szczególnie przy siostrze, Pasqualemu za to cierpliwości nie brakowało. Z początku kazał nam stawać na swoich stopach, kiedy tańczył, żebyśmy się jak najszybciej nauczyły kroków, później kręciliśmy się już swobodnie w rytm muzyki po całym domu.

Odkryłam, że bardzo lubię tańczyć, najchętniej robiłabym to przy każdej okazji. Po Lili też było widać, że bardzo chce się nauczyć tej nowej sztuki, ale chyba właśnie w samej nauce znajdowała największą przyjemność. Świadczy o tym na przykład fakt, że często siedziała i patrzyła, jak inni tańczą, klaszcząc najlepszym parom. Pewnego razu, gdy odwiedziłam ją w domu, pokazała mi książeczkę wypożyczoną z biblioteki, która za pomocą rysunków wirujących w tańcu kobiety i mężczyzny uczyła tanecznych kroków. W tym okresie Lila była bardzo wesoła, okazywała niezwykłą u niej żywiołowość, ale i tak zaskoczyła mnie, gdy złapała mnie w pasie i pociągnęła w tany, nucąc melodię tanga. Zajrzał do nas Rino i wybuchnął śmiechem na ten widok. On też zapragnął zatańczyć, najpierw ze mną, potem z siostrą, chociaż bez muzyki. Trzymając mnie w ramionach, powiedział, że Lilę opanowała prawdziwa mania, do tego jest perfekcjonistką i chce, żeby ciągle z nią ćwiczył, chociaż przecież nie mają gramofonu. Jak tylko wypowiedział słowo: gramofon, Lila powtórzyła je głośno z kąta pokoju: „Gramofon! gramofon!” – i zwięzając oczy po swojemu, zapytała:

– Wiesz, skąd pochodzi to słowo?

– Nie.

– Z greki.

Spojrzałam na nią niepewnie. Tymczasem Rino wypuścił mnie z objęć i złapał siostrę. Lila pisnęła z radości, podała mi książeczkę i pofrunęła z nim w tańcu. Odłożyłam podręcznik na półkę z książkami. Co ona takiego powiedziała? Gramofon? Przecież to włoskie słowo. W tej samej chwili dostrzegłam, że pod tomem *Wojny i pokoju* leżała gramatyka języka greckiego w obszarpanej okładce, z sygnaturą

biblioteki pana Ferrara. Gramatyka. Języka greckiego. Usłyszałam jej zdyszany oddech za plecami:

– Napiszę ci potem wyraz „gramofon” greckimi literami.

Powiedziałam, że muszę wracać do domu, i wyszłam.

15.

Zacząła uczyć się greki, zanim jeszcze ja rozpoczęłam naukę w liceum? Zabrała się do tego z własnej woli, latem, podczas wakacji, gdy ja nawet jeszcze o tym nie pomyślałam? Czy zawsze musi robić to co ja, wcześniej i lepiej ode mnie? Zostawiać mnie z tyłu, gdy gonię za nią albo deptać mi po piętach, żeby zaraz potem mnie przeskoczyć?

Przez jakiś czas unikałam jej. Byłam na nią zła. Poszłam do biblioteki po gramatykę grecką, ale mieli tylko jeden egzemplarz, wypożyczony teraz komuś z rodziny Cerullo. Po raz pierwszy w życiu pomyślałam, że może powinnam wymazać Lilę ze swojego życia jak krede z tablicy. Nie mogę wiecznie gonić za nią ani żyć z obawą, że za chwilę to ona mnie dogoni i zaraz zostawi daleko z tyłu. Nie chcę czuć się zawsze gorsza.

Ale to nie potrwało długo, wkrótce znowu zaczęłam jej szukać. Pozwoliłam, żeby mnie nauczyła tańczyć kadryla i żeby mi pokazała, jak się pisze różne włoskie słowa greckim alfabetem. Nalegała, żebym się go nauczyła przed rozpoczęciem roku szkolnego, i zmusiła mnie do ćwiczeń w zapisywaniu i odczytywaniu greckich liter. Miałam teraz jeszcze więcej pryszczy. Chodziłam na wieczorki tańczące do Giglioli, ale czułam się na nich skrępowana i niezdarna. Miałam nadzieję, że to minie, ale było coraz gorzej. Pewnego razu Lila z Rinem tak pięknie tańczyli walca, że wszyscy inni zatrzymali się i zostawili miejsce dla nich. Patrzyłam oczarowana. Byli urodziwi i doskonale z sobą zgrani. Pomyślałam, że wkrótce Lila całkiem zgubi swoje dziecięce rysy, podobnie jak dobrze znana melodyjka gubi się w nazbyt wymyślnej aranżacji. Już nie była chuda i płaska. Wysokie czoło, wielkie oczy, które często zwężały się niespodziewanie, zgrabny nos, kości policzkowe, usta, uszy czekały na nową aranżację – było dla mnie oczywiste, że wkrótce się jej doczekają. Kiedy Lila cesała się w koński ogon, widok jej odkrytej długiej szyi był przejmujący. Na klatce piersiowej wyraźnie zarysowywały się krągłości przypominające małe jabłuszka. Doskonała linia pleców

przechodziła w coraz bardziej wypukłą krzywiznę pupy. Łydki pozostały na razie chude jak u dziewczynki, ale pewnie niewiele było trzeba, by dopasowały się do reszty sylwetki. Domyślałam się, że chłopcy, obserwując ją w tańcu z bratem, zauważali więcej szczegółów niż ja. Przede wszystkim Pasquale, ale także Antonio i Enzo. Wlepiali w nią wzrok, jakby wszystkie inne dziewczęta w jednej chwili zniknęły z pokoju. A przecież ja miałam większe piersi, Gigliola była jasną blondynką o regularnych rysach twarzy i ładnych nogach, Carmela miała piękne oczy i zmysłowe ruchy. Wszystko to jednak bladło w obecności Lili. Jej ciało emanowało energią, która oszałamiała mężczyzn, była jak coraz głośniejsze werble ogłaszające zbliżanie się piękna. Chłopcy ocknęli się dopiero wtedy, gdy przestała grać muzyka, pokrywając zmieszanie niepewnymi uśmiechami i przesadnym aplauzem.

16.

Lila miała zły charakter. Tak właśnie o niej myślałam w jakimś ukrytym zakamarku duszy. Pokazała już kiedyś, że potrafi zranić nie tylko słowami, że byłaby w stanie bez wahania zabić człowieka. Teraz podejrzewałam ją o zdolność do jeszcze gorszych czynów. Kojarzyło mi się z nią wyrażenie pochodzące z bajek, jakich słuchałam w dzieciństwie: szatański urok. Świadczyło to o mojej infantylnej egzaltacji, ale było w tym ziarno prawdy. W Lili wyczuwało się nie tylko coś pociągającego, lecz także groźnego. Stało się to coraz bardziej widoczne nie tylko dla mnie, która obserwowałam ją od pierwszej klasy szkoły podstawowej, ale i dla innych.

Pod koniec lata znajomi Rina zaczęli coraz częściej nalegać, żeby na wieczorne wyjścia poza osiedle, czy to na spacer, czy na pizzę, zabierał z sobą siostrę. Ale Rino wolał zachować prywatne życie dla siebie. On też się zmieniał. Fantazja i nadzieja, jakie zasiała w nim Lila, wydały nieciekawe owoce. Zrobił się z niego chełpliwy fanfaron, nie tracił okazji, żeby dać do zrozumienia, jak świetnie sobie radzi w pracy i jak szybko się wzbogaci. Z upodobaniem powtarzał jedno zdanie: wystarczy, żeby szczęście uśmiechnęło się do mnie, i będę mógł narobić braciom Solara na głowę. Nigdy jednak nie występował z podobnymi przechwałkami w obecności siostry. Przy niej tracił rezon, nawet jeśli zaczynał mówić coś w tym stylu, zaraz spuszczał z tonu. Zdawał sobie sprawę, że Lila bierze mu to za złe, jakby zdradzał ich sekretny układ,

dlatego wolał nie mieć jej przy sobie w czasie wolnym, wystarczyło, że pracowali cały dzień razem w warsztacie. Wymykał się z domu, żeby móc swobodnie chełpić się przed kolegami. Lecz od czasu do czasu musiał ustąpić.

Pewnej niedzieli, po długiej dyskusji z moimi rodzicami, którzy ustąpili dopiero po tym, jak Rino wielkodusznie wziął za mnie osobistą odpowiedzialność, wyszliśmy razem wieczorem poza nasze osiedle. Zobaczyliśmy miasto oświetlone reklamami, zatłoczone ulice. Poczuliśmy smród zepsutych ryb po upalnym dniu, ale i smakowite zapachy dochodzące z restauracji, kawiarni i barów o wiele bardziej okazałych niż bar „Solara”. Nie wiem, czy Lila miała wcześniej okazję oddalić się od naszego osiedla ze swoim rodzeństwem lub z kimś innym. Jeżeli nawet tak było, nigdy mi o tym nie mówiła. Pamiętam, że tamtego wieczoru przez cały czas milczała. Przemierzyliśmy plac Garibaldiego, ona zostawała zawsze z tyłu. Zatrzymywała się, żeby przyjrzeć się czyścibutowi przy pracy, popatrzeć na kobietę z wyzywającym makijażem i na różnych podejrzanych typów. Obserwowała ludzi z natężoną uwagą, spoglądała im prosto w twarz, niektórzy reagowali na to śmiechem, inni wykonywali gest znaczący: czego chcesz? Co jakiś czas szarpałam ją za ramię i ciągnęłam za sobą w obawie, że zgubimy Rina, Pasqualego, Carmelę, Antonia i Adę.

Tego dnia zatrzymaliśmy się w pizzerii przy Rettifilo, było nam bardzo wesoło. Miałam wrażenie, że Antonio, przewyciężywszy nieśmiałość, próbował się do mnie zalecać, i cieszyło mnie to, bo równoważyło względy, jakimi Pasquale obdarzał Lilę. W pewnym momencie jeden z piekarzy, mężczyzna może trzydziestoletni, zaczął obracać w powietrzu surowym plackiem pizzy z przesadną wirtuozerią, uśmiechając się przy tym do Lili, która patrzyła na niego z podziwem.

– Przestań – Rino przywołał ją do porządku.

– Nic nie robię – odparła Lila i odwróciła wzrok.

Ale krótko potem sytuacja się zaostrzyła. Pasquale z uśmiechem na twarzy zauważył, że ten mężczyzna – który nam, dziewczętom, wydawał się już leciwy, miał obrączkę na palcu i pewnie kilkoro dzieci – posłał Lili po kryjomu całusa ręką. Od razu obróciliśmy się w jego kierunku, ale niczego nie zauważyliśmy, ot, wykonuje swoją pracę i tyle. Jednak Pasquale, wciąż uśmiechnięty, zwrócił się do Lili z pytaniem:

– To prawda, czy się mylę?

Lila zaśmiała się nerwowo, co bardzo kontrastowało ze spokojnym uśmiechem Pasqualego, i odparła:

– Ja nic nie widziałam.

– Daj spokój, Pasquale – powiedział Rino, piorunując siostrę wzrokiem.

Lecz Pasquale podniósł się z krzesła, podszedł do lady oddzielającej salę od pieca

pizzy, obszedł ją i wciąż z tym samym uśmiechem na ustach uderzył piekarza w twarz tak silnie, że ten zatoczył się pod piec.

Natychmiast pojawił się właściciel lokalu, mężczyzna koło sześćdziesiątki, błądy i niewysoki. Pasquale powiedział spokojnie, że nic się nie stało, chciał tylko wyjaśnić jego pracownikowi coś, co nie było dla niego jasne, teraz problem został rozwiązany. Skończyliśmy nasze pizze w milczeniu, ze spuszczonego wzrokiem, przeżuując powoli kawałki ciasta, jakbyśmy się bali, że są zatrute. Kiedy już wyszliśmy z lokalu, Rino zrugął Lilę, konkludując groźbą:

– Zrób to jeszcze raz, a nigdy cię już z sobą nie zabiorę.

Co się właściwie stało? Mężczyźni, których spotykałyśmy na ulicy, patrzyli na wszystkie dziewczęta: na te ładne, na nieszpetyne i na te całkiem brzydkie. Tak to już było, czy to w naszej dzielnicy, czy poza nią, i my: Ada, Carmela i ja, zwłaszcza po zejściu z braćmi Solara, nauczyłyśmy się trzymać oczy opuszczone, udawać, że nie słyszymy ordynarnych zaczepek, i iść swoją drogą.

Lila nie. Podczas niedzielnego spaceru doświadczałam przy niej sporo emocji. Kiedy ktoś na nią spoglądał, ona odpowiadała spojrzeniem. Kiedy ktoś adresował do niej jakąś zaczepkę, zatrzymywała się zmieszana, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że to do niej, i czasem, zaciekawiona, reagowała jakimś pytaniem. Przychodziło jej to tym łatwiej, że – co dziwne – zaczepki, jakie do niej kierowano, prawie nigdy nie były ordynarne, co innym dziewczynom zdarzało się notorycznie.

Pewnego sierpniowego popołudnia doszliśmy aż do parku miejskiego i usiedliśmy przy jednym z barów, bo Pasquale, który w tym okresie zachowywał się jak hiszpański grand, chciał nam wszystkim kupić lody. Przy sąsiednim stoliku siedziała rodzina, matka, ojciec i trzech synów w wieku między 7 a 12 lat. Oni też jedli lody. Wyglądali na bardzo porządną, nobliwą rodzinę, ojciec, tęgi mężczyzna koło pięćdziesiątki, przypominał nauczyciela liceum. Mogę przysiąc, że Lila nie wykonała żadnego prowokacyjnego gestu, nie była umalowana i miała na sobie te same co zawsze skromne szmatki uszyte przez matkę. Na pewno my, a zwłaszcza Carmela, bardziej rzucałyśmy się w oczy. Tymczasem mężczyzna przy sąsiednim stoliku nie spuszczał wzroku właśnie z Lili, na co wszyscy zwróciliśmy uwagę, a ona, choć starała się kontrolować, też spoglądała czasem na niego, jakby chciała zrozumieć, dlaczego tak ją kontempluje. Było widać, że Rino, Pasquale i Antonio są coraz bardziej nerwowi. Mężczyzna, pewnie nieświadomy napięcia, jakie spowodował, wstał z krzesła, stanął przed Lilą i zwracając się do chłopców, grzecznie powiedział:

– Jesteście szczęściarzami, macie przy sobie dziewczynę, która wkrótce będzie piękniejsza od Wenus Botticellego. Wybaczcie śmiałość, ale powiedziałem to żonie,

powiedziałem synom i czułem potrzebę podzielenia się także z wami tą obserwacją.

Lila wybuchnęła śmiechem, nie wytrzymując napięcia. Mężczyzna uśmiechnął się, skłonił uprzejmie i chciał już wrócić do swego stolika, gdy Rino chwycił go za kark, pociągnął, posadził siłą na krzesło i przed żoną oraz synami obrzucił ordynarnymi wyzwiskami, jakich używało się na naszym osiedlu. Mężczyzna rozzłościł się, żona zaczęła krzyczeć, Antonio przytrzymał Rina... Następna zepsuta niedziela.

Ale szczególnie nieprzyjemny incydent zdarzył się pewnego dnia, gdy nie było z nami Rina. W pamięć zapadło mi nie tylko samo zajście, ale i atmosfera, jaka mu towarzyszyła. Matka Giglioli urządziła przyjęcie imieninowe (miała na imię Rosa, o ile się nie mylę), na które zaprosiła osoby w różnym wieku. Jej mąż był cukiernikiem w barze „Solara”, miała więc czym podjąć gości. Podała wyśmienite ciastka i likiery oraz napoje gazowane dla dzieci, przygotowała płyty z muzyką taneczną, od klasycznej, po najnowsze przeboje. Z zaproszenia skorzystali ludzie, którzy nigdy nie przyszliby na nasze, o wiele skromniejsze przyjęcia. Zjawił się na przykład aptekarz z żoną i najstarszym synem Ginem, który podobnie jak ja wybierał się do liceum, przyszedł pan Ferraro i cała jego liczna rodzina, przyszła donna Maria, wdowa po don Achillem, z dziećmi: Alfonsem i Pinuccią w kolorowej sukience, przyszedł nawet Stefano.

Pojawienie się rodziny Carraccich spowodowało z początku trochę napięcia, bo przyszli także Pasquale i Carmela Peluso, dzieci zabójcy don Achillego. Napięcie jednak szybko opadło. Alfonso był miłym chłopcem i zamienił nawet parę słów z Carmelą. On też zamierzał rozpocząć naukę w moim liceum. Pinuccia była szczęśliwa, że nareszcie wyrwała się ze sklepu, w którym pracowała na okrągło. Stefano bardzo wcześnie zrozumiał, że kto zajmuje się handlem, nie może nikogo lekceważyć, więc wszystkich mieszkańców naszego osiedla traktował jak potencjalnych klientów i każdego bez wyjątku obdarzał swym miłym, łagodnym uśmiechem. Starał się tylko nie krzyżować spojrzenia z Pasqualem. Natomiast donna Maria, która zwykle na widok pani Peluso odwracała twarz w drugą stronę, zostawiła swoje dzieci i plotkowała z matką Giglioli. Zresztą szybko zaczęły się tańce, nastąpiła wrzawa i wszelkie zaszłości przestały kogokolwiek interesować.

Po kilku tańcach tradycyjnych zabrzmiał rock and roll, absolutna nowość, której wszyscy, dorośli i dzieci, byli bardzo ciekawi. Zgrzałam się i usunęłam w kąt. Umiałam tańczyć rock and rolla, ćwiczyłam często z moim bratem Peppem i z Lilą w niedzielę w jej domu, ale bałam się ośmieszyć przy wykonywaniu tych gwałtownych ruchów i choć było mi trochę żal, zdecydowałam, że tylko popatrzę na innych. Lila też nie opanowała do końca kroków tego tańca, poruszała się w nim bez wdzięku, co

zresztą jej powiedziałam. Moją krytykę potraktowała jako wyzwanie i postanowiła ćwiczyć sama, bo Rino nie tańczył rock and rolla. Tamtego dnia jednak, może dlatego, że nie czuła się jeszcze w pełni przygotowana, postanowiła, ku mojemu zadowoleniu, patrzeć tylko, jak tańczą Pasquale i Carmela Peluso.

W pewnej chwili podszedł do niej Enzo. Ten sam Enzo, który rzucał w nas kamieniami, który niespodziewanie stawiał czoło Lili w turnieju arytmetycznym i który podarował jej wianek upleciony z jarzębu. W ostatnich latach bardzo zmęźniał, choć niewysoki, miał muskularne, silne ciało, nawykłe do ciężkiej pracy. Wyglądał na starszego nawet od Rina, który miał najwięcej lat z nas wszystkich. Było po nim widać, że musi radzić sobie z kamorystami ściągającymi haracze na targu warzywnym, że wstaje przed świtem i niezależnie od pogody, w zimno i upały, krąży po ulicach, sprzedając z wozu owoce. Jednak na jego twarzy blondyna z niebieskimi oczami, jasnymi brwiami i rzęsami pozostały jeszcze rysy tamtego zbuntowanego dzieciaka, z którym miałyśmy kiedyś do czynienia. Mówił niewiele i zawsze bardzo spokojnie, posługiwał się tylko gwarą; żadnej z nas nie przyszłoby do głowy, żeby z nim żartować albo choćby porozmawiać. Teraz to on podjął inicjatywę. Zapytał Lilę, dlaczego nie tańczy. Odparła, że nie wyćwiczyła jeszcze dobrze kroków tego tańca. Enzo milczał przez chwilę, po czym powiedział, że on też nie. Kiedy jednak nastawiono płytę z następnym rock and rollem, złapał ją za rękę, jakby to było coś najbardziej naturalnego, i poprowadził na środek sali. Lila, która zwykle skakała jak oparzona, kiedy ktoś choćby ją dotknął bez jej zgody, tym razem zareagowała inaczej: spojrzała na niego z wdzięcznością i zaraz poddała się rytmowi. Pewnie bardzo pragnęła zatańczyć rock and rolla.

Od razu było widać, że Enzo nie jest dobrym tancerzem. Wykonywał oszczędne ruchy, był poważny i powściągliwy, ale robił wszystko, by Lila mogła się popisać swoimi umiejętnościami. Ona zaś, choć nie poruszała się tak zgrabnie jak Carmela, zdołała, jak zwykle, skupić na sobie uwagę obecnych. Enzowi też się podoba – pomyślałam przybita. A także Stefanowi ze sklepu z wędlinami, zauważyłam to od razu – patrzył na nią przez cały czas, jakby była jakąś gwiazdą filmową.

Podczas gdy Lila tańczyła z Enzem, pojawili się bracia Solara. Zaczęłam drżeć, jak tylko ich zobaczyłam. Przywitali się z cukiernikiem i jego żoną, po drodze pokleпали przyjacielsko Stefana, a potem stanęli z boku i patrzyli na tancerzy z minami panów całego osiedla, za jakich się uważali. Obserwowali Adę, która nie podnosiła na nich wzroku, i szeptali coś między sobą. W kierunku Antonia wykonali przesadnie serdeczny gest pozdrowienia, ale Antonio udał, że tego nie widzi. Wreszcie dostrzegli Lilę i utkwili w niej wzrok, szepcząc sobie coś na ucho. Michele zgodził się na to, co

usłyszał, ruchem głowy tak energicznym, że wszyscy mogli to zauważyć.

Ani na chwilę nie spuściłam z nich wzroku i niewiele potrzebowałam, żeby zrozumieć, że Marcello – ten Marcello, który tak bardzo podobał się dziewczętom – nie był ani trochę zły na Lilę za zajście z szewskim nożem. Wręcz przeciwnie. Było jasne, że jest oczarowany jej elegancką, zgrabną sylwetką oraz twarzą o niespotykanej na naszym osiedlu, a może i w całym Neapolu urodzie. Patrzył na nią tak intensywnie, jakby postradał tę odrobinę rozumu, jaką posiadał, i nie spuścił z niej wzroku nawet wtedy, gdy muzyka zamilkła.

Potem wszystko rozegrało się w jednej chwili. Enzo odwrócił się, żeby odprowadzić Lilę na miejsce, Stefano i Marcello równocześnie ruszyli, by zaprosić ją do następnego tańca, ale wyprzedził ich Pasquale. Lila uśmiechnęła się do niego z wdziękiem i aż klasnęła w ręce z radości. Przed tą drobną czternastolatką stało czterech chłopaków w różnym wieku, z których każdy na swój sposób był przekonany o swoim prawie pierwszeństwa. Igła gramofonu zgrzytnęła na płycie, popłynęła muzyka. Stefano, Enzo i Marcello odstąpili do tyłu lekko speszeni. Pasquale zaczął tańczyć z Lilą, a jako że był naprawdę wybornym tancerzem, szybko zapomniała o bożym świecie.

Michele, być może przez poczucie solidarności z bratem albo przez zwykłe zamiłowanie do burd, znalazł sposób na zakłócenie spokoju. Trącił łokciem Stefana i powiedział głośno:

– Co z ciebie za mężczyzna? Jak możesz tak spokojnie patrzeć, jak ten pieprzony komunista, syn mordercy twojego ojca tańczy z dziewczyną, z którą ty chciałeś zatańczyć?

Pasquale na pewno nie usłyszał tych słów, bo muzyka grała głośno, a on był zajęty akrobacjami z Lilą, ale ja je usłyszałam, podobnie jak Enzo, który stał przy mnie, i naturalnie Stefano. Czekaliśmy tylko, aż coś się wydarzy, nic się jednak nie działo. Stefano potrafił się kontrolować. Sklep z wędlinami cieszył się dużą popularnością. Stefano zamierzał go powiększyć, dokupując sąsiednie pomieszczenie, uważał się za szczęśliwca i był przekonany, że dostanie od życia wszystko, czego zapragnie. Odrzekł więc po chwili z uroczym uśmiechem:

– Niech sobie tańczy, dobrze mu to idzie – i patrzył na Lilę, pokazując, że tylko ona go interesuje. Michele skrzywił się z obrzydzeniem i poszedł szukać cukiernika i jego żony.

Co zamierzał zrobić? Widziałam, jak rozmawia z gospodarzami, gestykulując gwałtownie, wskazuje ręką na donnę Marię stojącą w kącie, na Stefana, Alfonsa i Pinuccię, na Pasqualego tańczącego z Lilą i na Carmelę w parze z Antoniem. Kiedy tylko zamilkła muzyka, matka Giglioli wzięła serdecznym ruchem Pasqualego pod

ramię i zaprowadziła go na bok, szepcząc mu coś do ucha.

– Ruszaj! – powiedział Michele do brata ze śmiechem. – Masz wolną drogę.

Marcello Solara zaprosił Lilę do tańca. Byłam pewna, że mu odmówi, wiedziałam, że go nienawidzi. Ale stało się inaczej. Rozległa się muzyka i Lila, rozgrzana rock and rollem, poszukała najpierw wzrokiem Pasqualego i nie dostrzegłszy go, złapała Marcella za rękę, jakby do tej ręki nie było dołączone ramię i reszta ciała, i powróciła do tego, co w tej chwili było dla niej najważniejsze: do tańca.

Spojrzałam na Stefana i Enza. W atmosferze wyczuwało się napięcie. Serce biło mi silnie ze strachu, kiedy zobaczyłam, że Pasquale podszedł do Carmeli i powiedział coś, gestykulując gwałtownie. Carmela zaprotestowała, ale on ją uciszył. Zbliżył się do nich Antonio i wymienił półgłosem kilka słów z Pasqualem. Obaj patrzyli wrogo na Michelego Solarę, który znowu szeptał coś ze Stefanem, i na Marcella, okręcającego w tańcu Lilę. Antonio wyciągnął Adę spośród tancerzy. Skończyła się następna piosenka. Gdy Lila stanęła na powrót przy mnie, powiedziałam jej:

– Dzieje się coś niedobrego, musimy wyjść.

Roześmiała się i odparła:

– Nawet gdyby nastąpiło trzęsienie ziemi, muszę jeszcze raz zatańczyć – i spojrzała na Enza opartego o ścianę. Jednak Marcello był szybszy i Lila pozwoliła, żeby pociągnął ją na środek sali.

Podszedł do mnie Pasquale i z ponurą miną powiedział, że musimy iść.

– Poczekajmy, aż Lila skończy ten taniec.

– Nie, musimy zaraz wyjść – odrzekł tonem, który nie dopuszczał protestów, ostrym i gburowatym. Skierował się do wyjścia i mijając Michelego Solarę, potracił go silnie ramieniem. Ten roześmiał się i skłął go ordynarnie półgłosem. Pasquale nie zatrzymywał się już, szedł energicznym krokiem do drzwi, za nim podążali niechętnie Carmela i Antonio, który ciągnął za sobą Adę.

Obróciłam się, żeby zobaczyć, co robi Enzo, ale on dalej stał oparty o ścianę i przyglądał się tańczącej Lili. Muzyka zamilkła, Lila podeszła do mnie, towarzyszył jej Marcello z oczami błyszczącymi z zadowolenia.

– Musimy iść! – krzyknęłam prawie, nie panując nad zdenerwowaniem.

Lila prawdopodobnie usłyszała w moim głosie napięcie, bo rozejrzała się dokoła, jakby się właśnie obudziła.

– Dobrze, idziemy – zgodziła się półprzytomnie.

Skierowałam się do drzwi, nie czekając już ani chwili. Znowu rozbrzmiała muzyka. Marcello Solara złapał Lilę za ramię i poprosił z nerwowym uśmiechem:

– Zostań, odprowadzę cię do domu.

Lila spojrzała na niego z niedowierzaniem, jakby dopiero teraz go rozpoznała i nie mogła zrozumieć, jak ten chłopak może sobie pozwolić na taką poufałość. Próbowwała uwolnić ramię, ale Marcello ścisnął mocniej palce, nalegając:

– Jeszcze tylko jeden taniec.

W tej chwili Enzo oderwał się od ściany i bez słowa złapał Marcella za przegub. Widzę go, jakby to było wczoraj: młodszy i niższy od Marcella, był spokojny i zdawało się, że to co robi, nie kosztuje go ani trochę wysiłku. Siłę jego uchwytu dostrzegłam tylko po twarzy Marcella Solary, który w jednej chwili puścił ramię Lili i z grymasem bólu zaczął sobie masować rękę. Wychodziliśmy już, kiedy usłyszałam, jak Lila mówi do Enza gwarą:

– Dotknął mnie, widziałeś? Ten gnojek mnie dotknął! Szczęście, że nie było przy tym Rina. Jak to zrobi jeszcze raz, nie pożyje długo.

Czy to możliwe, że nie zwróciła uwagi, z kim przetańczyła ostatnie dwa kawałki? Możliwe. Taka właśnie była Lila.

Pod domem spotkaliśmy Pasqualego, Antonia, Carmelę i Adę. Pasquale nie posiadał się ze złości, nigdy go jeszcze nie widzieliśmy w takim stanie. Wrzeszczał na całe gardło, oczy miał zasłane szałem, nie umieliśmy go uspokoić. Był wściekły na Michelego, ale jeszcze bardziej na Marcella i Stefana. Mówił rzeczy, które trudno nam było zrozumieć. Mówił, że bar „Solara” był bazą dla lichwiarzy związanych z kamorrrą, dla kontrabandzistów i dla tych, którzy agitowali na rzecz monarchistycznego ruchu Stella e Corona. Mówił, że don Achille był szpiegiem na usługach nazifaszystów i że pieniądze, za które urządził sklep prowadzony teraz przez Stefana, zarobił na czarnym rynku. Krzyczał: „Ojciec dobrze zrobił, że go zabił! Resztą Solarów, ojcem i synami, sam się zajmę! Później załatwię Stefana i całą jego rodzinę!”. Potem zwrócił się z wyrzutem do Lili, to ona zraniła go najdotkliwiej: „A ty... ty tańczyłaś z tym dupkiem!”.

W tej chwili zaczął krzyczeć także Antonio, jakby złość Pasqualego wpompowała mu powietrze do płuc. Pragnął pozbawić go satysfakcji rozprawienia się z braćmi Solara, chciał sam się z nimi policzyć za to, co zrobili Adzie. Ada wybuchnęła płaczem, Carmela też nie umiała się opanować i zaczęła jej wtórować. Enzo starał się nas przekonać, żebyśmy się oddalili z tego miejsca: „Idziemy spać!” – powtarzał. Ale Pasquale i Antonio chcieli zostać, żeby zmierzyć się z braćmi Solara. „Idź sam, zobaczymy się jutro” – powiedzieli do Enza z udawanym spokojem, ale złość biła im z twarzy. Enzo odparł na to cichym głosem: „Jeżeli zostanieie, ja także zostanę”. W tej chwili ja też się rozplakałam, a chwilę po mnie – co poruszyło mnie najbardziej – rozplakała się Lila, której jeszcze nigdy, ale to naprawdę nigdy nie widziałam we

łzach.

Tak więc cztery dziewczęta płakały rozpaczliwie, ale Pasquale zmiękł dopiero wtedy, gdy zobaczył łzy Lili. Powiedział zrezygnowanym tonem:

– Dobrze, dzisiaj damy sobie spokój. Załatwię to z nimi innym razem.

Wzięłyśmy go z Lilą pod ramiona i pociągnęły z sobą, mówiłyśmy najgorsze rzeczy o braciach Solara, ale starałyśmy się go przekonać, że należy żyć, jakby oni nie istnieli. Potem Lila, wycierając oczy wierzchem dłoni, zapytała:

– Kim są ci nazifaszyści, Pasquale? A monarchiści? Co to jest czarny rynek?

17.

Trudno mi powiedzieć, dlaczego słowa Pasqualego wywarły na Lili aż tak ogromne wrażenie. We mnie w tamtym czasie nie pozostawiły żadnego śladu. Tymczasem ona, jak to ona, skoncentrowała się na nich bez reszty i aż do końca lata o niczym innym nie myślała i nie mówiła. Dzisiaj streściłabym jej ówczesne refleksje następująco: każdy ludzki gest, słowo czy nawet westchnienie zawiera w sobie ślad popełnionych zbrodni i występków.

Oczywiście Lila wyrażała to wtedy w inny sposób; tak czy inaczej to była prawdziwa obsesja. Wskazywała na ludzi spotkanych na ulicy, mówiąc: „Ten był na wojnie i strzelał do ludzi. Ten używał faszystowskich metod: pałował ludzi i poił ich olejem rycynowym. Ten donosił na swoich sąsiadów, tamten głodził własną matkę”.

Sporo też wiedziała o różnych miejscach w naszej dzielnicy: „W tym domu torturowano i zabijano ludzi, przy tym obelisku faszyści organizowali wiece, za rogiem tego domu pobito pewnego człowieka, tu mieszka rodzina, której dobrze się powodzi, bo doprowadziła do nędzy inną rodzinę, właściciel tego samochodu wzbogacił się na dosypywaniu śmieci do mąki i sprzedaży zepsutego mięsa na czarnym rynku, ten sklep otworzył człowiek, który zarobił na miedzianych kablach skradzionych na kolei, w tamtym barze spotykają się kamoryści, lichwiarze i przemytnicy”.

Wkrótce przestała jej wystarczać wiedza Pasqualego. Wyglądało to tak, jakby on wprowadził w ruch jakiś mechanizm w jej głowie, który teraz porządkował chaotyczną masę informacji znajdujących w różnych źródłach, między innymi w książkach wypożyczanych z biblioteki. Z dnia na dzień była tym coraz bardziej przejęta. Dążąc

do otrzymania ogólnej wizji rzeczywistości, bez dziur i niedomówień, znajdowała wytłumaczenie dla tej atmosfery przemocy i stałego napięcia, którą oddychaliśmy w dzieciństwie. Faszizm, nazizm, wojna, alianci, monarchia, republika miały dla niej rysy znajomych twarzy, kształty domów w sąsiedztwie, cechy konkretnych miejsc. Don Achille i czarny rynek, komunista Peluso, dziadek braci Solara – kamorysta i ich ojciec Silvio – faszysta, gorszy jeszcze od synów, ojciec Lili – szewc Fernando i mój tata... Wszyscy, ale to absolutnie wszyscy byli w jej oczach splamieni mrocznymi zbrodniami lub co najmniej przewinieniami, byli złoczyńcami albo ich współnikami, bo sprzedali się za grosze. Ona i Pasqua le uwięzili mnie w strasznym świecie, z którego nie było ucieczki.

Z czasem Pasquale przestał mówić, zastąpiła go Lila, z tą swoją zdolnością kojarzenia faktów i spinania ich w łańcuch zaciskający się wokół nas ze wszystkich stron. Często widziałam ich, jak spacerowali razem, ale o ile przedtem Lila chłonęła jego słowa, teraz on słuchał, co ona miała do powiedzenia. Myślałam sobie, że jest bardzo zakochany. Przypuszczałam, że wkrótce i ona się w nim zakocha, zaręczą się, pobiorą i będą już zawsze prowadzić rozmowy o polityce. Później urodzą im się dzieci i te dzieci, gdy dorosną, też będą mówić o tym samym.

Kiedy rozpoczął się nowy rok szkolny, z jednej strony cierpiałam, bo wiedziałam, że nie będę już miała czasu dla Lili, ale z drugiej cieszyłam się, że przestanę słuchać o występkach, podłościach i tchórzostwie ludzi, których znaliśmy, kochaliśmy i od których pochodziliśmy – ja, ona, Pasquale, Rino, my wszyscy.

18.

Przez pierwsze dwa lata liceum pracowałam o wiele intensywniej niż w gimnazjum. Znalazłam się w klasie mieszanej, jednej z niewielu w tej szkole. Wśród czterdziestu dwóch uczniów było niewiele dziewcząt i nie znałam żadnej z nich. Gigliola, choć zapowiadała, że wybiera się do liceum, i obiecywała, że będzie siedzieć ze mną w jednej ławce, zaczęła pracować z ojcem w cukierni rodziny Solara. Z chłopców znałam Alfonsa i Gina, którzy usiedli obok siebie w pierwszym rzędzie. Widać było, że są wystraszeni, trzymali się razem i zachowywali, jakby mnie nie znali. W przydzielonej nam klasie panował nieprzyjemny zapach kwaśnego potu, niemytych

nóg i strachu. Przez pierwsze miesiące liceum prawie się nie odzywałam. Siedziałam w jednej z ostatnich ławek, skąd słabo widziałam nauczycieli i tablicę, opierając czoło na rękę, żeby zakryć pryszcze. Nie zawarłam bliższej znajomości z koleżanką z ławki, ona też nie wydawała się mną zainteresowana. Dzięki pani Oliviero miałam wszystkie podręczniki, ale było po nich widać, że przede mną korzystało z nich wielu uczniów. Narzuciłam sobie, podobnie jak w gimnazjum, żelazną dyscyplinę: uczyłam się przez całe popołudnie i wieczór aż do jedenastej, rano powtarzałam lekcje od piątej do siódmej, potem wychodziłam do szkoły. Po drodze spotykałam często Lilę, która biegła do zakładu szewskiego, by go posprzątać i uporządkować przed przyjściem ojca i brata do pracy. Wypytywała mnie, jakie przedmioty będę miała tego dnia i czego już się nauczyłam. Wymagała konkretnych, precyzyjnych informacji. Jeżeli moje odpowiedzi uznawała za niewystarczające, zasypywała mnie dodatkowymi pytaniami. Budził się we mnie wtedy lęk, że za mało się uczę i nie będę w stanie odpowiedzieć na pytania nauczycieli tak samo, jak nie potrafię zaspokoić ciekawości Lili. Czasami, w zimne poranki, gdy wstawałam przed świtem, żeby powtórzyć lekcje w lodowatej kuchni, przychodziło mi do głowy, że poświęcam sen i cierpię chłód nie po to, żeby dostać dobry stopień w tej szkole dla wielkich państwa, ale żeby jak najlepiej wypaść przed córką szewca. Śniadanie też jadłam w pośpiechu z jej powodu, przełykałam szybko kawę z mlekiem i wybiegałam na ulicę, żeby droga, którą przebywałyśmy razem, nie skróciła się ani o metr z powodu mojego spóźnienia.

Czekałam na nią w bramie. Widziałam, jak zbliża się od strony swojego domu, i konstatowałam, że wciąż jeszcze się zmienia. Przerosła mnie i straciła kanciaste ruchy dziecka, które miała jeszcze przed paroma miesiącami, jak gdyby wraz z zaokrągleniem ciała również one zmiękły i złagodniały. Cześć, cześć – i od razu zaczynałyśmy rozmowę. Żegnałyśmy się na skrzyżowaniu, ona kierowała się do warsztatu, a ja na stację metra, ale odwracałam się jeszcze, żeby na nią spojrzeć. Parę razy zauważyłam, że dołączył do niej Pasquale i towarzyszył jej w drodze do pracy.

Metro było zatłoczone dziewczętami i chłopcami pachnącymi przerwany snem i często pierwszymi porannymi papierosami. Ja nie paliłam i z nikim nie rozmawiałam. Na krótkiej trasie metra powtarzałam w myślach zadane lekcje, wbijałam w pamięć nowe słownictwo, jakże różne od tego, którego używaliśmy na co dzień w naszej dzielnicy. Byłam przerażona myślą, że może mi się nie powieść w szkole, wizją nieforemnej sylwetki zagniewanej matki i pani Oliviero, która piorunuje mnie wzrokiem. A jednak najważniejszym celem było dla mnie w tym czasie znalezienie sobie chłopaka, zaraz, jak najszybciej, zanim Lila oznajmi, że zaręczyła się z Pasqualem.

Z każdym dniem coraz bardziej bałam się, że nie zdążę, że spotkam ją któregoś dnia, gdy będę wracać ze szkoły, i usłyszę od niej, że oddała się Pasqualemu. A jeżeli nie jemu, to Enzowi. Albo Antoniowi, Stefanowi Carracci, albo nawet Marcellowi Solarze. Lila była nieprzewidywalna, a chłopcy, którzy kręcili się wokół niej, byli już właściwie mężczyznami i mieli swoje potrzeby. Gdyby tak się stało, to zajęta projektowaniem butów, zdobywaniem wiadomości o strasznym świecie, w którym przyszło nam żyć, i do tego jeszcze narzeczonym, nie miałaby wcale czasu dla mnie. Często wybierałam określną drogę, żeby nie mijać warsztatu szewskiego, a kiedy widziałam ją z daleka, kusiło mnie, by skręcić w najbliższy zaułek, potem jednak szłam jej naprzeciw jak nieuniknionemu losowi. Wchodząc i wychodząc ze szkoły, ogromnej, szarej budowli w fatalnym stanie, przyglądałam się chłopcom. Patrzyłam na nich natarczywie, tak żeby poczuli na sobie moje spojrzenie i zwrócili na mnie uwagę. Patrzyłam na uczniów pierwszych klas, niektórzy z nich nosili jeszcze krótkie spodenki, inni chodzili w pumpach albo w długich spodniach. Patrzyłam na najstarszych chłopców z włosami obciętymi na jeża i podgolonymi białymi karkami, ubranych w większości w marynarki i koszule z krawatami, nigdy w płaszcze, żeby pokazać przede wszystkim sobie samym, że są wytrzymali na zimno. Wolałabym któregoś z nich, ale zadowolilibym się chłopakiem z drugiej klasy, byleby nosił długie spodnie.

Pewnego dnia zwróciłam uwagę na chłopca o rozkołysanym chodzie, był bardzo szczupły, miał czarne kręcone włosy i twarz, która nie tylko wydawała mi się piękna, znajdowałam w niej też jakieś znajome rysy. Ile mógł mieć lat? Szesnaście? Siedemnaście? Długo mu się przyglądałam, potem jeszcze raz odszukałam go wzrokiem i poczułam, że serce mi się zatrzymuje: to był Nino Sarratore, syn Donata Sarratorego, kolejarza-poety. Odpowiedział roztargnionym spojrzeniem, ale nie poznał mnie. Miał na sobie przyciasną kurteczkę z wypchanymi łokciami, wyświecone spodnie i zdeптane buty. Nic, co mogłoby świadczyć o zamożności, jak rzeczy, w których chodził na przykład Stefano, a zwłaszcza bracia Solara. Widocznie ojciec Nina, choć wydał książkę z poezjami, nie stał się jeszcze bogaty.

Byłam bardzo wzburzona tym niespodziewanym spotkaniem. W pierwszej chwili chciałam od razu pobiec z tą nowiną do Lili, impuls był bardzo silny, ale szybko zrezygnowałam. Gdybym to zrobiła, na pewno chciałaby pójść ze mną do szkoły, żeby go zobaczyć. A wtedy – wiadomo, co by się stało. Nino nie zwrócił na mnie uwagi, nie poznał w tej tłustej, pryszczatej czternastolatce delikatnej blondynki, którą zostawił na podwórku starego mieszkania, ale Lilę na pewno poznałby od razu i uległ jej czarowi. Postanowiłam zachować dla siebie obraz Nina wychodzącego ze szkoły ze

spuszczoną głową i kierującego się rozkołysanym krokiem na corso Garibaldi. Od tego dnia, bardziej niż z jakiegokolwiek innego powodu, chodziłam do szkoły, żeby móc go spotkać albo przynajmniej z daleka rzucić na niego okiem.

Jesień minęła szybko. Przyszedł dzień, kiedy po raz pierwszy wezwano mnie do tablicy, odpowiadałam z *Eneidy*. Profesor Gerace, mężczyzna po sześćdziesiątce, znudzony swoją pracą i rozziwiany, wybuchnął śmiechem, gdy usłyszał, że Eneasza nazywam „hierosem” zamiast „herosem”, wymawiając miękko początkowe „h”. Nie przyszło mu do głowy, że żyję w świecie, w którym nikt nigdy nie miał okazji użyć tego słowa, co nie znaczy, że nie znam jego znaczenia. Śmiali się wszyscy, najgłośniej Gino siedzący w pierwszej ławce z Alfonsem. Czułam się upokorzona. Kilkanaście dni później mieliśmy pierwszą klasówkę z łaciny. Kiedy profesor przyniósł poprawione prace na lekcje, zapytał, kto z nas nosi nazwisko Greco. Podniosłam rękę, a wtedy wezwał mnie do tablicy.

Zadał mi całą serię pytań dotyczących deklinacji, czasowników i łacińskiej syntaksy. Odpowiadałam przerażona, głównie dlatego, że patrzył na mnie z uwagą, której do tej chwili jeszcze nikomu z nas nie okazał. Potem oddał mi klasówkę bez słowa komentarza. Dostałam dziewiątkę.

Od tej chwili szło mi coraz lepiej. Klasówkę z języka włoskiego ocenił na osiem, na historii nie pomyliłam ani jednej daty, na geografii recytowałam bezbłędnie bogactwa naturalne i uprawy, znałam liczbę ludności na jednostkę powierzchni. Ale największy sukces odniosłam na lekcji greki. Dzięki nauce z Lilą doskonale znałam greckie litery, płynnie czytałam i prawidłowo wymawiałam greckie słowa. Kiedy zademonstrowałam to profesorowi, doczekałam się od niego w końcu publicznej pochwały. Moja sława rozniosła się także wśród innych profesorów. Nauczyciel religii wziął mnie na stronę i zaproponował, żebym się zapisała na darmowy korespondencyjny kurs teologii. Zgodziłam się. Przed Bożym Narodzeniem już wszyscy zwracali się do mnie po nazwisku, a niektórzy nawet po imieniu. Gino czekał teraz na mnie przy wyjściu, żeby razem wrócić do domu. Pewnego dnia ponownie zapytał, czy chcę z nim chodzić, i chociaż był z niego jeszcze dzieciak, westchnęłam z ulgą i zgodziłam się. Zawsze to lepsze niż nic.

Święta Bożego Narodzenia przerwały tę ekscytującą serię sukcesów. Zanurzyłam się na powrót w życiu naszego osiedla, miałam więcej czasu i częściej spotykałam się z Lilą. Odkryła, że uczę się angielskiego i rzecz jasna, od razu zaopatrzyła się w gramatykę tego języka. Znała już dużo słówek, które wymawiała mniej więcej poprawnie. Podobnie zresztą jak ja, tylko że ona dążyła do perfekcji, suszyła mi stale

głowę, żebym po feriach zapytała nauczyciela, jak się wymawia taki czy inny wyraz.

Pewnego dnia pokazała mi w warsztacie metalowe pudełko pełne karteczek, na których z jednej strony zapisała słowa włoskie, a z drugiej ich angielskie odpowiedniki: ołówek – pencil, rozumieć – to understand, but – shoe. To pan Ferraro doradził jej, żeby w ten sposób uczyła się słówek. Lila czytała mi włoskie wyrazy i chciała, żebym tłumaczyła je na angielski, ale ja niewiele wiedziałam. Zdałam sobie sprawę, że Lila wyprzedza mnie we wszystkim, jakby potajemnie chodziła do jakiejś szkoły. Wyraźnie zależało jej, by mi pokazać, że daje sobie radę z tym, czego ja się uczę w liceum. Wolałabym rozmawiać z nią na inne tematy, ale ona przepytывała mnie z greckich deklinacji i od razu zauważyła, że zatrzymałam się na pierwszej, podczas gdy ona poznała już trzecią. Pytała mnie także o *Eneidę*. Bardzo się zainteresowała tym utworem, przeczytała go w całości w ciągu kilku dni, podczas gdy my w szkole zatrzymaliśmy się w połowie drugiej księgi. Opowiedziała mi ze szczegółami o Dydonie, o której ja nie wiedziałam absolutnie nic, usłyszałam to imię po raz pierwszy nie w szkole, ale z jej ust. Pewnego popołudnia powiedziała coś, co zrobiło na mnie duże wrażenie: „Bez miłości jałowe staje się nie tylko życie człowieka, ale i życie miasta”. Nie pamiętam dokładnie jej słów, ale sens był właśnie taki i przyszły mi od razu na myśl nasze zaśmiecone ulice, wyschnięte rośliny na skwerze, krajobraz oszpecony nielegalnie wzniesionymi budynkami i przemoc w każdym domu, w każdej rodzinie. Bałam się, że zacznę mówić o faszyzmie, nazizmie i komunizmie, podczas gdy ja chciałam, żeby dowiedziała się o pięknych chwilach, jakie ostatnio przeżywałam. Nie wytrzymałam więc i wyznałam jej, że chodzę z Ginem i że w moim liceum uczy się Nino Sarratore, jeszcze ładniejszy niż w podstawówce. Zwężyła oczy, bałam się, że zaraz mi powie: ja też się zaręczyłam. Ale nie. Zaczęła sobie ze mnie żartować: „A więc chodzisz z synem aptekarza! Dobrze! Trafiło i na ciebie, zakochałaś się jak Dydona w Eneaszu”. Potem niespodziewanie przeskoczyła od Dydony do Meliny i długo mi o niej opowiadała, bo spędzając cały dzień w szkole albo w domu nad książkami, nie wiedziałam, co działo się w tym czasie na naszym osiedlu. Opowiadała o tej swojej dalekiej krewnej, jakby ani na chwilę nie spuściła z niej oka. Ubóstwo było stałym gościem w domu Meliny. Myła schody w kamienicach razem z córką Adą, bo pieniądze, które przynosił do domu Antonio, nie wystarczały na życie. Nie śpiewała już, euforia minęła, pracowała teraz od rana do wieczora jak maszyna. Lila opisała ją szczegółowo: ze zgarbionymi plecami, pochylona aż do podłogi, zaczynała od najwyższego piętra i czyściła mokrą ścierką stopień po stopniu, płuczac ją co jakiś czas w wiadrze i wykręcając rękami. Wysilek, jakiego wymagała ta praca, zdusiłby już

dawno nie jeden silniejszy organizm. Za każdym, kto chodził po schodach, gdy je myła, rzucała obelgi, a czasem także mokrą ścierkę. Lila usłyszała od Ady, że zobaczyła kiedyś matkę, jak ze złości, gdy ktoś pobrudził butami świeżo umytą podłogę, zaczęła pić brudną wodę z wiadra i Ada musiała wyrwać je matce z rąk.

Jasne? Lila, zaczawszy od Gina, małymi kroczkami przeszła do Eneasza, który opuścił Dydonę, a potem do Meliny, obłąkanej wdowy. I dopiero w tym miejscu wspomniała o Ninie Sarratorem, co dowodziło, że jednak słuchała mnie uważnie:

– Opowiedz mu o Melinie – zasugerowała. – I poproś, żeby przekazał to ojcu.

Po chwili dodała złośliwie:

– Niech mu się nie wydaje, że pisanie wierszy to taka łatwa sprawa.

W końcu roześmiała się i obiecała, podkreślając każde słowo:

– Ja się nigdy w nikim nie zakocham i nigdy, ale to nigdy nie będę pisać wierszy.

– Nie wierzę.

– Zobaczysz.

– Ale w tobie będzie się na pewno kochać wielu mężczyzn.

– Trudno.

– Będą cierpieć jak Dydona.

– Nie, znajdą inne miłości. Tak samo jak Eneasza, który wziął za żonę królewską córkę.

Dałam jej do zrozumienia, że trudno mi w to uwierzyć. Pożegnałam się z nią, ale wkrótce znów do niej wróciłam. Teraz, kiedy miałam chłopaka, rozmowy na takie tematy bardzo mnie pociągały. Zapytałam ją kiedyś jakby nigdy nic:

– Marcello Solara chodzi jeszcze za tobą?

– Tak.

– I co ty na to?

Uśmiechnęła się lekko, jakby chciała powiedzieć: gardzę nim.

– A Enzo?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Stefano?

– Twoim zdaniem wszyscy się mną interesują?

– Tak.

– Stefano w sklepie zawsze obsługuje mnie poza kolejnością, nawet kiedy jest kolejka.

– Sama widzisz...

– Nic nie widzę.

– A co z Pasqualem? Wyznał ci miłość?

– Zwariowałaś?

– Zauważyłam, że rano często cię odprowadza do warsztatu.

– Opowiada mi o różnych rzeczach, które miały miejsce kiedyś, zanim się urodziłam.

W ten sposób powróciło *kiedyś* z czasów szkoły podstawowej, ale w innej postaci.

Lila stwierdziła, że żyłyśmy w nieświadomości, zarówno w dzieciństwie, jak i teraz, i dlatego nie mogłyśmy nic zrozumieć. Rosłyśmy w tej dzielnicy, wśród budynków, kamieni, drzew, które istniały także przed nami, ale temu, co było *kiedyś* nie poświęcałyśmy najmniejszej uwagi. I to nie tylko my. Jej ojciec udawał przed samym sobą, że przed nim nic nie istniało, to samo robiła jej matka, moi rodzice, Rino.

A przecież sklep z wędlinami należący do rodziny Stefana był *kiedyś* stolarnią pana Pelusa, ojca Pasqualego. Pieniądze don Achillego też pojawiły się *kiedyś*, przed nami.

Tak samo jak pieniądze rodziny Solara. Ona zrobiła pewien eksperyment, zaczęła wypytwać o to *kiedyś* rodziców. Nic nie wiedzieli, o niczym nie chcieli rozmawiać. Ani o faszyzmie, ani o królu, nadużyciach władzy czy wyzysku. Nienawidzili don Achillego i bali się Marcella, Michelego, ich ojca i dziadka, ale łatwo o tym zapominali i wydawali pieniądze u syna don Achillego i w barze „Solara” albo nas do nich wysyłali. I głosowali na faszystów i na monarchistów, tak jak chciał Solara. Myśleli, że minęło już to, co było, że dla świętego spokoju trzeba postawić na tym krzyżyk. A przecież wciąż jeszcze tkwili w tym, co było *kiedyś*, i nas też w tym trzymali. I w ten sposób, nie wiedząc nic o niczym, pozwalali temu trwać.

Ta przemowa Lili zrobiła na mnie większe wrażenie niż wszystkie mroczne opowieści, którymi karmiła mnie przez całe lato. Ferie świąteczne minęły na niekończących się rozmowach w warsztacie szewskim, na ulicy, na podwórku. Wyznałyśmy sobie wszystko, powiedziałyśmy sobie nawet o drobiazgach bez znaczenia i było nam z tym dobrze.

19.

W tym okresie czułam się silna. W szkole zachowywałam się bez zarzutu, opowiadałam pani Oliviero o moich sukcesach i dostawałam od niej same pochwały. Spotykałam się z Ginem, chodziliśmy codziennie na spacery aż do baru „Solara”, Gino

kupował mi ciastko, które potem zjadaliśmy razem, i wracaliśmy z powrotem.

Chwilami zdawało mi się nawet, że teraz Lila była uzależniona ode mnie, a nie ja od niej. Wyszłam poza granice naszej dzielnicy, uczyłam się w liceum, przestawałam z rówieśnikami, którzy poznają łacinę i grekę, a nie z murarzami, szewcami czy sklepikarzami jak ona. Kiedy mówiła o Dydonie, o swojej metodzie uczenia się angielskich słówek, o trzeciej deklinacji albo o rozmowach z Pasqualem, miałam wrażenie, że robi to, bo chce mi udowodnić, że jest mi równa, potrafi ze mną rozmawiać na tym samym poziomie. Nawet wtedy, gdy pewnego popołudnia zdecydowała się pokazać mi buty, które szyli z Rinem w tajemnicy przed ojcem, nie miałam już uczucia, że wpuszcza mnie na chwilę do cudownej krainy, do której nie mam wstępu. Przeciwnie: odniosłam wrażenie, że i ona, i jej brat wahali się przed rozpoczęciem ze mną rozmowy na tak trywialne tematy. A może to ja zaczęłam patrzeć na nich z góry?

W każdym razie, kiedy grzebali w komórce na zapleczu, żeby wyciągnąć stamtąd tekturowe pudełko, okazywałam przesadny entuzjazm. Muszę jednak przyznać, że męskie buty, które mi pokazali, były naprawdę niezwykle. Rozmiar 43, rozmiar Rina i jego ojca, brązowe, dokładnie takie same jak te, które zobaczyłam kiedyś na rysunku Lili, jednocześnie lekkie i solidne. Nigdy u nikogo nie widziałam takich butów. Kazali mi ich dotykać i objaśniali, na czym polegają ich zalety, a ja wychwalałam ich dzieło.

– Dotknij w tym miejscu – poprosił Rino rozgrzany moimi pochwałami – i powiedz, czy czujesz szew.

– Nie – odparłam – nic nie czuję.

Zabrał mi buty z rąk, gwałcił je i rozciągał, żeby pokazać, jakie są wytrzymałe. Kiwałam głową z podziwem i mówiłam: „Świetnie!” – jak pani Oliviero, kiedy chciała nas nagrodzić i zachęcić do dalszych wysiłków. Ale Lila nie wyglądała na zadowoloną. Im głośniej Rino podkreślał zalety butów, tym więcej wad w nich znajdowała, i mówiła do brata:

– Jak myślisz, ile czasu będzie potrzebował ojciec, żeby to zauważyć?

W pewnej chwili zaproponowała z powagą:

– Poddajmy je jeszcze raz próbie wody.

Brat wyglądał na poirytowanego, ale Lila napełniła miskę, włożyła rękę do buta i poruszała nim w wodzie, jakby ktoś w nim chodził.

– Lila musi się trochę pobawić – powiedział jak starszy brat, który z pobłażaniem patrzy na dziecinne zabawy młodszej siostry, ale jak tylko Lila wyciągnęła but z wody, zapytał zaniepokojony:

– I jak?

Lila wyjęła rękę, potarła palce i podała mu but.

– Sam zobacz.

Rino włożył dłoń do buta i po chwili stwierdził:

– Sucho.

– W środku jest wilgotno.

– Tylko ty czujesz wilgoć. Dotknij, Lenù.

Dotknęłam.

– Jest trochę wilgotno – powiedziałam.

Lila wykrzywiła usta.

– Widzisz? Na minutę zanurzyliśmy but w wodzie i już jest wilgotny w środku. Tak być nie może. Musimy jeszcze raz go rozkleić i rozpruć.

– Coś się, do jasnej cholery, tak uparła? Wilgotny i wilgotny!

Rino był zły. Więcej: na moich oczach zmienił się w jednej chwili nie do poznania.

Poczerwieniał na twarzy, na czole i skroniach wyszły mu żyły, w końcu nie mógł się opanować i wybuchnął serią przekleństw i wyzwisk. Narzekał, że w ten sposób nigdy nie skończą, oskarżał Lilę, że najpierw go namawia, a potem zniechęca. Krzyczał, że nie chce tkwić w tej dziurze, pracować dla ojca i patrzeć, jak inni się bogacą. Złapał za żelazne kopyto i zamachnął się, jakby chciał w nią rzucić. Zabiłby ją, gdyby naprawdę to zrobił.

Wyszłam stamtąd zaskoczona atakiem furii u tego zwykle miłego i łagodnego chłopaka. Jednocześnie byłam dumna, że moje zdanie miało decydującą moc.

W następnych dniach zauważyłam, że pryszczki zaczynają znikać z mojej twarzy.

– Wyładniałaś ostatnio, pewnie dzięki sukcesom w szkole, no i dzięki miłości – stwierdziła Lila, a w jej głosie usłyszałam nutę smutku.

20.

Zbliżała się noc sylwestrowa i Rina ogarnęło szaleństwo sztucznych ogni. Chciał odpalić więcej fajerwerków niż inni, zwłaszcza niż bracia Solara. Lila żartowała sobie z tego, ale czasem miała dla niego także bardzo ostre słowa. Powiedziała mi, że brat, który z początku nie wierzył w możliwość zarobienia większych pieniędzy na szyciu butów, teraz zaczął aż za bardzo na to liczyć, widział już siebie jako właściciela

fabryki „Cerullo” i nie chciał być dłużej zwykłym szewcem. Martwiło ją to, nie znała Rina z tej strony. Wiedziała, że jest porywczy, czasem nawet agresywny, ale nigdy nie uważała go za bufona. On zaś teraz udawał kogoś, kim nie był, czuł się bliski bogactwa. Był przekonany, że nowy rok przyniesie mu szczęście i dużo pieniędzy, fajerwerki miały znaczenie symboliczne: musiał odpalić ich więcej niż bracia Solara, którzy stali się dla niego wzorem do naśladowania. Zazdrościł im i miał za wrogów, których trzeba pokonać, by zająć ich miejsce.

Lila nigdy nie stwierdziła – jak wtedy, gdy mówiła o Carmeli i innych dziewczynkach – że być może to ona zaraziła go ideą, która teraz przejęła nad nim władzę. Ona sama wierzyła w tę ideę, uważała, że da się ją zrealizować wspólnie z bratem. Poza tym kochała go, był sześć lat starszy od niej i nie chciała myśleć o nim jak o dzieciaku, który stracił kontrolę nad własnymi marzeniami. Często jednak mówiła, że Rinowi brakuje praktycznego podejścia do ich projektu, nie potrafi stawić czoła trudnościom w sposób dojrzały, przesadnie reaguje. Najlepszym dowodem był ten jego pojedynek na fajerwerki z braćmi Solara.

– Może jest zazdrosny o Marcella – zasugerowałam kiedyś.

– Co masz na myśli? – zapytała ze sztucznym uśmiechem, udając, że nie wie, o co chodzi, a przecież od niej o tym usłyszałam.

Marcello Solara przechodził albo przejeżdżał swoim samochodem parę razy dziennie przed zakładem szewskim i Rino na pewno to zauważył. Zresztą nieraz ostrzegał Lilę:

– Żebyś tylko nie pozwoliła sobie na jakąś poufałość z tym bubkiem!

To niewykluczone, że nie mogąc rozbić gęby braciom Solara za to, że przyczepili się do jego siostry, chciał im pokazać swoją siłę fajerwerkami.

– Jeżeli to prawda, to znaczy, że mam rację.

– Jaką rację? O czym mówisz?

– Zrobił się z niego prawdziwy fanfaron. Poza tym skąd ma pieniądze na sztuczne ognie?

Miała rację. W noc sylwestrową zdawało się, jakby w naszej dzielnicy i w całym Neapolu toczyła się prawdziwa bitwa z ogłuszającymi wybuchami, oślepiającymi błyskami i gęstym dymem, który zacierał kontury wszystkiego, przedostawał się do mieszkań, szczypał w oczy i wywoływał kaszel. Ale rzecz jasna, ognie sztuczne kosztowały i kto miał pieniądze, mógł ich odpalić więcej. Moja rodzina pieniędzy nie miała, więc nasz wkład w nocną bitwę był skromny. Ojciec kupował pudełeczko zimnych ogni i kilka małych rac. O północy mnie, jako najstarszej z rodzeństwa, wkładał do ręki metalowy pręcik zimnych ogni i zapalał go, a ja stałam nieruchomo, podniecona i wystraszona, patrząc na ogniste gwiazdki eksplodujące tuż przy mojej

dłoni. On tymczasem w pośpiechu wkładał race, jedną po drugiej, w szyjkę butelki postawionej na kamiennym parapecie, zapalał lont żarem z papierosa i wypuszczał w niebo ognistą strugę. Na koniec butelkę zrzucił z okna na ulicę.

U Lili też nie wydawano wielkich sum na sztuczne ognie, przeciw czemu Rino zaczął się buntować już w wieku dwunastu lat. Przyłączał się w noc sylwestrową do tych, którzy dzielali jego pasję, i był znany z tego, że zbierał niewybuchy, kiedy tylko zamierały eksplozje. Układał je w stosy na łąkach przy stawach, podpalał i cieszył się swoimi prywatnymi pokazami pirotechnicznymi. Miał jeszcze na dłoni bliznę, rozległą i ciemną, po tym jak kiedyś nie zdążył się na czas odsunąć.

Do wielu przyczyn, jawnych i ukrytych, tego pojedynku pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku należy więc być może włączyć fakt, że Rino chciał się odegrać za swoje ubogie dzieciństwo.

Pieniądze na zakup fajerwerków zaczął pożyczać dużo wcześniej. Ale wiadomo było – i on także zdawał sobie z tego sprawę, pomimo tej nowej u siebie manii wielkości – że trudno konkurować z braćmi Solara na tym akurat polu. Jak co roku Michele i Marcello już od wielu dni zapełniali bagażnik swojego fiata 1100 materiałami wybuchowymi, którymi w noc sylwestrową zamierzali zrobić pogrom wśród ptaków, wystraszyć psy i koty i wprawić w drżenie okoliczne domy, od piwnic po dachy. Rino obserwował ich z zawiścią z warsztatu i jednocześnie zbierał własny arsenał, przy pomocy Pasqualego, Antonia i przede wszystkim Enza, który miał trochę więcej pieniędzy niż reszta.

W jego planach nastąpiła drobna zmiana z powodu zdarzenia, którego bohaterkami byłyśmy my, Lila i ja. Nasze matki wysłały nas na zakupy w ostatni dzień roku do sklepu Carraccich. Sklep był pełen ludzi. Za ladą, oprócz Stefana i Pinuccii, stał także Alfonso, który uśmiechnął się do nas nieśmiało. Stanęłyśmy na końcu długiej kolejki, Stefano skierował do mnie – do mnie, bez cienia wątpliwości – gest pozdrowienia i powiedział coś bratu na ucho. Ten wyszedł zza lady, zbliżył się do nas i zapytał, czy mamy listę zakupów. Zabrał ją i pięć minut później przyniósł to, co kazano nam kupić. Włożyłyśmy wszystko do toreb, zapłaciłyśmy donnie Marii i wyszłyśmy ze sklepu. Zdążyłyśmy zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy nie Alfonso, ale Stefano we własnej osobie zawołał mnie od drzwi głosem dorosłego mężczyzny:

– Lenù!

I zaraz podszedł do nas z szerokim uśmiechem. Wrażenie psuł tylko biały fartuch poplamiony tłuszczem. Zwrócił się gwarą do nas dwóch, ale patrzył tylko na mnie:

– Czy chciałybyście przyjść do nas na sylwestra? Razem przywitalibyśmy Nowy Rok. Alfonsowi bardzo na tym zależy.

Życie żony i dzieci don Achillego, także po jego śmierci, było ograniczone do paru tylko miejsc: dom, sklep, kościół i z rzadka jakieś spotkanie towarzyskie, w którym nie wypadało nie uczestniczyć. Tym bardziej niezwykle i nieoczekiwane było to zaproszenie. Odpowiedziałam, wskazując na Lilę:

– Jesteśmy już umówione z jej bratem i przyjaciółmi.

– Przeprowadźcie z sobą Rina i przyjaciół, zaprosicie też rodziców. Mamy duże mieszkanie, a na sztuczne ognie wyjdziemy na taras.

– Ale z nami przyszliby też Pasquale i Carmela Peluso z matką – wmieszała się Lila.

To zdanie, wypowiedziane stanowczym tonem, miało zakończyć rozmowę. Przecież Alfredo Peluso siedział w więzieniu Poggioreale za zabójstwo don Achillego i syn zamordowanego nie mógł zapraszać dzieci Alfreda do swego domu i razem pić toast z okazji nadejścia Nowego Roku. Tymczasem Stefano spojrział na nią, jakby dopiero teraz ją zobaczył, i powiedział, jakby to było coś najbardziej naturalnego:

– Dobrze, przyjdźcie wszyscy. Napijemy się szampana, potańczymy. Nowy rok, nowe życie.

Jego słowa wzruszyły mnie. Widziałam, że Lila też była zbita z tropu. Mruknęła:

– Musimy porozmawiać z bratem.

– Dajcie mi znać.

– A co z fajerwerkami?

– To znaczy?

– My przyniesiemy nasze, a ty?

Stefano uśmiechnął się:

– Ile byś chciała?

– Bardzo dużo.

Stefano znowu zwrócił się do mnie:

– Przyjdźcie wszyscy do nas, a ja obiecuję, że jeszcze o świcie będziemy odpalać sztuczne ognie.

21.

Przez całą drogę śmiałyśmy się do rozpuku, przerzucając się zdaniami typu:

– On to robi dla ciebie!

– Nie, dla ciebie!

– Zakochał się i chce zaprosić rodzinę mordercy ojca, byleby tylko mieć cię przy sobie.

– Co ty gadasz? Nawet na mnie nie spojrział.

Rino wysłuchał propozycji Stefana i natychmiast powiedział: nie. Ale chęć pobicia braci Solara w pojedynku na fajerwerki sprawiła, że później zaczął się wahać i powiedział o zaproszeniu Pasqualemu. Pasquale zareagował złością, Enzo natomiast mruknął tylko: „Dobrze, jak będę mógł, to przyjdę”. Co się tyczy naszych rodziców, to przyjęli zaproszenie z wielkim zadowoleniem, dla nich don Achille już nie istniał, a jego żona i dzieci byli porządnymi i, co więcej, zamożnymi ludźmi, więc dobrze było mieć takich przyjaciół.

Lila z początku sprawiała wrażenie zupełnie zbitej z tropu. Aż wreszcie pojawiła się u mnie któregoś dnia późnym popołudniem z miną kogoś, kto w końcu wszystko zrozumiał. Stwierdziła:

– Myliłyśmy się. Stefanowi nie zależy ani na mnie, ani na tobie.

Zacząłyśmy o tym rozmawiać po naszymu, mieszając obiektywne fakty i fantazje. Jeżeli nie zależało mu na nas, to o co mu chodziło? Pomyślałyśmy, że może on też chce dać nauczkę braciom Solara. Przypomniłyśmy sobie, jak Michele doprowadził do tego, że Pasquale musiał wyjść z imienin matki Giglioli, mieszając się w ten sposób w prywatne sprawy rodziny Carracci, i postawił Stefana w złym świetle, jako kogoś, kto nie potrafi obronić pamięci własnego ojca. W ten sposób bracia Solara za jednym zamachem upokorzyli Pasqualego i Stefana, więc ten chciał im zagrać na nosie, wyciągając rękę do rodziny Peluso, więcej: zapraszając ją do swojego domu na sylwestra!

– A co on z tego będzie miał? – zapytałam Lilę.

– Nie wiem. Może chce pokazać, że stać go na gest, na który na naszym osiedlu nie byłoby stać nikogo.

– To znaczy na wybaczenie?

Lila potrząsnęła głową z powątpiewaniem. Starła się zrozumieć, obydwie starałyśmy się zrozumieć, o co tu chodzi, i bardzo nam się podobało, że możemy to robić razem.

Stefano nie wyglądał na kogoś, kto łatwo wybacza. Zdaniem Lili powziął inny zamiar. Krok po kroku, wychodząc od idei, która stała się jej obsesją od czasu, jak zaczęła prowadzić z Pasqualem poważne rozmowy, zbudowała teorię wyjaśniającą zachowanie Stefana.

– Pamiętasz, jak powiedziałam Carmeli, że mogłaby się zaręczyć z Alfonsem?

– Tak.

– Stefano planuje właśnie coś podobnego.

– Chce się ożenić z Carmelą?

– Coś więcej.

Zdaniem Lili Stefano pragnął zacząć wszystko od zera, spróbować uciec od *kiedyś*.

Nie chciał udawać, że nic o niczym nie wie, jak to robili nasi rodzice, przeciwnie – jego zaproszenie było równoznaczne z oświadczeniem: wiem, kim był mój ojciec, ale teraz jestem ja, teraz jesteście my i proponuję, żebyśmy zerwali z przeszłością. Krótko mówiąc, chciał dać do zrozumienia wszystkim na naszym osiedlu, że on nie jest don Achillem, a w rodzinie Peluso nikt oprócz stolarza nie zawinił śmierci jego ojca. Ta hipoteza spodobała się nam, szybko uznaliśmy ją za pewnik i poczułyśmy ogromną sympatię do młodego Carracciego. Postanowiłyśmy trzymać jego stronę.

Wyjaśniłyśmy Rinowi, Pasqualemu i Antoniowi, że zaproszenie Stefana nie jest zwykłym zaproszeniem, stoją za nim ważne motywacje. Chce przez nie powiedzieć: „Przed nami źle się tutaj działo, zawinili temu, w ten czy inny sposób, nasi ojcowie. Musimy to sobie uświadomić i pokazać, że my, ich dzieci, jesteśmy lepsi”.

– Lepsi? – zapytał Rino, zaciekawiony.

– Tak, lepsi – odparłam – przeciwnie niż bracia Solara, którzy robią jeszcze gorsze rzeczy niż ich ojciec i dziadek.

Mówiłam to bardzo wzruszona, czystą włoszczyzną, jakbym była w szkole. Nawet Lila spojrzała na mnie zaskoczona, a Rino, Pasquale i Antonio szeptali coś między sobą, ewidentnie skonsternowani. Pasquale próbował nawet odpowiedzieć mi literackim językiem, ale zaraz zrezygnował. Odparł więc gwarą, ponurym głosem:

– Pieniądze, które zgromadził don Achille, pochodzą z ciemnych interesów i teraz Stefano dzięki nim zarabia nowe pieniądze. A sklep z wędlinami był wcześniej warsztatem stolarskim mojego ojca.

Lila zwiężyła powieki tak bardzo, że prawie nie było widać jej oczu.

– To prawda. Ale czy wolicie trzymać z kimś, kto chce zmian czy z braćmi Solara?

Pasquale, trochę z przekory, a trochę przez zazdrość, bo Lila wyraźnie podziwiała Stefana, odparł dumnie:

– Ja trzymam z samym sobą.

Ale to był dobry chłopak i nie upierał się przy swoim zdaniu. Wracał myślami do propozycji Stefana i przedstawił ją swojej rodzinie. Giuseppina Peluso, która z pełnej temperamenti śmieszki o złotym sercu po osadzeniu męża w więzieniu zmieniła się w kobietę zaniedbaną i smutną, poszła po radę do proboszcza. Proboszcz odwiedził

sklep Carraccich i przeprowadził długą rozmowę z donną Marią, potem spotkał się znowu z Giuseppiną. W końcu wszyscy zgodnie stwierdzili, że życie i tak jest ciężkie, więc jeżeli przy okazji Nowego Roku udałoby się choć trochę poprawić stosunki między mieszkańcami naszego osiedla, wszystkim wyszłoby to na dobre. Tak więc trzydziestego pierwszego grudnia po kolacji, pół godziny przed północą rodziny byłego stolarza, woźnego w magistracie, obwoźnego sprzedawcy owoców i odświętnie ubrana Melina z dziećmi wspięli się na czwarte piętro, żeby w mieszkaniu znienawidzonego don Achillego przywitać Nowy Rok.

22.

Stefano przyjął nas bardzo serdecznie. Pamiętam, że był gładko uczesany i lekko zarumieniony z przejęcia. Miał na sobie białą koszulę z krawatem i granatową kamizelkę. Uznałam, że jest bardzo przystojny i ma prawdziwie książęce maniery. Obliczyłam, że jest prawie o siedem lat starszy ode mnie i Lili, i pomyślałam, że w porównaniu z nim Gino, mój rówieśnik, to prawdziwy dzieciuch. Kiedy poprosiłam Gina, żeby dołączył do nas u Carraccich, usłyszałam, że rodzice nie pozwalają mu przebywać po północy poza domem, to zbyt niebezpieczne. Wolałabym mieć starszego chłopaka, nie takiego smarkacza; kogoś jak Stefano, Pasquale, Rino, Antonio czy Enzo. Spoglądałam na nich przez cały wieczór. Dotykałam nerwowo kolczyków i srebrnej bransoletki matki. Od jakiegoś czasu znowu czułam się ładna i chciałam zobaczyć potwierdzenie tego mojego odczucia w ich oczach. Ale byli zbyt przejęci fajerwerkami, które mieli odpalić o północy. Nie mogli się doczekać tego męskiego pojedynku i nawet na Lilę nie zwracali większej uwagi.

Stefano odnosił się szczególnie grzecznie do pani Peluso i do Meliny, która wprawdzie nie odzywała się ani słowem, miała nawiedzone oczy i długi ostry nos, ale była starannie uczesana, założyła nawet kolczyki i w swojej czarnej wdowiej sukience wyglądała jak dystyngowana dama. O północy gospodarz domu nalał szampana najpierw do kieliszka swojej matki i zaraz potem do kieliszka matki Pasqualego. Wypiliśmy toast za wszystkie wspaniałe rzeczy, które miały nas spotkać w nowym roku, po czym wyszliśmy na taras na dachu, starsi i dzieci w płaszczach i szalikach, bo było bardzo zimno. Zauważyłam, że Alfonso jako jedyny ociągał się z wejściem po

schodach na wyższy poziom. Poczekalam na niego z grzeczności, zawolałam go nawet, ale nie usłyszał albo udał, że nie słyszy. Pobiegłam do góry sama. Zobaczyłam nad sobą rozgwieżdżone, a pomimo to przerażająco ciemne, lodowate niebo. Chłopcy byli w samych swetrach, a Pasquale i Enzo nawet bez nich, tylko w koszulach. Lila, Ada, Carmela i ja miałyśmy na sobie cienkie sukienki, które wkładałyśmy na wieczorki taneczne; drżałyśmy teraz z zimna i z podniecenia. Było już słychać syk pierwszych petard, które zostawiały na niebie jasne smugi, a wybuchając przypominały kolorowe kwiaty. Dobiegał do nas hałas wyrzucanych przez okna starych sprzętów, krzyki i śmiechy. W całej dzielnicy panował straszny harmider, wystrzeliwały dziesiątki fajerwerków. Ja zapalałam dzieciom zimne ognie, lubiłam patrzeć na ich oczy, w których mieszały się strach i zachwyt, te same uczucia, których ja doświadczałam w dzieciństwie. Lila skłoniła Melinę do zapalenia lontu papierowej tutki ogni bengalskich. Chwilę potem z sykiem wytrysnęło kolorowe światło i obydwie aż uściskały się z radości. Rino, Pasquale, Enzo, Antonio i Stefano przynieśli skrzynie pełne fajerwerków, dumni, że udało im się zebrać tyle amunicji. Alfonso też uczestniczył w przygotowaniach, ale robił to niechętnie, na polecenia brata reagował grymasami niechęci. Miałam wrażenie, że onieśmiał go Rino, który komenderował nim, popychał go, wiecznie czegoś od niego chciał i traktował jak smarkacza. W końcu Alfonso, może po to, żeby opanować gniew, całkiem wycofał się z przygotowań i stanął z boku. Starsi chłopcy zapalali papierosy, chroniąc dłońmi płomyki zapalek od wiatru. Pomyślałam, że gdyby wybuchła wojna domowa jak między Romulusem i Remusem, między Gajuszem Mariuszem i Sullą czy między Cezarem i Pompejuszem, mieliby takie same miny i spojrzenia, przybieraliby takie same pozy.

Wszyscy chłopcy oprócz Alfonsa włożyli sobie za pazuchy zapas fajerwerków i zatknęli race w szyjkach butelek ustawionych w rzędy. Lila, Ada, Carmela i ja otrzymałyśmy od Rina, coraz bardziej podekscytowanego i niecierpliwego, polecenie stałego zaopatrywania ich w amunicję. Później, pomimo zimna i ciemności, wszyscy – młodszy i starsi, moi bracia Peppe i Gianni, a także mój ojciec i szewc Fernando, który był w najbardziej zaawansowanym wieku – zaczęli zapalać lonty fajerwerków i rzucać je w niebo wśród coraz bardziej podnieconych krzyków: „Widzieliście, jakie kolory? O matko, ale huknęło!” – zakłócanych tylko jękami strachu Meliny. Rino wyrywał petardy z rąk moich braci, mówiąc, że sam zapali, bo oni je marnują. Zanim rzuca, powinni poczekać, aż lont dobrze się rozпали.

Po jakimś czasie szaleństwo eksplozji w mieście zaczęło się uspokajać, teraz hałasowały klaksony samochodowe. Na niebie rosły plamy głębokiego granatu. Pomimo resztek dymu i pokazujących się jeszcze gdzieś oślepiających błysków

teraz było widać wyraźniej balkon mieszkania rodziny Solara. Znajdował się w niewielkiej odległości, zobaczyliśmy wszystkich: ojca, synów i ich gości. Posyłali w niebo fajerwerki, ulegając, podobnie jak my, upodobaniu do chaosu, ale wszyscy na naszym osiedlu wiedzieli, że prawdziwy pokaz swoich możliwości rozpoczną później, kiedy inni wyczerpią już wszystkie swoje nędzne zapasy i skończą swoje żalosne świętowanie. Wtedy oni będą jedynymi prawdziwymi panami tej nocy.

Tak też się stało. Wybuchy sztucznych ogni wysyłanych z balkonu rodziny Solara następowały po sobie z coraz większą częstotliwością, niebo nad nim i ulica pod nim zdawały się eksplodować. Przy każdym wybuchu z balkonu słyszeliśmy, jaką radość im to sprawia, co wyrażali wulgarnymi okrzykami. Niespodziewanie także Stefano, Pasquale, Antonio i Rino zaczęli znowu odpalać fajerwerki i odwzajemniać się rywalom równie ordynarnymi słowami. Na racę braci Solara odpowiadali racą, na ich petardę swoją petardą. Na niebie ukazywały się raz po raz ogniste kwiaty, ziemia między domami drżała. W pewnej chwili Rino wdrapał się na balustradę i wrzeszcząc ordynarne obelgi, rzucał w niebo zapalone fajerwerki, podczas gdy matka błagała go, płacząc z przerażenia: „Zejdź! Spadniesz!”.

Strach udzielił się Melinie, która zaczęła zawodzić przenikliwym, wysokim głosem. Ada była pewna, że oznacza to dla niej koniec zabawy, bo teraz będzie musiała odprowadzić ją do domu, ale Alfonso zrobił znak, że sam się tym zajmie, i zszedł z Meliną na niższe piętro. Moja matka, utykając, podążyła za nimi, inne kobiety zaczęły szukać swoich dzieci, żeby zabrać je z tarasu. Eksplozje sztucznych ogni rodziny Solara były coraz silniejsze, jedna z rac, zamiast polecieć w niebo, wybuchła na naszym tarasie z oślepiającym, czerwonym błyskiem, zasnuwając wszystko duszącym dymem.

– Zrobili to specjalnie! – krzyknął Rino do Stefana, nie posiadając się ze złości.

Stefano, którego ciemny profil łatwo rozpoznałam wśród innych, dał mu znak, żeby się uspokoił. Pobiegł w kąt tarasu, gdzie stało pudło, do którego nam, dziewczętom, zabronił wcześniej nawet zaglądać. Teraz zaczął wyciągać z niego amunicję i zachęcał wszystkich do odpalania. Nie miał już łagodnego głosu właściciela osiedlowego sklepu.

– Enzo! Pascà, Rino, Antò, bierzcie! Pokażemy im, na co nas stać.

Wszyscy podbiegli do pudła ze śmiechem i okrzykami:

– Tak, niech widzą, kto lepszy! Macie! To dla was, wy gnojki! – i wykonywali obsceniczne gesty w kierunku sąsiedniego balkonu. Patrzyliśmy na nich, jak drżą z zimna i z podniecenia. Zostałyśmy pozostawione same sobie, nie byłyśmy na tym tarasie nikomu do niczego potrzebne. Mój ojciec zszedł z szewcem na niższe piętro. Nie wiem, o czym myślała Lila, milczała, przyglądała się temu, co się wokół niej

działo, jak jakiemuś niezrozumiałemu widowisku.

Doświadczała wtedy tego, o czym już wspomniałam i co ona później nazwała wykonturowaniem. Powiedziała, że było to coś takiego, jakby nocą nad morzem, przy pełni księżyca przesuwająca się po niebie czarna masa burzowych chmur, połykała srebrną poświatę księżyca, rozerwawszy jego kontury, i stopniowo zakrywała świetlisty dysk, pozbawiając go magicznego piękna i ujawniając, że nie jest niczym więcej jak tylko skumulowaną materią.

Lila widziała, a może tylko sobie wyobraziła, jak Rino traci twarz, którą miał zawsze i którą znała od najwcześniejszego dzieciństwa – twarz chłopca wielkodusznego, uczciwego i godnego zaufania, ukochanego brata, który od kiedy sięgała pamięcią pomagał jej, chronił ją i rozbawiał. W tamtej chwili, wśród gwałtownych eksplozji, w lodowatym powietrzu przesyconym palącym nozdrza dymem o zapachu siarki, coś naruszyło kontury jego wizerunku, pokazując, co naprawdę w nim tkwiło. Była przerażona. Trudno jej było zachować kontrolę nad sobą, ale udało jej się to i tylko częściowo okazała swe wzburzenie. Nie koncentrowałam się na niej w tym zgiełku wybuchów i krzyków, uderzył mnie jednak w pewnym momencie wyraz strachu na jej twarzy. Zauważyłam też, że z odrazą patrzyła na brata – najaktywniejszego z wszystkich, tego, który wykrzykiwał najwulgarniejsze obelgi i krwawe groźby pod adresem rodziny Solara. Wyglądała na prawdziwie wystraszoną – ona, która nie bała się niczego. Jednak z tych moich wrażeń zdałam sobie sprawę dopiero później. W tamtej chwili nie zwróciłam na to większej uwagi, czułam się bliższa Carmeli i Ady. Zdawało się, że Lila jak zwykle nie potrzebuje zainteresowania chłopców, dla nas natomiast cały ten chaos bez ich uwagi nie miał żadnego sensu. Wolałybyśmy, żeby Stefano, Enzo i Rino przerwali tę rywalizację, objęli nas ramionami, chroniąc od zimna, i powiedzieli parę komplementów. Osamotnione, trzymałyśmy się razem, grzejąc się wzajemnie, podczas gdy chłopcy biegali po następne fajerwerki, szczęśliwi, że Stefano zebrał tak duże zapasy i że wielkodusznie się nimi dzieli, choć pewnie ciążyła im trochę świadomość, że tyle pieniędzy zamienia się w iskry i dym.

Długo jeszcze trwała ta bitwa, wybuchy następowały po sobie na przemian, jakby taras po jednej i balkon po drugiej stronie ulicy były wojennymi okopami, całe osiedle drżało w posadach, ściany wibrowały. Nawet kiedy Enzo zawołał: „Skończyły im się fajerwerki, już nic nie mają!” – nasi strzelali dalej. Najbardziej zapamiętały w walce był Rino, który odpalał petardy tak długo, aż w pudle nie została ani jedna. Wtedy dopiero chłopcy wzniesli zwycięski okrzyk i uściskali się z radością. W końcu uspokoili się i nastąpiła cisza.

Cisza okazała się pozorna, bo wkrótce dał się słyszeć daleki płacz dziecka, głośne krzyki i szum samochodów jeżdżących po pozostałościach po bitwie. A potem zobaczyliśmy błyski na balkonie Solarów i usłyszeliśmy suche odgłosy strzałów: pah, pah. Rino, zawiedziony, zawołał: „Zaczynają od nowa!”. Ale Enzo, który od razu pojął, co się dzieje, zaczął popychać nas do wyjścia z tarasu i zaraz dołączyli do niego Pasquale i Stefano. Tylko Rino nie przestawał wykrzykiwać obelg w stronę balkonu rodziny Solara, wychylając się przez balustradę. Wtedy Lila odsunęła gwałtownym ruchem Pasqualego, który ochraniał ją swoim ciałem, podbiegła do brata i pociągnęła go siłą do wyjścia, częstując przekleństwami. Carmela, Ada i ja krzyczałyśmy z niższego piętra. Bracia Solara tak bardzo chcieli wygrać tę bitwę, że na koniec strzelali do nas z broni palnej.

23.

Jak już wspomniałam, tamtej nocy niezbyt uważnie obserwowałam, co się dzieje wokół mnie. Podekscytowana atmosferą święta i niebezpieczeństwa, rozgrzana żarem, który emanował z ciał chłopców, prawie nie zwracałam uwagi na Lilę. A przecież to właśnie wtedy zaszła w niej pierwsza poważna wewnętrzna zmiana.

Nie wiem, co tak naprawdę było jej bezpośrednią przyczyną, za to wkrótce zauważyłam konsekwencje. Przede wszystkim Lila stała się bardziej leniwa. Ja już trzeciego dnia nowego roku wstałam wcześniej, choć nie miałam jeszcze lekcji w szkole, i poszłam do warsztatu szewskiego, żeby pomóc jej go uporządkować przed przyjściem jej ojca i brata do pracy. Lili jednak nie zastałam. Pojawiła się później i wyciągnęła mnie na spacer po osiedlu, trzymając się przez cały czas daleko od warsztatu. Widziałam, że jest nadąsana.

– Nie idziesz dzisiaj do pracy?

– Nie.

– Dlaczego?

– Odechciało mi się.

– A co z nowymi butami?

– Jeszcze nie są gotowe.

– I co będzie dalej?

Chyba sama nie wiedziała, co będzie dalej. Na pewno martwiła się o brata bardziej niż kiedykolwiek. I może ta troska o Rina spowodowała zmianę jej stosunku do pieniędzy. Nadal uważała, że koniecznie musimy się wzbogacić, to nie ulegało wątpliwości, ale pieniądze nie kojarzyły jej się już, jak to było w dzieciństwie, z luksusem i blaskiem klejnotów. Teraz miały pełnić funkcję cementu, miały zespalać, wzmacniać i przede wszystkim naprawić to, co się zepsuło w głowie brata. Rino uważał, że uszyte przez nich buty są gotowe, i chciał je pokazać ojcu. Ale Lila wiedziała – i jej zdaniem wiedział o tym także Rino – że jest w nich wiele usterek, które Fernando na pewno od razu zauważy i buty po prostu wyrzuci. Powtarzała więc bratu, że muszą jeszcze nad nimi popracować, że droga do własnej fabryki jest daleka. On jednak nie chciał dłużej czekać, pragnął stać się jak najszybciej podobny do braci Solara i do Stefana, i Lila nie była w stanie przemówić mu do rozsądku. Odnosiłam wrażenie, że nie interesowało jej już bogactwo samo w sobie. Mówiła o pieniądzach bez dawnej ekscytacji, miały ochronić Rina przed kłopotami.

– To wszystko moja wina – przyznawała przede mną – to ja pozwoliłam mu wierzyć, że szczęście czeka na nas za rogiem.

Ten róg wciąż jeszcze znajdował się bardzo daleko i teraz musiała coś wymyślić, żeby Rino sobie to uświadomił.

Rino rzeczywiście przesadzał. Fernando, na przykład, nigdy nie wyrzucał Lili, że nie przychodzi pracować do warsztatu. Przeciwnie: dał jej do zrozumienia, że dobrze robi, jeżeli zostanie w domu i będzie pomagać matce. Za to brat miał jej to za złe i już w pierwszych dniach stycznia byłam świadkiem gwałtownej kłótni między nimi. Rino podszedł do nas któregoś dnia na ulicy z twarzą pociemniałą ze złości i rozkazał:

– Natychmiast wracaj do pracy!

Lila odparła, że ani myśli, na co on złapał ją za ramię i chciał pociągnąć za sobą siłą. Lila uwolniła się z jego uchwytu, częstując go ordynarnym wyzwiskiem. Rino uderzył ją w twarz i wykrzyknął:

– No to maszeruj do domu, ale już! Idź pomóc matce!

Posłuchała go. Nie pożegnawszy się nawet ze mną, wróciła do domu.

Ich konflikt osiągnął punkt kulminacyjny w Święto Trzech Króli, kiedy zgodnie z tradycją Befana przynosiła wszystkim prezenty. Lila po przebudzeniu znalazła przy łóżku swoją pończochę pełną kawałków węgla. Odgadła, że to dzieło Rina i do śniadania nakryła dla wszystkich oprócz niego. Matka wzruszyła się tego ranka, bo na oparciu swojego krzesła znalazła pończochę pełną słodyczy, zawieszoną tam przez syna, który zawsze był jej ulubieńcem. Dlatego kiedy spostrzegła, że przy jego miejscu nie ma nakrycia, chciała je uzupełnić, ale Lila jej w tym przeszkodziła. Rino pojawił

się, gdy sprzeczała się z matką. Rzuciła w niego kawałkiem węgla. Pomyślał w pierwszej chwili, że rozbawiona jego żartem, zaprasza go w ten sposób do zabawy, ale zaraz zrozumiał, że siostra chce go ukarać, złapał ją więc, żeby ją uderzyć. W tej samej chwili pojawił się ojciec, jeszcze w bieliźnie, trzymając w rękach białe pudełko.

– Spójrzcie tylko, co mi przyniosła Befana – powiedział i było widać, że jest wściekły.

Wyjął z pudełka parę butów uszytych w tajemnicy przed nim przez syna i córkę. Lila była zaskoczona, nie miała pojęcia, że brat nosi się z takim zamiarem. Rino sam zdecydował, że pokaże buty ojcu, i wybrał na to dzień, w którym Befana przynosi prezenty.

Pełen satysfakcji, a jednocześnie lekko wystraszony uśmiech, który Lila zobaczyła u brata, potwierdzał wrażenie, jakie odniosła w sylwestrową noc na tarasie, wśród dymu i hałasu eksplozji. Znana jej od zawsze twarz Rina uległa wykonturowaniu i teraz mogło się na niej pojawić odbicie cech, o jakie nigdy go nie podejrzewała. Jak na przykład zwykłej głupoty.

Było to tym boleśniesz, że nadal bardzo go kochała, potrzebowała jego wsparcia i chciała mu pomagać.

– Są bardzo piękne – powiedziała Nunzia, która nie miała pojęcia o historii z butami.

Fernando, nie mówiąc ani słowa, z twarzą rozzłoszczonego Randolpha Scotta usiadł i włożył buty, najpierw prawy, potem lewy.

– Befana uszyła je na moje nogi – powiedział. Wstał i przeszedł się po kuchni, obserwowany przez rodzinę.

– Bardzo wygodne – skomentował.

– To są buty dla wielkich państwa – zauważyła żona, kierując na syna spojrzenie pełne miłości.

Fernando znowu usiadł, zdjął buty i obejrzał je dokładnie z góry i z dołu, w środku i na zewnątrz.

– Ten, kto uszył te buty, jest prawdziwym mistrzem – rzekł, ale jego twarz ani trochę się nie rozjaśniła. – Wielkie brawa dla Befany.

W każdym jego słowie było słyhać, że cierpi i że siłą powstrzymuje się przed gwałtowną reakcją na to cierpienie. Ale Rino zdawał się tego nie zauważać. Po każdym ironicznym komentarzu ojca rumienił się z zadowolenia i wyjaśniał krótkimi zdaniem: „Tutaj zrobiłem to, wykończyłem tak, pomyślałem, że...”. Lila natomiast pragnęła wyjść z kuchni, spodziewając się w każdej chwili wybuchu złości ojca, jednocześnie jednak nie chciała zostawiać brata samego.

– Są jednocześnie lekkie i solidne – mówił dalej Fernando – i co więcej, nigdy jeszcze nie widziałem u nikogo podobnego modelu, są bardzo oryginalne.

Usiadł, znowu włożył je na nogi i zasznurował starannie. W końcu powiedział do syna:

– Odwróć się, synu, chciałbym podziękować Befanie.

Rino myślał, że chce mu zrobić jakiś żart, którym definitywnie zakończy ich długi konflikt, odwrócił się więc posłusznie, jednocześnie szczęśliwy i onieśmielony, ale jak tylko spuścił wzrok z ojca, dostał od niego silnego kopniaka w siedzenie przy akompaniamencie wulgarnych wyzwisk. Zaraz potem Fernando zaczął rzucać w syna wszystkim, co miał pod ręką, łącznie z nieszczęsnymi butami.

Lila wtrąciła się do ich walki dopiero wtedy, gdy brat, który z początku chronił się tylko rękami przed ciosami i kopniakami ojca, zaczął wywracać krzesła, tłuc talerze i krzyczeć, że woli się zabić niż dalej pracować dla niego za darmo. Wystraszył matkę, rodzeństwo i najbliższych sąsiadów. Interwencja Lili nie na wiele się zdała. Ojciec i syn musieli najpierw wykrzyczeć wszystko, co im leżało na sercu. Kłótnia trwała tak długo, aż całkiem opadli z sił. Później wrócili do wspólnej pracy, milczący, skazani na siebie w ciasnym szewskim warsztacie, zamknięci każdy we własnej desperacji.

Przez jakiś czas nikt nie wspominał o butach. Lila zdecydowała, że poświęci się całkowicie pracy domowej, będzie pomagać matce, gotować, robić zakupy, prać i rozwieszać pranie. Więcej już nie pojawiła się w warsztacie. Rino chodził teraz ponury i obrażony, uznał to za osobisty afront i zaczął we wszystkim wysługiwać się siostrą. Wymagał od niej, żeby układała jego wyprasowane majtki i koszule równiutko w szufladzie, chciał, żeby mu posługiwała, gdy wracał z pracy do domu. Kiedy tylko coś mu się nie podobało, protestował gwałtownie i kierował do niej komentarze w rodzaju: „Nie potrafisz nawet wyprasować porządnie koszuli, ty idiotko!”. Lila nie broniła się, wzruszała tylko ramionami i z jeszcze większą koncentracją wykonywała domowe obowiązki.

Rino wiedział, że zachowuje się obrzydliwie, i był zły na samego siebie, starał się zmienić, robił, co mógł, żeby wrócić do swojej dawnej postaci. W spokojniejsze dni, na przykład w niedzielę rano, kręcił się wokół niej, przymilał się i żartował.

– Jesteś na mnie zła, bo sobie przypisałem całą zasługę za uszycie butów? Zrobiłem to, żeby ominęła cię kara – kłamał oczywiście, potem prosił: – Nie możemy się teraz zatrzymać, pomóż mi się stąd wyrwać!

Lila milczała. Szyła, prasowała, czasem nawet cmokała go w policzek, żeby wiedział, że już się na niego nie gniewa. Tymczasem to on wpadał na powrót w złość i najczęściej kończyło się na rękoczynach. Rino krzyczał, że ona go zdradziła,

a w przyszłości na pewno zostawi go na lodzie, bo wcześniej czy później wyjdzie za mąż za jakiegoś kretyna, a on zostanie sam w tej nędzy na zawsze.

Czasami, kiedy nie było nikogo w domu, Lila chodziła do komórki, gdzie schowała buty, brała je do ręki, oglądała dokładnie i była szczęśliwa, że mogły powstać dzięki rysunkowi na kartce z zeszytu w kratkę. Szkoda tylko, że tyle wysiłku poszło na marne.

24.

Po feriach świątecznych wróciłam do szkoły i od razu wciągnął mnie wyteżony rytm pracy narzucony przez nauczycieli. Niektórzy koledzy zrezygnowali z nauki, klasa była teraz mniej liczna. Gino raz po raz dostawał dwóje i poprosił mnie o pomoc. Zgodziłam się, ale szybko się przekonałam, że w rzeczywistości chodzi mu tylko o to, żeby móc odpisywać ode mnie zadania domowe. Pozwoliłam mu na to, lecz był do tego stopnia leniwy, że nawet kiedy ode mnie odpisywał, robił to bezmyślnie, nie starał się zrozumieć, co kopiuje. Także Alfonso, choć pilny uczeń, miał trudności. Pewnego dnia rozplakał się przy tablicy na lekcji greki, co dla chłopca było bardzo upokarzające. Na pewno wolałby umrzeć niż wylać choć jedną łzę przed klasą, ale nie potrafił się opanować. Zareagowaliśmy na to ciszą, oprócz Gina, który roześmiał się na głos. Być może nie wytrzymał napięcia albo po prostu cieszył się, że kolega z ławki też ma problemy. Przy wyjściu ze szkoły powiedziałam mu, że zrywam z nim z powodu tego śmiechu. Zareagował pytaniem: „Podoba ci się Alfonso?”. Wyjaśniłam mu, że on mi się przestał podobać. Wyjąkał, że to niesprawiedliwe, bo przecież dopiero niedawno zaczęliśmy z sobą chodzić. Nic wielkiego między nami nie zaszło: pocałowaliśmy się, ale bez języka, próbował dotknąć moich piersi, ale odepchnęłam go. Prosił, żebyśmy jeszcze trochę popróbowali, ja jednak nie zmieniłam decyzji i wcale nie brakowało mi jego towarzystwa w drodze ze szkoły.

Wkrótce po tym, jak zerwałam z Ginem, Lila wyznała mi, że po raz pierwszy w życiu dwóch chłopców wyznało jej miłość, i to prawie równocześnie. Pewnego ranka Pasquale dogonił ją na ulicy, gdy szła na zakupy. Urwał się pewnie na chwilę z pracy, był bardzo podekscytowany. Powiedział, że martwił się o nią, bo zauważył, że nie chodzi już do warsztatu ojca, i myślał, że zachorowała, a teraz jest szczęśliwy, bo

widzi, że jest zdrowa. Mówił o szczęściu, ale na jego twarzy nie było go widać. Przerwał nagle, jakby się zakrztusił, i zaraz potem, jakby chciał sobie w ten sposób udrożnić gardło, powiedział głośniej niż to było konieczne, że ją kocha. Kocha ją tak bardzo, że jeżeli ona się na to zgodzi, pójdzie od razu porozmawiać z jej bratem, z jej rodzicami i z kim tylko trzeba, żeby się mogli oficjalnie zaręczyć. Lila była bardzo zaskoczona, przez chwilę myślała nawet, że żartuje. Co prawda nieraz słyszała ode mnie, że wpadła Pasqualem w oko, ale nigdy w to nie wierzyła. I oto stał teraz przed nią, tego pięknego wiosennego dnia, i nieledwie ze łzami w oczach mówił, że jeżeli mu odmówi, jego życie nic nie będzie warte. Trudno jest odrzucić czyjąś miłość, ale Lila znalazła odpowiednie słowa, żeby delikatnie mu odmówić, choć ani razu nie użyła wyrazu: „nie”. Powiedziała, że ona też bardzo go lubi, ale to nie wystarczy, żeby się zaręczyć. Dodała, że będzie mu przez całe życie wdzięczna za wszystko, czego się od niego dowiedziała o faszyzmie, ruchu oporu, monarchii, republice, czarnym rynku, armatorze Achillem Laurze, postfaszystowskiej partii Włoski Ruch Socjalny, chrześcijańskiej demokracji i komunizmie. Ale żeby się zaręczyć...? Nigdy się z nikim nie zaręczy. Zakończyła zdaniem: „Wszystkich was: Antonia, ciebie i Enza kocham tak samo jak Rina”. Pasquale mruknął w odpowiedzi: „A ja ciebie kocham całkiem inaczej niż Carmelę” – i uciekł, wrócił do pracy.

– I kto jeszcze wyznał ci miłość? – zapytałam z ciekawością i jednocześnie zaniepokojona.

– Nigdy byś nie zgadła.

Drugie wyznanie zrobił jej Marcello Solara.

Słyszając to nazwisko, poczułam skurcz żołądka. O ile miłość Pasqualego była dowodem na to, że Lila może się podobać, miłość Marcella – przystojnego i bogatego właściciela samochodu, bezwzględnego kamorysty, który mógł mieć wszystkie kobiety, jakich zapragnął, była dla mnie i dla moich koleżanek – pomimo złej sławy, jaka go otaczała, a może właśnie dzięki niej – rodzajem nobilitacji. Niepozorną dziewczynkę, jaką do niedawna była Lila, czyniła kobietą zdolną rozkochać w sobie każdego.

– Jak to wyglądało?

Marcello prowadził samochód, był sam, bez brata, zobaczył ją, kiedy szła do domu poboczem jezdni. Nie rozmawiał z nią przez okienko, tylko zostawił samochód z otwartymi drzwiami i podbiegł do niej. Lila nie zatrzymała się, on szedł za nią. Błagał, żeby mu wybaczyła jego zachowanie, powiedział, że dobrze by zrobiła, gdyby ugodziła go wtedy tym szwajcarskim nożem. Wzruszony, przypominał jej, jak dobrze im się tańczyło razem rock and rolla na imieninach Giglioli, co świadczyło o tym, że w życiu też mogliby tworzyć zgraną parę. Potem zasypał ją komplementami: „Jakże

się zmieniałaś! Masz piękne oczy. Jesteś śliczna!”, a na koniec opowiedział jej sen, jaki miał tej nocy. Prosił ją w tym śnie, żeby się z nim zaręczyła, ona się zgodziła, po czym on dał jej pierścionek zaręczynowy z trzema brylantami, identyczny jak pierścionek jego babci. Wtedy Lila nareszcie się odezwała, choć ani na chwilę nie przystanęła: „Czy w tym śnie zgodziłam się z tobą zaręczyć?”. Marcello potwierdził, na co ona odparła: „W takim razie to był naprawdę tylko sen, bo ty dla mnie jesteś zwyrodniałą bestią, podobnie jak twój dziadek, ojciec i brat. Nie zaręczyłabym się z tobą nawet, gdybyś mi zagroził śmiercią”.

– Tak mu powiedziałaś?

– Jeszcze gorzej.

– To znaczy?

Kiedy Marcello, urażony, odparł, że powinna uszanować jego uczucia, myśli o niej całymi dniami i nocami, nie jest więc bestią, tylko człowiekiem zdolnym do miłości, odrzekła, że nazwać bestią kogoś, kto potraktował Adę tak, jak on ją potraktował, i kto w noc sylwestrową strzela do ludzi, to i tak niewiele. Marcello zrozumiał wtedy, że Lila nie żartuje, że naprawdę nie ma u niej szans, i wpadł w rozpacz. Powiedział słabym głosem: „To mój brat strzelał”.

Ale kiedy to mówił, zrozumiał, że za te słowa Lila będzie nim jeszcze bardziej gardzić. I rzeczywiście tak się stało. Lila przyspieszyła kroku, a kiedy Marcello próbował ją zatrzymać, krzyknęła: „Idź sobie!” – i puściła się biegiem. Marcello stał przez chwilę nieruchomo, jakby nie pamiętał, gdzie jest i co tu robi, po czym wrócił ze spuszczoną głową do swojego fiata 1100.

– W ten sposób potraktowałaś Marcella Solarę?

– Tak.

– Chyba oszalałaś! Tylko nikomu o tym nie mów!

Powiedziałam to tylko po to, żeby jej pokazać, że troszczę się o nią, ale byłam przekonana, że to zbyteczna rada. Lila lubiła wracać w rozmowach ze mną do różnych wydarzeń, a nawet rozbudowywać je, puszczając czasem wodze fantazji, ale była dyskretna, w odróżnieniu od innych dziewcząt, łącznie ze mną, które uwielbiały plotkować. I rzeczywiście: o miłości Pasqualego powiedziała tylko mnie. Ale o Marcellu Solarze opowiedziała wszystkim. Carmela przy pierwszej okazji zapytała: „Słyszałaś, że twoja przyjaciółka, Lila, odmówiła Marcellowi Solarze?”. Pinuccia w sklepie z wędlinami szepnęła mi do ucha: „Czy to prawda, że twoja przyjaciółka odrzuciła Marcella Solarę?”. Nawet Alfonso oznajmił mi kiedyś w szkole, nie ukrywając zdumienia: „Słyszałem, że twoja przyjaciółka odmówiła Marcellowi Solarze”.

Kiedy tylko spotkałam Lilę, powiedziałam:

– Źle zrobiłaś, że wszystkim o tym powiedziałaś. Marcello będzie wściekły.

Lila wzruszyła ramionami. Spieszyła się do swoich domowych obowiązków, musiała dbać o braci, matkę i ojca, i nie zatrzymała się na dłuższą rozmowę. Od nocy sylwestrowej bez reszty poświęciła się pracy w domu.

25.

I dalej było podobnie. Aż do końca roku Lila nie okazała zainteresowania moją nauką. Kiedy zapytałam, co teraz czyta, jakie książki wypożyczyła ostatnio z biblioteki, odparła z irytacją: „Niczego nie wypożyczam, książki mącą mi w głowie”.

Dla mnie lektura stała się natomiast przyjemnym nawykiem. Dużo też czasu poświęcałam nauce. Stwierdziłam jednak, że od kiedy Lila przestała mnie ponaglać i wyprzedzać w nauce i lekturach, szkoła i biblioteka pana Ferrara straciły atmosferę przygody, kojarzyły mi się już tylko z moimi sukcesami i otrzymywanymi pochwałami.

Uświadomiłam to sobie szczególnie jasno przy dwóch okazjach.

Pewnego razu pan Ferraro, widząc moją kartę biblioteczną ściśle wypełnioną datami wypożyczeń, pochwalił mnie za zainteresowanie lekturą, a potem zapytał o Lilę, ubolewając, że zarówno ona, jak i cała jej rodzina przestali przychodzić po książki. To jego ubolewanie sprawiło mi przykrość, choć nie potrafiłabym wyjaśnić dlaczego. Może wydało mi się dowodem prawdziwego i głębokiego zainteresowania osobą Lili, czymś o wiele bardziej znaczącym niż pochwała mojego zamiłowania do lektury. Przyszło mi do głowy, że gdyby Lila wypożyczyła tylko jedną książkę w roku, zostawiłaby w niej swój ślad, który na pewno nie umknąłby uwadze pana Ferrara, gdy książka wróciłaby z powrotem do biblioteki, podczas gdy ja nie zostawiałam w nich nic swojego, ucieleśniałam jedynie systematyczność i gorliwość, z jaką kolekcjonowałam przypadkowo dobrane lektury.

Po raz drugi uświadomiłam to sobie w szkole. Nauczyciel przedmiotów humanistycznych oddał nam poprawione wypracowania na temat, który jeszcze dziś pamiętam: *Kolejne fazy tragedii Dydony*. Zwykle jego komentarz ograniczał się do usprawiedliwienia, dlaczego dostałam ósemkę czy dziewiątkę za wypracowanie, ale

tym razem pochwalił mnie przed całą klasą, a na samym końcu oznajmił, że ocenił moją pracę na dziesięć. Po lekcji, już na korytarzu, zatrzymał mnie jeszcze, gratulując, że tak świetnie poradziłam sobie z zadaniem, a przechodzącemu akurat nauczycielowi religii streścił moje tezy i wnioski. Po kilku dniach mogłam stwierdzić, że profesor Gerace nie tylko księdzu opowiedział o moim wypracowaniu, dał je do przeczytania wielu nauczycielom, także tym, którzy mnie nie znali. Zdarzało mi się teraz, że uśmiechali się do mnie na korytarzu nauczyciele wyższych klas albo nawet komentowali miłymi słowami mój sukces. Na przykład nauczycielka klasy IIIa, profesor Galiani znana ze swoich komunistycznych poglądów, którą wszyscy wysoko cenili i jednocześnie omijali z daleka, bo w dwóch słowach potrafiła obnażyć słabość źle skonstruowanej argumentacji, zatrzymała mnie na korytarzu i z entuzjazmem skomentowała centralną tezę mojego wypracowania, to znaczy stwierdzenie, że miasto bez miłości zmienia swą naturę z dobroczynnej w szkodliwą dla człowieka. Zapytała:

– Co to dla ciebie znaczy: „miasto bez miłości”?

– To znaczy, że jego mieszkańcom odmawia się prawa do szczęścia.

– Daj mi jakiś przykład.

Przypomniałam sobie rozmowy z Lilą i Pasqualem, które prowadziliśmy przez cały wrzesień, i przyszło mi do głowy, że nauczyłam się wtedy o wiele więcej niż w szkole.

– Włochy w czasach faszyzmu, nazistowskie Niemcy. Właściwie wszyscy ludzie we współczesnym świecie.

Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. Powiedziała, że mam dobre pióro, i doradziła parę książek, zaproponowała nawet, że pożyczy mi swoje. W końcu zapytała, co robi mój ojciec. Odparłam, że jest woźnym w magistracie. Oddaliła się ze spuszczoną głową.

Zainteresowanie profesor Galiani, rzecz jasna, pochlebiło mi, ale nie miało dalszego ciągu. Wszystko ucichło. W związku z tym sława, jaką przez jakiś czas cieszyłam się w drugiej licealnej, szybko straciła dla mnie znaczenie. Czego właściwie dowodziła? Świadczyła o tym, jak dużo skorzystałam na rozmowach i nauce z Lilą, jak bardzo pomogły mi one w życiu poza naszym osiedlem, w świecie książek i nauki. Co prawda to ja napisałam wypracowanie o Dydonie, wszystkie te zgrabne, krągłe zdania są moim dziełem, ale przemyślenia na temat bohaterki wyszły od Lili, moje zainteresowanie tym tematem urosło w cieniu jej pasji. Czyż teza o miastach bez miłości, która tak bardzo spodobała się nauczycielom, nie pochodziła od Lili? Ja ją tylko ubrałam w słowa i podparłam odpowiednią argumentacją. Jaki wniosek powinnam z tego wyciągnąć?

Czekałam na następne pochwały, które by dowiodły, że jestem zdolna osiągnąć

sukces wyłącznie własnymi siłami. Jednak Gerace nie był szczególnie zachwycony moim następnym wypracowaniem o królowej Kartaginy: *Eneasze i Dydona – spotkanie dwojga uciekinierów* i ocenił je za ledwie na ósemkę. Galiani pozdrawiała mnie czasem skinieniem głowy na korytarzu, poza tym, ku mojemu zadowoleniu, dowiedziałam się, że uczy łaciny i greki Nina Sarratorego. Bardzo potrzebowałam czyjejs uwagi i podziwu, miałam nadzieję, że doczekam się ich od niego. Pomyślałam, że jeżeli nauczycielka przedmiotów humanistycznych pochwali mnie przed uczniami swojej klasy, on przypomni sobie, kim jestem, i odezwie się wreszcie do mnie. Ale nic takiego się nie wydarzyło, nadal widywałam go na szkolnym dziedzińcu, zdawał się zawsze pogrążony w myślach, nigdy nawet na mnie nie spojrzał. Pewnego dnia poszłam za nim na corso Garibaldi i dalej via Casanova w nadziei, że zwróci na mnie uwagę i powie: „Cześć, widzę, że chodzimy tą samą drogą do szkoły, słyszałem o tobie wiele dobrego”. Jednak Nino szedł z opuszczoną głową i nigdy nie obracał się za siebie. Znużyło mnie to w końcu, zawstydziłam się, że tak za nim chodzę. Przygnębiona, skręciłam w corso Novara i wróciłam do domu.

Mijały dni, podczas których koncentrowałam się przede wszystkim na demonstrowaniu nauczycielom, kolegom i samej sobie gorliwości i sumienności w nauce. Tymczasem jednak rosło we mnie uczucie samotności, zdawałam sobie sprawę, że uczę się bez zainteresowania. Powiedziałam Lili o ubolewaniu pana Ferrara, że nie chodzi już do biblioteki. Wspomniałam też o tym, jak wysoko zostało ocenione moje wypracowanie o Dydonie, nie wyjaśniłam jej dokładnie, o czym napisałam, ale dałam jej do zrozumienia, że była to także jej zasługa. Słuchała mnie obojętnie, być może nie pamiętała już, co powiedziałyśmy sobie o bohaterce *Eneidy*, miała teraz inne problemy. Kiedy tylko zamilkłam, wyznała mi, że Marcello Solara, odwrotnie niż Pasquale, nie dał za wygraną i wciąż o nią zabiega. W drodze na zakupy miała go zawsze za plecami, szedł za nią aż do sklepu Stefana albo do wozu z owocami Enza. Kiedy wyglądała z okna, widziała go, jak stoi na rogu, w nadziei, że ją zobaczy. Bardzo ją to niepokoiło. Bała się, że prędzej czy później zauważy to ojciec albo co gorsza Rino i skończy się na rękoczynach, jak to bywa wśród mężczyzn. W naszej dzielnicy takie epizody zdarzały się na porządku dziennym. „Dlaczego się tak przyczepił akurat do mnie?” – dziwiła się. Uważała się za brzydką, nazbyt chudą. „Coś jest ze mną nie tak. Prowokuję ludzi do niewłaściwych zachowań”.

Od jakiegoś czasu często to powtarzała. Była przekonana, że swojemu bratu wyrządziła więcej krzywdy niż dobra. „Wystarczy na niego spojrzeć” – mówiła. Chociaż projekt rozpoczęcia produkcji butów spalił na panewce, Rinowi pozostała

obsesja bogactwa, nie rezygnował z zamiaru upodobnienia się do braci Solara, zarabiania więcej niż Stefano i nie potrafił się pogodzić z szarą powszedniością pracy w warsztacie szewskim. Starał się rozbudzić w Lili niedawny entuzjazm: „Posłuchaj mnie, Lina, my jesteśmy inteligentni, gdy będziemy się trzymać razem, nikt nas nie zatrzyma, powiedz, co powinniśmy zrobić!”. On też chciał kupić sobie samochód i telewizor, nienawidził Fernanda za to, że nie rozumie, jakie to ważne. Kiedy Lila nie wykazywała chęci, żeby wspierać go w jego planach, traktował ją gorzej niż służącą. Prawdopodobnie rzadko zdawał sobie sprawę ze zmian, jakie w nim zaszły, ona jednak, która była z nim każdego dnia, bardzo się niepokoiła. Zapytała kiedyś:

– Zauważyłaś, że ludzie rano po przebudzeniu są prawdziwie brzydki, mają zgaszone spojrzenie, są zmienieni na twarzy, trudno ich rozpoznać?

Rino jej zdaniem stał się właśnie taki.

26.

Pamiętam, że pewnej niedzieli w połowie kwietnia wyszliśmy wieczorem na spacer: Lila, Carmela, Pasquale, Rino i ja. My, dziewczęta, ubrałyśmy się w najładniejsze sukienki i jak tylko znalazłyśmy się poza domem, pomalowałyśmy szminką usta i podkreśliłyśmy oczy czarną kredką. Pojechaliśmy metrem zatłoczonym do granic możliwości, w związku z czym Rino i Pasquale nie odstępowali nas, żeby ktoś nie zaczął nas obmacywać. Nikt nas nawet nie dotknął, nasi stróże mieli zbyt groźne miny.

Przeszliśmy się przez Toledo. Lila nalegała, żeby pójść na via Chiaia, via Filangieri i potem przez via Mille aż do piazza Amedeo, gdzie spotykało się zamożnych, eleganckich ludzi. Rino i Pasquale byli temu przeciwni, ale nie potrafili przedstawić żadnych przekonujących argumentów, odpowiadali tylko obraźliwymi słowami pod adresem tych, których nazywali gogusiami.

My, dziewczęta, razem nalegałyśmy, żeby wybrać na spacer elegancką dzielnicę. W pewnej chwili usłyszeliśmy w pobliżu klakson. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy fiata 1100 braci Solara. Na nich nawet nie spojrzeliśmy, tak bardzo zaskoczył nas widok Giglioli i Ady machających do nas rękami przez otwarte okna. Wyglądały bardzo ładnie – w kolorowych sukienkach, starannie uczesane, z błyszczącymi

kolczykami – i pozdrowiały nas wesoło. Rino i Pasquale odwrócili od nich głowy, Carmela i ja byłyśmy tak bardzo zaskoczone, że nie odpowiedziałyśmy na pozdrowienia. Tylko Lila odkrzyknęła coś do nich pogodnie i pomachała im serdecznie ręką, podczas gdy samochód odjeżdżał w kierunku piazza Plebiscito.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy, potem Rino powiedział ponuro do Pasqualego, że zawsze było wiadomo, że Gigliola to dziwka, na co Pasquale skinął poważnie głową. Żaden z nich nie wspomniał o Adzie, Antonio był ich przyjacielem i nie chcieli go obrazić. Tymczasem Carmela nie powstrzymała się przed skrytykowaniem jego siostry. Ja odczułam gorycz i coś w rodzaju zawiści. Przemknęło mi przez głowę, że nasi znajomi w samochodzie wyglądali, jakby bawili się o wiele lepiej tego wieczoru w centrum miasta niż my: podróżujący metrem, w skromniutkich ubraniach, biedaki bez grosza. Miałam ochotę wrócić zaraz do domu. Tymczasem Lila, jakby nic się nie stało, dalej przekonywała chłopców, żebyśmy poszli na spacer do eleganckiej dzielnicy. Uwiesiła się ramienia Pasqualego i udawała, że jest jedną z tych bogatych, uroczych kobietek: chichotała, szczebiotała cienkim głosem i kręciła pupą. Ja i Carmela przez chwilę wahałyśmy się, ale potem dołączyłyśmy do niej, rozdrażnione widokiem Giglioli i Ady, którym było tak dobrze w fiacie 1100, w towarzystwie przystojnych, bogatych chłopaków, podczas gdy my zasuwałyśmy na piechotę z Rinem, który zelował buty, i Pasqualem, który podawał cegły na budowie.

To niezadowolenie, choć niewyrażone słowami, w jakiś sposób dotarło do naszych towarzyszy. Spojrzeli na siebie, westchnęli i w końcu zgodzili się na naszą propozycję.

Weszliśmy na via Chiaia. To było tak, jakbyśmy przekroczyli jakąś granicę. Pamiętam tłumy ludzi i uczucie upokorzenia. Nie patrzyłam na chłopców, tylko na dziewczęta i dojrzałe kobiety. Różniły się od nas diametralnie. Zdawało się, jakby oddychały innym powietrzem, jadły inny chleb, ubierały się na innej planecie, a chodzić uczyły się na linach uplecionych z wiatru. Byłam niebotycznie zdumiona. Tym bardziej że podczas gdy ja mogłabym stać tam godzinami i przyglądać się ich sukienkom, butom czy okularom, one przechodziły obok mnie, jakby mnie nie widziały, jakby nie dostrzegały nikogo z nas pięciorga, jakbyśmy byli przezroczyści. Prawdopodobnie byliśmy po prostu nieinteresujący. Kiedy czasem spojrzenie którejs z nich zatrzymało się przypadkiem na kimś z nas, odwracała wzrok natychmiast, jakby zirytowana. Patrzyły tylko na siebie nawzajem.

Wszyscy zwróciliśmy na to uwagę. Nikt nie pisnął na ten temat ani słowa, ale my, dziewczęta, zrozumiałyśmy, że starsi od nas Rino i Pasquale znaleźli na tych ulicach potwierdzenie tego, co już wiedzieli i od czego pociemniały im twarze ze złości i upokorzenia – to znaczy, że są tu obcy. My odkrywałyśmy to dopiero w tej chwili i nie

miałyśmy tak jednoznacznych uczuć. Czułyśmy się jednocześnie oczarowane i odrzucone, brzydkie, ale i przekonane, że byłoby inaczej, gdybyśmy miały dość pieniędzy na fryzjera, biżuterię i ładniejsze sukienki. Na razie jednak, żeby nie zepsuć sobie całkiem wieczoru, broniłyśmy się przed przygnębieniem ironią i drwinkami.

– Ubrałabyś się w taką sukienkę?

– Nigdy! Choćby mi za to zapłacili.

– A ja tak.

– Wyglądałabyś w niej jak pączek, tak samo jak ta dziewczyna.

– Widziałaś jej buty?

– Bo co, ty to nazywasz butami?

Przeszliśmy aż do Palazzo Cellammare, śmiejąc się i żartując. Pasquale unikał fizycznego kontaktu z Lila. Kiedy złapała go w pewnym momencie pod ramię, uwolnił się zaraz delikatnie od jej ręki. Często zwracał się do niej, widać było, że z przyjemnością słucha jej i na nią patrzy, ale wyraźnie nie chciał jej dotykać, obawiając się pewnie, że może się rozplakać. Trzymał się blisko mnie i w pewnej chwili zapytał z sarkazmem:

– Twoje koleżanki ze szkoły też są takie? Też tak wyglądają?

– Nie.

– To znaczy, że nie chodzisz do dobrej szkoły.

– To liceum humanistyczne – odparłam lekko urażona.

– Tak czy inaczej to nie jest dobra szkoła – upierał się przy swoim. – Możesz być pewna, że jeżeli nie chodzą do niej ludzie tacy jak ci tutaj, nie jest dobra. Mam rację, Lila?

– Dobra szkoła? – powtórzyła Lila i zaraz wskazała palcem na blondynkę idącą w naszym kierunku, której towarzyszył wysoki brunet ubrany w nieskazitelnie biały pulower z wycięciem w serek.

– Jeżeli do twojego liceum nie chodzą dziewczyny takie jak ta tutaj, możesz być pewna, że twoja szkoła jest do niczego – i wybuchnęła śmiechem.

Dziewczyna była ubrana na zielono, od butów, poprzez spódnicę i żakiet, aż po – i to było najzabawniejsze – kapelusik w kształcie melonika jak ten, który nosił Charlie Chaplin.

Wesołość Lili udzieliła się reszcie towarzystwa. Kiedy młoda para mijała nas, Rino zrobił jakiś niewybredny komentarz na temat kapelusika paniienki w zielonym ubraniu, Pasquale dostał ataku śmiechu i zatrzymał się, opierając ręką o ścianę domu. Blondynka i jej towarzysz przeszli jeszcze parę kroków, po czym zatrzymali się. Chłopak w białym swetrze obrócił się w naszą stronę, ale dziewczyna przytrzymała go

za rękaw. On uwolnił się od jej uchwytu i zwrócił bezpośrednio do Rina z jakimś obraźliwym zdaniem. Wystarczył moment i Rino powalił go na ziemię jednym ciosem w twarz.

– Jak mnie nazwałeś?! Nie dosłyszałem, powtórz, jak mnie nazwałeś! Słyszałeś, Pascà, jak mnie nazwał?

Nam, dziewczętom, w jednej chwili przeszła ochota do śmiechu, ogarnął nas strach. Lila jako pierwsza doskoczyła do brata i zanim zdążył kopnąć chłopca leżącego na ziemi, odciągnęła go siłą. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie, jak gdyby tysiące fragmentów naszego życia, od dzieciństwa, aż po ten dzień, ułożyło się nagle w jeden jasny obraz, który jednak w tej chwili wydał jej się zbyt nieprawdopodobny, by mogła uwierzyć w jego autentyczność.

Odciągnęliśmy Rina i Pasqualego, a blondynka w zielonym kapelusiku pomagała swemu towarzyszowi podnieść się z ziemi. Tymczasem niedowierzanie Lili zamieniło się w nieposkromioną złość. Obrzuciła brata ordynarnymi wyzwiskami i groźbami, ciągnąc go przez cały czas z całej siły za ramię. Rino, z nerwowym uśmiechem, zwrócił się do Pasqualego:

– Moja siostra myśli, że my żartujemy – powiedział gwarą, z oczami zasnutymi szaleństwem. – Moja siostra myśli, że jeżeli ja mówię: lepiej, żebyśmy tam nie szli, ona może robić po swojemu, bo ona zawsze wie wszystko lepiej i wszystko lepiej rozumie.

Zrobił małą przerwę, żeby nabrać oddechu, i zaraz mówił dalej:

– Słyszałeś, że ten dupek mnie nazwał chamem? Mnie nazwał chamem? Mnie?!

I choć ze złości ledwo łapał oddech, ciągnął:

– Moja siostra przyprowadziła mnie tutaj i teraz zobaczy, czy pozwolę, żeby ktoś mnie nazywał chamem. Zobaczy, co robię z takimi, którzy mnie tak nazywają.

– Uspokój się, Rino – powiedział Pasquale z ponurą miną, oglądając się co jakiś czas za siebie.

Rino był bardzo wzburzony, ale trzymał nerwy na wodzy, tymczasem Lila uspokoiła się. Zatrzymaliśmy się na piazza dei Martiri. Pasquale zwrócił się chłodno do Carmeli:

– Wy teraz wróćcie do domu.

– Same?

– Tak.

– Nie!

– Carmè, nie będę teraz z tobą dyskutować. Macie iść do domu.

– Nie znamy drogi.

– Nie kłam.

– Idź – rozkazał Rino Lili, starając się opanować – dam ci pieniądze, kupicie sobie lody po drodze.

– Razem wyszliśmy z domu i razem wrócimy.

Rino znowu tracił cierpliwość, pchnął ją gwałtownie.

– Skończ z tym! Jestem twoim starszym bratem i masz mnie słuchać. Ruszaj, bo jeszcze oberwiesz.

Widziałam, że rzeczywiście może do tego dojść, pociągnęłam więc Lilę za ramię. Zresztą ona też wiedziała, co ryzykuje.

– Powiem wszystko ojcu.

– Gównu mnie to obchodzi. Maszeruj, już cię tu nie ma. Nie dostaniesz forsy na lody.

Odeszliśmy z ociąganiem w stronę kościoła św. Katarzyny, ale po chwili Lila zmieniła decyzję, zatrzymała się i powiedziała, że wraca do brata. Próbowaliśmy ją przekonać, żeby została z nami, ale nie było na nią sposobu. Podczas gdy o tym rozmawialiśmy, zauważyliśmy grupę chłopców, pięciu, może sześciu, wyglądali jak wioślarze, których czasem podziwialiśmy podczas spacerów przy Castel dell'Ovo. Wszyscy byli wysocy, dobrze zbudowani i dobrze ubrani. Paru trzymało w rękach kije. Przeszli szybkim krokiem przed kościołem i skierowali się w stronę placu. Był wśród nich chłopak, którego uderzył Rino, miał na sobie jeszcze biały pulower poplamiony krwią.

Lila uwolniła się z mojego uchwytu i pobiegła za nimi. Carmela i ja zrobiłyśmy to samo. Przybyłyśmy na czas, żeby zobaczyć, jak Rino i Pasquale cofają się, ramię przy ramieniu, do pomnika na środku placu, a elegancko ubrani chłopcy napierają na nich z kijami w rękach. Krzyczałyśmy o pomoc, płakałyśmy, zatrzymywałyśmy przechodniów, ale kije wzbudzały strach nie tylko w nas, i nikt nie zareagował. Lila złapała za ramię jednego z atakujących, ale odepchnął ją silnie i upadła na ziemię. Zobaczyłam, że Pasquale klęczy i dostaje kopniaki, a Rino zasłania głowę rękami przed uderzeniami kijów. Wtedy zatrzymał się przy nas samochód, fiat 1100 braci Solara.

Wysiadł z niego Marcello, najpierw podniósł Lilę z ziemi, a potem, podburzony jej krzykami, rzucił się w wir walki, rozdając i otrzymując ciosy. Dopiero w tej chwili z samochodu wysiadł Michele, bez pośpiechu otworzył bagażnik, wyjął z niego jakiś błyszczący metalowy przedmiot i zaczął rozdawać razy z zimnym zapamiętaniem, którego mam nadzieję nigdy już więcej w życiu nie oglądać. Rino i Pasquale, rozwścieczeni, podnieśli się i wrócili do walki. Byli tak zmienieni nienawiścią, że zdawali mi się obcymi ludźmi. Chłopcy w eleganckich ubraniach musieli uciekać. Michele podszedł do Pasqualego, któremu ciekła krew z nosa, ale Pasquale odepchnął

go, wytarł twarz rękawem białej koszuli i patrzył potem zdziwiony na czerwone plamy. Marcello podniósł z ziemi pęk kluczy i podał go Rinowi, a ten podziękował mu za to niechętnie. Ludzie, którzy przedtem trzymali się z daleka od sceny bójki, teraz zaciekawieni podchodzili do chłopców. Ja stałam dalej sparalizowana strachem.

– Zabierzcie stąd dziewczęta – zwrócił się Rino do braci Solara tonem kogoś, kto wie, że jego prośbie nie można odmówić.

Marcello zmusił nas, żebyśmy wsiadły do samochodu, zaczynając od Lili, która najbardziej się opierała. Musiałyśmy się wszystkie zmieścić na tylnym siedzeniu, usiadłyśmy sobie na kolanach. Samochód ruszył. Odwróciłam się, żeby spojrzeć jeszcze na Rina i Pasqualego idących w stronę Rivieri. Pasquale utykał. Miałam wrażenie, jakby nasza dzielnica rozszerzyła granice i pochłonęła cały Neapol, łącznie z ulicami zamieszkanymi przez wielkich państwa. W samochodzie zaraz zrobiło się zamieszanie. Gigliola i Ada były złe z powodu niewygody. „Tak nie można jechać!” – protestowały. „To wysiądźcie i idźcie pieszo!” – krzyknęła Lila i niewiele brakowało, żeby zaczęły się tarmosić. Marcello, rozbawiony, zatrzymał samochód. Gigliola wysiadła i poruszając się godnie, z wysoko podniesioną głową jak jakaś księżniczka, przeszła do przodu i usiadła na kolanach Michelego. Przez całą podróż Michele i Gigliola całowali się na przednim siedzeniu. Spoglądałam na nią, a i ona, podczas namiętnych pocałunków, spoglądała czasem na mnie. Odwracałam wtedy wzrok.

Lila nie odezwała się ani słowem. Marcello próbował ją zagadać i szukał spojrzeniem we wstecznym lusterku, ale ona nie reagowała. Wysiadłyśmy dość daleko od domu, żeby nikt nas nie zobaczył w samochodzie braci Solara. Resztę drogi pokonałyśmy pieszo, wszystkie pięć dziewcząt. Poza Lilą, która wciąż jeszcze była bardzo rozdrażniona, wszystkie inne podziwiałyśmy gest braci Solara. „Dobrze zrobili” – powtarzałyśmy. Gigliola potwierdzała nasze pochwały: „Jasne!” – tonem kogoś, kto pracując w cukierni rodziny Solara dobrze wie, jakimi są wartościowymi ludźmi. W pewnej chwili zapytała z taką miną, jakby chciała sobie ze mnie zażartować:

– Jak ci jest w tej szkole?

– Dobrze.

– Ale na pewno nie tak przyjemnie jak mnie.

– To inny rodzaj przyjemności.

Kiedy już Carmela, Gigliola i Ada zostawiły nas same, odezwałam się do Lili:

– Co prawda, to prawda, że ci wielcy państwo są gorsi od nas.

Lila nie odpowiedziała. Dodałam więc po chwili:

– Bracia Solara są obrzydliwi, ale to szczęście, że znaleźli się tam we właściwym momencie. Ci z via Mille byli gotowi zabić Rina i Pasqualego.

Lila potrząsnęła gwałtownie głową. Była bledsza niż zwykle i pod oczami miała głębokie fioletowe cienie. Nie zgadzała się ze mną, ale nie powiedziała dlaczego.

27.

Przeszłam do następnej klasy z samymi dziewiątkami na świadectwie, miałam nawet dostać stypendium. Nasza klasa zmniejszyła się z czterdziestu do trzydziestu dwojga uczniów. Gino nie dostał promocji, Alfonso miał trzy poprawki. Za namową ojca odwiedziłam panią Oliviero. Matka była temu przeciwna, nie chciała, żeby Oliviero wtrącała się do spraw naszej rodziny i miała decydujący głos tam, gdzie tylko ona powinna decydować. Zniosłam Oliviero te same co zawsze dwie torebki: z kawą i z cukrem, zakupione w barze „Solara” – w podziękowaniu za zainteresowanie moją osobą.

Oliviero nie czuła się najlepiej, bolało ją gardło, ale bardzo mnie chwaliła za wyniki w nauce. Powiedziała też, że wyglądam trochę blado, i obiecała, że zadzwoni do kuzynki, która mieszka na Ischii, i zapyta, czy nie mogłaby mnie gościć przez jakiś czas u siebie. Podziękowałam, ale nie powiedziałam matce o tej propozycji. Wiedziałam, że nie pozwoliłaby mi pojechać. Ja na Ischię? Sama na statku? Ja na plaży w kostiumie kąpielowym?

Nie powiedziałam o tym nawet Lili. Z jej życia zniknęła nawet obietnica przygody przy produkcji nowych butów, i nie chciałam chełpić się przed nią moim świadectwem, stypendium i zaproszeniem na Ischię.

Pozornie jej sytuacja poprawiła się, bo Marcello przestał za nią chodzić po ulicy. Ale po bójce na piazza dei Martiri wydarzyło się coś nieoczekiwanego, w czym podejrzewała jakiś podstęp. Młody Solara pojawił się w warsztacie szewskim, by zapytać o zdrowie Rina. Tylko że Rino nie powiedział ojcu o tym, co się stało, i dla usprawiedliwienia siniaków wymyślił kłamstwo, że spadł z lambretty kierowanej przez kolegę. Teraz więc Rino, obawiając się, że Marcello go zdradzi, wypchnął go przed warsztat. Przeszli razem kilka kroków. Rino podziękował niechętnie za interwencję oraz za zainteresowanie stanem jego zdrowia. Po niespełna dwóch minutach pożegnali się. W warsztacie ojciec powiedział:

– Widzę, że nareszcie zmądrzałeś.

- Dlaczego?
- Bo zaprzyjaźniłeś się z Marcellem Solarą.
- Nie jesteśmy przyjaciółmi, tato.
- To znaczy, że byłeś głupi i dalej jesteś głupi.

Fernando chciał dać do zrozumienia synowi, że jakkolwiek nazwie ten zwrot w zachowaniu braci Solara, powinien go docenić, nie odrzucać. Rzeczywiście, coś się zmieniło. Parę dni później Marcello wrócił do warsztatu z parą butów dziadka do podzelowania, później zaprosił Rina na przejażdżkę samochodem, pokazał mu, jak się nim kieruje, i w końcu namówił go, żeby zrobił prawo jazdy, oferując swojego fiata 1100 do praktycznych ćwiczeń. Możliwe, że nie była to przyjaźń, ale bezsprzecznie bracia Solara zainteresowali się Rinem.

Lila pozostawała poza sferą tych kontaktów, przede wszystkim dlatego, że koncentrowały się wokół warsztatu szewskiego, do którego ona od dawna nie zaglądała. Kiedy jednak o nich słuchała, ogarniał ją, w odróżnieniu od ojca, coraz większy niepokój. Początkowo, mając wciąż w pamięci bitwę na fajerwerki w noc sylwestrową, była pewna, że Rino darzy braci Solara zbyt wielką nienawiścią, by dać się im omotać. Po jakimś czasie jednak musiała stwierdzić, że Marcello przekonał do siebie jej starszego brata jeszcze łatwiej niż rodziców. Znała słabe punkty Rina, ale i tak nie mogła zrozumieć, jak Rino może pozwolić tak sobą manipulować, zamieniając się w zadowoloną z wszystkiego małpkę.

- Co w tym złego? – zapytałam kiedyś, wysłuchawszy jej narzekania.
- Oni są niebezpieczni.
- Tutaj wszystko jest niebezpieczne.
- Widziałaś, co Michele wyjął z bagażnika na piazza dei Martiri?
- Nie.
- Żelazny drąg.
- Tamci mieli kije.

– Ty tego nie zauważyłaś, Lenù, ale ten drąg miał zaostrzony koniec i gdyby Michele chciał, mógłby przeszyć nim serce albo żołądek któregoś z tych chłopaków.

- No dobrze, a ty przystawiłaś Marcellowi do szyi szewski nóż.

Te słowa rozgniewały ją, powiedziała, że nic nie rozumiem, i prawdopodobnie miała rację. Zresztą to był jej brat, nie mój. Ja mogłam sobie snuć teoretyczne rozważania, podczas gdy ona uważała, że koniecznie musi wyciągnąć brata z niebezpiecznej pułapki. Kiedy jednak próbowała go ostrzec, Rino uciszał ją gwałtownie, groził jej, a czasem nawet ją bił. Tak więc sytuacja rozwijała się bez przeszkód i doszło do tego, że pewnego wieczoru pod koniec czerwca, kiedy byłam akurat u Lili i pomagałam jej

składać wyschnięte prześcieradła, drzwi mieszkania otworzyły się i pojawił się w nich Rino w towarzystwie Marcella.

Rino zaprosił go do domu na kolację. Fernando, który właśnie wrócił z pracy i był bardzo zmęczony, w pierwszym momencie zirytował się, ale po chwili przeważyła duma, że taki gość przekroczył ich skromne progi, i przyjął go bardzo serdecznie. O Nunzii nawet nie warto wspominać: była ogromnie podniecona, wylewnie dziękowała za trzy butelki dobrego wina, które przyniósł Solara, i wyrzuciła z pokoju młodsze dzieci, żeby nie przeszkadzały.

Zostałam wraz z Lilą zaangażowana w przygotowanie kolacji.

– Wsypię mu truciznę na karaluchy – powiedziała do mnie szeptem Lila przy piecu, co nas bardzo rozśmieszyło, i Nunzia musiała nas uciszać.

– Przyszedł, bo chce się z tobą ożenić – dokuczałam jej. – Zobaczysz, że poprosi ojca o twoją rękę.

– To tego bardzo pożałuje.

– A co? – pytała Nunzia. – Gdyby cię o to poprosił, odmówiłabyś mu?

– Już mu odmówiłam.

– Naprawdę?

– Tak.

– Co ty mówisz?!

– To prawda – potwierdziłam.

– Twój ojciec nie może się o tym dowiedzieć, gotów cię zabić.

Przy kolacji mówił tylko Marcello. Bez trudu odgadłyśmy, że sam się wprosił, a Rino nie potrafił mu odmówić. Brat Lili siedział teraz bez słowa, tylko od czasu do czasu śmiał się bez wyraźnego powodu. Solara zwracał się przede wszystkim do Fernanda, ale nie zapominał o napełnianiu wodą lub winem szklanki Nunzii, Lili i mojej.

Powiedział gospodarzowi, że wszyscy w dzielnicy uważają go za świetnego szewca, łącznie z jego ojcem. Dodał, że Rino ceni go wręcz bezgranicznie.

Fernando, także za sprawą wypitego wina, wzruszył się. Mruknął parę pochwalnych słów pod adresem Silvia Solary, stwierdził nawet, że Rino jest bardzo pracowity i staje się coraz lepszym szewcem. Na to Marcello zaczął mówić o tym, jak ważna, obok profesjonalizmu, jest przedsiębiorczość. Jego dziadek na przykład założył interes w suterenie, potem ojciec go rozwinął i teraz bar i cukiernię „Solara” znają wszyscy. Z całego Neapolu przyjeżdżają ludzie, żeby się napić w nim kawy i zjeść ciastko.

– To chyba lekka przesada – wtrąciła się Lila, na co ojciec spiorunował ją wzrokiem. Marcello za to uśmiechnął się skromnie i przyznał:

– Tak, może trochę przesadziłem. Ale chciałem przez to powiedzieć, że pieniądź

musi być w stałym ruchu. Można zacząć od skromnego warsztatu w suterenie, a po paru pokoleniach robić naprawdę wielkie rzeczy.

I wtedy, ku niezadowoleniu Rina, zaczął wychwalać pomysł produkowania nowych butów. Coraz częściej też spoglądał na Lilę, jak gdyby chwalać energię młodych ludzi, chciał zaznaczyć, że ją ma na myśli.

Zastanawiał się, dlaczego ktoś, kto zna tajniki sztuki szewskiej i potrafi wymyślać nowe modele, którymi mógłby trafić w gust klientów, nie miałby spróbować swoich sił. Mówił gwarą, płynnie, nie spuszczał już potem oczu z mojej przyjaciółki. Było dla mnie oczywiste, że jest w niej zakochany tak, jak śpiewa się o tym w piosenkach, że chciałby ją całować, oddychać jej oddechem i że ona mogłaby z nim zrobić wszystko, co by chciała, bo ucieleśniała w jego oczach wszelkie kobiece przymioty.

– Wiem – ciągnął Marcello – że wasze dzieci uszyły parę bardzo pięknych butów, rozmiar 43, dokładnie taki, jaki noszę.

Zapadła długa cisza. Rino wbił oczy w talerz i nie ośmielał się podnieść spojrzenia na ojca. Słyszeliśmy tylko śpiew szczygła w klatce przy oknie. W końcu Fernando powiedział powoli:

– Tak, mają rozmiar 43.

– Bardzo chciałbym je zobaczyć, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Fernando mruknął:

– Nie wiem, gdzie są. Może ty wiesz, Nunzia?

– Ona je gdzieś schowała – rzekł Rino, wskazując na Lilę.

Lila spojrzała prosto w twarz Marcella i powiedziała:

– Tak, ja je schowałam w komórce, ale przedwczoraj mama kazała mi zrobić w niej porządek i wyrzuciłam je przy tej okazji. I tak nikomu się nie podobały.

Rino się rozżłościł:

– Kłamczucha z ciebie. Przynieś je natychmiast.

Fernando poparł syna:

– Przynieś te buty, szybko.

Lila wybuchnęła, zwracając się do ojca:

– Co się stało, że teraz chcesz je oglądać? Wyrzuciłam je, bo powiedziałeś, że ci się nie podobają.

Fernando uderzył otwartą dłoń w stół, aż zadrżało wino w szklankach.

– Wstań i idź po te buty. Natychmiast!

Lila podniosła się od stołu i odsunęła krzesło.

– Wyrzuciłam je – powtórzyła słabym głosem i wyszła z pokoju.

Nie wróciła więcej.

Czas mijał w ciszy. Pierwszy zaniepokoił się Marcello, zdawał się naprawdę wystraszony:

- Może nie powinienem był o tym mówić. Nie wiedziałem, że to taki problem.
- Nie ma żadnego problemu – odrzekł Fernando i rozkazał żonie:
- Idź i zobacz, co tam wymyśliła twoja córka.

Nunzia wyszła z pokoju. Po chwili wróciła zakłopotana. Nie znalazła Lili.

Szukaliśmy jej w całym mieszkaniu, wołaliśmy z okna – Lili nie było. Marcello, przygnębiony, pożegnał się. Jak tylko wyszedł, Fernando krzyknął, zwracając się do żony:

- Tym razem, jak mi Bóg miły, naprawdę zabiję tę twoją córkę!

Rino przyłączył się do ojca ze swoimi pogrozkami, Nunzia zaczęła płakać. Wyszłam stamtąd prawie na paluszkach, byłam bardzo wystraszona. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, usłyszałam, że Lila mnie woła. Była na ostatnim piętrze, weszłam po schodach cichutko. Siedziała skulona pod drzwiami na taras, w półmroku. Na podołku trzymała buty, po raz pierwszy zobaczyłam je wykończone, błyszcząły w słabiutkim świetle żarówki wiszącej na gołym drucie.

- Co ci szkodziło mu je pokazać? – zapytałam zbita z tropu.

Lila potrząsnęła gwałtownie głową:

- Nie pozwolę, żeby ich dotykał.

Ale wydawała się pokonana własną reakcją. Drżała jej dolna warga, czego wcześniej u niej nie widziałam. Powoli udało mi się ją przekonać, że powinna wrócić do domu, nie mogła w nieskończoność siedzieć pod drzwiami na taras. Weszłam z nią do mieszkania w nadziei, że moja obecność ochroni ją przed najgorszym. Ale nie obyło się bez krzyków, wyzwisk i razów. Fernando wrzeszczał, że swoim kaprysem narobiła mu wstydu przed takim ważnym gościem. Rino wyrwał jej buty z rąk, powiedział, że są jego, bo to on się nad nimi najwięcej napracował. Lila, zanosząc się od płaczu, szeptała:

- Ja też przy nich pracowałam, ale lepiej by było, gdybym tego nie robiła. Zmieniłeś się w oszalałą bestię.

Dopiero Nunzii udało się zakończyć tę awanturę. Z ziemistą twarzą, stanowczym głosem, którego nigdy przedtem u niej nie słyszałam, bo była zawsze bardzo uległa, rozkazała synowi i córce, a nawet mężowi natychmiast się uspokoić, oddać jej buty i nie mówić już na ten temat ani słowa, jeżeli nie chcą, żeby rzuciła się z okna. Rino oddał jej buty i na tym się na razie skończyło. Wymknęłam się niepostrzeżenie do domu.

Ale Rino nie zrezygnował. W następnych dniach nie przestał atakować siostry słowami i rękami. Przy każdym spotkaniu z Lilą zauważałam u niej nowego siniaka. Po jakimś czasie wyczułam, że się poddała. Pewnego ranka Rino kazał jej towarzyszyć sobie do warsztatu. Po drodze oboje starali się zawrzeć pokój. Rino powiedział, że chce jej dobra, a jej nie obchodzi nikt, ani rodzice, ani rodzeństwo. Lila zapytała cichym głosem:

– Jakie jest to twoje dobro, co to za dobro, którego pragniesz dla naszej rodziny?

Proszę, posłuchajmy.

I Rino powiedział jej ze szczegółami, co sobie zaplanował:

– Jeżeli nasze buty spodobają się Marcellowi, ojciec zmieni zdanie.

– Wątpię.

– Na pewno. A jeżeli Marcello je kupi, tata zrozumie, że twoje projekty są udane, mogą przynieść zyski i zaczniemy produkować nowe buty.

– Wszyscy troje?

– On, ja i może też ty. Tata jest w stanie uszyć parę butów w cztery, najwyżej pięć dni. Ja też, jeżeli wezmę się do tego poważnie, mogę być równie szybki. Uszyjemy kilka par, sprzedamy je i będziemy mieli pieniądze, żeby zainwestować w materiały na nowe buty, które znowu sprzedamy i tak dalej.

– Komu je będziemy sprzedawać? Wszystkiej rodzinie Solara?

– Bracia Solara znają wielu ludzi, którzy mają pieniądze, będą nam robić reklamę.

– Za darmo?

– Jeżeli będą chcieli, możemy dać im jakiś niewielki procent.

– Dlaczego miałby im wystarczyć niewielki procent?

– Bo mnie polubili.

– Bracia Solara?

– Tak.

Lila westchnęła ciężko i zaproponowała:

– To zróbmy tak: powiemy o wszystkim ojcu i posłuchamy, co on o tym myśli.

– Ani mi się waź!

– Albo tak, albo nic z tego.

Rino zamilkł na dłuższą chwilę, był bardzo zdenerwowany.

– No dobrze. Ale ty mu to powiesz, potrafisz lepiej mówić ode mnie.

Tego samego wieczora przy kolacji, w obecności brata, z ognistymi rumieńcami na policzkach, Lila powiedziała Fernandowi, że Marcello nie tylko zainteresował się pomysłem produkowania butów, ale być może będzie sam chciał kupić jedną parę. Nie dość tego – gdyby uznał to za dobry interes, mógłby zareklamować ich buty w kręgach, w których się obraca, w zamian rzecz jasna za mały procent z zysków.

– To mój pomysł – dodał Rino ze spuszczonego wzrokiem – a nie propozycja Marcella.

Fernando spojrział na żonę. Lila odgadła, że rozmawiali już na ten temat i wspólnie podjęli jakąś decyzję.

– Jutro – zaczął – wystawię wasze buty w witrynie warsztatu. Jeżeli ktoś będzie chciał je obejrzeć, zmierzyć albo kupić czy zrobić z nimi cokolwiek, będzie musiał ze mną pogadać. Ja tu decyduję.

Parę dni później przechodziłam przed zakładem szewskim. Widziałam Rina i Fernanda jak pracują, obaj zgarbieni, z opuszczonymi głowami. W oknie wystawowym, między pudełkami z pastą do butów i sznurowadłami, zobaczyłam parę pięknych męskich pantofli marki „Cerullo”. Na kawałku kartonu przyklejonym do szyby przeczytałam starannie wykaligrafowany, pewnie ręką Rina, dumny napis: „Tylko u nas buty marki »Cerullo«”. W środku ojciec i syn czekali, żeby uśmiechnęło się do nich szczęście.

Lila była naburmuszona. Nie podzielała naiwnej wiary brata, poza tym obawiała się skutków nieoczekiwanej ugody między ojcem i matką. Spodziewała się najgorszego. Minął tydzień i nikt nie okazał najmniejszego zainteresowania butami wystawionymi w witrynie. Nawet Marcello. Tylko dlatego, że Rino dosłownie zaciągnął go do warsztatu, Solara rzucił na nie okiem, ale zrobił to, jakby myślami był gdzie indziej. Zmierzył je wprawdzie, powiedział jednak, że są mu trochę ciasne, i nie pochwaliwszy ich ani słowem, zniknął szybko, jakby nagle rozbolał go brzuch. Ojciec i syn byli bardzo zawiedzeni. Ale dwie minuty później Marcello pojawił się znowu. Rino zerwał się na równe nogi, rozpromieniony, wyciągnął do niego rękę, jakby Marcello swoim ponownym przyjściem potwierdził jakieś wcześniej zawarte porozumienie. Marcello jednak nie zwrócił na niego uwagi i odezwał się bezpośrednio do Fernanda, mówiąc na jednym oddechu:

– Przychodzę z poważnymi zamiarami, don Fernà. Chcę prosić o rękę waszej córki.

Na tę niespodziankę Rino zareagował wysoką gorączką, przez którą długo nie mógł przychodzić do warsztatu. Potem temperatura gwałtownie mu spadła, ale zaczął się dziwnie zachowywać: wstawał w środku nocy z łóżka, choć nadal spał, nic nie mówił, ale widać było, że jest wzburzony, podchodził do drzwi wyjściowych i próbował je otworzyć, wciąż mając oczy zamknięte. Nunzia i Lila, bardzo wystraszone, ciągnęły go z powrotem do łóżka.

Fernando natomiast, który podobnie jak żona od razu odgadł prawdziwe intencje Marcella Solarę, odbył z córką spokojną rozmowę. Wyjaśnił jej, że oświadczyzny Marcella są korzystne nie tylko dla jej przyszłości, ale dla przyszłości całej rodziny. Powiedział, że jest jeszcze bardzo młoda i nie musi od razu ich przyjmować, lecz on jako ojciec radzi jej, żeby się zgodziła. Przez długie oficjalne narzeczeństwo przyzwyczai się do myśli o małżeństwie.

Lila odpowiedziała mu równie spokojnie, że wolałaby się utopić w stawie niż zaręczyć z Marcellem Solarą i potem wyjść za niego za męża. Rozmowa przerodziła się w gwałtowną kłótnię, mimo to Lila pozostała przy swoim zdaniu.

Zrobiło mi się słabo, gdy o tym usłyszałam. Wiedziałam, że Marcello chce za wszelką cenę zaręczyć się z Lilą, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że w naszym wieku można otrzymać poważną propozycję małżeństwa. Tymczasem Lili się oświadczone, chociaż nie skończyła jeszcze piętnastu lat, nigdy dotąd nie miała chłopaka i nigdy się z nikim nie całowała. Od razu stanęłam po jej stronie. Małżeństwo? Z Marcellem Solarą? A może miałyby też zaraz urodzić dzieci? Nie ma mowy! Dopingowałam ją do walki w tej nowej wojnie z ojcem i przysięgałam, że będę ją wspierać, chociaż ojciec nie był już spokojny i groził jej, że dla jej dobra połamie jej kości, jeżeli nie przyjmie tak korzystnych oświadczeń.

Nie udało mi się jednak pozostać przy niej. W połowie lipca wydarzyło się coś, na co powinnam być przygotowana, a co całkiem mnie zaskoczyło i miało nieprzewidywalne konsekwencje. Pewnego późnego popołudnia po zwykłym spacerze po osiedlu, podczas którego jak zwykle zastanawialiśmy się z Lilą, jak poradzić sobie w sytuacji, w jakiej się znalazła, wróciłam do domu i drzwi otwarła mi moja mała siostrzyczka Elisa. Powiedziała, cała przejęta, że w jadalni siedzi jej pani ze szkoły, to znaczy pani Oliviero. Rozmawiała z naszą matką.

Weszłam nieśmiało do pokoju i od razu usłyszałam nadąsaną matkę:

– Pani Oliviero mówi, że powinnaś wypocząć, bo bardzo się napracowałaś.

Spojrzałam na panią Oliviero, nie rozumiejąc, co matka do mnie mówi. To ona wyglądała, jakby potrzebowała wypoczynku, była blada i miała podpuchniętą twarz.

Pani Oliviero powiedziała:

– Dostałam wczoraj list od kuzynki. Píše, że możesz pojechać do niej na Ischię i zostać do końca sierpnia. Z przyjemnością przyjmie cię u siebie, jeżeli pomożesz jej trochę w domu.

Zwróciła się do mnie, jakby to ona była moją matką i jakby moja prawdziwa matka z tą swoją urażoną nogą i zezującym okiem, była postacią drugorzędną i jako takiej nie należało brać jej pod uwagę. Co więcej, po przekazaniu nam tej wiadomości nie wyszła od razu, siedziała jeszcze co najmniej godzinę i pokazała mi, jedną po drugiej, książki, które chciała mi pożyczyć. Wyjaśniła, które z nich powinnam przeczytać najpierw, a które potem, kazała mi obiecać, że zanim wezmę się do czytania, obłożę je papierem, i poprosiła, żebym je zwróciła pod koniec sierpnia bez jednego oślego rogu. Moja matka okazała dużo cierpliwości. Słuchała uważnie naszej rozmowy, ale przez swoje zezujące oko wyglądała, jakby była nieobecna duchem. Wybuchła dopiero po wyjściu nauczycielki, dodatkowo rozszłoszczona tym, że Oliviero pożegnała się z nią mało uprzejmie i nawet nie pogłaskała po głowie Elisy, czego pewnie się spodziewała. Niewątpliwie mnie obwiniała za upokorzenie, jakiego doświadczyła, bo zwróciła się do mnie ze złością:

– Panienska musi wypocząć na Ischii, panienska za bardzo się napracowała... Ruszaj nakrywać do kolacji! Ale to już, bo jak nie, to oberwiesz!

Jednak dwa dni później wzięła ze mnie miarę i uszyła mi w jedno popołudnie kostium kąpielowy, skopiowawszy skądś wykrój. Potem osobiście odprowadziła mnie na statek. W drodze do portu i w oczekiwaniu na zaokrętowanie zasypała mnie radami, zakazami i nakazami. Największe wrażenie robiła na niej podróż statkiem.

– Miejmy nadzieję, że morze będzie spokojne – powtarzała co chwilę jakby do siebie.

Twierdziła, że kiedy byłam mała, wozila mnie przez jakiś czas codziennie do Coroglio, żeby wyleczyć mnie z kataru, morze było wtedy bardzo spokojne i nauczyłam się pływać. Ale ja nie przypominałam sobie Coroglio, nie pamiętałam morza ani kąpeli, co jej powiedziałam. Zareagowała na to urażonym tonem, jakby chciała podkreślić, że jeżeli się utopię, będzie to wina mojej słabej pamięci, bo ona zrobiła wszystko, co mogła, żebym się nauczyła pływać. Potem poleciła mi nie oddalać się od brzegu nawet przy najspokojniejszym morzu i nie ruszać się z domu, jeżeli zobaczę wywieszoną czerwoną flagę.

– Przede wszystkim nie wolno ci nawet zamoczyć stóp, jeżeli będziesz miała pełny

żołądek albo kiedy dostaniesz okres.

Zanim się pożegnała, poprosiła jednego ze starszych marynarzy, żeby się mną opiekował. Kiedy statek odbił od nadbrzeża, poczułam się przerażona i jednocześnie bardzo szczęśliwa. Po raz pierwszy w życiu opuszczałam dom i podróżowałam, podróżowałam morzem. Tęga sylwetka mojej matki razem z naszą dzielnicą i problemami Lili oddalały się coraz bardziej, aż wreszcie zniknęły.

30.

Odżyłam.

Kuzynka pani Oliviero nazywała się Nella Incardo i mieszkała w Barano. Dojechałam do tej miejscowości autobusem i bez trudu znalazłam jej dom. Nella była postawną, miłą kobietą, bardzo wesołą i rozgadaną. Nie miała męża, wynajmowała pokoje letnikom, sobie zostawiła tylko kuchnię i małą izdebkę. Dla mnie przeznaczyła miejsce w kuchni, każdego wieczoru miałam sobie przygotować łóżko, a rano, po pobudce o wpół do siódmej, poskładać je łącznie z materacem i stelażem i postawić w kącie. Szybko się dowiedziałam, że czekają na mnie obowiązki, od których nie mogę się uchylić. Należało do nich przygotowanie śniadania dla gospodyni i jej gości – kiedy przyjechałam, mieszkała u niej para Anglików z dwojgiem dzieci – umycie i posprzątanie kubków i miseczek, nakrycie do kolacji i przed snem pozmywanie naczyń. Przez resztę dnia byłam wolna. Mogłam siedzieć na tarasie z widokiem na morze i czytać książki albo zejść białą drogą do morza, na rozległą plażę o ciemnym piasku, znaną jako plaża Maronti.

Z początku, pełna lęków i obaw zasianych przez matkę oraz kompleksów związanych z moim ciałem, spędzałam cały czas na tarasie, gdzie ubrana w sukienkę pisałam listy do Lili, jeden dziennie, pełne pytań, dowcipnych obserwacji i entuzjastycznych opisów wyspy.

Aż pewnego ranka Nella zapytała:

– Dlaczego siedzisz w sukience? Załóż kostium kąpielowy!

A kiedy mnie w nim zobaczyła, wybuchnęła śmiechem. Powiedziała, że takie kostiumy noszą tylko stare baby, i uszyła mi nowy, niebieski, jej zdaniem bardziej pasujący do młodej dziewczyny, wydekoltowany na biuście i dopasowany w biodrach.

Zmierzyłam go i usłyszałam od Nelli, że starczy już tego wysiadania na tarasie, najwyższa pora, żebym wybrała się na plażę.

Następnego dnia, pełna obaw, ale jednocześnie bardzo podekscytowana, zaopatrzona w książkę i ręcznik, poszłam na plażę Maronti. Droga zdawała mi się bardzo długa, nie spotkałam na niej nikogo. Plaża też była pusta, wyglądała, jakby nie miała końca. Pokrywał ją ziarnisty, gruby piasek, który trzeszczał pod stopami przy każdym kroku. Od morza dochodził do mnie intensywny zapach i monotony, suchy dźwięk fal.

Długo stałam i patrzyłam na tę ogromną masę wody. Potem usiadłam na ręczniku i nie wiedziałam, co dalej robić. Wreszcie wstałam i poszłam zamoczyć nogi. Jak to możliwe, że mieszkałam w Neapolu i nigdy nie kąpałam się w morzu? Ale tak właśnie było. Powoli wchodziłam coraz głębiej, pozwoliłam, żeby woda przykryła mi łydki, sięgnęła do ud. W pewnej chwili straciłam równowagę i zanurzyłam się cała. Poruszyłam gwałtownie ramionami i wróciłam na powierzchnię. Zauważyłam, że moje ruchy były bardzo skuteczne, bez trudu utrzymywałam się na wodzie. Okazało się, że umiem pływać. Matka naprawdę wozila mnie nad morze w dzieciństwie i podczas gdy wygrzewała chorą nogę w piasku, ja nauczyłam się pływać. Błysnął mi przed oczami obraz młodej kobiety, nie tak zaniedbanej jak teraz, w białej sukience w kwiatki, jak siedzi w pełnym słońcu, z jedną nogą zakrytą spódniczką aż do kolana i drugą przysypaną gorącym piaskiem.

Dzięki morskiej wodzie i słońcu pryszczki w krótkim czasie zniknęły mi z twarzy. Opaliłam się, pociemniałam. Czekałam na listy od Lili, przy pożegnaniu obiecałyśmy sobie, że będziemy do siebie pisać, ale nie dostałam ani jednego. Ćwiczyłam trochę mój angielski w rozmowach z letnikami Nelli. Domyślili się, że chcę się jak najwięcej nauczyć, często więc i z sympatią zwracali się do mnie. Poczyniłam duże postępy. Nella, niezmiennie wesoła, dodawała mi odwagi, często byłam jej tłumaczką. Nie żałowała mi komplementów i stawiała przede mną zawsze kopiałe talerze, a była wyśmienitą kucharką. Mówiła, że kiedy przyjechałam do niej na Ischię, wyglądałam jak wymoczek, a teraz, dzięki jej kuracji, zrobiła się ze mnie piękna dziewczyna.

Krótko mówiąc, w ostatniej dekadzie lipca było mi tak dobrze jak nigdy dotąd. Doświadczyłam uczucia, które w moim późniejszym życiu często się powtarzało: uczucia radości z nowych wrażeń. Wszystko mi się podobało. Lubiłam wcześniej wstawać, przygotowywać śniadanie, sprzątać, spacerować po Barano, chodzić drogą na plażę Maronti, i w dół, i w górę, czytać leżąc na piasku, nurkować w morzu i znów czytać. Nie tęskniłam za ojcem, rodzeństwem, matką, naszym osiedlem i skwerem. Brakowało mi tylko Lili, która jednak nie odpowiadała na moje listy. Bałam się, że stało się coś złego, a mnie przy niej nie ma. To był stary strach, strach, który nigdy mi

nie minął, obawa, że jeżeli zgubię jakiś kawałek jej życia, moje życie straci na intensywności. Fakt, że nie odpowiadała na moje listy, powiększał go. W listach pisałam o tym, jak cudownie jest na Ischii. Ale zdawało mi się, że moja rzeka słów i jej milczenie świadczą tylko o jednym: że moje wakacje na wyspie są nudne, pozbawione atrakcji do tego stopnia, że muszę wypełniać sobie czas listami do niej, podczas gdy jej życie jest może nędzne, ale za to interesujące i absorbujące.

W ostatnich dniach lipca Nella oznajmiła, że od pierwszego sierpnia zamiast Anglików zamieszka u niej rodzina z Neapolu. Przyjadą już drugi raz z rzędu. To porządna rodzina, bardzo mili ludzie, zwłaszcza ojciec, prawdziwy dżentelmen, który ma dla niej zawsze miłe słowa. Najstarszy syn to prawdziwie piękny chłopak, wysoki, szczupły, ale silny, w tym roku skończy siedemnaście lat.

– Będiesz miała towarzystwo – powiedziała, a ja od razu się wystraszyłam, że nie będziemy umieli z sobą rozmawiać, że mu się nie spodobam.

Anglicy zostawili mi parę powieści, miałam je przeczytać i poćwiczyć w ten sposób umiejętność posługiwania się ich językiem, dali mi też swój adres, żebym ich odwiedziła przy okazji podróży do ich kraju. Nella poprosiła, bym pomogła jej w porządkowaniu zwolnionych pokoi i ścieleniu łóżek. Zrobiłam to z przyjemnością. Podczas gdy myłam podłogi, ona przez cały czas mówiła do mnie z kuchni.

– Podziwiam cię, że potrafisz czytać po angielsku. Nie wystarczą ci książki, które z sobą przywiozłaś?

I dalej chwaliła mnie głośno, z odległości – za mój rozsądek, za pracowitość i za to, że czytam całymi dniami i wieczorem. W kuchni zastałam ją z książką w ręce. Powiedziała, że dostała ją od ojca rodziny, która od jutra będzie u niej mieszkać. On sam ją napisał. Nella trzymała ją na nocnym stoliku, każdego wieczoru czytała jeden wiersz, najpierw cicho, potem na głos. Znała już wszystkie na pamięć.

– Zobacz, jaką mi napisał dedykację – powiedziała i podała mi książkę.

Nosiła tytuł: *Próby łagodności*, autorem był Donato Sarratore, a dedykacja brzmiała następująco: „Nelli – za to, że jest jak cukier, i za jej dzemy”.

i o tym, jak to będzie, kiedy zobaczę Nina Sarratorego, kiedy pójdziemy razem białą drogą na plażę Maronti, gdy się razem wykąpiemy w morzu i popatrzymy na księżyc i gwiazdy, kiedy będziemy spać pod jednym dachem. Ciągle wracałam myślą do tej chwili, gdy wyznał mi miłość, trzymając młodszego brata za rękę. Od tego dnia minęło mnóstwo czasu, całe wieki, byliśmy wtedy dziećmi, teraz czułam się dorosła, prawie stara.

Nazajutrz poszłam na przystanek autobusu, żeby pomóc przyjezdnym letnikom nieść bagaże. Byłam bardzo podekscytowana, w nocy nie zmrużyłam oka. Autobus przyjechał, zatrzymał się na przystanku, wysiadło wielu pasażerów, wśród nich rodzina Sarratore. Poznałam Donata i Lidię, jego żonę, poznałam Marisę, choć bardzo się zmieniła, poznałam Clelię, która tak samo jak kiedyś trzymała się z boku, poznałam też małego Pina, chłopczyka z poważną buzią. Domyśliłam się, że kapryśny dzieciak, który wyrywał się z rąk matki, to najmłodsze dziecko. Było jeszcze w wózek, kiedy po raz ostatni widziałam rodzinę Sarratore w komplecie, podczas gdy uciekała z naszego podwórka pod gradem przedmiotów rzuconych z okna przez Melinę. Nie zobaczyłam Nina.

Marisa rzuciła mi się na szyję z entuzjazmem, którego się po niej nie spodziewałam. Przez wszystkie te lata nigdy, ale to naprawdę nigdy o niej nie pomyślałam, podczas gdy ona, jak twierdziła, często za mną tęskniła. Kiedy powiedziała matce, że byliśmy sąsiadami, że jestem córką woźnego z magistratu, Lidia wykrzywiła lekceważąco usta i pobiegła za najmłodszym dzieckiem, a Donato Sarratore poszedł po walizki. Nie zareagował na informację córki najmarniejszym nawet konwencjonalnym: jak się czuje ojciec?

Ogarnęło mnie przygnębienie. Nowi letnicy rozgościli się w swoich pokojach, ja poszłam nad morze z Marisą, która świetnie знаła najbliższą okolicę i całą Ischię i już chciała jechać do Porto, podobna w swej niecierpliwości do konia, który przed biegiem grzebie kopytami. W Porto było jej zdaniem więcej życia, tak samo jak w Forio czy Casamiccioli – wszędzie było lepiej niż w Barano, gdzie jest wesoło jak na stypie. Dowiedziałam się, że uczy się w szkole dla sekretarek i ma chłopaka, którego poznam, bo przyjedzie do niej, ale po kryjomu. W końcu usłyszałam od niej coś, od czego zadrżało mi serce. Wiedziała o mnie wszystko: że uczę się w liceum i dobrze sobie radzę oraz że chodzę z Ginem, synem aptekarza.

– Kto ci to powiedział?

– Brat.

To znaczy, że Nino mnie poznał, to znaczy, że przez cały czas wiedział, kim jestem, i tylko udawał, że jest inaczej, bo jest nieśmiały albo wstydzi się swego wyznania

sprzed lat.

– Już dawno zerwałam z Ginem – powiedziałam – twój brat ma nieaktualne informacje.

– On myśli tylko o nauce. Dziwię się, że w ogóle mi coś o tobie powiedział. Zwykle nie wie, co się wokół niego dzieje, żyje z głową w chmurach.

– Nie przyjedzie tu do was?

– Przyjedzie, kiedy tata wróci do domu.

Opisała mi Nina w sposób bardzo krytyczny. Jako chłopca wypranego z uczuć, który wprawdzie rzadko się złości, ale też nie stara się być sympatyczny. Jest zamknięty w sobie, zimnokrwisty, do niczego się nie zapala, interesuje go tylko nauka. Jedyne ojciec jest w stanie zakłócić w jakimś stopniu jego niezachwiany spokój. To nie znaczy, że się kłóca, Nino jest posłusznym synem i odnosi się do ojca z szacunkiem, ale Marisa doskonale wiedziała, że go nie znosi. Tymczasem ona go uwielbiała. To najinteligentniejszy i najlepszy człowiek na świecie.

– Twój ojciec długo tu zostanie? Kiedy wyjeżdża? – zapytałam, może ze zbyt widocznym zainteresowaniem.

– Zostanie tylko trzy dni. Musi wrócić do pracy.

– Więc Nino przyjedzie za trzy dni?

– Tak, wymyślił, że pomaga rodzinie przyjaciela przy przeprowadzce.

– A to nieprawda?

– Nino nie ma przyjaciół. Poza tym nie byłoby go stać na taki wysiłek nawet dla mamy, jedynej osoby, którą zdaje się trochę kochać, a co dopiero dla jakiegoś przyjaciela.

Wykąpałyśmy się i wysuszyły na słońcu, spacerując brzegiem morza. Marisa zwróciła mi uwagę na coś, czego dotąd nie zauważyłam. W głębi ciemnej plaży stały nieruchomo jakieś białe figury. Rozbawiona, pociągnęła mnie przez rozgrzany piasek i kiedy zbliżyłyśmy się do tych dziwnych obiektów, zrozumiałam, że byli to żywi ludzie pokryci błotem. Obłożyli się nim specjalnie, bo to podobno leczyło z jakichś chorób, ale Marisa nie wiedziała z jakich. Położyłyśmy się w błocie, które oblepiło nas dokładnie, i tak jak ci ludzie upodobniłyśmy się do mumii. Świetnie się przy tym bawiłyśmy. Po jakimś czasie wróciłyśmy nad brzeg morza i ponownie się wykąpałyśmy.

Wieczorem członkowie rodziny Sarratore jedli kolację w kuchni i zaprosili nas, Nellę i mnie, żebyśmy usiadły z nimi przy stole. Spędziłyśmy bardzo przyjemny wieczór. Lidia ani razu nie wspomniała o naszym osiedlu, ale nie traktowała mnie już wrogo, przeciwnie – zapytała, co robię, a kiedy usłyszała od Marisy, że uczę się w tym samym liceum co Nino i jestem bardzo dobrą uczennicą, stała się dla mnie bardzo miła.

Najserdeczniej odnosił się do wszystkich Donato Sarratore. Nellę obsypywał komplementami, mnie chwalił za sukcesy w szkole, żonę traktował z najwyższą atencją, bawił się z najmłodszym Cirem, chciał posprzątać ze stołu i nie pozwolił mi zmywać naczyń.

Przyjrzałam mu się dokładnie i wydał mi się inny niż go zapamiętałam. Nie dlatego, że zeszczupełił i zapuścił wąsy, ale dlatego, że było w jego zachowaniu coś, czego nie rozumiałam. Może dlatego, że był bardziej ojcowski niż mój tata i uprzedzająco grzeczny.

To wrażenie pogłębiło się jeszcze w następnych dniach. Kiedy chodziliśmy na plażę, Sarratore nie pozwalał żonie ani nam, dziewczętom, dźwigać ciężarów. Sam niósł parasol od słońca i torby z ręcznikami i jedzeniem na obiad. Także w drodze powrotnej, gdy droga prowadziła przez cały czas pod górę. Oddawał nam którąś z toreb tylko wtedy, gdy Ciro marudził i chciał, żeby go nosić na rękach. Miał szczupłe, słabo owłosione ciało. Nosił kostium w nieokreślonym kolorze, nie z materiału, tylko z cienkiej dzianiny. Dużo pływał, ale nie oddalał się od brzegu, chciał pokazać Marisie i mnie, jak się pływa kraulem. Córka pływała podobnie jak on, wykonując ramionami powolne ruchy, a ja zaczęłam ich naśladować. Mówił częściej językiem literackim niż gwara, widać było, że się stara układać wyszukane zdania, zwłaszcza gdy zwracał się do mnie. Ze śmiechem zachęcał nas, Lidię, Marisę i mnie, do biegania razem z nim brzegiem morza, by ćwiczyć mięśnie, bawił nas przy tym śmiesznymi minami czy komicznymi ruchami. Kiedy kąpał się w morzu z żoną, trzymali się blisko siebie, rozmawiając półgłosem i często się śmiejąc. Było mi przykro, gdy wyjechał, tak samo jak Marisie, Lidii i Nelli. Dom, choć pełen ludzi, nagle wydał się pusty i smutny. Jedyna pociecha w tym, że wkrótce miał przyjechać Nino.

32.

Próbowałam zasugerować Marisie, żebyśmy wyszły po niego do portu, ale stwierdziła, że brat nie zasługuje na takie względy. Nino przyjechał wieczorem. Był wysoki i bardzo szczupły, ubrany w niebieską koszulę, ciemne spodnie i sandały, na ramieniu miał przewieszony worek z bagażem. Nie okazał zdziwienia, widząc mnie na Ischii z jego rodziną, pomyślałam nawet przez moment, że mają telefon w Neapolu i Marisa

znalazła sposób, żeby go o tym uprzedzić. Przy stole odzywał się monosylabami, na śniadaniu w ogóle się nie pojawił. Późno wstał z łóżka, późno wyszliśmy na plażę. Nino na chwilę tylko położył się na piasku, zaraz pobiegł do morza, zanurzył się w wodzie bez chwili wahania i popłynął daleko, wykonując naturalne ruchy, nie tak stylowo jak ojciec. Po krótkim czasie zniknął, wystraszyłam się, że utonął, ale ani u Marisy, ani u Lidii nie zauważyłam niepokoju. Wrócił prawie dwie godziny później i zagłębił się w lekturze, paląc papierosa za papierosem. Czytał przez cały dzień, nie odzywając się do nikogo ani słowem, niedopałki wtykał w piasek, w dwóch rzędach. Ja też zagłębiłam się w lekturze, odmówiłam Marisie, która chciała, żebyśmy poszły na spacer plażą. Kolację Nino zjadł szybko i zaraz potem wyszedł z domu. Posprzątałam ze stołu i zmyłam naczynia, wciąż myśląc o nim. Pościeliłam sobie łóżko w kuchni i znowu sięgnęłam po książkę, żeby przy niej poczekać, aż wróci. Czytałam do pierwszej w nocy, potem zasnęłam z otwartą książką na piersiach. Rano, kiedy się obudziłam, światło było wygaszone, a książka zamknięta. Pomyślałam, że zrobił to Nino, i poczułam, że zalewa mnie fala czułości, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

W następnych dniach było lepiej. Zauważyłam, że Nino spogląda na mnie czasem i zaraz potem odwraca wzrok. Zapytałam, co czyta, on też się zainteresował moją lekturą. Rozmawialiśmy o książkach, nudząc tym Marisę. Z początku Nino słuchał uważnie moich słów, później, podobnie jak to robiła Lila, zaczął sam mówić i dawał się porwać swoim rozważaniom. Zależało mi na tym, żeby zwrócił uwagę na moją inteligencję, przerywałam mu więc czasem, by wyrazić swoje zdanie, ale to nie było łatwe. Zdawało się, że lubi moje towarzystwo wtedy, gdy się nie odzywałam i słuchałam, co on ma do powiedzenia. Szybko się z tym pogodziłam. Zresztą Nino mówił takie rzeczy, które mnie nie przyszłyby na myśl, a już na pewno nie potrafiłabym ich wyrazić z równym przekonaniem, poza tym mówił piękną literacką włoszczyzną.

Marisa czasem rzucała w nas kulami ulepionymi z piasku albo wtrącała się do rozmowy, wykrzykując: „Przestańcie wreszcie! Ciągle tylko: Dostojewski, Karamazow... kogo to obchodzi?”. Wtedy Nino przerywał gwałtownie i oddalał się brzegiem morza, z opuszczoną głową, aż stawał się tylko odległym punktem. Spędzałam wtedy czas z Marisą i rozmawiałyśmy o jej chłopaku, który nie mógł do niej przyjechać, co doprowadzało ją do łez. Ja czułam się coraz bardziej szczęśliwa, wcześniej nie przypuszczałam, że życie może być tak piękne. Może tylko dziewczęta z via Mille – na przykład ta w zielonym kapelusiku – mają równie wspaniałe życie.

Co trzy, cztery dni przyjeżdżał Donato Sarratore, ale zostawał najwyżej dobę i wracał do Neapolu. Mówił, że nie może się doczekać trzynastego sierpnia, kiedy

przyjedzie do Barano na całe dwa tygodnie. Zawsze, gdy pojawiał się ojciec, Nino stawał się niewidoczny jak cień. Jadł i znikał, wracał późno w nocy i nie odzywał się ani słowem. Słuchał ojca z obojętnym uśmiechem, nie przytakiwał mu, ale też się nie przeciwstawiał. Wypowiadał się w sposób zdecydowany tylko wtedy, gdy Donato wspominał o swoim przyjeździe trzynastego sierpnia – reagował na to zawsze przypomnieniem, że zaraz po Święcie Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny musi wracać do Neapolu, bo umówił się z kolegami, że pojedą do letniego domu jednego z nich blisko Avellino i będą razem odrabiać szkolne zadania. „Kłamie” – szeptała mi do ucha Marisa – „nie musi odrabiać żadnych zadań”. Ale matka chwaliła go przed wszystkimi, zresztą ojciec też. Więcej: Donato przy tych okazjach wsiadał zawsze na swego konika i mówił o tym, jakie szczęście ma Nino, że może się uczyć; on musiał skończyć edukację na drugiej klasie szkoły zawodowej, potem zaczął pracować. Gdyby mógł się uczyć tak jak syn, kto wie, kim byłby dzisiaj. Kończył niezmiennie tą samą zachętą: „Ucz się, Nino, synku kochany, rób to, co twemu ojcu nie było dane!”.

Irytowało to Nina bardziej niż cokolwiek. Czasem nawet zapraszał mnie i Marisę na wspólny spacer, byle tylko nie słuchać ojca. Mówił wtedy do rodziców z ponurą miną: „Dziewczyny chcą się przejść, mają ochotę na lody, zabiorę je na spacer” – jakbyśmy mu się wciąż naprzykrzały. Przy takich okazjach Marisa, nie posiadając się z radości, biegła do pokoju, żeby ubrać się odświętnie, a ja żałowałam, że mam tylko parę skromnych szmatek. Wydawało mi się jednak, że Nina nie obchodziło czy ładnie, czy brzydko wyglądam. Kiedy tylko wychodziliśmy z domu, zaczynał mówić na ulubione przez siebie tematy, a Marisa rozdrażniona stwierdzała, że byłoby dla niej lepiej, gdyby została w domu. Tymczasem ja słuchałam go z najwyższą uwagą. Dziwiło mnie, że kiedy w ciżbie ludzi zgromadzonych na deptaku w Porto chłopcy a nawet mężczyźni patrzyli na Marisę i na mnie, chichocząc przy tym między sobą, a nawet starając się nas zaczepić, Nino nie okazywał cienia agresji, tej, którą widziałam u Pasqualego, Rina, Antonia czy Enza, gdy byłyśmy w ich towarzystwie i ktoś przyglądał nam się o chwilę za długo. Jako ochroniarz był niewiele wart. Być może dlatego, że myśli miał zajęte całkiem czym innym i przez cały czas natychmiast przekazywał słowami, co mu się rodzi w głowie, nie reagował na to, co działo się wokół nas.

Z tego powodu Marisa mogła bez przeszkód zaznajomić się z chłopcami z Forio, którzy następnie odwiedzili nas w Barano i towarzyszyli nam na plaży Maronti. W konsekwencji zaczęła spędzać z nimi wieczory. Docieraliśmy w trójkę do Porto, ale tam Marisa oddalała się w towarzystwie swych nowych przyjaciół (Pasquale nigdy nie pozwoliłby na to Carmeli ani Antonio Adzie), a my spacerowaliśmy po nadmorskim

deptaku. Potem spotykaliśmy się o dziesiątej i razem w trójkę wracaliśmy do domu.

Pewnego wieczoru, kiedy tylko znaleźliśmy się sami, Nino wyznał, że w dzieciństwie bardzo zazdrościł mnie i Lili naszej przyjaźni. Obserwował nas z daleka, byliśmy zawsze razem, pochłonięte rozmową, i marzył o tym, żeby się z nami zaprzyjaźnić, ale zabrakło mu odwagi, by nam to zaproponować. Na koniec uśmiechnął się i zapytał:

– Pamiętasz jeszcze wyznanie, jakie ci kiedyś zrobiłem?

– Tak.

– Bardzo mi się podobałaś.

Zaczerwieniłam się po korzonki włosów i powiedziałam głupio:

– Dziękuję.

– Miałem nadzieję, że zgodzisz się chodzić ze mną i będziemy już zawsze razem, w trójkę: ty, ja i twoja przyjaciółka.

– W trójkę?

Uśmiechnął się z pobłażaniem dla tego chłopca, którym był kiedyś.

– Nie miałem wtedy pojęcia, czym jest to chodzenie.

Potem zapytał o Lilę:

– Czy uczy się w jakiejś szkole?

– Nie.

– A co robi?

– Pomaga rodzicom.

– Była świetną uczennicą, nie umiałem dotrzymać jej kroku. Ćmiła mi w głowie.

Użył właśnie takiego wyrażenia: „ćmiła mi w głowie”. A ja, o ile wcześniej poczułam przykrość, bo zrozumiałam, że jego wyznanie miłości przed laty było tylko próbą wśliznięcia się między mnie a Lilę, teraz poczułam fizyczny ból w piersiach.

– Lila się zmieniła – powiedziałam.

Kusiło mnie, żeby dodać: „Słyszałeś, co nauczyciele mówią o mnie w szkole?”.

Szczęście, że zdołałam się powstrzymać. Ale od tej rozmowy z Ninem przestałam wysyłać listy do Lili. Było mi trudno opisywać, co przeżywam, zresztą i tak nie odpowiadała. Skoncentrowałam się na Ninie. W związku z tym, że późno wstawał, ja wykręcałam się od wczesnego śniadania. Czekałam na niego, schodziłam z nim na plażę, przedtem pakowałam jego rzeczy do torby, którą sama nosiłam, a potem razem kąpaliśmy się. Kiedy jednak oddalał się od brzegu, nie miałam odwagi płynąć za nim, wracałam i z niepokojem obserwowałam morze i czarny punkcik jego głowy. Drżałam ze strachu, kiedy nikał mi z oczu, i byłam szczęśliwa, gdy widziałam, że wraca. Krótko mówiąc, byłam zakochana, wiedziałam o tym i byłam z tym szczęśliwa.

Zbliżało się Święto Wniebowzięcia. Pewnego wieczoru powiedziałam mu, że nie

mam ochoty na spacer po Porto, wolę się przejść plażą Maronti, księżyc jest w pełni. Miałam nadzieję, że pójdzie ze mną, wykręci się jakoś od towarzyszenia siostrze. Marisa na pewno nie zrezygnuje z wyprawy do Porto, bo znalazła tam sobie chłopaka, z którym całowała się i obściskowała, zdradzając narzeczonego z Neapolu. Tymczasem Nino nie zostawił Marisy samej. Uniosłam się dumą i poszłam kamienistą drogą na plażę. Piasek był zimny, ciemnoszary w blasku księżyca, morze ledwo oddychało. Nie było żywej duszy, zaczęłam płakać z samotności. Co jest ze mną nie tak? Czułam się znowu ładna, nie miałam pryszczki, słońce i morze wyszczupliły mnie, a jednak chłopak, który mi się podobał i któremu chciałam się podobać, nie był mną zainteresowany. Czym zostałam naznaczona? Jaki los był mi pisany? Pomyślałam o naszej dzielnicy jak o przepaści, z której nigdy nie uda mi się wydostać. Potem usłyszałam szelest piasku, odwróciłam się i zobaczyłam cień Nina. Usiadł obok mnie. Powiedział, że za godzinę będzie musiał wrócić po siostrę. Tym razem nie mówił o książkach, tylko niespodziewanie zaczął mówić o swoim ojcu.

– Przez całe życie będę robić wszystko, żeby nie upodobnić się do niego – zadeklarował, jakby opowiadał o jakiejś misji do wypełnienia.

– To miły człowiek.

– Wszyscy tak uważają.

– No właśnie.

Wykrzywił drwiąco twarz, przez co na chwilę stał się brzydki.

– Jak się powodzi Melinie?

Spojrzałam na niego zaskoczona. Ja w tych dniach wielogodzinnych rozmów bardzo się pilnowałam, żeby nie wspomnieć o Melinie, a on sam z siebie zagaja o niej rozmowę.

– Tak sobie.

– Była jego kochanką. Doskonale wiedział, że jest wrażliwą kobietą o słabych nerwach, ale to mu nie przeszkodziło, żeby zawrócić jej w głowie, ot tak, z próżności. Dla kaprysu skrzywdziłby każdego, nie czując się ani trochę winnym. Jest przekonany, że uszczęśliwia wszystkich samą swoją obecnością, więc wierzy, że wszystko zostanie mu wybaczone. W każdą niedzielę chodzi do kościoła. Dzieci dobrze traktuje, jest miły dla żony. Ale wciąż ją zdradza. To obrzydliwy hipokryta.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Na naszym osiedlu między rodzicami i dziećmi zdarzały się straszne rzeczy, często dochodziło do rękoczynów, jak na przykład między Rinem i Fernandem. Jednak sens tych paru zdań wypowiedzianych przez Nina zrobił na mnie straszne wrażenie. Teraz już wiedziałam, dlaczego Nino mówił tyle o braciach Karamazow: on też z całego serca nienawidził ojca. Ale było w tym

wszystkim jeszcze coś, co mnie poruszyło: Donato Sarratore, z tego co mogłam zobaczyć na własne oczy i usłyszeć na własne uszy, wcale nie był człowiekiem odrażającym. Był ojcem, jakiego pragnęłoby każde dziecko, o czym najlepiej świadczy fakt, że Marisa go uwielbiała. Co więcej, jeżeli jego wina polegała na tym, że potrafi kochać, nie widziałam w tym nic złego. Moja matka w chwilach gniewu też mówiła do ojca, że na pewno miał niejedną na boku. Dlatego te potępiające słowa wypowiedziane ostrym tonem wydały mi się tym straszniejsze. Mruknęłam:

– Twym ojcem i Meliną zawładnęła miłosna pasja, tak samo jak Dydoną i Eneaszem. To może być bolesne, ale to bardzo wzruszające.

– Przysiągł matce wierność przed Bogiem! – wykrzyknął. – Nie szanuje ani jej, ani Boga – dodał i podniósł się gwałtownym ruchem. Widziałam jego oczy, piękne i błyszczące.

– Ty mnie też nie rozumiesz – powiedział i oddalił się wydłużonym krokiem. Dogoniłam go, serce biło mi silnie.

– Rozumiem cię – powiedziałam cicho i złapałam go lekko za ramię.

Do tej pory nigdy się nawet nie musnęliśmy, czułam ten dotyk, jakbym sobie oparzyła palce. Natychmiast go puściłam. On pochylił się nade mną i leciutko ucałował mi usta.

– Jutro wyjeżdżam – powiedział.

– Ale trzynastego jest pojutrze.

Nic nie odpowiedział. Wróciliśmy do Barano, rozmawiając o książkach, potem poszliśmy po Marisę do Porto. Czułam jego usta na moich.

33.

Płakałam przez całą noc w cichej kuchni. Zasnęłam o świcie. Obudziła mnie Nella z wymówkami, powiedziała, że Nino zjadł śniadanie na tarasie, żeby mi nie przeszkadzać, i zaraz potem wyjechał.

Ubrałam się w pośpiechu, Nina domyśliła się, że cierpię.

– Biegnij! – zawołała. – Może jeszcze zdążysz.

Pobiegłam do Porto z nadzieją, że zastanę tam jeszcze Nina, ale jego statek już odpłynął.

Następne dni nie były przyjemne. Przy sprzątaniu pokoi znalazłam zakładkę do książki z błękitnego kartonu, która należała do Nina. Zachowałam ją wśród swoich rzeczy. Wieczorem, kiedy już leżałam w łóżku w kuchni, przytulałam kartonik do policzka, wachałam, całowałam, dotykałam końcem języka i płakałam. Wzruszałam się moją miłością i płakałam jeszcze żałośniej.

Później przyjechał Donato Sarratore na swój dwutygodniowy urlop. Zasmucił się, że nie zastał syna, ale wyraził zadowolenie z faktu, że uczy się z kolegami.

– To chłopak, który poważnie myśli o swojej przyszłości, podobnie jak ty – powiedział do mnie. – Jestem z niego dumny tak samo jak na pewno z ciebie jest dumny twój ojciec.

Obecność tego łagodnego mężczyzny wpłynęła na mnie uspokajająco. Chciał poznać nowych przyjaciół Marisy, urządził więc kiedyś dla nich ognisko na plaży. Sam zebrał chrust i został z młodzieżą do późna. Chłopak, z którym Marisa obściskiwala się na wieczornych spacerach, brzdąkał na gitarze, a Donato śpiewał – miał piękny głos. Późną nocą sam złapał za gitarę i grał utwory nadające się do tańca, dobrze mu to wychodziło. Marisa pierwsza zaczęła tańczyć, zaraz dołączyli do niej inni.

Przyglądałam się temu mężczyźnie i myślałam, że nie ma z synem żadnej wspólnej cechy. Nino był wysoki, miał delikatną twarz, czoło zakryte czarnymi włosami, wpółotwarte usta o pełnych wargach. Donato zaś był średniego wzrostu, z mocno posuniętą łysiną, wyraźnymi rysami twarzy i zaciśniętymi, prawie niewidocznymi wargami. Nino miał chmurne oczy, którymi zdawał się widzieć więcej niż inni, a to, co widział, budziło w nim lęk. Donato miał otwarte spojrzenie, sprawiał wrażenie, jakby podobało mu się wszystko i wszyscy i jakby miał ochotę do wszystkich się uśmiechać. Nina gryzło coś w środku, podobnie jak Lilę, co jest darem i cierpieniem, bo sprawia, że nigdy nie mogą czuć się w pełni szczęśliwi, zachowują czujność z obawy przed tym, co dzieje się wokół nich. Ojciec Nina – wręcz przeciwnie, zdawał się uwielbiać każdy przejaw życia i patrzeć na nie z absolutną ufnością.

Po ostatnim wieczorze spędzonym z Ninem Donato jawił mi się lekiem nie tylko na wewnętrzny mrok, w który wpełchnął mnie jego syn, gdy odjechał po tym swoim delikatnym pocałunku, ale także – z czego ze zdumieniem teraz zdałam sobie sprawę – na smutek, do jakiego przywiodła mnie Lila, nie odpowiadając na moje listy. Lila i Nino prawie się nie znali, nigdy z sobą nie rozmawiali, a jednak wydawali mi się bardzo do siebie podobni: nie potrzebują nikogo i niczego i zawsze wiedzą, co jest słuszne, a co słuszne nie jest. A jeżeli się mylą? Co aż tak potwornego jest w Marcellu Solarze i Donacie Sarratore? Nie rozumiałam. Kochałam Nina i Lilę i teraz, choć w różny sposób, brakowało mi ich obojga, ale byłam wdzięczna temu

znienawidzonemu ojcu, że poświęcał uwagę mnie, swoim dzieciom i znajomym córki, że dał nam radość i poczucie bezpieczeństwa, gdy paliliśmy ognisko na plaży. W pewnej chwili, niespodziewanie, ucieszyłam się, że ani Lili, ani Nina nie ma na wyspie.

Wróciłam do książek, wysłałam ostatni list do Lili, w którym powiadomiłam ją, że nie będę już do niej pisać, bo na moje listy nie dostaję odpowiedzi. Zbliżyłam się do rodziny Sarratore, czułam się, jakbym była siostrą Marisy, Pinuccia i małego Cira, który bardzo się do mnie przywiązał i tylko ze mną nie kaprysił, lecz bawił się spokojnie, najczęściej w zbieranie muszli. Lidia, której stosunek do mnie zmienił się definitywnie z wrogości w sympatię, chwaliła mnie za sumienność, z jaką wykonywałam codzienne czynności: nakrywałam do stołu, sprzątałam pokoje, myłam naczynia, bawiłam się z Cirem, uczyłam się i czytałam. Pewnego ranka poprosiła, żebym zmierzyła jej sukienkę plażową, która zrobiła się na nią za ciasna. Nella i Donato stwierdzili, że świetnie w niej wyglądam, więc Lidia podarowała mi ją. Chwilami odnosiłam wrażenie, że woli mnie od Marisy. Mówiła o niej: „Jest leniwa i próżna, źle ją wychowałam, nie chce jej się uczyć. Nie tak jak ty. Ty jesteś rozumna i rozsądna”. „Tak samo jak Nino – dodała kiedyś – tylko że on jest zawsze naburmuszony, a ty masz wesołe usposobienie”. Słyszając te krytyczne słowa, Donato stanął w obronie pierworodnego: „To złoty chłopak!” i spojrzeniem szukał u mnie potwierdzenia, więc przytaknęłam z przekonaniem.

Po powrocie ze swych długich kąpiei Donato kładł się obok mnie, suszył na słońcu i czytał zawsze tę samą gazetę: „Roma”. Nie czytał nic innego, co było dziwne u kogoś, kto pisze wiersze i nawet wydał je w tomiku. Nigdy nie przynosił z sobą książek, nie interesował się też moimi. Czasami czytał mi fragmenty artykułów, które na pewno zirytowałyby Pasqualego, a nawet panią Oliviero. Ja jednak milczałam, nie chciałam się kłócić z kimś, kto mnie zawsze bardzo dobrze traktował, nie chciałam też, żeby zmienił swoje dobre zdanie o mnie. Jeden z artykułów przeczytał mi w całości, od początku do końca, co dwie linijki obracał się z porozumiewawczym uśmiechem do Lidii, a ona odpowiadała mu tym samym. Artykuł, napisany podniosłym stylem, mówił o różnicach między współczesnym podróżowaniem koleją a niegdysiejszym przemierzaniem dróg kolaską albo wręcz pieszo. Donato odczytał go wzruszonym głosem. Na koniec zapytał:

– Podobał ci się?

– Tak, bardzo – odparłam.

– Zobacz, kto jest autorem. Co tu jest napisane pod spodem?

Podsunał mi gazetę pod oczy. Odczytałam zaskoczona:

– Donato Sarratore.

Lidia wybuchnęła śmiechem, mąż jej zawtórował. Zostawili mnie na plaży z Cirem, a sami poszli się kąpać, jak to oni, jedno blisko drugiego, mówiąc sobie coś na ucho. Patrzyłam na nich i myślałam: „Biedna Melina!”. Nie czułam jednak niechęci do Donata. Zakładając, że Nino ma rację i że naprawdę między tym dwojgiem coś było, krótko mówiąc – zakładając, że Donato zdradził żonę, jakoś nie miałam mu tego za złe, tym bardziej że jak się zdawało, nawet żona nie miała o to do niego pretensji, chociaż wtedy zmusiła go do wyprowadzenia się z naszego osiedla. Rozumiałam też Melinę. Poznała radość miłości do tego niezwykłego mężczyzny – kolejarza, a jednocześnie poety i dziennikarza – i dla jej kruchej psychiki powrót do otaczającej ją, pospolitej i brutalnej rzeczywistości był zbyt trudny. Z przyjemnością snułam takie rozmyślenia. W tych dniach wszystko było dla mnie przyjemnością: miłość do Nina, smutek, zainteresowanie, jakim czułam się otoczona, lektura i myśli w samotności.

34.

W ostatnich dniach sierpnia, kiedy zbliżał się koniec tego niezwykłego czasu, niespodziewanie, prawie równocześnie miały miejsce dwa ważne wydarzenia. Było to dwudziestego piątego sierpnia, pamiętam dokładnie tę datę, bo to dzień moich urodzin. Wstałam rano, nakryłam dla wszystkich do śniadania i ogłosiłam:

– Dzisiaj kończę piętnaście lat.

Podczas gdy wypowiadałam te słowa, przypomniałam sobie, że jedenastego przypadają urodziny Lili, ale byłam na tyle zaabsorbowana tym, co działo się wokół mnie, że całkiem o tym zapomniałam. Chociaż w tamtych czasach obchodziło się raczej imieniny, nie urodziny, Donato, Lidia i Nella zaproponowali, żeby wieczorem urządzić małą uroczystość. Sprawili mi tym przyjemność. Wszyscy przygotowywali się do wyjścia na plażę, a ja sprzątałam ze stołu, kiedy przyszedł listonosz. Wyjrzałam z okna i usłyszałam, że ma list dla Eleny Greco. Zeszłam z bijącym sercem. Kto do mnie napisał, Lila czy Nino? List był od Lili. Rozerwałam kopertę, wypadło z niej pięć gęsto zapisanych kartek. Przeczytałam je natychmiast, ale niewiele do mnie dotarło. Może się to wydawać dziwne, lecz zanim skupiłam się na treści, poddałam się wrażeniu, że słyszę głos przyjaciółki. Już przy pierwszych liniijkach przyszła mi na

myśl *Błękitna wróżka*, jedyny tekst autorstwa Lili, który dotąd miałam możliwość przeczytać, nie licząc króciutkich wypracowań z czasów szkoły podstawowej. Teraz zrozumiałam, co tak bardzo mi się w nim wtedy spodobało: Lila miała zdolność przemawiać własnym głosem poprzez słowo pisane. W odróżnieniu ode mnie, w odróżnieniu od Donata Sarratorego z jego artykułem i wierszami, a nawet w odróżnieniu od wielu pisarzy, których dzieła czytałam, zdania Lili były nie tylko doskonale skonstruowane i pozbawione błędów, choć przecież wcześniej zakończyła szkolną edukację, ale przede wszystkim były absolutnie naturalne i szczerze. Czytając te słowa, słyszałam i widziałam ich autorkę. Jej głos oddany w piśmie zawładnął mną bez reszty, jeszcze bardziej niż ten słyszany na żywo podczas naszych rozmów. Był wolny od zanieczyszczeń ustnych wypowiedzi, panował w nim ład, jak mi się dotąd wydawało, właściwy jedynie językowi bogów, jakiegoś Zeusa, a nie kogoś, kto nazywa się Cerullo czy Greco. Zawstydyłam się z powodu moich infantylnych listów, emfatycznego tonu, błahej tematyki, udawanej wesołości i sztucznego smutku. Nie chciałam nawet zgadywać, jakie wrażenie zrobiły na Lili. Z pogardą i gniewem pomyślałam o profesorze Geracem, który ocenił moje wypracowanie na dziewiątkę i tym samym pozwolił mi się ludzić, że potrafię pisać. List Lili sprawił, że jako piętnastoletnia dziewczyna, w dniu własnych urodzin poczułam się oszustką. W szkole wszyscy pozwolili się wprowadzić w błąd, dowodem na to był ten list.

Dopiero po dłuższej chwili zdołałam się skoncentrować na jego treści. Lila przesyłała mi życzenia urodzinowe. Nie pisała wcześniej, bo cieszyła się, że miło spędzam czas nad morzem, że jest mi dobrze w towarzystwie rodziny Sarratore, że zakochałam się w Ninie, że spodobała mi się Ischia i plaża Maronti, i nie chciała zasmucać mnie opowieściami o swoich niemiłych przeżyciach. Teraz jednak musi przerwać to milczenie.

Zaraz po moim wyjeździe Marcello Solara za zgodą Fernanda zaczął bywać w ich domu każdego wieczoru na kolacji. Pojawiał się o wpół do dziewiątej i wychodził dokładnie dwie godziny później. Zawsze coś z sobą przynosił: ciastka, czekoladki, kawę, cukier. Ona nie dotykała żadnej z tych rzeczy i nie zwracała na niego uwagi, on zaś patrzył na nią w milczeniu. Po pierwszym tygodniu tych męczących wizyt, kiedy Lila nie przestawała udawać, że go nie zauważa, postanowił czymś ją zaskoczyć. Pojawił się rano z muskularnym osiłkiem, który pocąc się z wysiłku, niósł za nim ogromne kartonowe pudło. Postawił je na środku jadalni i okazało się, że w środku był telewizor. Mało kto w tamtych czasach miał w domu telewizor, ale wiedzieliśmy, że jest to aparat z ekranem, na którym widać różne obrazki, tak samo jak w kinie, tylko

że nie trzeba do tego projektora. Obrazki przychodzą z przestrzeni i można je oglądać dzięki tajemniczej lampie zwanej kineskopem. Początkowo z winy tej lampy, której nazwę wymienił spocony osiłek, telewizor nie działał, ale po kilku próbach zaskoczył i teraz pół osiedla, łącznie z moją matką, ojcem i rodzeństwem, zbierało się w mieszkaniu Lili, żeby oglądać to cudowne zjawisko. Oprócz Rina. Wyzdrowiał, nie miał już gorączki, ale nadal nie odzywał się do Marcella. Kiedy ten się u nich pojawiał wieczorami, zaczynał narzekać na telewizor, kładł się spać bez kolacji albo wychodził z domu i krążył gdzieś do późnej nocy z Pasqualem i Antoniem. Lila natomiast uwielbiała telewizję, a najbardziej lubiła oglądać ją z Meliną, która przychodziła co wieczór i długo siedziała przed ekranem, wpatrując się w niego w wielkim skupieniu. Dla Lili były to jedyne chwile spokoju. Przez resztę dnia ze wszystkich stron spadały na nią gromy: brat wyrzucał jej, że wybiera się za męża i będzie wielką panią, a jego zostawia w tej sytuacji, nie przejmując się, że on już zawsze będzie musiał pracować dla ojca; Fernando i Nunzia robili jej wymówki, bo nie była miła dla Marcella, a Marcello – choć nigdy nie przyjął jego oświadczeń – zachowywał się jak oficjalny narzeczony albo nawet więcej: jak jej pan i coraz częściej zamiast kontemplować bez słów jej urodę, próbował ją pocałować, wypytywał, co robiła w ciągu dnia, z kim rozmawiała i kogo widziała, czy miała kiedyś innych chłopaków i czy ktoś ją kiedyś choćby dotknął. Ona nie odpowiadała na jego pytania albo kpiła sobie z niego, opowiadając o pocałunkach i uściskach nieistniejących chłopaków. Pewnego wieczoru powiedział jej na ucho, bez cienia uśmiechu: „Zartujesz ze mnie, ale przypomnij sobie, jak mi zagroziłaś szewskim nożem twego ojca, i pamiętaj: jeżeli się dowiem, że naprawdę podoba ci się ktoś inny, nie zatrzymam się na groźbach, zabiję cię naprawdę”. Lila nie widziała wyjścia z tej sytuacji, na wszelki wypadek zawsze nosiła przy sobie nóż, ale była przerażona. W ostatnich zdaniach listu pisała, że czuje, jakby wokół niej skoncentrowało się całe zło dzielnicy. Dodała niejasno, że zło i dobro wymieszało się i jedno umacnia drugie. W gruncie rzeczy Marcello jest rzeczywiście dobrą partią, ale to dobro ma posmak zła, chociaż zło kusi dobrem. Czasem, gdy uświadamia sobie to wymieszanie, brakuje jej oddechu. Parę dni wcześniej zdarzyło się coś, co ją bardzo wystraszyło. Marcello już wyszedł, telewizor był wyłączony, Rino gdzieś się szwendał, rodzice kładli się spać. Krótko mówiąc, była sama w pustej kuchni i zmywała naczynia. Czuła się bardzo zmęczona, dosłownie wyzuta z sił, kiedy nagle usłyszała coś w rodzaju wybuchu. Odwróciła się natychmiast w jego kierunku i zobaczyła, że eksplodował miedziany rondel wiszący na ścianie. Ot tak, sam od siebie. Nadal wisiał na tym samym gwoździu co zawsze, ale w samym środku miał dziurę o poszarpanych brzegach i był zdeformowany. Matka Lili przybiegła w nocnej koszuli

i obwiniła ją o zniszczenie rondla. Ale przecież miedziany rondel, nawet jeżeli spadnie na podłogę z wysokości paru metrów, nie odkształca się w ten sposób. Lila kończyła swój list wyznaniem: „Takie właśnie zdarzenia najbardziej mnie przerażają. Bardziej niż Marcello czy ktokolwiek inny. Czuję, że muszę jakoś im zaradzić, w przeciwnym razie wszystko eksploduje tak jak ten rondel na ścianie”. Napisała jeszcze, że chociaż nie może się doczekać chwili, kiedy znów mnie zobaczy, tym bardziej że desperacko potrzebuje mojej pomocy, życzy mi jak najdłuższych wakacji na Ischii z miłą panią Nellą albo jeszcze lepiej – żebym już nigdy na nasze osiedle nie wracała.

35.

Ten list ogromnie mnie poruszył. Jak zwykle świat Lili zakrył mój. Wszystko, co opisałam jej w minionych tygodniach, teraz wydało mi się banalne i bez znaczenia. Nie poszłam tego dnia na plażę, chciałam jak najszybciej wysłać do niej list, równie poważny, klarowny, a jednocześnie zajmujący. O ile jednak poprzednie pisało mi się łatwo i szybko – w krótkim czasie zapełniałam stronę za stroną, nie zatrzymując się i niczego nie poprawiając – z tym było inaczej. Pisałam, skreślałam, darłam kartki i pisałam na nowo – a i tak nie potrafiłam przedstawić słowami nienawiści Nina do ojca, roli Meliny w narodzinach tego strasznego uczucia, stosunków z rodziną Sarratore i moich niepokojów. Donato, który był przecież niezwykłym człowiekiem, opisany przeze mnie niczym się nie różnił od innych ojców, moje rady w sprawie Marcella były powierzchowne i nic niewarte. Miałam wrażenie, że jedyne prawdziwe uczucie, jakie widać w tym liście, to moja zawiść, że Lila ma w domu telewizor, a ja nie.

Słowem, nie potrafiłam odpowiedzieć na jej list, chociaż odmówiłam sobie plaży, słońca, przyjemności towarzystwa Cira, Pina, Cleli, Lidii, Marisy i Donata Sarratore. Na pociechę miałam tylko Nellę, która przyniosła mi orszadę i siedziała przy mnie przez jakiś czas na tarasie. Pocieszyło mnie też, że po powrocie z plaży wszyscy domownicy nie tylko wyrazili żal, że nie było mnie z nimi nad morzem, ale od razu rozpoczęli fetowanie moich urodzin. Lidia przygotowała tort z kremem, Nella otworzyła butelkę wermutu, Donato zaczął śpiewać neapolitańskie piosenki, a Marisa podarowała mi konika morskiego, którego kupiła dla siebie poprzedniego wieczoru

w Porto.

Rozpogodziłam się, ale nie potrafiłam przestać myśleć o Lili, która boryka się z tak poważnymi problemami, podczas gdy ja świetnie się bawię i wszyscy celebrują moje urodziny. Oznajmiłam nieco dramatycznym tonem, że dostałam list od przyjaciółki, która pisze w nim, że bardzo mnie potrzebuje, w związku z czym zamierzam wrócić do domu wcześniej niż planowałam.

– Najpóźniej pojutrze – sprecyzowałam, ale sama nie bardzo w to wierzyłam.

W rzeczywistości powiedziałam to tylko po to, żeby usłyszeć od Nelli, że jest jej przykro, od Lidii, że Cira to zasmuci, od Marisy, że się zanudzi na śmierć i od Donata z przygnębiającą miną:

– I co my zrobimy bez ciebie?

Wszystkie te wzruszające deklaracje jeszcze bardziej uprzyjemniły mi moje niezwykle urodziny.

Po jakimś czasie Pino i Ciro zaczęli przysypiać, więc Lidia i Donato zaprowadzili ich do łóżek. Marisa pomogła mi zmywać naczynia, a Nella zaproponowała, że jeżeli nazajutrz będę chciała dłużej pospać, sama przygotuje śniadanie. Zaprotestowałam, to był mój obowiązek. Jedno po drugim, wszyscy poszli spać, zostałam sama. Pościeliłam łóżko w kącie kuchni, rozejrzałam się po ścianach w poszukiwaniu karaluchów albo komarów, zatrzymałam wzrok na miedzianych rondlach. Eksplozja garnka w liście Lili była opisana tak sugestywnie, że na ich widok poczułam niepokój. Przypomniałam sobie, że Lila zawsze zwracała uwagę na blask miedzi, myła rondle i polerowała je szczególnie starannie. Pewnie nie przypadkiem cztery lata wcześniej opisała nam z detalami plamę z krwi ugodzonego nożem don Achillego na miedzianej patelni w jego kuchni. Teraz to kuchenne naczynie uprzedmiotowiło jej uczucie zagrożenia, strach przed czekającą ją decyzją i dlatego musiało eksplodować. Czy bez niej byłoby mnie stać na wysuwanie takich wniosków? Czy umiałabym tak jak ona obdarzać życiem otaczające mnie przedmioty i przypisywać im symboliczne funkcje? Wyłączyłam światło. Rozebrałam się i położyłam do łóżka, mając przy sobie list Lili i błękitną zakładkę Nina, przedmioty dla mnie najcenniejsze.

Przez okno świeciło białe światło księżyca. Ucałowałam błękitny kartonik tak, jak to robiłam każdego wieczoru, w słabej poświacie próbowałam jeszcze raz przeczytać list mojej przyjaciółki. Błyszczały miedziane rondle, od czasu do czasu trzeszczał drewniany stół, czułam ciężar letniego powietrza przesiąkniętego zapachem morza. Na nowo poczułam się upokorzona talentem pisarskim Lili, do oczu napłynęły mi łzy. Podziwiałam ją, że nawet bez szkoły, bez książek z biblioteki potrafiła osiągnąć tak wspaniałe rezultaty, ale porównując siebie z nią, tym bardziej przygnębiała się

czułam, że nigdy jej nie dorównam. Tego uczucia oczywiście się wstydziałam.

Później usłyszałam kroki. W drzwiach do kuchni zobaczyłam cień Donata Sarratorego, był boso, w granatowej piżamie. Podciągnęłam prześcieradło pod brodę. Donato podszedł do zlewu, napił się wody ze szklanki. Stał przez chwilę nieruchomo, po czym odłożył szklankę i podszedł do mojego łóżka. Kucnął przy nim z łokciami opartymi na brzegu.

– Wiem, że nie śpisz – powiedział.

– Tak.

– Nie martw się o przyjaciółkę, zostań.

– Ona źle się czuje, potrzebuje mnie.

– To ja ciebie potrzebuję – odparł i nachylił się nade mną. Pocałował mnie w usta, nie lekko jak jego syn, ale wciskając mi język między wargi.

Leżałam nieruchomo. Donato odchylił róg prześcieradła, nie odrywając ust od moich, dłonią poszukał piersi i zaczął je pieścić pod koszulą. Po chwili zszedł ręką niżej, między uda i nacisnął dwoma palcami na miejsce zakryte majteczkami. Nic nie powiedziałam, nic nie zrobiłam, nie byłam zdolna wykonać żadnego ruchu z powodu przerażenia, jakie we mnie budziło jego zachowanie, i przyjemności, jaką przy tym odczuwałam. Jego wąsy kłuły mi górną wargę, miał chropowaty język. Oderwał się powoli od moich warg, zabrał rękę spomiędzy ud.

– Jutro wieczorem pójdziemy plażą, ty i ja, na piękny spacer – powiedział lekko zachrypniętym głosem. – Bardzo cię lubię i wiem, że ty też mnie lubisz. Prawda?

Nic nie powiedziałam. Jeszcze raz dotknął wargami moich ust, wstał i wyszedł z kuchni. Ja dalej leżałam nieruchomo, nie wiem jak długo. Wciąż czułam jego język między wargami, rękę na piersiach i między udami, nie potrafiłam pozbyć się tego wrażenia. Czy Nino chciał mnie przed tym ostrzec? Wiedział, że do tego dojdzie? Poczulałam niepokonowaną nienawiść do Donata Sarratorego i wstręt do siebie za uczucie przyjemności, które pozostało w moim ciele. Może się to wydać nieprawdopodobne, aż do tamtej chwili nigdy nie doświadczyłam przyjemności takiego rodzaju, zaskoczyła mnie. Leżałam tak jeszcze parę godzin. Później, o pierwszym brzasku spakowałam swoje rzeczy, poskładałam łóżko, napisałam do Nelli kilka słów podziękowania i wyszłam z domu.

Na wyspie panowała prawie idealna cisza, morze było nieruchome, tylko zapachy wydawały się bardzo intensywne. Za pieniądze, które dała mi matka ponad miesiąc wcześniej, kupiłam bilet na pierwszy statek. Kiedy oddalałam się od wyspy o barwach zmiękczonych światłem wczesnego poranka, przyszło mi do głowy, że teraz nareszcie mogłabym opowiedzieć Lili coś, czego ona nie przeliczytuje lepszą historią. Wiedziałam

jednak, że wstręt, jaki budził we mnie teraz Donato Sarratore, i obrzydzenie do samej siebie, nie pozwolą mi pisać na ten temat ani słowa. Tak się też stało: nigdy nie opowiedziałam nikomu o tym niespodziewanym zakończeniu moich wakacji na Ischii.

36.

W Neapolu panował upał i smród. Moja matka, nie skomentowawszy ani słowem mojej opalenizny czy gładkiej skóry bez pryszczycy, zganiła mnie za to, że przyjechałam wcześniej niż to było zaplanowane.

– Co się stało? – zapytała. – Czy coś nabroiłaś? Znajoma nauczycielki cię wyrzuciła?

Natomiast ojcu na mój widok zaszklily się oczy, obsypał mnie komplementami, konkludując:

– Najświętsza Panienko! Ależ mam piękną córkę!

Od mojego rodzeństwa usłyszałam tylko jedno, wzgardliwie wypowiedziane zdanie:

– Jesteś czarna jak Murzynka.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i sama się zdziwiłam: słońce rozjaśniło mi włosy, a twarz, ramiona i nogi miały odcień bardzo ciemnego złota. Dopóki byłam na wyspie, otoczona jej kolorami i ludźmi o opalonej skórze, moja przemiana zdawała mi się naturalna. Teraz, znalazłszy się na powrót w naszej dzielnicy, gdzie ulice i ludzkie twarze przyoblekała zawsze ta sama chorobliwa bladość, odbierałam moją transformację jako przesadną, jako coś nienormalnego. Tutaj wszystko – budynki, ludzie i samochody na pokrytej kurzem jezdni – wyglądało jak na niechlujnie odbitym gazetowym zdjęciu.

Pobiegłam do Lili. Zawołałam ją z podwórka, wyjrzała z okna, po chwili już była w bramie. Uściskała mnie, ucałowała, obsypała komplementami, czego nigdy dotąd nie robiła. Byłam wzruszona jej serdecznym powitaniem. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy ją zostawiłam, dopiero po chwili zauważyłam, że w ciągu tego miesiąca zaszło w niej sporo zmian. Bardziej niż dziewczęca, była teraz kobieca, wyglądała co najmniej na osiemnaście lat, a wtedy był to dla mnie poważny wiek. Miała na sobie sukienkę, z której już wyrosła i która obciskała jej ciało prawie nieprzyzwoicie. Była jeszcze wyższa, miała proste ramiona i zaokrąglone kształty. Bledziutka twarz na długiej, szczupłej szyi odznaczała się delikatnym pięknem.

Czułam, że jest zdenerwowana, na ulicy rozglądała się dokoła i często patrzyła za siebie, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa. Poprosiła, żebym poszła z nią do sklepu Stefana, i dodała, łapiąc mnie pod ramię:

– Mogę to zrobić tylko z tobą. Dobrze, że już jesteś, myślałam, że będę musiała czekać aż do września.

Nigdy dotąd nie przebyłyśmy drogi do skweru równie sobie bliskie, równie szczęśliwe, że jesteśmy razem. Lila powiedziała, że sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Poprzedniego wieczoru Marcello przyniósł ciastka, szampan i pierścionek wysadzany brylancikami. Założyła go na palec, żeby uniknąć awantury z rodzicami, ale w drzwiach, kiedy wychodził, zwróciła mu go zdecydowanie. Marcello zaprotestował i najpierw zagroził jej, co mu się zdarzało coraz częściej, a potem się rozplakał. Fernando i Nunzia domyślili się, że coś jest nie tak. Nunzia polubiła Marcella, sprawiało jej przyjemność, że co wieczór przynosi coś z sobą, i była dumna ze swego telewizora, Fernando zaś miał nadzieję, że wiążąc się z rodziną Solara, nie będzie się już musiał martwić o byt rodziny. Tak więc kiedy tylko Marcello zniknął za drzwiami, obydwójce zaczęli zadręczać ją pytaniami, żeby się dowiedzieć, jak się sprawy mają. Byli tak natarczywi, że wreszcie Rino po raz pierwszy od bardzo długiego czasu wziął ją w obronę, powiedział, że siostra nie chce takiego palanta jak Marcello, ma prawo go odrzucić i jeżeli oni będą się upierać, żeby mu ją oddać, on podłoży ogień pod ich dom i warsztat, spali siebie i całą rodzinę. Ojciec i syn zaczęli się tarmosić, Nunzia próbowała ich rozdzielić, obudzili sąsiadów. Potem Rino rzucił się na łóżko i w jednej chwili zapadł w sen, godzinę później zaczął się jego kolejny atak somnambulizmu. Znalazła go matka w kuchni, podczas gdy zapalał zapałkę po zapałce i zbliżał je do palników kuchenki, jakby sprawdzał, czy ulatnia się gaz. Przerazona Nunzia obudziła Lilę, mówiąc: „Rino naprawdę chce nas żywcem spalić!”. Lila pobiegła do kuchni, ale zaraz wróciła i uspokoiła matkę, że Rino, pogrążony w lunatycznym śnie, rzeczywiście sprawdzał, czy kuchenka działa prawidłowo. Zaprowadziła go potem do łóżka i poczekała przy nim, aż głęboko zaśnie.

– Już dłużej tego nie wytrzymam – zakończyła swą opowieść. – Nie wyobrażasz sobie, co ja przeżywam, muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji, to się musi skończyć.

Przytulila się do mnie, jakby chciała, żebym jej przekazała trochę swojej energii.

– Tobie się dobrze powodzi – powiedziała – wszystko ci się udaje. Musisz mi pomóc.

Odparłam, że może na mnie liczyć we wszystkim. Wyglądało, jakby nabrała trochę otuchy. Przycisnęła się do mojego ramienia i szepnęła:

– Spójrz!

Zobaczyłam w oddali jakąś czerwoną błyszczącą plamę.

– Co to jest?

– Nie widzisz?

Nie potrafiłam zgadnąć, co to jest.

– To nowy samochód Stefana.

Auto stało zaparkowane przed sklepem, który powiększono – miał dwa wejścia i był pełen ludzi. Klienci czekający w kolejce rzucali zachwycone spojrzenia na ten symbol dobrobytu i prestiżu. Nikt jeszcze w całej dzielnicy nie miał tak pięknej maszyny, w dodatku z otwieranym dachem. Samochód wielkich państwa, fiat 1100 braci Solara absolutnie nie mógł się z nim równać.

Obeszłam go dokoła, podczas gdy Lila stała w cieniu i obserwowała ulicę, jakby obawiała się jakiegoś niebezpieczeństwa. Na progu sklepu pojawił się Stefano w poplamionym fartuchu, ze swoją wielką głową i wysokim czołem, przez które jego twarz była nieproporcjonalna, ale i tak miła. Przeszedł przez ulicę, przywitał się ze mną serdecznie i powiedział:

– Bardzo ładnie wyglądasz, jak jakaś aktorka.

On też był opalony jak ja, nie widziałam na osiedlu nikogo o tak zdrowym wyglądzie. Zauważyłam:

– Jesteś dosłownie czarny!

– Zrobiłem sobie tydzień wakacji.

– Gdzie byłeś?

– Na Ischii.

– Ja też byłam na Ischii.

– Wiem, Lina mi powiedziała. Szukałem cię, ale nie udało mi się na ciebie trafić.

Wskazałam ręką na samochód:

– Piękne auto.

Stefano kiwnął głową z obojętną miną i powiedział, patrząc rozbawionym spojrzeniem na Lilę:

– Kupiłem je dla twojej przyjaciółki, ale ona w to nie wierzy.

Lila nadal stała w cieniu, miała poważną twarz i była bardzo napięta. Stefano zwrócił się do niej z lekką ironią:

– Teraz, kiedy wróciła Lenuccia, co zrobisz?

– Dobrze, jedziemy. Ale pamiętaj, że to ją zaprosiłeś, ja wam tylko towarzyszę – powiedziała niechętnie.

Stefano uśmiechnął się i wrócił do sklepu.

– Co się dzieje? – zapytałam Lilę.

– Nie wiem – odparła.

Chciała przez to pewnie powiedzieć, że nie wie, w co się pakuje. Wyglądała tak jak wtedy, gdy w pamięci wykonywała jakieś szczególnie skomplikowane obliczenia arytmetyczne. Nie miała jednak zwykłego wtedy u siebie bezczelnego wyrazu twarzy, widziałam, że coś ją niepokoi, jak gdyby przeprowadzała doświadczenie, którego rezultatu nie była pewna.

– Wszystko zaczęło się w momencie, gdy pojawił się ten samochód – powiedziała.

Stefano od razu oznajmił jej, że kupił go dla niej, kupił z nadzieją, że przynajmniej raz będzie mógł przed nią otworzyć drzwiczki, a ona wsiądzie i pojedą na przejażdżkę. Na początku mówił to tak, jakby żartował, ale potem powtarzał te słowa coraz poważniej: „Do tego samochodu tylko ty pasujesz” – stwierdził i od kiedy pod koniec lipca odebrał auto z salonu, nie ustawał w próbach nakłonienia jej do wspólnej przejażdżki, najpierw razem z Alfonsem, potem z Pinuccią, a nawet z jego matką. Ona jednak zawsze odmawiała. W końcu obiecała: „Pojadę, kiedy Lenuccia wróci z wakacji na Ischii”.

Teraz staliśmy w trójkę przy samochodzie i musiała spełnić daną obietnicę.

– Czy on wie o Marcellu?

– Jasne, że wie.

– No i...?

– I dalej nalega.

– Lila, boję się.

– Pamiętasz, ile rzeczy budziło w nas strach, a jednak je robiłyśmy? Specjalnie czekałam na ciebie.

Stefano wrócił bez fartucha. Był opalony, miał czarne włosy i oczy, białą koszulę i ciemne spodnie. Otworzył drzwi samochodu, usiadł za kierownicą, odsłonił dach. Chciałam usiąść na ciasnym miejscu z tyłu, ale Lila mnie powstrzymała i weszła do tylnej części samochodu. Czułam się skrępowana, musiałam jednak zająć miejsce przy kierowcy. Stefano ruszył od razu, kierując się w stronę nowego osiedla.

Lekki wiatr łagodził upał. Było mi dobrze, czułam się oszołomiona pędem powietrza, a jednocześnie bezpieczna przy Stefanie Carraccim. Pomyślałam, że Lila wyjaśniła mi wszystko, niczego nie wyjaśniając. Był nowiutki, sportowy samochód kupiony po to tylko, by zabrać Lilę na przejażdżkę. Był młody mężczyzna, który wiedział o Marcellu Solarze i nie okazując najmniejszego zdenerwowania, łamał zasady obowiązujące w męskim świecie naszej dzielnicy. I byłam ja, wciągnięta naprędce w tę historię jako przykrywka dla ich znajomości. A może dla czegoś więcej niż znajomość? Bez wątplenia ta przejażdżka miała znaczenie, którego Lila nie potrafiła albo nie chciała mi wyjaśnić. Jakie były jej zamiary? Nie mogła nie wiedzieć, że tym kamykiem może

poruszyć groźną lawinę, która wywoła znacznie poważniejsze konsekwencje niż rzucanie w szkolne koleżanki kawałkami bibuły nasiąkniętej atramentem. Bardzo możliwe, że nie miała żadnego planu. To by do niej pasowało: naruszała równowagę tylko po to, żeby zobaczyć, jak później rozłożą się siły. Tak czy inaczej, oto jedziemy czerwonym kabrioletem, wiatr rozwiewa nam włosy, Stefano prowadzi ze znanstwem i widoczną przyjemnością, a ja siedzę przy nim, jakbym była jego narzeczoną. Przypomniałam sobie, jak na mnie spojrzał, gdy powiedział, że wyglądam jak jakaś aktorka. Kto wie, czy mogłabym mu się spodobać bardziej niż teraz podoba mu się moja przyjaciółka. Przyszło mi na myśl, że Marcello Solara mógłby go zastrzelić, i aż zeszywniałam ze strachu. To dające poczucie bezpieczeństwa, urodziwe ciało zostałoby rozdarte, straciłoby w jednej chwili funkcjonalność tak samo jak miedziany rondel w kuchni Lili.

Przejechaliśmy przez nowe osiedle, żeby ominąć bar „Solara”.

– Nic mnie nie obchodzi, czy Marcello nas zobaczy – oświadczył Stefano – ale jeżeli dla Lili to takie ważne, możemy go ominąć.

Wjechaliśmy do tunelu, kierowaliśmy się w stronę morza. Na tej samej drodze wiele lat wcześniej zaskoczył nas deszcz. Wspomniałam o tym, Lila się uśmiechnęła. Na prośbę Stefana opowiedziałyśmy mu ze szczegółami o naszej przygodzie. Rozbawieni wspomnieniami, przybyliśmy do Granili.

– Co myślicie o tym samochodzie? Szybki, prawda?

– Bardzo szybki – potwierdziłam podekscytowana.

Lila nie zareagowała ani słowem. Rozglądała się dokoła, co chwila dotykała mojego ramienia, żeby zwrócić mi uwagę na jakiś dom czy biedaka w łachmanach, jakby widziała w tym potwierdzenie jakiejś swojej teorii, a ja miałam to zrozumieć bez słów. Później zapytała Stefana poważnie, bez wstępów:

– Ty jesteś naprawdę inny?

On spojrzał na nią we wstecznym lusterku.

– Niż kto?

– Wiesz.

Nie odpowiedział od razu. Dopiero po dłuższej chwili zapytał gwarą:

– Chcesz znać prawdę?

– Tak.

– Mam taki zamiar, ale nie wiem, czy mi się uda.

Był to dla mnie dowód, że Lila nie powiedziała mi o wszystkim. Konfidencki ton tej wymiany zdań świadczył o tym, że rozmawiali już z sobą nieraz, i to nie dla zabawy, ale poważnie. Co mnie ominęło, kiedy byłam na Ischii? Obróciłam się, żeby na

nią spojrzeć. Milczała. Pomyślałam, że zirytowały ją wymijające słowa Stefana. Siedziała w pełnym słońcu, oczy trzymała półprzymknięte, jej bluzkę wydymał wiatr i rozpierały piersi.

– Tutaj jest jeszcze większa bieda niż u nas – zauważyła, a potem dodała bez związku, śmiejąc się przy tym: – Nie myśl, że zapomniałam, jak chciałeś mi przekłuć język.

Stefano kiwnął głową i powiedział:

– Dawne czasy.

– Kto jest łobuzem, pozostanie nim zawsze, a ty byłeś dwa razy gorszy ode mnie.

Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko, żeby ukryć zakłopotanie, i przyspieszył, kierując auto w stronę portu. Nasza przejażdżka trwała niecałe pół godziny, wróciliśmy przez Rettifilo i piazza Garibaldi.

– Z twoim bratem jest niedobrze – powiedział Stefano, kiedy dojeżdżaliśmy do naszego osiedla. Spojrzał na nią we wstecznym lusterku i zapytał: – Buty, które są w witrynie, to te, które uszyliście?

– Skąd wiesz o butach?

– Rino nie mówi o niczym innym.

– Dlaczego o nie pytasz?

– Są bardzo piękne.

Lila zwęziła powieki, zdawało się, że całkiem zamknęła oczy.

– To kup je – rzuciła prowokująco.

– Ile za nie chcecie?

– Zapytaj ojca.

Stefano zawrócił tak gwałtownie, że przyparło mnie do drzwi. Wjechaliśmy w uliczkę, gdzie był warsztat szewski.

– Co robisz? – zapytała Lila, zaniepokojona.

– Powiedziałaś, żebym je kupił, więc zamierzam je kupić.

37.

Zatrzymał samochód przed warsztatem, podszedł do drzwi z mojej strony, otworzył je i podał mi rękę, żeby pomóc mi wysiąść. Lila sama wydobyła się z auta, trzymała się

z tyłu. Stefano i ja stanęliśmy przed oknem wystawowym. Rino i Fernando obserwowali nas ze środka nieufnie.

Kiedy dołączyła do nas Lila, Stefano otworzył drzwi, przepuścił mnie przodem, ale nie zrobił miejsca dla Lili. Przywitał się wylewnie z ojcem i synem i poprosił, żeby pokazali mu buty. Rino wyjął je natychmiast z witryny, Stefano obejrzał je dokładnie i pochwalił:

– Są lekkie, ale wytrzymałe i mają piękną formę. Co o nich myślisz, Lenù?

– Są piękne – odpowiedziałam zakłopotana.

Stefano zwrócił się teraz do Fernanda:

– Wasza córka powiedziała, że bardzo się przy nich napracowaliście i że zamierzacie uszyć więcej takich butów, także damskich.

– Tak – odpowiedział Rino zamiast ojca, patrząc zaskoczony na siostrę.

– Tak – dołączył się Fernando, lekko zdetonowany – ale nie od razu.

– A nie macie jakiegoś rysunku tego modelu, nie wiem, jakiegoś projektu, na którym byłoby wszystko lepiej widać?

Rino polecił siostrze:

– Przyniesź rysunki.

Spodziewał się odmowy, ale ku jego zdziwieniu Lila nie zaprotestowała. Poszła na zaplecze i przyniesione stamtąd kartki papieru podała bratu. Ten z kolei przekazał je Stefanowi. Były na nich wszystkie modele, które wymyśliła prawie dwa lata wcześniej. Stefano pokazał mi szkic damskich pantofli na bardzo wysokich obcasach.

– Kupiłabyś je dla siebie?

– Tak.

Dalej z uwagą przeglądał rysunki. Potem usiadł na zydlu i zdjął prawy but.

– Jaki to numer?

– 43, ale może być także 44 – skłamał Rino.

Lila znowu nas zaskoczyła, bo uklękła przed Stefanem i posługując się łyżką do butów, pomogła mu założyć nowy but. Potem obnażyła drugą stopę i zrobiła to samo z drugim butem.

Stefano, który dotąd odgrywał konkretnego, pewnego siebie człowieka interesu, był ewidentnie zmieszany. Począł, aż Lila wstanie z podłogi, jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo, jakby nabierał głęboko powietrza. Potem wstał i zrobił parę kroków.

– Ciasne – stwierdził wreszcie.

Rino poszarzał na twarzy, był zawiedziony.

– Możemy włożyć je na kopyto i rozciągnąć trochę – wtrącił się Fernando

niepewnym głosem.

Stefano spojrział na mnie i zapytał:

– Jak w nich wyglądam?

– Dobrze – odrzekłam.

– Biorę je.

Fernando pozostał niewzruszony, za to Rino się rozpromienił.

– Musisz pamiętać, Stè, że to ekskluzywny model firmy Cerullo. Te buty sporo kosztują.

Stefano uśmiechnął się i zapytał:

– Czy myślisz, że kupiłbym je, gdyby to nie był ekskluzywny model Cerullo? Kiedy będą gotowe?

Rino, z niezmiennie rozpromienioną twarzą, spojrział na ojca.

– Potrzymano je na kopycie przez co najmniej trzy dni – powiedział Fernando, ale łatwo było się domyślić, że najchętniej zostawiłby je na kopycie dziesięć dni, dwadzieścia albo jeszcze dłużej, bo potrzebował czasu, żeby się oswoić z tą nieoczekiwaną odmianą.

– Bardzo dobrze. Ustalcie cenę jak dla przyjaciela, a ja wrócę za trzy dni i je wezmę.

Złożył kartki z rysunkami i włożył je do kieszeni. Patrzyliśmy na niego zdziwieni.

Potem uścisnął ręce Fernanda i Rina i skierował się do drzwi.

– Rysunki! – zawołała za nim Lila zimnym głosem.

– Zwrócę ci je za trzy dni, dobrze? – zapytał Stefano łagodnie i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi. Przepuścił mnie przodem i wyszedł zaraz za mną.

Siedziałam już w samochodzie na miejscu obok kierowcy, kiedy doszła do niego Lila. Była bardzo zirytowana.

– Czy ty myślisz, że ojciec i brat to idioci?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeżeli ci się wydaje, że uda ci się nabrać ich i mnie, to się grubo mylisz.

– Obrażasz mnie. Nie jestem Marcellem Solarą.

– A kim jesteś?

– Jestem człowiekiem interesu. Buty, które zaprojektowałaś, są bardzo oryginalne i mogą się dobrze sprzedawać. Nie mówię tylko o tych, które zmierzyłem, ale o wszystkich.

– To znaczy...?

– Muszę to przemyśleć. Zobaczymy się za trzy dni.

Lila spojrzała na niego uważnie, jakby chciała odczytać jego myśli, nie odchodziła od auta. Wreszcie wypowiedziała zdanie, którego ja nigdy nie odważyłabym się

wypowiedzieć:

– Posłuchaj, Marcello też starał się mnie kupić, próbował różnych sposobów, ale mnie nikt nie kupi.

Stefano długo patrzył jej prosto w oczy.

– Nie mam w zwyczaju wydawać pieniędzy, jeżeli nie jestem pewny, że przyniosą mi stokrotny zysk.

Zapalił silnik i odjechaliśmy. Teraz byłam pewna: przejażdżka samochodem była przypieczętowaniem umowy, wielu zasadniczych rozmów. Powiedziałam słabo, czystą włoszczyzną:

– Proszę cię, Stefano, wysadź mnie za rogiem. Jeżeli matka zobaczy mnie w samochodzie z tobą, da mi w skórę.

38.

We wrześniu życie Lili zmieniło się diametralnie. Nie było to proste, ale okazało się możliwe. Jeżeli o mnie chodzi, to wróciłam z wakacji na Ischii zakochana w Ninie, zbrukana wargami i dłońmi jego ojca i pewna, że z powodu szczęścia i wstrętu, jakie się we mnie mieszały, przepłacę wiele dni i nocy. Okazało się jednak, że moje emocje zbladły w przeciągu paru godzin. Głos Nina i dotyk wąsów jego ojca wraz z intensywnymi barwami wyspy umieściłam w jakimś głęboko ukrytym zakamarku mojej głowy, żeby zrobić w niej miejsce dla perypetii Lili.

W ciągu tych trzech dni, które nastąpiły po zdumiewającej przejażdżce kabrioletem, Lila pod pretekstem zakupów często chodziła do sklepu Stefana, ale za każdym razem prosiła, żebym jej towarzyszyła. Robiłam to z niespokojnym sercem, bo obawiałam się reakcji Marcella, a jednocześnie byłam dumna z roli powierniczki udzielającej rad, współniczki w zмовie, fałszywego przedmiotu zainteresowania Stefana. Byłyśmy jeszcze dziećmi, choć uważałyśmy się za przewrotne i wyrafinowane.

Przestawiałyśmy elementy układanki: Marcello, Stefano, buty – przekonane, że w końcu uda nam się je dopasować do siebie. „Powie mu tak...” – planowała Lila, na co ja proponowałam jakąś nieznaczną zmianę: „Nie, lepiej powiedz mu tak...”. Następnie Lila prowadziła ze Stefanem długie ciche rozmowy za ladą sklepu, podczas gdy ja zamieniałam kilka słów z Alfonsem. Naburmuszona Pinuccia obsługiwała

klientów, donna Maria przy kasie spoglądała co chwila na najstarszego syna, który ostatnio zaniedbywał pracę i dawał temat miejscowym plotkarkom.

Rzecz jasna, często improwizowałyśmy, nie każdy krok był zaplanowany. Ja przede wszystkim starałam się rozumieć, co tak naprawdę kotłuje się w głowie Lili, żeby postępować zgodnie z jej zamiarami. Z początku myślałam, że skłaniając Stefana do kupna za wysoką cenę jedynej pary butów marki Cerullo, chce po prostu zarobić trochę pieniędzy dla rodziny, ale szybko zrozumiałam, że posługuje się Stefanem, żeby się uwolnić od Marcella. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu następująca wymiana zdań:

– Z tych dwóch, który ci się bardziej podoba?

Lila wzruszyła ramionami:

– Marcello nigdy mi się nie podobał. Jest wstrętny.

– Zareczysz się ze Stefanem tylko po to, żeby Marcello przestał do was przychodzić?

Zastanowiła się przez chwilę, po czym odpowiedziała, że tak.

Od tej rozmowy cel naszej konspiracji stał się jasny: wykluczyć Marcella z życia Lili za pomocą wszelkich możliwych środków. Wszystko inne działo się niejako przypadkiem, a my tylko czasem nadawałyśmy temu właściwy kierunek.

Przynajmniej tak nam się wydawało, bo w rzeczywistości jedynie Stefano działał.

Jak obiecał, trzy dni później pojawił się w warsztacie szewskim i kupił buty rozciągnięte na prawidle, chociaż wciąż jeszcze były na niego za ciasne. Ojciec i syn, po długich dyskusjach, niepewni, czy dobrze robią, zażądali za nie dwudziestu pięciu tysięcy lirów, ale byli gotowi obniżyć cenę do dziesięciu tysięcy. Stefano nie mrugnął nawet okiem i dodał następne dwadzieścia tysięcy za rysunki Lili. Powiedział, że mu się podobają, i oprawi je sobie w ramki.

– Oprawisz je w ramki? – zapytał Rino z niedowierzaniem.

– Tak.

– Jakby to były obrazy namalowane przez jakiegoś malarza?

– Tak.

– Powiedziałaś siostrze, że masz zamiar kupić jej rysunki?

– Tak.

Stefano nie poprzestał na tym. W następnych dniach znów pojawił się w zakładzie szewskim i oznajmił Fernandowi i Rinowi, że wynajął lokal sąsiadujący z ich warsztatem.

– Na razie nie będę go używać – powiedział – jeżeli w przyszłości zechcecie powiększyć warsztat, pamiętajcie, że jestem do waszej dyspozycji.

W rodzinie Cerullo długo zastanawiano się nad tymi słowami. „Powiększyć

warsztat...?” Wreszcie Lila, widząc, że nikt nie potrafi odgadnąć, co to znaczy, wyjaśniła:

– Stefano proponuje, żebyście przekształcili zakład szewski w fabryczkę butów marki „Cerullo”.

– A pieniądze? – zapytał przezornie Rino.

– Ma zamiar w to zainwestować.

– Tak ci powiedział? – zapytał z powątpiewaniem Fernando, wyrażając także niedowierzanie żony.

– Wam to powiedział – odparła Lila, patrząc na ojca i brata.

– Czy on wie, że buty szyte ręcznie są drogie?

– Daliście mu to do zrozumienia.

– A jeżeli nie będą się sprzedawać?

– Wy stracie czas, a on pieniądze.

– Nic więcej?

– Nic więcej.

Cała rodzina Cerullo przeżywała te dni w wielkim wzburzeniu. Marcello znalazł się na drugim planie. Nadal przychodził o wpół do dziewiątej wieczorem, ale teraz zdarzało się, że kolacja nie była jeszcze gotowa i siedział przed telewizorem przy Melinie i Adzie, podczas gdy gospodarze rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami w sąsiednim pokoju.

Oczywiście największym entuzjastą projektu Stefana był Rino, któremu wróciła energia, radość życia i kolory na twarzy. Tak jak przedtem przyjaźnił się z Marcellem, teraz zaprzyjaźnił się ze Stefanem, Alfonsem, Pinuccią, a nawet z donną Marią. Kiedy wreszcie Fernando pozbył się ostatnich wątpliwości, Stefano ponownie odwiedził go w warsztacie i po krótkiej rozmowie ustalili warunki współpracy: umówili się, że Stefano weźmie na siebie nakłady finansowe, a Fernando i Rino zaczną produkcję modelu, który uszyli Lila i Rino, oraz innych modeli. Zyskami podzielą się na pół. Wyjął z kieszeni rysunki Lili i położył niektóre z nich przed nimi:

– Zróbcie buty według tych projektów. Żeby tylko nie zajęło wam to dwóch lat, jak przy pierwszej parze.

– Moja córka to tylko dziewczyna, a Rino jeszcze uczy się zawodu – usprawiedliwił się Fernando zmieszany.

Stefano potrząsnął głową z uśmiechem.

– Nie mieszajcie w to Liny. Będziecie musieli nająć pracowników.

– A kto im zapłaci? – zapytał Fernando.

– Ja. Dobierzcie sobie ze dwóch albo trzech, dam wam wolną rękę, wy najlepiej

wiecie, kogo wam trzeba.

Fernando rozpromienił się wobec perspektywy posiadania podwładnych i ku niezadowoleniu syna, rozwiązał mu się język. Opowiedział o tym, jak uczył się zawodu od ojca, świętej pamięci, i jak ciężką miał pracę przy maszynach w fabryce butów w Casorii. Stwierdził, że popełnił błąd, żeniąc się z Nunzią, bo ma słabe ręce i jest leniwa. Gdyby się ożenił z Ines, sympatią z chłopięcych czasów, która jest bardzo pracowitą kobietą, już dawno dorobiłby się własnej fabryczki, lepszej niż Campanile, i wystawiałby swoje modele nawet na targach Mostra d'Oltremare w Neapolu. W końcu wyjawiał, że ma w głowie kilka pięknych modeli, które na pewno sprzedawałyby się o wiele lepiej niż te dziwactwa wymyślane przez Lilę.

Stefano wysłuchiwał go cierpliwie, ale potem stwierdził, że on na razie jest zainteresowany jedynie perfekcyjną realizacją projektów Lili. Na to Rino wziął do ręki szkice siostry, przyjrzał im się dokładnie i zapytał lekko drwiącym tonem:

– Kiedy już oprawisz w ramki te rysunki, gdzie je powieszisz?

– Tutaj, na tych ścianach.

Rino spojrzał na ojca, który znów spochmurniał i nic nie powiedział.

– Czy siostra zgadza się na to wszystko? – zapytał Rino.

Stefano uśmiechnął się:

– Myślisz, że dałoby się zrobić coś, na co twoja siostra by się nie zgodziła?

Wstał, uściśnął energicznie rękę Fernanda i skierował się do drzwi. Rino odprowadził go i kiedy już Stefano podchodził do czerwonego kabrioletu, krzyknął za nim od progu:

– Ale buty będą miały markę „Cerullo”!

Stefano nie odwrócił się już do niego, machnął tylko ręką i powiedział:

– Wymyśliła je Lina Cerullo, więc będą miały markę „Cerullo”.

39.

Tego samego wieczoru, przed wyjściem z domu na spotkanie z Pasqualem i Antoniem, Rino podszedł do Marcella i zapytał:

– Marcè, widziałeś, jaki samochód kupił sobie Stefano?

Marcello, przytępiony obrazkami w telewizji i własnym smutkiem, nic nie

odpowiedział. Wtedy Rino wyjął z kieszeni grzebień, przyczesał się i rzucił wesołym tonem:

– A wiesz, że Stefano kupił od nas te buty za czterdzieści pięć tysięcy?

– Widocznie ma za dużo pieniędzy – odparł Marcello, a Melina roześmiała się, nie wiadomo czy z jego riposty, czy z czegoś, co zobaczyła w telewizji.

Od tego dnia Rino każdego wieczoru drażnił się z Marcellem i atmosfera robiła się coraz cięższa. Poza tym, kiedy tylko pojawiał się Marcello, zawsze mile witany przez Nunzię, Lila mówiła, że jest bardzo zmęczona, i kładła się spać. Pewnego wieczoru przygnębiony Marcello zaczął rozmowę z Nunzią.

– Wasza córka, jak tylko mnie u was widzi, mówi, że jest śpiąca i idzie do łóżka. Po co ja tu właściwie przychodzę?

Miał pewnie nadzieję, że Nunzia go pocieszy, że powie coś, co mu doda otuchy i zachęci go do dalszych wysiłków, by zaskarbić sobie uczucie córki, ale Nunzia milczała, Marcello wymamrotał więc:

– Może jej się podoba ktoś inny?

– Ależ skąd!

– Wiem, że chodzi na zakupy do sklepu Stefana.

– A gdzie ma chodzić na zakupy, synku?

Marcello zamilkł ze spuszczonej oczami, w końcu mruknął:

– Widziano ją w samochodzie Stefana.

– Razem z Lenuccią. Stefano stara się o córkę woźnego z magistratu.

– Ta Lenuccia nie jest dobrym towarzystwem dla waszej córki. Powiedzcie jej, żeby się z nią nie spotykała.

Ja nie byłam dobrym towarzystwem dla Lili? Nie powinna się ze mną spotykać? Kiedy przyjaciółka powiedziała mi o żądaniu Marcella, przeszłam definitywnie na stronę Stefana. Zaczęłam wychwalać jego taktowne zachowanie i spokojną stanowczość, a na koniec stwierdziłam: „I jest bogaty!”. Gdy wypowiadałam te słowa, uświadomiłam sobie, jak bardzo od czasów dzieciństwa zmieniło się nasze wyobrażenie bogactwa. Wizja szkatulek pełnych złotych monet niesionych przez służących w liberiach do pałacu po ukazaniu się naszej wersji *Małych kobietek* zupełnie wyblakła. Przetrwało przekonanie, że pieniądze zapewnią nam bezpieczną egzystencję i uniemożliwią wykonturowanie nas i naszych bliskich. Na tym etapie życia bogactwa spodziewaliśmy się wciąż jeszcze za sprawą jednorazowej fantastycznej iluminacji, której owocem były projekty oryginalnych modeli butów, ale zyski miały pochodzić z konkretnej, codziennej pracy, zależały od dobrze zaplanowanych działań i negocjacji.

Bogactwo kojarzyło się też z niezaspokojeniem i malkontenctwem Rina marzącego o wielkopańskim życiu, z telewizorem, pierścionkiem i ciastkami Marcella, który chciał sobie nimi zaskarbić względy kochanej dziewczyny, i wreszcie z młodym, miłym mężczyzną, który sprzedawał wędliny, miał czerwony kabriolet, oprawiał w ramki rysunki i bez mrugnięcia okiem wydawał czterdzieści pięć tysięcy lirów. Ten ostatni, Stefano, chciał handlować nie tylko kiełbasą, ale i butami, inwestował w skórę i robociznę i był przekonany, że jest w stanie dać początek nowej epoce spokoju i dobrobytu w dzielnicy. Słowem – było to bogactwo dni powszednich, bez przepychu i blasku.

Usłyszałam, że Lila powtarza moje słowa:

– Jest bogaty...

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Po chwili Lila dodała:

– Poza tym jest miły i dobry.

Zgodziłam się z nią. Marcello był pozbawiony tych cech, co stanowiło jeszcze jeden argument za tym, żeby stanąć po stronie Stefana. Jednakże te dwa przymiotniki w ustach Lili dały mi do myślenia, doszłam do wniosku, że były gwoździem do trumny naszych dziecięcych marzeń o pałacu i szkatułach ze złotymi monetami w nagrodę za napisanie nowej wersji *Małych kobietek*. Bogactwo ucieleśniło się w postaci Stefana w poplamionym fartuchu, sympatycznego i dobrego chłopaka, którego znałyśmy od zawsze, syna don Achillego. Zauważyłam:

– Chciał ci kiedyś przekłuć język.

– Był wtedy dzieckiem – odparła i usłyszałam w jej głosie wzruszenie oraz nutę słodczy, u Lili coś zupełnie nowego.

Zrozumiałam, że sprawy między nimi zaszły o wiele dalej niż to przedstawiała.

W kolejnych dniach wszystko stawało się coraz bardziej jasne. Widziałam, jak Lila mówi do Stefana i jakie wrażenie robi na nim jej głos. Dopasowałam się do ich układu, nie chciałam zostać poza nim. I tak zaczęliśmy szeptać między sobą godzinami, we dwie lub we troje, bo bardzo nam zależało na tym, żeby szybko zmienić ludzi, uczucia i stan rzeczy. Usunięto ścianę dzielącą warsztat szewski od pomieszczenia wynajętego przez Stefana. Fernando zatrudnił trzech praktykantów, chłopców z prowincji, z Melito, którzy byli praktycznie niemi. W kącie zakładu zelowali podeszwy i przybijali ćwieki, na pozostałej powierzchni Fernando rozmieścił półki i stoły do pracy, na nich postawił prawidła w różnych rozmiarach i poukładał wszystkie narzędzia. Jednocześnie, z energią, jakiej nikt nie spodziewałby się u tego chuderlawego mężczyzny od zawsze trawionego frustracją, zaczął układać plan działań.

Dokładnie w dniu, kiedy miała się zacząć produkcja nowych butów, do zakładu zajrzał Stefano. Przyniósł z sobą paczkę opakowaną szarym papierem. Wszyscy stanęli na równe nogi, łącznie z Fernandem, jakby przyszedł ich skontrolować. Stefano otworzył paczkę, w środku było kilkanaście oszklonych ramek identycznych rozmiarów, otoczonych brązowymi listewkami. To były kartki z zeszytu Lili, pod szkłem jak cenne relikwie. Stefano zapytał Fernanda, czy może je zawiesić na ścianie, na co Fernando coś tylko burknął. Przy pomocy Rina i praktykantów Stefano wbił gwoździe, a kiedy już obrazki wisiały, dał praktykantom parę lirów i powiedział, żeby poszli do baru na kawę. Kiedy tylko został sam z szewcem i jego synem, oznajmił im półgłosem, że pragnie się ożenić z Lilą.

Zapadła nieznośna cisza. Rino ograniczył się do przemądrzałego uśmiešku, którym chciał pewnie dać do zrozumienia, że to przewidział. Fernando w końcu odezwał się żalonym tonem:

- Stefano, Lila jest zaręczona z Marcellem.
- Wasza córka nic o tym nie wie.
- Co ty opowiadasz?

Na to wtrącił się Rino, rozweselony:

– Mówi prawdę. Ty i mama zapraszacie tu tego dupka, ale Lina nie chciała i nie chce nawet o nim słyszeć.

Fernando rzucił złe spojrzenie na syna. Stefano powiedział grzecznie, rozglądając się wokół siebie:

– Zaczęliśmy razem pracować, więc nie wszczynajmy kłótni. Proszę was tylko o jedno, don Fernà, pozwólcie zdecydować waszej córce. Jeżeli wybierze Marcella, pogodzę się z tym. Kocham ją, więc jeżeli ma być szczęśliwa z kim innym, wycofam się, a między mną i wami wszystko zostanie tak jak jest teraz. Ale jeżeli wybierze mnie... jeżeli wybierze mnie, nie ma siły, będziecie musieli mi ją dać.

- Grozisz mi – skonstatował Fernando takim tonem, jakby już pogodził się z losem.
- Nie, ja was tylko proszę, żebyście mieli na względzie dobro waszej córki.
- Ja dobrze wiem, co jest dobre dla mojej córki.
- Na pewno, ale ona wie lepiej.

Po tym stwierdzeniu Stefano wstał, otworzył drzwi i zawołał mnie – czekałam na zewnątrz z Lilą.

– Lenù!

Weszliśmy razem. Bardzo nam się podobało, że jesteśmy w centrum wydarzeń i możemy kierować nimi do celu, który sobie wytyczyliśmy. Doskonale pamiętam niesamowite napięcie, jakie panowało wśród zebranych w warsztacie. Stefano zwrócił

się do Lili:

– Przed twoim ojcem oświadczam ci, że bardzo cię kocham, kocham cię nad życie.

Czy chcesz wyjść za mnie za mąż?

Lila odpowiedziała poważnie:

– Tak.

Fernando poruszył nerwowo rękami, wreszcie mruknął z tym samym wyrazem podporządkowania, z jakim kiedyś zwracał się do don Achillego.

– Zrobimy w ten sposób wielki afront nie tylko Marcellowi, ale całej rodzinie Solara.

I kto teraz o tym powie temu biednemu chłopcu?

– Ja – odrzekła Lila.

40.

Rzeczywiście, dwa dni później, wieczorem, w obecności całej rodziny oprócz Rina, który chodził gdzieś jak zwykle z kolegami, zanim zasiedli do kolacji i zanim został włączony telewizor, Lila poprosiła Marcella:

– Zabierzesz mnie na lody?

Marcello nie wierzył własnym uszom.

– Lody? Przed kolacją? Ty i ja? – i zaraz zapytał Nunzię: – Może pani też pójdzie z nami?

Nunzia włączyła telewizor i powiedziała:

– Ja nie, dziękuję Marcè. Ale wy wróćcie zaraz. Dziesięć minut, idźcie tam i z powrotem.

– Tak – obiecał uszczęśliwiony – dziękuję.

Potem powtórzył „dziękuję” jeszcze co najmniej cztery razy. Wydawało mu się, że oto nadszedł od tak dawna wyczekiwany moment. Lila nareszcie powie: „tak”.

Ale kiedy tylko znaleźli się na chodniku, Lila stanęła przed nim twarzą w twarz i powiedziała z zimnym okrucieństwem, które zawsze tak łatwo jej przychodziło:

– Nigdy nie powiedziałam, że chcę wyjść za ciebie.

– Wiem. Ale teraz chcesz?

– Nie.

Marcello, potężnie zbudowany, dwudziestotrzyletni pewny siebie mężczyzna

o porywczym usposobieniu, oparł się teraz o słup lampy ulicznej bez sił, ze złamanym sercem.

- Naprawdę nie?
- Nie. Kocham innego.
- Kogo?
- Stefana.
- Domyślałem się, ale nie mogłem w to uwierzyć.
- Musisz uwierzyć, bo tak jest.
- Zabiję ciebie i jego.
- Ze mną możesz spróbować od razu, masz okazję.

Marcello oderwał się od lampy z impetem, zacisnął pięści, włożył sobie jedną z nich do ust i ugryzł do krwi. Wreszcie wychrypiał:

- Za bardzo cię kocham, nie mogę tego zrobić.
- W takim razie zleć to bratu, ojcu albo jakiemuś znajomemu, pewnie załatwią to bez problemu. Ale powiedz im wyraźnie, że mnie będą musieli zabić w pierwszej kolejności, bo jeżeli tkniecie kogokolwiek innego, kiedy ja jeszcze będę na tym świecie, ja was zabiję, i zacznę od ciebie. Wiesz, że jestem do tego zdolna.

Marcello znów zaczął wściekle gryźć swoją pięść. Potem wstrząsnęło jego pierśią powstrzymywane łkanie, odwrócił się i poszedł.

Lila krzyknęła za nim:

- Poślij kogoś po telewizor. My go nie potrzebujemy.

41.

Wszystko to wydarzyło się w czasie krótszym niż miesiąc. Pod jego koniec Lila wydawała mi się szczęśliwa. Udało jej się doprowadzić do realizacji projekt z butami, bratu i całej rodzinie dała życiową szansę, uwolniła się od Marcella i zaręczyła z zamożnym chłopcem, który cieszył się w całej dzielnicy ogromnym poważaniem. Czy mogła chcieć czegoś więcej? Nie. Miała wszystko.

Kiedy rozpoczął się nowy rok szkolny, bardziej niż zwykle dokuczała mi szarżyna powszednich dni, ale szybko na powrót pochłonęła mnie nauka. Chciałam być zawsze przygotowana na lekcje, więc znowu do jedenastej wieczorem siedziałam nad

książkami i nastawiałam budzik na wpół do szóstej rano. Z Lilą spotykałam się coraz rzadziej.

Zbliżyłam się za to do brata Stefana, Alfonsa. Chociaż przez całe lato pracował w sklepie, świetnie zdał egzaminy poprawkowe, z wszystkich przedmiotów dostał siódemki: z łaciny, greki i angielskiego. Gino życzył mu porażki, bo chciał, żeby razem z nim powtarzał klasę, więc przyjął to z żalem. Kiedy na dodatek zobaczył, że wracamy codziennie razem ze szkoły do domu, obraził się na nas. Nie odzywał się ani do Alfonsa, kolegi z ławki, ani do mnie, swojej byłej dziewczyny, chociaż często się spotykaliśmy na ulicach naszej dzielnicy i na szkolnym korytarzu, bo jego klasa miała lekcje obok naszej. Niestety, nie ograniczył się do tego. Dowiedziałam się, że rozpowiada o nas paskudne rzeczy. Mówił, że zakochałam się w Alfonsie i dotykam go w czasie lekcji w intymne części ciała, ale Alfonso nie odwzajemnia mojego uczucia, bo nie podobają mu się dziewczyny, woli chłopców, o czym on, Gino, wie najlepiej, bo przecież siedział z nim przez cały rok w jednej ławce. Powiedziałam o tym młodszemu z Carraccich, spodziewając się, że porachuje Ginowi kości, jak to było przyjęte wśród chłopców, ale on ograniczył się do pogardliwego komentarza wyrażonego gwarą: „I tak wszyscy wiedzą, że to on jest pedałem”.

Alfonso był dla mnie prawdziwie opatrnościowym odkryciem. Był uosobieniem czystości i miał dobre maniery. Z twarzy przypominał Stefana: te same oczy i usta, ten sam nos, w miarę jak rósł, jego ciało przybierało podobny kształt: duża głowa, nogi dość krótkie w stosunku do tułowia, a spojrzeniem i gestami wyrażał podobną łagodność. Ale nie było w nim determinacji, która zdawała się skoncentrowana w każdej komórce ciała Stefana i która moim zdaniem może kiedyś sprawić, że ta łagodność pryśnie jak bańka mydlana. Alfonso miał działanie uspokajające, należał do tego rzadkiego, szczególnie w naszej dzielnicy, gatunku ludzi, od których na pewno nie spotka cię nic złego. Przebywaliśmy drogę ze szkoły do domu, wymieniając niewiele słów, ale nie czuliśmy się tym skrępowani. Miał zawsze to, czego potrzebowałam, a jeżeli czegoś nie miał, zdobywał to dla mnie. Kochał się we mnie spokojnie, nie wytwarzając przy tym żadnego nerwowego napięcia, ja też bardzo go polubiłam. Pierwszego dnia roku szkolnego usiedliśmy razem w jednej ławce, co w tamtych czasach stanowiło dowód odwagi, ale chociaż koledzy wyśmiewali się z niego, że się do mnie przyczepił, a dziewczęta nie przestawały pytać, czy z nim chodzę, żadne z nas dwojga nie miało ochoty zmienić miejsca. Był dobrym przyjacielem. Kiedy domyślał się, że jego obecność może mi ciążyć, czekał gdzieś na boku albo zegnał się ze mną i odchodził. Kiedy zauważał, że go potrzebuję, zostawał przy mnie także wtedy, gdy miał inne plany. Posługiwałam się nim, by łatwiej unikać Nina Sarratorego. Kiedy po

raz pierwszy po wakacjach na Ischii zobaczyliśmy się z daleka, Nino natychmiast podszedł do mnie z przyjacielsko uśmiechniętą twarzą, ale odprawiłam go dwoma zimnymi zdaniem. A przecież ogromnie mi się podobał, na widok jego szczupłej, wysokiej sylwetki rumieniłam się i serce biło mi jak szalone. Poza tym teraz, kiedy Lila miała prawdziwego narzeczonego – i to jakiego narzeczonego! – nie jakiegoś niepoważnego równolatka, ale mężczyznę dwudziestodwuletniego, odważnego, przedsiębiorczego i do tego sympatycznego, ja też powinnam szybko znaleźć sobie chłopaka, żeby w ten sposób do naszej przyjaźni wróciła równowaga. Cudownie byłoby wychodzić wieczorami we czwórkę, Lila ze swoim narzeczonym, ja ze swoim. Co prawda Nino nie jeździł czerwonym kabrioletem, był uczniem drugiej licealnej i nie miał złamanego grosza, ale był ode mnie dwadzieścia centymetrów wyższy, a Stefano był nieco niższy od Lili. Poza tym Nino potrafił mówić piękną literacką włoszczyzną na różne tematy, dużo czytał i przejmował się losami świata, podczas gdy Stefano spędzał większość dnia w sklepie, mówił prawie wyłącznie gwarą, skończył zaledwie kilka klas, przy kasie posadził matkę, która lepiej od niego radziła sobie z rachunkami, i chociaż miał dobry charakter, przejmował się głównie stanem swoich finansów. Tak czy inaczej, pomimo że byłam zakochana w Ninie i na pewno urosłabym w oczach Lili, gdybym się z nim związała, po raz drugi od czasu, kiedy go poznałam i się w nim zakochałam, nie byłam w stanie zbliżyć się do niego. Kierowała mną przyczyna o wiele poważniejsza od tej z dzieciństwa. Na jego widok od razu przychodził mi na myśl Donato Sarratore, chociaż ani trochę nie byli do siebie podobni. Wstręt i złość, jakie budziło we mnie wspomnienie zachowania jego ojca i mojego braku reakcji, kładły się cieniem także na nim. Niewątpliwie kochałam się w Ninie. Pragnęłam kontaktu z nim, rozmów i wspólnych spacerów, którym nic nie stało na przeszkodzie. Przecież syn to nie ojciec, a ojciec to nie syn, powinnam zrobić tak, jak zrobił Stefano z rodziną Peluso. Ale nie umiałam. Kiedy wyobrażałam sobie pocałunek z Ninem, czułam dotyk wąsów Donata, i w fali wstrętu wymieszanego z przyjemnością ojciec i syn łączyli się w jedno.

Moje uczucia skomplikowało jeszcze bardziej pewne zdarzenie. Alfonso i ja przyzwyczailiśmy się do pieszych spacerów ze szkoły do domu. Przemierzaliśmy piazza Nazionale, następnie szliśmy corso Meridionale. To była daleka droga, ale przebywaliśmy ją z przyjemnością, schodziła nam szybko na rozmowach o lekcjach, nauczycielach i kolegach z klasy. Pewnego dnia, kiedy już minęliśmy stawy i podchodziliśmy do jezdnii, zdawało mi się, że na nasypie kolejowym zobaczyłam Donata Sarratorego w mundurze kolejarza. Zadrżałam ze strachu i złości i natychmiast odwróciłam wzrok. Gdy znów spojrzałam w tamtą stronę, nikogo nie

dostrzegłam.

Być może było to tylko przywidzenie, ale do dziś pamiętam łomot serca w piersiach przypominający wystrzał i nie wiedzieć czemu przyszła mi na myśl eksplozja miedzianego rondla. Ten sam łomot usłyszałam ponownie następnego dnia, kiedy zobaczyłam Nina. Wystraszyło mnie to tak bardzo, że schroniłam się na dobre w spokojnym uczuciu Alfonsa i teraz już zarówno przed lekcjami, jak i po nich trzymałam się blisko niego. Kiedy tylko dostrzegałam z daleka szczupłą sylwetkę chłopca, w którym byłam zakochana, odwracałam się do młodszego syna don Achillego, jakbym miała mu coś bardzo pilnego do powiedzenia, i oddalałam się w jego towarzystwie. Pragnęłam przytulić się do Nina, a zamiast tego przykleiłam się do Alfonsa. W obawie, że znudzi się mną i zainteresuje inną dziewczyną, byłam dla niego bardzo miła, czasem nawet zachowywałam się zalotnie. Ale kiedy tylko widziałam, że posunęłam się za daleko, zmieniałam zachowanie. Co zrobię, jeżeli źle mnie zrozumie i zaproponuje, żebym została jego dziewczyną? – zastanawiałam się. Wprawiloby mnie to w ogromne zakłopotanie, musiałabym go odepchnąć. Lila zaręczyła się ze Stefanem, dorosłym mężczyzną, więc byłoby dla mnie upokarzające, gdybym zaczęła chodzić z tak młodym chłopakiem, znacznie młodszym bratem jej narzeczonego. Czasem jednak z trudem panowałam nad myślami. Wracając kiedyś ze szkoły corso Meridionale, poczułam się przy nim, jakby był giermkim, który mnie chroni przed niebezpieczeństwami wielkiego miasta, i przyszło mi do głowy, że to znamienne, że właśnie braciom Carracci, Stefanowi i Alfonsowi, przypadło chronić Lilę i mnie, chociaż w inny sposób, od zła tego świata, tego samego, którego moc czułyśmy, wchodząc po schodach do ich mieszkania, by odzyskać lalki skradzione przez ich ojca.

42.

W tym czasie codziennie odkrywałam powiązania tego typu między mną a Lilą. Dokładnie wtedy, gdy ja czułam się szczęśliwa na Ischii, Lila doświadczała ciężkich chwil w naszej dzielnicy; podczas gdy ja cierpiałam po opuszczeniu wyspy, jej sytuacja poprawiała się z dnia na dzień. Było tak, jakby radość lub ból jednej z nas pociągały za sobą ból lub radość drugiej. Przyszło mi też do głowy, że ta zależność dotyczyła również wyglądu zewnętrznego. Na Ischii czułam się ładna, co trwało jeszcze po

powrocie do Neapolu. Gdy z zapałem obmyślałyśmy sposoby, by uwolnić ją od Marcella, chwilami wierzyłam nawet, że jestem ładniejsza od Lili, w spojrzeniach Stefana dostrzegałam bowiem podziw. Teraz Lila złapała wiatr w żagle, dzięki poczuciu bezpieczeństwa i zadowoleniu wypiękniała, podczas gdy ja, pochłonięta nauką, wymęczona skrywanym uczuciem do Nina, stawałam się na powrót brzydka. Opalenizna zbladła, powróciły pryszcze. Na domiar złego pewnego ranka pojawił się problem okularów.

Profesor Gerace zapytał mnie o coś, co napisał na tablicy, i zorientował się, że nie potrafię tego odczytać. Poradził mi jak najszybciej pójść do okulisty, napisał mi to nawet w zeszycie, miałam wrócić z podpisem jednego z rodziców. Pokazałam to w domu z poczuciem winy, że narażę rodzinę na taki wydatek. Ojciec spochmurniał, matka mnie skrzyczała:

– Siedzisz wiecznie nad książkami, nic dziwnego, że zepsułaś sobie wzrok.

Było mi przykro. Zostałam więc ukarana za pychę, za to, że chciałam się uczyć? A Lila? Czy nie czytała więcej niż ja? Więc dlaczego ona miała doskonały wzrok, a ja widziałam coraz gorzej? Dlaczego z nas dwóch tylko ja miałam nosić okulary przez całe życie?

Wyobrażałam sobie, że nasze losy już zawsze pozostaną powiązane na dobre i na złe: oto ja, niewidoma, pogrążona w wiecznym mroku, trzymam się ramienia Lili o sokolim wzroku, która ze swoimi zwężonymi powiekami zawsze widzi więcej niż inni.

W końcu ojciec, dokonując starań w magistracie, zdobył pieniądze na okulary. Moje pesymistyczne wizje złagodniały. Poszłam do okulisty, który stwierdził u mnie krótkowzroczność, kupiliśmy okulary. Kiedy zobaczyłam w lustrze swoje aż nazbyt wyraźne odbicie, byłam zrozpaczona: krostowata cera, szeroka twarz, duże usta, oczy uwięzione w oprawkach okularów, które wyglądały, jakby ten, kto je zaprojektował, miał wyjątkowo przykre usposobienie, i jeszcze bardziej pogrubiały moje i tak zbyt gęste brwi. Czułam się oszpecona, postanowiłam zakładać je tylko w domu i najwyżej jeszcze wtedy, kiedy będę musiała przepisać coś z tablicy. Pewnego dnia zapomniałam ich w klasie na ławce. Pobiegłam od razu z powrotem do szkoły, lecz było już za późno. W zamieszaniu, jakie zawsze panowało po ostatnim dzwonku, okulary spadły na podłogę, złamał się zauszniak i pękła soczewka. Na ten widok wybuchnęłam płaczem.

Nie miałam odwagi wrócić do domu, poszłam do Lili, w nadziei, że coś poradzi na mój kłopot. Opowiedziałam jej, co mi się przytrafiło, a ona wzięła do ręki okulary i obejrzała dokładnie. Kazała mi je zostawić – zrobiła to z inną niż zwykle stanowczością: była spokojna, jak gdyby nie musiała już teraz walczyć aż do

wyczerpania o każdy drobiazg. Pomyślałam, że może Rino zdoła dokonać jakiegoś cudu za pomocą swoich szewskich narzędzi, i wróciłam do domu, modląc się, żeby rodzice nie zauważyli, że nie mam okularów.

Parę dni później, pod wieczór usłyszałam, że ktoś woła mnie z podwórka. Wyjrzałam, na dole stała Lila z moimi okularami na nosie. W pierwszej chwili nie zaskoczyło mnie, że są w całości, jak nowe, ale że Lila tak ładnie w nich wygląda. Biegłam w dół po schodach, zzymając się: Lila nie musi nosić okularów, a świetnie jej pasują, za to mnie, która jestem na nie skazana, okropnie oszpecają. Na mój widok zdjęła okulary, mrugając powiekami, z rozbawioną miną.

– Bolą mnie od nich oczy – stwierdziła i założyła mi je na nos, wołając: – Świetnie wyglądasz! Powinnaś je nosić zawsze.

Dała moje okulary Stefanowi, a on zawiózł je do optyka w centrum miasta. Mruknęłam zmieszana, że nie mam z czego oddać, na co odparła rozbawiona, z nutą perfidii w głosie:

– Co chcesz oddawać?

– No... pieniądze...

Uśmiechnęła się i odpowiedziała z dumą:

– Nie trzeba. Teraz robię z pieniędzmi, co mi się podoba.

43.

Kwestia pieniędzy jeszcze bardziej spotęgowała we mnie wrażenie, że ona ma to, czego mnie brakuje, i odwrotnie, w związku z czym jesteśmy sobie niezbędnie potrzebne.

Po incydencie z okularami długo nad tym rozmyślałam. Ona ma Stefana, wystarczy, że pstryknie palcami i okulary są naprawione. A ja co mam? Odpowiedziałam sobie zaraz, że ja mam szkołę – przywilej, który ona utraciła na zawsze. Staralam się przekonać sama siebie, że to jest moje bogactwo. Rzeczywiście, w nowym roku szkolnym nauczyciele znowu zaczęli mnie chwalić. Dostawałam coraz lepsze stopnie, nawet z korespondencyjnym kursem teologii poradziłam sobie znakomicie i w nagrodę otrzymałam Pismo Święte w czarnej okładce.

Obnosiłam się ze swoimi szkolnymi sukcesami jak ze srebrną bransoletką matki, ale

w rzeczywistości nie miałam z nich żadnego pożytku. W klasie nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o książkach, które czytałam czy o moich przemyśleniach. Alfonso był pilnym uczniem i od egzaminu poprawkowego w pierwszej klasie nie miał więcej problemów, ze wszystkich przedmiotów zbierał oceny wyższe niż dostateczny. Kiedy jednak próbowałam rozmawiać z nim o *Narzeczonych* Manzoni albo o wspaniałych powieściach, które wypożyczałam z biblioteki pana Ferrara, czy nawet o Duchu Świętym, słuchał tylko i przez nieśmiałość albo ignorancję nie nawiązywał ze mną dialogu. Poza tym o ile na lekcjach wypowiadał się w literackiej włoszczyźnie, gdy byliśmy we dwoje, używał wyłącznie gwary, a trudno jest mówić gwarą o braku sprawiedliwości na Ziemi, który to problem został poruszony w scenie obiadu w domu don Rodriga, czy też o związku między Bogiem Ojcem, Synem Bożym i Duchem Świętym, którzy choć to jedna osoba, są jednocześnie Trójcą, kto więc wśród nich jest najważniejszy, a kto najmniej ważny?

Przypomniało mi się to, co kiedyś powiedział Pasquale: że moje liceum nie należy do najlepszych. Doszłam do wniosku, że miał rację. Niewiele w nim było dziewcząt równie dobrze ubranych jak te, które spacerowały po via dei Mille, i rzadko przyjeżdżali po nie elegancy chłopcy w samochodach lepszych od tych, jakimi jeździli bracia Solara czy Stefano. Pod względem intelektualnym uczniowie mojego liceum też pozostawiali dużo do życzenia. Tylko Nino miał w szkole sławę porównywalną z moją, ale po tym, jak go potraktowałam na początku roku, zmykał przede mną z opuszczoną głową, nawet na mnie nie patrząc. Co mi pozostaje?

Czułam potrzebę wyrażenia myśli, które szczelnie zapełniały mi głowę. W tym celu zwracałam się zwykle do Lili, zwłaszcza wtedy, gdy w szkole mieliśmy ferie. Spotykałyśmy się i spędzałyśmy mnóstwo czasu na rozmowach. Opowiadałam jej ze szczegółami o lekcjach i nauczycielach. Słuchała mnie z uwagą, a ja miałam nadzieję, że obudzi się w niej ciekawość i znowu zacznie, potajemnie albo otwarcie, zaopatrywać się w książki, z których dowie się tego, czego ja uczyłam się w szkole. Tak się jednak nie stało. Odnosiłam wrażenie, jakby Lila trzymała samą siebie mocno na smyczy. Zamiast sięgać do książek, nabrała teraz zwyczaju komentowania moich refleksji gęstym potokiem słów najczęściej doprawionych ironią. Dla przykładu: pewnego razu opowiedziałam jej o moim korespondencyjnym kursie teologii i żeby zrobić na niej wrażenie, podzieliłam się z nią wątpliwościami, które wówczas mnie dręczyły. Powiedziałam, że nie wiem, co myśleć o Duchu Świętym, nie była dla mnie jasna jego funkcja.

– Kim jest? – zastanawiałam się na głos przy Lili – istotą podległą Bogu i Jego

Synowi? Czymś w rodzaju ich wysłannika? Posłańca? Albo może emanacją tych dwóch Osób, ich cudownym fluidem? Jeżeli prawdziwa jest ta pierwsza odpowiedź, to jak istota, która jest tylko posłańcem, może stanowić jedno z Bogiem Ojcem i Synem Bożym? Czy to nie byłoby to samo, co stwierdzić, że mój ojciec, woźny w magistracie, tworzy jedno z burmistrzem, z komendantem Lauro? Gdyby zaś skłonić się ku drugiej odpowiedzi, to przecież jeżeli jakaś istota wydziela fluidy, to pochodzą one od niej, są jej częścią, po co więc upierać się, że Duch Święty jest rozłączny z Bogiem i Jego Synem? A może to Duch Święty jest najważniejszy w hierarchii, a dwie pozostałe osoby są tylko jego uosobieniem? Albo po prostu ja nie rozumiem Jego roli.

Pamiętam, że Lila przygotowywała się właśnie do wyjścia. Miała iść ze Stefanem, Pinuccią, Rinem i Alfonsem do kina w centrum miasta. Patrzyłam na nią, gdy zakładała nową spódnicę i nowy zakiet. To już była całkiem inna dziewczyna, nawet jej łydki się zaokrągliły. Zauważyłam, że zwięzła powieki jak zawsze, gdy starała się znaleźć właściwe rozwiązanie jakiegoś problemu. Zaczęła mówić gwarą:

– Ty jeszcze tracisz czas na takie rzeczy? Mieszkamy na ognistej kuli, Lenù. Jej powierzchnia ochłodziła się i unosi się na powierzchni lawy, na niej budujemy domy, ulice i mosty. Co jakiś czas lawa wypływa z Wezuwiusza albo jest przyczyną trzęsienia ziemi, które niszczy wszystko. Wszędzie są mikroby, od których ludzie chorują i umierają. Toczą się wojny. Wszechobecna bieda wykoślawia ludzkie charaktery. W każdej chwili może się zdarzyć coś, co przyprawi cię o takie cierpienie, że zabraknie ci łez, zanim skończysz je odczuwać. A ty co robisz? Zapisujesz się na korespondencyjny kurs teologii, żeby zrozumieć, kim jest Duch Święty? Daj sobie spokój. To diabeł wymyślił ten świat, a nie Bóg, Jego Syn i Duch Święty. Chcesz zobaczyć naszyjnik z pereł, jaki dostałam od Stefana?

Mniej więcej tak właśnie komentowała moje wątpliwości, robiąc mi w głowie kompletny mętlik. To nie był jedyny przypadek. Coraz częściej wypowiadała się w tym stylu, aż to się stało jej zwyczajem, jej sposobem na dotrzymanie mi kroku. Jeżeli zdarzało mi się wspomnieć coś o Trójcy Przenajświętszej, ona kwitowała moją obserwację kilkoma krótkimi, ale pozbawionymi złośliwości zdaniem i przechodziła do pokazywania prezentów od Stefana: pierścionka zaręczynowego, łańcuszka, nowej sukienki, kapelusza, podczas gdy kwestie, które mnie pasjonowały i którymi zaskarbiłam sobie poważanie nauczycieli, leżały gdzieś w kącie sflaczałe, pozbawione sensu. Przy niej przestawały mnie pociągać idee i książki, podziwiałam piękne przedmioty, które kontrastowały z ubogim wystrojem mieszkania szewca, mierzyłam sukienki i biżuterię ze świadomością, że na mnie na pewno nie będą tak dobrze wyglądać jak na niej, ale wcale się tym nie przejmowałam.

Lilę w jej nowej roli narzeczonej otaczała zazdrość i niechęć. Jej sposób bycia przeszkadzał ludziom już kiedy była małą dziewczynką, więc nie mogło być inaczej teraz, gdy w dodatku uśmiechnęło się do niej szczęście. Od samej Lili usłyszałam o rosnącej wrogości matki Stefana, a jeszcze bardziej jego siostry Pinucci w stosunku do niej. Obydwie kobiety miały tę niechęć wypisaną na twarzy. Za kogo uważa się ta córka szewca? Czego zadała Stefanowi, że udało jej się tak go zbałamucić? Jak to możliwe, że kiedy ona tylko otworzy usta, on otwiera portfel? Czy zamierza odgrywać panią w naszym domu?

O ile donna Maria ograniczała się do naburmuszonego milczenia, Pinuccia traciła czasem kontrolę nad sobą i wybuchala, zwracając się do brata:

– Dlaczego jej wszystko kupujesz, a mnie nie tylko nigdy nic nie podarowałeś, ale kiedy sama sobie coś kupowałam, wypominałeś mi, że niepotrzebnie wydaję pieniądze?

Stefano, jak to on, uśmiechał się spokojnie i nic nie odpowiadał. Wkrótce jednak, zgodnie ze swoją naturą, dla świętego spokoju także siostrze zaczął robić prezenty. W ten sposób zaczęła się rywalizacja dwóch dziewcząt: razem chodziły do fryzjera, kupowały sobie identyczne sukienki. To jednak jeszcze bardziej rozdrażniło Pinuccię. Nie była brzydka, miała tylko parę lat i parę kilogramów więcej niż Lila, ale prawda była taka, że nie dało się nawet porównać tych dwóch dziewcząt ubranych w te same rzeczy. Jako pierwsza zdała sobie z tego sprawę matka Stefana. Kiedy córka i Lila stały już gotowe do wyjścia, w podobnych fryzurach i sukienkach, znajdowała zawsze coś, za co mogła obsztorcować przyszłą synową. Falszywie dobrodusznym tonem ganiła ją za to, że parę dni wcześniej zostawiła wieczorem zapalone światło w kuchni albo jeszcze wcześniej niedokładnie zakręciła kurek po tym, jak nalała sobie wody do szklanki. Następnie donna Maria odwracała się od nich, jakby czekała na nią praca niecierpiąca zwłoki, i burczała:

– Tylko nie wracajcie późno.

Inne dziewczęta z naszego osiedla miały podobny problem jak Pinuccia. Carmela, Ada i Gigliola, nie wypowiedziawszy na ten temat ani słowa, ubierały się teraz – zwłaszcza od święta – tak, żeby prześcignąć Lilę. Zwłaszcza Gigliola, zatrudniona

w cukierni Solarów i, nieoficjalnie, dziewczyna Michelego, kupowała lub kazała sobie kupować wciąż nowe rzeczy, w których obnosiła się na spacerach czy samochodowych przejażdżkach. Lila jednak pozostawała poza konkurencją, zawsze tak samo urzekająca i niedościgniona.

Z początku wszystkie próbowałyśmy ją przyhamować, zatrzymać przy sobie i przy naszych starych zwyczajach. Wciągnęłyśmy Stefana do naszego towarzystwa, hołubiłyśmy go, czarowały, a on wydawał się z tego zadowolony. Pewnej soboty, powodowany być może sympatią do Antonia i Ady, powiedział do Lili:

– Zaproponuj Lenucci i dzieciom Meliny, żeby jutro wieczorem poszli z nami coś zjeść.

„Z nami” – czyli z nimi, z Pinuccią i Rinem, bo zależało mu na spędzaniu wolnego czasu z przyszłym szwagrem. Zgodziliśmy się, ale nie był to przyjemny wieczór. Ada, w obawie, że będzie odstawać od reszty towarzystwa, pożyczyła sukienkę od Giglioli. Stefano i Rino wybrali restaurację w dzielnicy Santa Lucia zamiast, jak zwykle, pizzerię. Ani ja, ani Antonio, ani Ada nie byliśmy nigdy w restauracji, więc nie wiedzieliśmy, jak się ubrać, jak zachować i ile kosztuje kolacja w restauracji. W odróżnieniu od innych, których Stefano zabrał kabrioletem, my pojechaliśmy autobusem do piazza Plebiscito i resztę drogi przebyliśmy pieszo. W restauracji oni zamówili wiele dań, my prawie nic, z obawy, że rachunek będzie zbyt wysoki jak na nasze możliwości. Prawie wcale się nie odzywaliśmy, bo przez cały czas Rino i Stefano rozmawiali o pieniądzach i nie przyszło im do głowy, żeby włączyć do rozmowy przynajmniej Antonia. Ada, która nie chciała pozostać przez cały wieczór na drugim planie, starała się przyciągnąć uwagę Stefana, krygując się przed nim, co strasznie irytowało jej brata. W końcu, kiedy przyszło do płacenia rachunku, odkryliśmy, że Stefano już go uregulował, i podczas gdy Rino nie wprawilo to w najmniejsze nawet zakłopotanie, Antonio wrócił do domu wściekły, bo chociaż był rówieśnikiem Stefana i Rino i chociaż pracował tak samo jak oni, poczuł się jak żebrak. Co było najbardziej zaskakujące, Ada i ja uświadomiłyśmy sobie, że w miejscu publicznym, w sytuacji odmiennej od tej, w jakiej znajdowałyśmy się zwykle, nie umiałyśmy rozmawiać z Lilą, nie wiedziałyśmy, jak ją traktować. Ze swoim starannym makijażem i pięknymi strojami doskonale pasowała do giardinetty Stefana, do czerwonego kabrioletu i do restauracji w dzielnicy Santa Lucia, ale nie wyobrażałyśmy sobie, żeby mogła teraz wsiąść z nami do metra, do autobusu czy iść pieszo, żeby zjadła z nami pizzę na corso Garibaldi, wybrała się do kina parafialnego albo na tańce do domu Giglioli.

Tego wieczoru stało się dla nas jasne, że Lila zmieniła się raz na zawsze.

W ostatnich miesiącach zaczęła naśladować modelki z żurnali mody, subretki z telewizji i panienki spacerujące po via Chiaia. Stanowiła uderzający kontrast z nędzą naszej dzielnicy. Nic w niej nie pozostało z podlotka, jakim bywała jeszcze w czasach, gdy obmyślałyśmy razem sposoby na uwolnienie jej od Marcella i zaręczenie się ze Stefanem. Leżał teraz porzucony w jakimś ciemnym kącie. W świetle dziennym wszyscy za to mogli zobaczyć młodą kobietę. Spacerując w niedzielę pod ramię z narzeczonym, zdawała się wypełniać klauzulę paktu, jaki zawarli między sobą. Z kolei Stefano, obdarowując ją prezentami, pokazywał wszystkim w dzielnicy, że co prawda Lila jest piękna, ale dzięki niemu może być jeszcze piękniejsza. Wyglądało na to, że Lila odkrywa radość czerpania korzyści ze swej urody, ale dawała do zrozumienia, że nie można jej zamknąć w żadnych ramach i każda nowa fryzura, makijaż oczu czy kolor szminki są tylko granicami, które przestają istnieć, gdy się je przekroczy. Dla Stefana Lila stanowiła znak przyszłego dostatku i zwierzchnictwa, do których dążył, ona zaś godziła się na ograniczenia, jakie jej narzucał, by zabezpieczyć siebie, brata i resztę rodziny przed wszystkim, z czym beładnie choć z uporem walczyła od najmłodszych lat.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy nic o tym, co ona po pamiętnej nocy sylwestrowej nazywała wykontuowaniem. Znałam jednak historię miedzianego rondla, była stale obecna w jakimś zakamarku mojej głowy, często o niej myślałam. Przeczytałam też któregoś wieczoru na nowo list, który posłała mi na Ischię. Jakże fascynujący był jej sposób opowiadania o sobie i jakże odległe wydawały mi się teraz tamte czasy. Musiałam przyjąć do wiadomości, że Lila, która napisała do mnie te słowa, już nie istnieje. Autorką listu była dziewczynka, która napisała *Błękitną wróżkę*, która samodzielnie nauczyła się łaciny i greki, pochłonęła połowę księgozbioru pana Ferrara i narysowała projekty butów wiszące teraz w ramach na ścianie warsztatu szewskiego. W obecnym życiu już jej nie dostrzegałam. Nerwowa, wrażliwa, agresywna Lila Cerulla jakby rozmiękła. Choć mieszkaliśmy wciąż na tym samym osiedlu, przeżyłyśmy podobne dzieciństwo i obydwie wkroczyłyśmy w piętnasty rok życia, znalazłyśmy się niespodziewanie w dwóch różnych światach. W miarę upływu miesięcy ja zmieniałam się w zanedbaną, rozczochraną okularnicę, wiecznie pochyloną nad zniszczonymi książkami cuchnącymi stęchlizną, zdobytymi z ogromnym wysiłkiem na straganach z używanymi rzeczami albo dostarczonymi przez panią Oliviero, ona zaś spacerowała pod rękę ze Stefanem, ufryzowana jak jakaś diwa, w sukienkach, w których wyglądała jak gwiazda filmowa albo księżniczka. Patrzyłam na nią z okna i widziałam, że jej poprzednia postać straciła

funkcjonalność tak samo jak miedziany rondel z dziurą o poszarpanych brzegach. Miałam go przed oczami za każdym razem, gdy zdawałam sobie sprawę z jakiegoś nowego pęknięcia czy rysy w niej lub we mnie. Wiedziałam – a może tylko miałam nadzieję – że żadna forma nie będzie nigdy w stanie ograniczyć Lili, wcześniej czy później znowu ją rozbije.

45.

Po tym nieprzyjemnym wieczorze w restauracji nie zdarzyły się już podobne sytuacje. I to nie dlatego, że młodzi narzeczeni nie zaproponowali nam więcej wspólnego wyjścia, ale dlatego, że my odmawialiśmy, posługując się różnymi wymówkami.

Jeżeli nie byłam zbyt zmęczona po szkolnej nauce, dawałam się zaprosić na potańcówkę w czyimś domu albo na pizzę ze starymi przyjaciółmi. Wolałam jednak, żeby brał w tym udział także Antonio, który od jakiegoś czasu zabiegał o moje względy dyskretnie i wytrwale. To prawda, że miał wągrowatą cerę, nie najbielsze zęby i krzepkie dłonie z silnymi palcami, którymi – jak widziałam na własne oczy – potrafił wykręcić śruby z koła samochodowego, gdy w starym aucie odkupionym od kogoś przez Pasqualego przedziurawiła się opona. Ale miał też czarne faliste włosy, które chciało się pogłaskać, i choć był bardzo nieśmiały, kiedy już coś powiedział, potrafił być dowcipny. Zresztą tylko on zwracał na mnie uwagę.

Enzo rzadko uczestniczył w naszych spotkaniach, miał swoje życie, o którym niewiele wiedzieliśmy. Kiedy był z nami, koncentrował się, choć bez przesady, w zwykły sobie chłodny i spokojny sposób na Carmeli. Jeżeli chodzi o Pasqualego, wyglądało na to, że po tym, jak Lila go odrzuciła, przestał się interesować dziewczętami. Zwracał czasem uwagę na Adę, która mizdrzyła się do niego, chociaż wciąż powtarzała, że ma już dość oglądania ciągle tych samych twarzy.

Naturalnie, kiedy już byliśmy razem, wcześniej czy później zaczynaliśmy mówić o Lili, chociaż zdawało się, że nikt właściwie nie miał ochoty jej wspominać. Wszyscy chłopcy byli trochę zawiedzeni, każdy z nich na pewno chciałby się znaleźć na miejscu Stefana. Najnieszczęśliwszy z nich był Pasquale. Gdyby nie to, że trawiła go jeszcze stara, zapiekła nienawiść do braci Solara, wzięłby pewnie publicznie stronę Marcella przeciwko rodzinie Cerullo. Miłosne cierpienia pozostawiły w nim wciąż jeszcze żywe

rany i sam tylko widok Lili i Stefana zabierał mu radość życia. Jednakże Pasquale miał dobry charakter, starał się więc kontrolować swoje reakcje i zachowywać przyzwoicie. Kiedy się rozniosło, że Marcello i Michele zatrzymali któregoś wieczoru Rina na ulicy i nie tknąwszy go wprawdzie, obsypali obelgami, Pasquale bez wahania zaproponował pomoc bratu Lili. Później dowiedział się, że Silvio Solara, ojciec Marcella i Michelego, pojawił się w warsztacie Fernanda i zarzucił mu, że źle wychował córkę, po czym, rozejrzawszy się dokoła, stwierdził, że choćby wyprodukował nie wiadomo ile butów, nie ma pewności, czy uda mu się je sprzedać, czy znajdzie choć jeden sklep, który wystawi je u siebie. Na odchodnym dodał, że widzi w jego zakładzie tyle kleju, żywicy i drewna, że nie zdziwiłby się, gdyby wybuchł u niego pożar. Pasquale obiecał wtedy, że jeżeli Solara podłoży ogień pod warsztat, on zbierze grupkę zaufanych kolegów i podpalą bar „Solara”. Jednakże do Lili miał stosunek krytyczny. Uważał, że nie powinna przystawać na to, żeby Marcello przychodził do ich domu co wieczór. Lepiej zrobiłaby, gdyby uciekła z domu. Telewizor miała od razu rozbić młotkiem, a nie – siedzieć przed nim z tym, który go kupił, żeby ją zdobyć. Kończył swoje zarzuty, stwierdzając, że Lila jest zbyt inteligentna, żeby naprawdę zakochać się w takim gładkim hipokrycie jak Stefano Carracci.

Przy takich okazjach byłam jedyną, która nie siedziała cicho, tylko odpierała zarzuty Pasqualego. Mówiłam, że nie jest tak łatwo uciec z domu, sprzeciwić się otwarcie woli rodziców; nic nie jest takie proste jak się wydaje. Pytałam, dlaczego krytykuje tylko ją, niech się zastanowi nad zachowaniem swojego przyjaciela Rina – to on ją wciągnął w tę historię z Marcellem. Gdyby Lila nie znalazła sposobu, żeby się od niego uwolnić, musiałyby za niego wyjść za mąż. Kończyłam pochwałą Stefana: ze wszystkich, którzy znali Lilę od dzieciństwa, tylko on miał odwagę naprawdę jej pomóc. Zapadała krępująca cisza, a ja czułam się z siebie dumna, bo odparłam zarzuty pod adresem mojej przyjaciółki i zrobiłam to tonem i językiem, które wszystkich onieśmiały.

Jednak pewnego wieczoru skończyło się na kłótni. Byliśmy wszyscy, łącznie z Enzem, na pizzy przy Rettifilo, w lokalu, w którym margherita z piwem kosztowała pięćdziesiąt lirów. Tym razem zaczęły dziewczęta. Jako pierwsza, o ile pamiętam, Ada powiedziała, że jej zdaniem Lila jest śmieszna, kiedy tak pokazuje się wszystkim zawsze prosto od fryzjera, w sukienkach jak u księżniczki Sorayi, choć wszyscy wiemy, że musi rozsypywać trutkę na karaluchy przed progiem swojego mieszkania. To, mniej lub bardziej, rozbawiło wszystkich. Później, słowo do słowa, Carmela nie zawahała się stwierdzić bez owijania w bawełnę, że według niej Lila zaręczyła się ze Stefanem dla pieniędzy, żeby urządzić brata i resztę rodziny.

Zaczęłam bronić przyjaciółki, a wtedy Pasquale przerwał mi, mówiąc:

– To nie jest w tym wszystkim najgorsze. Najgorsze, że Lila doskonale wie, skąd te pieniądze pochodzą.

– Znowu chcesz wyciągnąć te stare historie z don Achillem, czarnym rynkiem, lichwą i wszystkimi innymi świństwami z czasu sprzed wojny i po niej?

– Tak. I gdyby twoja przyjaciółka była tu teraz z nami, przyznałaby mi rację.

– Stefano jest tylko kupcem, który dobrze wykonuje swój zawód.

– I myślisz, że pieniądze, które zainwestował w produkcję butów zarobił na handlu w swoim sklepie?

– A co? Czy tak nie jest?

– To są pieniądze za złoto biednych kobiet, schowane przez don Achillego w materacu. Lina odgrywa wielką panią za cenę cierpienia biedaków z naszej dzielnicy. I pozwala utrzymywać siebie i swoją rodzinę jeszcze przed ślubem.

Chciałam na to odpowiedzieć, ale przede mną zareagował Enzo, mówiąc zwykłym sobie, chłodnym tonem:

– Wybacz, Pascà, ale co to znaczy, że się pozwala utrzymywać?

Wystarczyło mi usłyszeć to pytanie, żeby przewidzieć, że nasz wieczór źle się skończy. Pasquale poczerwieniał, był zmieszany.

– „Utrzymywać” to znaczy utrzymywać. Kto płaci za fryzjera Lili, za sukienki i torebki? Kto wyłożył pieniądze, żeby szewc mógł odgrywać fabrykanta?

– Czy to znaczy, że twoim zdaniem Lina nie zakochała się, nie zaręczyła, tylko się sprzedała Stefanowi?

Nikt się nie odezwał, jeden Antonio próbował załagodzić sytuację:

– Ależ skąd, Enzo. Pasquale nie chciał tego powiedzieć. Wiesz, że lubi Linę tak samo jak my wszyscy.

Enzo gestem poprosił go, żeby milczał.

– Bądź cicho, Antò. Daj mówić Pasqualemu.

Pasquale odparł ponuro:

– Tak, sprzedała się i gównu ją obchodzi, że pieniądze, które wydaje każdego dnia, śmierdzą.

Znowu próbowałam wtrącić się do ich wymiany zdań, ale Enzo dotknął mego ramienia.

– Przepraszam, Lenù, ale chciałbym wiedzieć, jak Pasquale nazwałby dziewczynę, która się sprzedaje.

W tym momencie zobaczyliśmy w oczach Pasqua lego błysk agresji i usłyszeliśmy, jak mówi to, z czym nosił się od miesięcy, co najchętniej wykrzyczałby na całą

dzielnicę:

– Dziwka. Nazwałbym ją dziwką. Lina zachowuje się jak dziwka.

Enzo wstał i powiedział cicho:

– Wyjdź ze mną.

Antonio podskoczył na równe nogi, złapał za ramię Pasqualego, który chciał wstać od stołu, i powiedział:

– Nie przesadzaj, Enzo. Pasquale nie oskarża Lili. To, co mówi, to nie oskarżenie, ale tylko słowa krytyki, które każdy z nas mógłby wygłosić.

Enzo odparł, teraz już głośno:

– Ja nie! – i skierował się do wyjścia, mówiąc: – Czekam na was na zewnątrz. Na obydwóch.

Zatrzymaliśmy Pasqualego i Antonia w pizzerii, nic się więcej nie wydarzyło. Przez kilka dni patrzyli na siebie wilkiem, a potem wszystko znowu było jak przedtem.

46.

Opowiedziałam o tej kłótni, żeby oddać atmosferę tamtych dni i reakcje na wybory Lili, zwłaszcza chłopców, którzy potajemnie albo jawnie kochali się w niej przed jej zaręczynami i z całym prawdopodobieństwem nie przestali się w niej kochać także po nich. Jeżeli o mnie chodzi, trudno mi wyrazić moje ówczesne uczucia, bo były bardzo pogmatwane. Przy każdej okazji broniłam Lili i robiłam to z przyjemnością, satysfakcję sprawiało mi przemawianie z pewnością siebie kogoś, kto osiągnął wyższy stopień wykształcenia niż jego słuchacze. Jednocześnie chętnie powiedziałabym im o tym, że rzeczywiście każdy ruch Stefana był sprowokowany posunięciami Lili, które wcześniej obmyślałyśmy ze szczegółami, jakbyśmy rozwiązywały zadanie matematyczne, aż do osiągnięcia celu, jakim było zapewnienie bytu jej i bratu, zrealizowanie planu produkcji butów, a nawet zdobycie pieniędzy na naprawę moich okularów.

Przechodziłam przed zakładem szewskim Fernanda i doświadczałam uczucia triumfu, choć nie miałam z niego bezpośrednich korzyści. Lili się udało, to jasne. Nad witryną warsztatu, gdzie nigdy nie wisiał żaden szyld, teraz widniała tablica z jednym tylko słowem: Cerullo. W środku Fernando, Rino i trzej praktykanci pochyleni nad

stołami wycinali, szyli, drasowali, polerowali od rana do nocy. Wiedziałam, że syn i ojciec dużo się kłóca. Fernando utrzymywał, że nie da się uszyć butów, zwłaszcza damskich, trzymając się ściśle projektów Lili, bo te były jedynie dziecinną fantazją. Rino był innego zdania i prosił Lilę, żeby go poparła. Lila mówiła, że nie chce się do tego mieszać, więc Rino ściągał do warsztatu Stefana, żeby ten dał dokładne polecenia Fernandowi. Stefano przychodził, długo przyglądał się rysunkom Lili wiszącym na ścianie, uśmiechał się do siebie i mówił spokojnie, że chce, żeby gotowe buty wyglądały dokładnie tak jak na rysunkach, właśnie po to je obramował i powiesił na ścianie. Krótko mówiąc, praca posuwała się bardzo wolno, praktykanci otrzymywali polecenia od Fernanda, potem Rino je zmieniał i wszystko się zatrzymywało, następnie rozpoczynali od nowa aż do czasu, gdy Fernando zauważył, że praca przebiega nie tak, jak chciał, więc znowu wprowadzał zmiany, po czym przychodził Stefano, a po jego wyjściu z warsztatu dobiegały krzyki i hałasy.

Rzucałam tylko okiem na zakład i szłam dalej, ale pod powiekami zostawał mi widok obrazków wiszących na ścianie. Myślałam sobie: te rysunki były dla Lili czystą fantazją. Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego, nikt się tutaj nie sprzedaje, nikt nikogo nie kupił. Interes z butami jest owocem twórczej inwencji Lili, którą Stefano wspiera z czystej miłości. Lila ma to szczęście, że jest kochana i kocha. Jest kochana za to, kim jest, i za to, co potrafi. Mogła dać bratu to, czego pragnął, ochroniła go przed niebezpieczeństwami, jakie mu zagrażały. Teraz na pewno wymyśli coś nowego. Dlatego nie chcę jej stracić z widzenia. Coś na pewno się wydarzy.

Ale nic się nie wydarzyło. Lila skryzalizowała się w roli narzeczonej Stefana. Także w rozmowach, które prowadziłyśmy, gdy tylko znajdowałam trochę czasu, robiła wrażenie spełnionej, zadowolonej ze swej sytuacji, jakby nie istniało nic innego, jakby nie chciała, żeby istniało coś innego oprócz małżeństwa, domu, dzieci. To była dla mnie przykra niespodzianka. Lila złagodniała, brakowało mi jej nonkonformizmu, ostrego charakteru, który tak dobrze znałam. Zdałam sobie z tego w pełni sprawę później, kiedy przez Gigliolę Spagnuolo dotarły do mnie hańbiące plotki na jej temat.

Gigliola powiedziała mi gwarą, z nienawiścią w głosie:

– Twoja przyjaciółka odgrywa księżniczkę, ale ciekawe, czy Stefano wie, że kiedy Marcello odwiedzał ją w domu, ona co wieczór robiła mu laskę?

Nie wiedziałam, co to znaczy. Znałam to wyrażenie od dzieciństwa, ale domyślałam się tylko, że to coś obraźliwego, coś bardzo upokarzającego.

– To nieprawda!

– Tak mówi Marcello.

– Kłamie.

– Tak? Kłamie także swojemu bratu?

– Tobie powiedział to Michele?

– Tak.

Miałam nadzieję, że te plotki nie dojdą do Stefana. Każdego dnia, gdy wracałam ze szkoły, zastanawiałam się, czy powinnam ostrzec Lilę, zanim zdarzy się coś złego. Pamiętając, jaka była w dzieciństwie, bałam się, że się wścieknie i pójdzie prosto do Marcella ze swoim szewskim nożem. W końcu zdecydowałam jednak, że lepiej zrobię, jeżeli jej o tym doniosę. Będzie mogła się przygotować do konfrontacji. Okazało się, że już ją o wszystkim powiadomiono. Nie tylko wiedziała dokładnie, a już na pewno lepiej ode mnie, co znaczy „zrobić laskę”. Domyśliłam się tego, gdy stwierdziła, że nigdy nie zrobiłaby tego żadnemu mężczyźnie, bo to wstrętne, a co dopiero Marcellowi Solarze. Powiedziała, że plotki dotarły także do Stefana, a on zapytał ją, jakie miała stosunki z Marcellem, kiedy przychodził do ich domu. Odparła mu na to z gniewem: „Oczywiście, że żadnych! Zwariowałeś, że o to pytasz?”. Stefano powiedział zaraz, że jej wierzy, że nigdy w to nie wątpił, że zapytał ją tylko po to, żeby ją powiadomić o świństwach, jakie rozpowiada Marcello. Wyglądał jednak, jakby jednocześnie jego myśli podążyły za obrazami, które bez jego woli powstawały mu w głowie. Lila zauważyła to i rozpoczęli długą rozmowę na ten temat. Wyznała mu, że korci ją, żeby krwawo się zemścić za tę obrazę. Ale komu to potrzebne? Razem w końcu postanowili, że będą ponad.

– Ponad? – powtórzyłam zdumiona.

– Tak, ponad Marcellem, ponad zwyczajami przyjętymi w naszej dzielnicy.

Postanowiliśmy ich ignorować: Marcella, jego brata, ojca, dziadka – wszystkich. Życ tak, jakby nie istnieli.

I tak Stefano pracował spokojnie w swoim sklepie, nie zaprzatając sobie głowy obroną honoru przyszłej żony, Lila dalej prowadziła życie narzeczonej i nie sięgała po nóż szewski ani po nic innego, zaś bracia Solara nadal rozpowiadali świństwa na jej temat. Zaskoczyła mnie. Co się dzieje? Nie rozumiałam. Bardziej naturalne wydawało mi się zachowanie braci Solara, przynajmniej pasowało do świata, w którym żyłyśmy od urodzenia. Nie rozumiałam natomiast, co sobie wymyślili ona i Stefano. Wydawało im się, że gdzie mieszkają? Zachowania takiego jak ich nie opisywały nawet poematy, które analizowaliśmy w szkole, ani powieści, które wypożyczałam w bibliotece pana Ferrara. Byłam zbita z tropu. Nie reagowali na kalumnie i zniewagi, nawet tak poważne jak te braci Solara. Traktowali wszystkich niezmiennie miło i uprzejmie, jakby Stefano był Johnem Kennedym, a ona jego żoną Jacqueline z wizytą w dzielnicy nędzarzy. Kiedy wychodzili razem na spacer i on otaczał ramieniem jej plecy,

wydawało się, jakby nie dotyczyły ich żadne stare zasady. Śmiali się, żartowali, obejmowali i całowali. Widziałam ich w czerwonym kabriolecie, jeździli sami także wieczorami, ubrani jak para aktorów. Myślałam sobie: jeżdżą nie wiadomo dokąd, nikt ich nie pilnuje, i to nie potajemnie, ale za zgodą rodziców, za zgodą Rina, robią to, na co mają ochotę i nie przywiązują wagi do tego, co ludzie mówią. Czy to Lila przywiodła Stefana do takiego zachowania, dzięki któremu byli najbardziej podziwianą i oplotkowaną parą w całej dzielnicy? Czy to jest jej najnowszy pomysł? Postanowiła wyjść z dzielnicy, pozostając w dzielnicy? Chciała wyciągnąć nas z nas samych, zedrzeć z nas starą skórę i nałożyć nową, pasującą do tej, którą ona dla siebie wymyśliła?

47.

Wszystko wróciło gwałtownie na stare tory, kiedy plotki na temat Lili dotarły do Pasqualego. Stało się to pewnej niedzieli, gdy ja, Carmela, Enzo, Pasquale i Antonio spacerowaliśmy wzdłuż jezdni. Zaczął Antonio:

– Marcello podobno rozpowiada, że Lila była z nim.

Enzo nie mrugnął nawet okiem, za to Pasquale od razu rozgorzał.

– Co to znaczy, że była z nim?

Antonio zmieszał się, bo byliśmy przy tym ja i Carmela, i odparł tylko:

– No wiesz...

Oddalili się od nas, zaczęli rozmawiać na boku. Widziałam, że Pasquale wpada w coraz większą złość, Enzo zaś sprawiał wrażenie, jakby jego ciało stawało się jedną zwartą bryłą twardej materii, bez ramion, nóg i szyi. Zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo ich to poruszyło. Lila nie jest ich siostrą ani nawet kuzynką, a jednak czują się w obowiązku oburzyć, wszyscy trzej, bardziej niż Stefano, o wiele bardziej niż Stefano, jakby to oni byli jej narzeczonymi. Pasquale moim zdaniem wręcz przesadzał. On, który parę dni wcześniej powiedział to, co powiedział, zaczął w pewnej chwili krzyżeć tak głośno, że wszyscy go usłyszeliśmy:

– Rozwalę łeb temu dupkowi! Robi z niej dziwkę. Nawet jeżeli Stefano mu na to pozwala, ja nie pozwolę!

Potem zamilkli i wrócili do nas. Szliśmy jeszcze trochę razem, ja rozmawiałam

z Antoniem, Carmeli towarzyszył brat i Enzo, potem odprowadzili nas do domu. Widziałam, jak się oddalali, Enzo najniższy w środku, Antonio i Pasquale po bokach. Nazajutrz i przez wiele jeszcze dni całe osiedle mówiło tylko o fiacie 1100 braci Solara. Został kompletnie zdemolowany. To nie wszystko – ktoś pobił ich właścicieli, a oni nie potrafili powiedzieć, kto to zrobił. Przysięgali, że w ciemnej uliczce napadło ich co najmniej dziesięciu zbirów, to byli na pewno ludzie z zewnątrz. Ale Carmela i ja doskonale wiedziałyśmy, że napastników było tylko trzech. Bardzo bałyśmy się odwetu. Czekaliśmy dzień, dwa, trzy – ale widać akcja była dobrze zorganizowana, bo odwet nie nastąpił. Pasquale spokojnie wykonywał swoją pracę murarza, Antonio – mechanika, Enzo jak zwykle sprzedawał owoce z wozu. Bracia Solara natomiast przez jakiś czas musieli chodzić pieszo, zawsze w towarzystwie czterech czy pięciu kolegów. Przyznam, że ten widok sprawiał mi przyjemność. Byłam dumna z moich przyjaciół. Z Adą i Carmelą krytykowałyśmy Stefana i Rina, bo udawali, że nic się nie stało. Minął jakiś czas. Marcello i Michele kupili zielone alfa romeo, model giulietta i na nowo zgrywali panów osiedla. Cali i zdrowi, jeszcze bardziej arogancy niż przedtem. Pomyślałam, że może Lila miała rację: ludzi tego pokroju można pokonać, wstępując na wyższy poziom życia, taki, jakiego oni nawet nie potrafią sobie wyobrazić. Podczas gdy zdawałam egzaminy kończące drugą klasę liceum, Lila oznajmiła mi, że wiosną wychodzi za mąż. Zaraz po tym, jak skończy szesnaście lat.

48.

Ta wiadomość mną wstrząsnęła. Lila powiedziała mi o swoim ślubie w czerwcu, krótko przed egzaminem ustnym. Jasne, że mogłam się tego spodziewać, ale teraz, kiedy ustalona już była data: dwunastego marca, czułam się, jakbym obijała się o zamknięte drzwi. Policzyłam, że zostało jeszcze dziewięć miesięcy. Być może to wystarczy, żeby zawiść Pinucci, wrogość donny Marii i kalumnie Marcella, które roznosiły się po całej dzielnicy z ust do ust jak wieści rozpowszechniane przez boginię Famę w *Eneidzie*, zatrwały miłość Stefana i doprowadziły do zerwania zaręczyn. Wstydziałam się takich myśli, ale ta konkretna data konkretyzowała także rozdroże, na którym nasze losy zaczną się definitywnie rozchodzić. Co gorsza, byłam pewna, że jej los będzie lepszy od mojego. Bardziej niż kiedykolwiek wątpiałam w znaczenie wykształcenia. Przed laty

zaczęłam się wspinać po jego szczeblach tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość w Lili, ale dla niej książki straciły teraz jakąkolwiek wartość. Przestałam przygotowywać się do egzaminu, w nocy nie mogłam spać. Myślałam o moim skromnym doświadczeniu z chłopcami. Raz pocałowałam się z Ginem, musnęłam wargi Nina i doznałam odstręczającego zbliżenia z jego ojcem, nic więcej. Tymczasem Lila od marca będzie miała męża i po roku, w wieku siedemnastu lat, urodzi może dziecko, potem drugie i następne. Poczułam się niegodna uwagi jak cień, zaczęłam rozpaczliwie płakać.

Następnego dnia poszłam niechętnie na egzamin, ale zdarzyło się coś, co poprawiło mi nastrój. Profesorowie Gerace i Galiani bardzo pochwalili moją pracę pisemną z języka włoskiego. Gerace stwierdził, że świetnie wyłożyłam tezę, chciał przeczytać fragment reszcie komisji. Słuchając go, zdałam sobie sprawę, że w ostatnich miesiącach w moich wypracowaniach starałam się nade wszystko uwolnić od afektowanego tonu, osiągnąć styl potoczny i błyskotliwy jak w liście Lili wysłanym na Ischię. Kiedy usłyszałam swoje zdania przeczytane głosem nauczyciela i widziałam, jak Galiani słucha i kiwa głową, zrozumiałam, że mi się to udało. Naturalnie, nie był to styl Lili, był mój i nauczyciele uznali go za bardzo dobry.

Do trzeciej klasy przeszłam ze świadectwem, na którym były same dziesiątki, ale w domu nikt się tym specjalnie nie zachwycił, rodzice w żaden sposób nie uczcili mojego sukcesu. Widziałam, że są z niego zadowoleni, co sprawiło mi przyjemność, ale nie przyłożyli do tego większej wagi. Matka zachowywała się, jakby nie było nic niezwykłego w tym, że jestem najlepszą uczennicą, a ojciec wysłał mnie do pani Oliviero, żeby nie zapomniała postarać się o książki dla mnie na przyszły rok. Matka krzyknęła za mną, gdy wychodziłam:

– Gdyby chciała cię znowu zaprosić na Ischię, powiedz, że niedomagam i musisz mi pomagać w domu.

Pani Oliviero pochwaliła mnie, ale bez większego entuzjazmu. Częściowo dlatego, że przyzwyczaiła się już do moich sukcesów, a częściowo – bo chorowała, cierpiała na chroniczny ból gardła. Ani słowem nie napomknęła o potrzebie odpoczynku, o kuzynce Nelli i o Ischii. Za to niespodziewanie zaczęła mówić o Lili. Widziała ją kiedyś z daleka na ulicy. Była z narzeczonym, tym ze sklepu z wędlinami. Potem Oliviero powiedziała coś, co zapamiętam na zawsze:

– Piękno rozumu Cerullo, które było widoczne od najwcześniejszego dzieciństwa, nie znalazło ujścia, ulokowało się więc na jej twarzy, w piersiach, nogach, dupie, tam, gdzie szybko przeminie, i wkrótce będzie tak, jakby nigdy go nie posiadała.

Nigdy nie słyszałam u niej wulgarnych słów, teraz powiedziała: dupa, ale zaraz szepnęła: „przepraszam”. Najbardziej jednak uderzył mnie żal, jaki przebijał z jej

głosu. Odniosłam wrażenie, że Oliviero siebie obwinia za to, co stało się z Lilą. Piękno jej rozumu zmarnowało się, bo ona jako nauczycielka nie wsparła jej i nie pomogła się rozwinąć. Poczulałam się jej najlepszą uczennicą i wyszłam podniesiona na duchu.

Tylko Alfonso naprawdę serdecznie pogratulował mi sukcesu. On sam przeszedł do następnej klasy na samych siódmkach. Czułam, że jego podziw jest szczery, sprawił mi nim ogromną przyjemność. Na szkolnym korytarzu, przed tablicą z wywieszonymi ocenami, w obecności kolegów i ich rodziców, poniesiony entuzjazmem, zapomniał chyba, że jestem dziewczyną i nie należy mnie dotykać, bo uściskał mnie mocno i pocałował głośno w policzek. Zaraz się zmieszał, wypuścił z objęć i przeprosił, ale jeszcze nie do końca umiał się opanować, bo zawołał:

– Same dziesiątki! To niemożliwe! Same dziesiątki.

W drodze do domu rozmawialiśmy o ślubie jego brata i o Lili. Czułam się swobodniej niż kiedykolwiek, zapytałam go więc po raz pierwszy, co myśli o przyszłej szwagierce. Nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili zapytał:

– Pamiętasz turniej, jaki nam urządzili w szkole?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Byłem pewien, że wygram, bo wszyscy baliście się mojego ojca.

– Lina też. Z początku dawała ci fory.

– Tak, ale potem zdecydowała się walczyć i bardzo mnie upokorzyła. Wróciłem do domu z płaczem.

– Porażki są przykre.

– Nie, nie dlatego. Nie mogłem znieść, że wszyscy boją się mego ojca, ja bardziej niż inni, a ona nie.

– Zakochałeś się w niej?

– Coś ty! Zawsze mnie onieśmiewała.

– W jakim sensie?

– Powiem krótko: mój brat okazuje wiele odwagi, że chce się z nią ożenić.

– Co ty mówisz!

– Mówię, że gdybym to ja miał wybierać, na pewno ożeniłbym się z tobą, nie z Lilą.

To też sprawiło mi przyjemność. Wybuchnęliśmy śmiechem. Już się pożegnaliśmy, a jeszcze nie mogliśmy opanować śmiechu.

Alfonsa czekało lato w sklepie z wędlinami. Ja, bardziej z woli matki niż ojca, miałam sobie znaleźć pracę na wakacje. Obiecaliśmy sobie, że się spotkamy, przynajmniej raz wybierzemy się razem nad morze. Ale nie doszło do tego.

W następnych dniach powalałam się trochę po naszej dzielnicy. Zapytałam don Paola, właściciela sklepu kolonialnego przy jezdni, czy przyda mu się latem pomoc,

zapytałam też w kiosku z gazetami, ale nie potrzebowali dodatkowego personelu. Do sklepu papierniczego weszłam z tym samym pytaniem, ale słysząc je, właścicielka się roześmiała. Owszem, przydałaby jej się pomoc, ale nie teraz, tylko jesienią, gdy zaczną się lekcje w szkole. Byłam już w drzwiach, gdy mnie zawołała.

– Ty, Lenù, jesteś poważną dziewczyną, można na tobie polegać. Czy chciałabyś latem opiekować się moimi córkami na plaży?

Wyszłam ze sklepu prawdziwie szczęśliwa. Jego właścicielka będzie mi płacić – i to nieźle – za opiekę nad córkami przez cały lipiec i pierwszą dekadę sierpnia. Morze, słońce i pieniądze. Miałam chodzić z dziewczynkami codziennie na kąpielisko Sea Garden, między Posillipo a Mergelliną. Do domu wracałam tak podekscytowana, jakby w moim życiu zdarzył się jakiś pozytywny przełom. Zarobię pieniądze dla rodziców, wykąpię się w morzu, będę miała opaloną, gładką skórę jak po wakacjach na Ischii. Myślałam sobie, że życie jest piękne i czeka mnie jeszcze wiele wspaniałych chwil.

Przeszłam kilka kroków i oto zdarzyła się jedna z nich. Jej bohaterem był Antonio, który zobaczył mnie z daleka i dogonił na ulicy. Miał na sobie poplamiony kombinezon, ale i tak cieszyłam się z tego spotkania, każdego powitałabym wtedy ze szczerą radością. Opowiedziałam mu o propozycji właścicielki sklepu papierniczego, odczytał chyba z mojej twarzy, że oto nadarza się okazja dla niego.

Przez całe miesiące siedziałam kamieniem nad książkami, czułam się brzydka i samotna. Zakochana w Ninie Sarratorem, unikałam go przez cały czas, nie poszłam nawet zobaczyć, z jakimi ocenami przeszedł do następnej klasy. Lila miała wkrótce przemieścić się na inny poziom życia i teraz to już na pewno nie uda mi się za nią nadążyć. W tej chwili jednak czułam się dobrze i pragnęłam czuć się jeszcze lepiej. Dlatego, kiedy Antonio, odgadując, że jestem właściwie usposobiona, zapytał, czy chcę z nim chodzić, od razu odpowiedziałam, że tak, chociaż kochałam innego, a do niego nie czułam nic więcej niż trochę sympatii. Mieć takiego chłopaka jak on: dorosłego, pracującego, rówieśnika Stefana wydawało mi się równie wielkim sukcesem jak świadectwo z samymi dziesiątkami albo odpłatna opieka nad córkami właścicielki sklepu na kąpielisku Sea Garden.

Zaczęłam pracować i spotykać się z Antoniem. Matka dziewczynek kupiła dla mnie abonament i każdego dnia przemierzałam z nimi miasto w zatłoczonych autobusach. Docierałyśmy do kolorowego kąpieliska: błękitne niebo, otwarte parasole, studenci, zamożne kobiety bez zajęcia i inne, które za wszelką cenę starały się zwrócić na siebie uwagę. Byłam grzeczna dla ratowników, którzy próbowali mnie poderwać. Nie spuszczałam oka z dziewczynek, kąpałam się z nimi ubrana w kostium, który rok wcześniej uszyła dla mnie Nella, karmiłam je, bawiłam się z nimi, pozwalałam pić wodę z wodotrysku, pilnując, żeby się nie pośliznęły i nie złamały zębów na kamiennej misie.

Wracałyśmy na osiedle pod wieczór. Odprowadzałam dziewczynki do domu i biegłam na potajemne spotkanie z Antoniem, spalona słońcem, słona od morskiej wody. Chodziliśmy nad stawy bocznymi uliczkami, bałam się, że zobaczy mnie matka albo – co gorsza – pani Oliviero. Pierwsze prawdziwe pocałunki wymieniłam z Antoniem. Wkrótce pozwoliłam mu, żeby dotykał moich piersi i ud. Pewnego wieczoru sama z siebie ścisnęłam w ręce jego penis schowany w spodniach, twardy i nabrzmiący, a kiedy go wyjął, chętnie trzymałam go w dłoni, podczas gdy się całowaliśmy. Zgadzałam się na to, mając w głowie przez cały czas dwa pytania: „czy Lila robi to samo ze Stefanem?” i „czy przyjemność, jaką odczuwam z tym chłopcem, ma tę samą naturę co przyjemność, jakiej doświadczyłam, gdy dotykał mnie Donato Sarratore?”. Jasne więc, że Antonio był tylko narzędziem, za pomocą którego lepiej poznawałam stosunki między Lilą a Stefanem i analizowałam emocje, skomplikowane i mroczne, których doznałam przez ojca Nina. Ale nie czułam się winna. Antonio okazywał mi bezgraniczną wdzięczność za te krótkie chwile nad stawami i byłam przekonana, że jest moim dłużnikiem, bo przyjemność, jaką mu daję, jest na pewno nieporównywalnie większa od tej, jaką on daje mnie.

Czasami w niedzielę Antonio towarzyszył nam, mnie i dziewczynkom, na kąpielisku Sea Garden. Wydawał mnóstwo pieniędzy, choć mało zarabiał, poza tym nie znosił przebywać na słońcu. Robił to, żeby być ze mną, bez żadnej natychmiastowej rekompensaty, bo na plaży nie mogliśmy się dotykać i całować. Ponadto bawił moje podopieczne skokami do wody i różnymi wygłupami. Podczas gdy on zajmował się dziewczynkami, ja leżałam na słońcu i czytałam książki, czując się, jakbym rozpuszczała się na ich stronach jak meduza.

W jednej z takich chwil podniosłam na chwilę wzrok znad książki i zobaczyłam wysoką, szczupłą, elegancką dziewczynę w dwuczęściowym czerwonym kostiumie. To była Lila. Przyzwyczajona do męskich spojrzeń, poruszała się na zatłoczonej plaży, jakby tu nikogo nie było, nawet ratownika, który prowadził ją do wynajętego parasola.

Nie zauważyła mnie, a ja nie mogłam się zdecydować, czy zwrócić jej uwagę na siebie. Nosiła okulary przeciwsłoneczne, na ręce zawiesiła kolorową torbę plażową. Nie powiedziałam jej jeszcze o mojej pracy ani o Antoniu, prawdopodobnie obawiałam się jej zdania o jednym i drugim. Postanowiłam poczekać, aż ona mnie zawoła, i wróciłam do książki, ale nie potrafiłam skupić uwagi. Za chwilę znowu spojrzałam w jej kierunku. Ratownik otworzył dla niej parasol, usiadła na słońcu. Zbliżał się do niej Stefano, blady, w granatowym kostiumie, w ręce trzymał portfel, papierosy i zapalniczkę. Pocałował Lile w usta, jak to robią w bajkach rycerze ze śpiącymi królewnami, i usiadł obok niej na leżaku.

Znowu wróciłam do lektury. Od dawna przyzwyczaiałam się narzucać sobie dyscyplinę i tym razem zdołałam zrozumieć sens czytanych słów. Pamiętam, że to był *Obłomow*. Kiedy podniosłam oczy znad książki, Stefano siedział na tym samym miejscu i patrzył na morze, ale Lili nie było. Poszukałam jej wzrokiem, zobaczyłam, że rozmawia z Antoniem, który wskazuje na mnie ręką. Zrobiłam w jej kierunku radosny gest powitania, odpowiedziała podobnym gestem i odwróciła się zaraz, żeby zawołać Stefana.

Wykąpaliśmy się w trójkę, podczas gdy Antonio pilnował córek właścicielki sklepu papierniczego. To był miły dzień. W pewnej chwili Stefano zabrał nas wszystkich do baru, a tam zamówił co tylko się komu zamarzyło: lody, kanapki, gazowane napoje. Dziewczynki od razu zostawiły Antonia i skupiły uwagę na Stefanie. Kiedy chłopcy zaczęli rozmawiać o jakichś problemach kabrioletu, przy czym Antonio mógł się popisać swoją wiedzą mechanika, wyszłam z nimi z baru, żeby nie przeszkadzały. Lila dołączyła do mnie.

– Ile ci płaci właścicielka sklepu? – zapytała.

Wymieniłam sumę.

– To mało.

– Zdaniem matki płaci mi aż za dużo.

– Musisz się wyżej cenić, Lenù.

– Będę się wyżej cenić, kiedy powierzysz twoje dzieci mojej opiece.

– Dam ci za to szkatuły pełne złotych monet. Wiem, ile jest wart czas spędzony z tobą.

Spojrzałam na nią, żeby zobaczyć, czy sobie ze mnie żartuje. Nie żartowała.

Zażartowała dopiero potem, gdy napomknęła o Antoniu:

– A on potrafi cię docenić?

– Chodzimy z sobą od trzech tygodni.

– Kochasz go?

– Nie.

– Więc co?

Spojrzałam jej przeciągle w oczy.

– A ty kochasz Stefana?

Odpowiedziała poważnie:

– Bardzo.

– Bardziej niż rodziców? Bardziej niż Rina?

– Bardziej niż wszystkich, ale nie bardziej niż ciebie.

– Nie kpij ze mnie.

Ale myślałam sobie przy tym, że nawet jeżeli sobie ze mnie żartuje, miło jest tak rozmawiać na słońcu, siedząc na ciepłym cemencie z nogami w wodzie. Nieważne, że nie zapytała, co teraz czytam, nieważne, że nie zainteresowała się, jak zdałam egzaminy po drugiej klasie, może jeszcze nie jest wszystko skończone, może po jej ślubie coś między nami zostanie. Powiedziałam:

– Przychodzę tutaj codziennie. Mogłabyś też czasem przyjść.

Bardzo jej się spodobał ten pomysł, powiedziała o nim Stefanowi, który nie miał nic przeciwko temu. To był naprawdę piękny dzień, w którym wszyscy jakimś cudem czuliśmy się swobodnie w towarzystwie, w jakim się znaleźliśmy. Słońce zaczęło zachodzić, musiałam zaprowadzić dziewczynki do domu. Stefano poszedł do kasy, gdzie odkrył, że Antonio już za wszystko zapłacił. Wyraził ubolewanie i gorąco podziękował. Kiedy tylko Stefano i Lila odjechali czerwonym kabrioletem, ofuknęłam Antonia. Jego matka i siostra myły schody, a on zarabiał marne grosze w warsztacie samochodowym.

– Dlaczego poszedłeś zapłacić? – zapytałam gwarą, prawie krzycząc ze złości.

– Bo ty i ja też jesteśmy piękni i mamy klasę.

50.

Przywiązałam się do Antonia, nawet nie wiem kiedy. Nasze pieszczoty stały się trochę śmielsze i trochę przyjemniejsze. Podczas następnego spotkania w Sea Garden zamierzałam zapytać Lilę, co robią ona i Stefano, kiedy sami jeżdżą samochodem?

Czy robią to samo co ja z Antoniem? A może coś więcej, na przykład to, o czym rozpowiadali bracia Solara?

Oprócz niej nie miałam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Ale okazja do zadania tych pytań nie pojawiła się, Lila nie przyszła do Sea Garden.

Na początku sierpnia moje zajęcie się skończyło, skończyła się też przyjemność korzystania ze słońca i morza. Właścicielka sklepu papierniczego była bardzo zadowolona z mojej opieki nad dziewczynkami. Wprawdzie pomimo moich próśb opowiedziały matce, że czasem chodził z nami na plażę mój kolega, z którym mogły nurkować w morzu, ale ona, zamiast zganić, objęła mnie ramieniem i powiedziała:

– Bardzo dobrze. Popuść sobie trochę cugli. Jesteś zbyt poważna i rozsądna jak na twój wiek. – I dodała jeszcze ze złośliwą nutą w głosie: – Popatrz tylko na Linę Cerullo, na to, co ona wyprawia.

Wieczorem nad stawem powiedziałam do Antonia:

– Zawsze tak było, od dzieciństwa: wszyscy myślą, że ona jest zła, a ja dobra.

Antonio pocałował mnie i zapytał żartobliwie:

– A nie jest tak?

Ta jego reakcja rozczuliła mnie i nie umiałam mu powiedzieć, że chcę go rzucić. Podjęłam taką decyzję i chciałam mu ją jak najszybciej zakomunikować. Przywiązanie to nie to samo co miłość. Kochałam Nina i uważałam, że będę go kochać zawsze. Przygotowałam dla Antonia spokojną mowę o tym, że przeżyłam z nim piękne chwile, bardzo mi pomógł w trudnym dla mnie okresie, ale teraz zaczyna się nowy rok szkolny, trzecia klasa jest trudna, do programu wchodzi nowe przedmioty, będę się musiała bardzo przykładać do nauki; przykro mi, ale nie możemy już z sobą chodzić. Czułam, że powinnam to zrobić, i byłam gotowa wygłosić tę mowę za każdym razem, gdy spotykaliśmy się nad stawami. Ale Antonio był tak dla mnie miły, tak namiętny, że brakowało mi odwagi i odkładałam to zawsze na przyszły raz. Do Święta Wniebowzięcia. Po święcie. Przed końcem miesiąca. Mówiłam sobie: nie mogę się całować i pieścić z kimś, do kogo czuję tylko sympatię i przywiązanie. Lila bardzo kocha Stefana, a ja Antonia nie kocham.

Mijał czas, a ja nie znajdowałam właściwego momentu, żeby mu to powiedzieć. Martwił się o matkę. W gorących miesiącach stan Meliny zawsze się pogarszał, ale w drugiej połowie sierpnia Antonio miał poważniejsze niż zwykle powody do niepokoju. Matka zaczęła znowu mówić o Donacie Sarratorem, twierdziła, że go widziała, przyszedł ją zabrać razem z dziećmi, nie dało się jej uspokoić. Wystraszyłam się, że Sarratore rzeczywiście pojawił się w naszej dzielnicy, tyle tylko, że nie szuka Meliny, ale mnie. W nocy zrywałam się z łóżka, bo zdawało mi się, że wszedł przez

okno i jest w moim pokoju. Po paru dniach uspokoiliam się. Wypoczywa pewnie na Ischii, na plaży Maronti, nie siedzi przecieŹ w tym upale, wsród much i kurzu.

Ale pewnego ranka, gdy szlam na zakupy, uslyszalam, ze ktos mnie woła. Obróciłam się i w pierwszej chwili go nie poznałam. Zaraz jednak przypomniałam sobie czarne wasy, miła twarz ozloconą słońcem, usta o wąskich wargach. Przyspieszyłam kroku, on szedł za mną. Powiedzial, ze bardzo cierpiäl tego lata, bo nie przyjechałam do Barano, do domu Nelli. Powiedzial teŹ, ze myśli tylko o mnie, ze nie moŹe żyć beze mnie. Napisał duŹo wierszy, bo pragnął nadać formę naszej miłości, i chciałby mi je przeczytać. Musi się ze mną spotkać, porozmawiać spokojnie, zabije się, jeŹeli się nie zgodzę. Na to zatrzymałam się i wysyczałam, ze ma mnie zostawić w spokoju, mam narzeczonego i nigdy juŹ nie chcę go widzieć. Wpadł w rozpacz. Powiedzial, ze będzie na mnie zawsze czekał, codziennie o dwunastej w południe będzie stał przy wjeździe do tunelu. Potrząsnęłam gwałtownie głową, nigdy mnie tam nie spotka. Wyciągnął ramiona, Źeby mnie pocałować, cofnęłam się ze wstrętem. Uśmiechnął się smutno i powiedzial:

– Jesteś wspaniała, jesteś wraŹliwa. Przyniosę ci moje najpiękniejsze wiersze. I odszedł.

Byłam bardzo wystraszona, nie wiedzialam, co robieć. Postanowilaam szukać pomocy u Antonia. Tego samego wieczoru nad stawami powiedzialam mu, ze jego matka miała rację, Donato Sarratore rzeczywiŹcie kręci się po naszej dzielnicy. Zatrzymał mnie na ulicy i prosił, Źebym przekazała Melinie, ze będzie na nią czekać codziennie o dwunastej przy wjeździe do tunelu. Antonio pociemniał na twarzy i wyszeptał:

– Co mam zrobieć?

Zaproponowalam, ze pójdę z nim na spotkanie z Donatem i razem wytłumaczymy mu, w jakim stanie jest jego matka.

Przez całą noc nie spałam. Następnego dnia poszliŹmy pod tunel. Antonio był milczący, szedł powoli, wiedzialam, ze jego ruchy spowalnia cięŹar, który czuje na sobie. Był jednoczeŹnie rozwścieczony i onieŹmielony. Poczulaam gniew: potrafił stawić czoła braciom Solara, kiedy chodziło o Adę i o Lilę, a teraz brak mu śmiałości? To pewnie dlatego, ze Donato Sarratore jest dla niego osobistością. Widząc go w tym stanie, czulaam, ze roŹnie we mnie determinacja, miałam ochotę złapać go za ramiona i potrząsnąć nim, krzyknąć: ty nie napisales żadnej książki, ale jesteś sto razy więcej wart od tego człowieka! Zamiast tego, wsunęłam mu tylko rękę pod ramię.

Kiedy Sarratore zobaczył nas z daleka, próbował zniknąć w ciemnym tunelu, ale zawołałam go:

– Panie Sarratore!

Odwrócił się niechętnie.

Odezwałam się do niego, traktując go per pan, co w tamtym czasie było bardzo rzadkie w naszej dzielnicy:

– Pamięta pan Antonia, najstarszego syna Meliny?

Sarratore wydobył z siebie dźwięczny, bardzo serdeczny głos.

– Oczywiście, że go pamiętam. Witaj, Antonio.

– To mój narzeczony.

– Ach, pięknie.

– Dużo z sobą rozmawialiśmy. On panu zaraz wszystko wyjaśni.

Antonio, pobladły na twarzy i bardzo zdenerwowany, zrozumiał, że nadeszła kolej na niego, i zaczął, z trudem układając słowa w literackim języku:

– Jestem bardzo szczęśliwy, że was widzę, panie Sarratore. Nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiliście po śmierci ojca. Będę wam zawsze wdzięczny, zwłaszcza za to, że znaleźliście dla mnie pracę w warsztacie pana Gorresio i że mogłem się tam nauczyć zawodu.

– Powiedz mu o matce – ponaglałam go, zniecierpliwiona.

Antonio uciszył mnie gestem i mówił dalej:

– Ale wy nie mieszkanie już na naszym osiedlu i nie wiecie, co się tutaj dzieje. Moja matka, kiedy tylko o was słyszy, traci głowę. A gdyby miała was zobaczyć, gdyby tylko raz was zobaczyła, skończyłaby w domu wariatów.

Sarratore westchnął.

– Antonio, synku, ja nie mam najmniejszego zamiaru robić krzywdy twojej matce. Jak słusznie zauważyłeś, poświęciłem wam dużo czasu i wysiłku i rzeczywiście zrobiłem wszystko, żeby pomóc jej i wam wszystkim.

– Jeżeli więc chcecie dalej jej pomagać, nie szukajcie jej, nie posyłajcie jej książek, nie pokazujcie się na naszym osiedlu.

– O to nie możesz mnie prosić. Nie możesz mi zabronić odwiedzać miejsc, które są mi tak drogie – Donato powiedział to ciepłym, sztucznie wzruszonym tonem głosu.

Ten ton strasznie mnie rozdrażnił. Dobrze go znałam, w Barano, na plaży Maronti często go używał. Donato wyobrażał sobie pewnie, że człowiek takiego jak on kalibru, który pisze artykuły do gazety, powinien mieć taki właśnie, miękki i miły ton głosu. Byłam gotowa wtrącić się do tej rozmowy, ale Antonio mnie uprzedził, zaskakując mnie kompletnie. Wcisnął głowę w podniesione ramiona i wyciągnąwszy rękę do piersi Donata Sarratore, złapał go za koszulę silnymi palcami. Potem powiedział dobitnie gwarą:

– Ja wam niczego nie zabraniam. Ale wam obiecuję, że jeżeli pozbawicie matkę tej

resztki rozumu, jaka jej jeszcze została, na zawsze przejdzie wam chęć odwiedzać to główne miejsce.

Sarratore zbladł.

– Dobrze – powiedział pośpiesznie – zrozumiałem. Dziękuję.

Odwrócił się na pięcie i szybko odszedł w kierunku stacji.

Wsunęłam rękę pod ramię Antonia, byłam z niego dumna. Poczułam, że drży.

Wyobraziłam sobie, po raz pierwszy, czym dla niego, małego chłopca, musiała być śmierć ojca, a potem praca w warsztacie, odpowiedzialność za całą rodzinę, załamanie matki. Wzruszona, przytuliłam się do niego i postanowiłam, że zerwę z nim dopiero po ślubie Lili.

51.

Ten ślub długo wspomniano w naszej dzielnicy. Przygotowania do niego splatały się z powolnymi, pełnymi przeszkód i konfliktów narodzinami marki Cerullo. Chwilami zdawało się, że żadne z tych dwóch przedsięwzięć, czy to z tego, czy z innego powodu, nigdy nie dojdzie do skutku.

Zresztą ślub miał niemały wpływ na losy fabryczki butów. Fernando i Rino pracowali od rana do nocy nie tylko przy produkcji nowych butów, z których teraz i tak nie byłoby żadnych zysków, ale przy naprawach szewskich, żeby zarobić jak najwięcej pieniędzy. Potrzebne były na wyprawę Lili i na przyjęcie weselne, którego koszty koniecznie chcieli wziąć na siebie, żeby nie wyjść na żebraków. W związku z tym przez długie miesiące w rodzinie Cerullo panowała bardzo napięta atmosfera. Nunzia dniami i nocami wyszywała pościel, a Fernando awanturował się częściej niż kiedyś, tęskniąc za szczęśliwymi czasami, gdy w swojej klitce, której był królem, kleił, szył i przybijał do podeszew młotkiem gwóźdki trzymane między wargami.

Spokojni byli tylko narzeczeni. Zaledwie dwa razy zdarzyły się między nimi różnice zdań. Pierwsza dotyczyła ich przyszłego domu. Stefano chciał kupić mieszkanie na nowym osiedlu, Lila wolała natomiast mieszkać w starej części dzielnicy. Długo nad tym dyskutowali. Mieszkanie na starym osiedlu było większe, ale za to ciemne, z oknami wychodzącymi na sąsiednie domy. Mieszkanie na nowym osiedlu miało mniejszy metraż, ale za to była w nim wielka wanna, taka sama jak w reklamach

mydła Palmolive, był też bidet i widok na Wezuwiusza. Na nic zdały się uwagi Lili, że z widoku na Wezuwiusza będzie mało przyjemności, bo wulkan wznosi się daleko, poza tym blaknie w pochmurne dni, za to w odległości mniejszej niż dwieście metrów od ich okien biegną doskonale widoczne tory kolejowe. Stefana uwiodła nowoczesność, błyszczące posadzki, bielutkie ściany i Lila wkrótce ustąpiła. Ważniejsze było to, że w wieku siedemnastu lat będzie panią domu z ciepłą wodą płynącą z kranów, i to nie wynajętego, ale własnego.

Drugą przyczyną poróżnienia młodych narzeczonych była podróż poślubna. Stefano chciał pojechać do Wenecji, ale Lila, zgodnie ze skłonnością, jaką objawiała w całym późniejszym życiu, nalegała, żeby nie oddalać się od Neapolu. Zaproponowała Ischię, Capri albo wybrzeże Amalfi, bo w żadnym z tych miejsc nigdy jeszcze nie była. Przyszły mąż szybko się na to zgodził.

Poza tym występowały tylko niewielkie spięcia, które najczęściej stanowiły echo problemów rodzin, z których pochodzili. Na przykład kiedy Stefano odwiedzał warsztat szewski, nie mógł się potem powstrzymać od krytykowania Fernanda i Rina, czego Lila słuchała z przykrością i najczęściej stawiała w ich obronie. Stefano potrząsał tylko głową, nieprzekonany. Cała ta historia z butami zaczęła mu się wydawać chybioną inwestycją i pod koniec lata, gdy stosunki między nim a Fernandem i Rinem stały się szczególnie napięte, zdecydował, żeby ich zmusić do przyspieszenia pracy. Powiedział, że przed listopadem chciałby zobaczyć gotowe buty, przynajmniej zimowe modele, męskie i damskie, żeby przed Bożym Narodzeniem mogli je wystawić w witrynie. Podenerwowany, pozwolił sobie przed Lilą na uwagę, że Rino zamiast wciąż wyciągać od niego pieniądze, powinien lepiej pracować. Lila wzięła brata w obronę, on powtórzył swój zarzut, ona się uniosła, wtedy on się wycofał. Poszedł po męskie pantofle, od których wszystko się zaczęło – buty, za które zapłacił, ale których nigdy nie założył, były cenną pamiątką początku ich znajomości. Oglądał je ze wszystkich stron, wahał, głaskał i mówił wzruszony, że kiedy ich dotyka, widzi jej ręce, paluszki dziewczynki, które je szyją. Siedzieli na tarasie jego domu, tym samym, z którego odpalaliśmy sztuczne ognie, rywalizując z braćmi Solara. Zbliżył jej rękę do ust i całował każdy palec z osobna, mówiąc, że nie pozwoli, żeby te rączki jeszcze kiedyś musiały tak ciężko pracować.

O tej miłosnej scenie usłyszałam od Lili, opowiadała mi o tym rozweselona, podczas gdy oglądałyśmy jej nowe mieszkanie. Było zachwycające: z błyszczącymi podłogami i kafelkami na ścianach, z wanną do kąpieli w pianie, ze zdobionymi meblami w sypialni i jadalni, z lodówką, a nawet telefonem, którego numer zaraz sobie zapisałam. Urodziłyśmy się i wyrosły w maleńkich mieszkankach, żadna z nas nie

miała własnego pokoju ani nawet kąta do nauki. Ja ciągle jeszcze żyłam w takich warunkach, dla niej wkrótce się to zmieni. Wyszliśmy na balkon, z którego było widać Wezuwiusza i tory kolejowe. Zaczęłam ją ostrożnie wypytywać:

– Przyjeżdżacie tu czasem sami ze Stefanem?

– Tak, czasami.

– I co wtedy?

Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała, o co pytam.

– W jakim sensie?

Zmieszałam się, ale nie rezygnowałam.

– Całujecie się?

– Czasami.

– A potem?

– Nic więcej.

Byłam zbита z tropu. Czy to możliwe? Nic więcej, chociaż mają tyle wolności? Cała dzielnica plotkuje na ich temat, do tego jeszcze bracia Solara rozpowiadają świństwa, a oni tylko się całują?

– A on cię nie prosi o nic więcej?

– Bo co? Antonio cię prosi?

– Tak.

– Stefano nie. Zgadza się ze mną, że musimy najpierw wziąć ślub.

Widziałam, że zaskoczyły ją moje pytania, podobnie jak mnie zaskoczyły jej odpowiedzi. A więc Lila na nic więcej Stefanowi nie pozwala, chociaż jeżdżą sami autem, mają własne, urządzone już mieszkanie, łóżko z nowiutkimi materacami i wkrótce się pobiorą. Mnie natomiast, mimo że nie miałam na razie zamiaru wychodzić za mąż, nie wystarczały pocałunki, już dawno posunęłam się dalej. Kiedy Lila z naturalnym zaciekawieniem zapytała, czy daję Antonioniowi to, o co on mnie prosi, wstydziłam się powiedzieć prawdę. Odparłam, że nie, i Lila wyglądała na zadowoloną z tej odpowiedzi.

miał się zacząć rok szkolny. Byłam pewna, że Lila, właśnie z powodu lekcji szkolnych, nie włączy mnie w przygotowania do ślubu. Przyzwyczaiła się już, że znikalam z jej życia na czas roku szkolnego. Stało się jednak inaczej. W letnich miesiącach zaostrzyły się niesnaski między nią a Pinuccią, i nie chodziło już tylko o sukienki, kapelusze, apaszki czy biżuterię. Pinuccia powiedziała bratu, w obecności Lili, że jeżeli jego narzeczona od razu albo najpóźniej po podróży poślubnej nie przyjdzie pracować do sklepu tak samo jak robią to wszyscy członkowie ich rodziny, nawet Alfonso, kiedy tylko pozwalają mu na to obowiązki szkolne, ona też nie będzie pracować. I tym razem matka otwarcie ją poparła.

Lila nie mrugnęła nawet okiem. Powiedziała, że może zacząć pracować od razu, nawet jutro, będzie robić cokolwiek, co zdecyduje rodzina Carraccich. Ta wypowiedź – jak wszystkie wypowiedzi Lili od zawsze – choć z zamierzenia pojednawcza, miała w sobie nutę wyższości i lekceważenia, co Pinuccię jeszcze bardziej rozsierdziło. Stało się jasne, że siostra i matka Stefana uważają córkę szewca za czarownicę, która wchodzi do ich rodziny, żeby w niej rządzić i szastać pieniędzmi, nie ruszając nawet palcem, by je zarobić. Omotała najstarszego syna swoimi sztuczkami, doprowadzając do tego, że ten występuje przeciw swojej krwi, to znaczy przeciw rodzonej matce i siostrze.

Stefano, jak to miał w zwyczaju, nie zareagował od razu. Poczekał, aż siostra wyładuje złość, a potem – jak gdyby nie było przed chwilą mowy o włączeniu Lili do rodzinnej firmy – powiedział spokojnie, że Pinuccia zamiast pracować w sklepie, mogłaby pomóc narzeczonej w przygotowaniach do ślubu.

– Nie potrzebujesz mnie? – Pinuccia aż podskoczyła.

– Nie. Od jutra na twoim miejscu będzie pracować Ada, córka Meliny.

– To ona ci to podpowiedziała? – krzyknęła Pinuccia, wskazując ręką na Lilę.

– Nie twoja sprawa.

– Słyszałaś, mamó? Słyszałaś, co powiedział? Uważa się tutaj za pana.

Nastąpiła chwila ciszy trudna do zniesienia, po czym donna Maria podniosła się z krzesła za kasą i powiedziała do syna:

– Znajdź kogoś także na moje miejsce. Ja jestem zmęczona i nie chcę już więcej pracować.

Stefano stracił rezon. Powiedział cicho:

– Uspokójmy się wszyscy, nie jestem niczym panem. Sklep nie jest tylko mój, należy do nas wszystkich. Trzeba podjąć decyzję. Pinuccia nie chce pracować? Mama nie chce siedzieć cały dzień za kasą? Dajmy więc pracę temu, kto jej potrzebuje. Za ladą stanie Ada, a przy kasie... Coś wymyślę. Ktoś przecież musi się zająć przygotowaniem do ślubu.

Nie jestem pewna, czy za wyeliminowaniem Pinucci i donny Marii z codziennego życia sklepu i za przyjęciem Ady do pracy rzeczywiście stała Lila – Ada była o tym przekonana i uwierzył w to także Antonio, który zaczął mówić o naszej przyjaciółce jak o dobrej wróżce. Na pewno fakt, że przyszła szwagierka i teściowa miały teraz bardzo dużo czasu, nie ułatwił jej życia. Konflikty wybuchały na każdym kroku: przy wyborze blankietów zaproszeń, dekoracji kościoła, fotografa, zespołu muzycznego, sali bankietowej, menu, tortu, bombonier, obrączek, a nawet trasy podróży poślubnej, bo Pinuccia i donna Maria uważały, że Sorrento, Positano, Ischia czy Capri to zbyt skromne miejsca. W związku z tym z dnia na dzień znalazłam się w wirze przygotowań jako doradca w tej czy innej sprawie, a w rzeczywistości jako sojusznik Lili w jej trudnej batalii.

Rozpoczyłam trzecią klasę liceum, miałam dużo nowych, trudnych przedmiotów. Czułam, że z winy mojej zawziętej gorliwości w nauce mam już nadwątlone siły. I wtedy to, pewnego dnia, w drodze ze szkoły spotkałam Lilę i usłyszałam od niej bez wstępów:

– Lenù, bardzo cię proszę, przyjdź jutro, potrzebuję twojej rady.

Nie wiedziałam nawet, o czym mówi. Myślni byłam w tym momencie bardzo daleko. Tego dnia pytano mnie z chemii i nie popisałam się wiedzą, czym bardzo się przejęłam.

– Jakiej rady?

– W sprawie sukni ślubnej. Proszę, nie odmawiaj. Jeżeli nie przyjdiesz, skończy się na tym, że zamorduję szwagierkę i teściową.

Zrobiłam, o co mnie prosiła. Spotkałam się z nią, Pinuccią i donną Marią w sklepie przy Rettifilo. Czułam się skrepowana, pamiętam, że włożyłam wcześniej do torby parę książek, w nadziei, że znajdę czas, żeby się pouczyć. Okazało się to jednak niemożliwe. Od czwartej po południu do siódmej oglądałyśmy żurnale mody, dotykałyśmy materiałów. Lila mierzyła sukienki wystawione na manekinach w sklepie. Cokolwiek zakładała, jej uroda dodawała temu piękna. Było jej dobrze w sztywnej organzie, miękkiej satynie i tiulu cienkim jak mgiełka. Było jej dobrze w koronkowym staniczku, z pufkami przy rękawach, w spódnicy szerokiej i wąskiej, z trenem długim i krótkim. Równie ślicznie wyglądała w welonie spływającym do podłogi i w podpiętym do ramion, w diademie wysadzonym świecącymi kamyczkami i w innych, naszytych perełkami lub kwiatami pomarańczy. Lila posłusznie przeglądała żurnale i mierzyła sukienki. Tylko czasem, kiedy nie mogła już ścierpieć grymasów szwagierki i teściowej, okazywała swą prawdziwą naturę, patrzyła mi prosto w oczy i mówiła ironicznym tonem:

– A co by było, gdybyśmy wybrały coś z zielonej satyny, czerwonej organzy czy z tiulu w czarnym albo jeszcze lepiej w żółtym kolorze?

Pinuccia i donna Maria były poważnie zaniepokojone, i dopiero kiedy śmiechem dawałam im znać, że młoda pani żartowała, można było wrócić do dalszych oględzin materiałów i sukni. Krawcowa powtarzała przez cały czas jedną prośbę:

– Cokolwiek wybieriecie, przynieście mi potem zdjęcie ze ślubu, wywieszę je w oknie wystawowym, żeby wszyscy widzieli, że to ja ubrałam tę piękną pannę młodą.

Ale wybór był ogromnym problemem. Za każdym razem, gdy Lila skłaniała się ku jakiemuś modelowi, Pinuccia i donna Maria razem naciskały, żeby wybrać zupełnie inną sukienkę uszytą z całkiem innego materiału. Ja się nie odzywałam, byłam oszołomiona ich dyskusjami, widokiem i zapachem nowych ubrań. W pewnej chwili Lila, ewidentnie zirytowana, zwróciła się do mnie:

– Lenù, a co ty byś wybrała?

Zapadła cisza. W jednej chwili zdałam sobie sprawę, że matka i córka spodziewały się tego pytania i obawiały się mojej odpowiedzi. Sięgnęłam do techniki, której nauczyłam się w szkole, gdzie za każdym razem, gdy nie wiedziałam, co odpowiedzieć, rozwlekałam wprowadzenie pewnym głosem kogoś, kto doskonale wie, o czym będzie mówić dalej. Rezygnując z gwary i wypowiadając się literackim językiem, zaczęłam od tego, że bardzo mi się podobają sukienki wybrane przez Pinuccię i jej matkę. Nie ograniczyłam się do pochwał, ale wymieniłam detale, dzięki którym szczególnie dobrze pasowały do typu urody przyszłej panny młodej. Kiedy poczułam, podobnie jak w klasie z nauczycielami, że zaskarbiłam sobie ich sympatię, wybrałam na chybił trafił jedną z sukienek, uważając tylko, żeby nie należała do tych, które wcześniej pochwaliła Lila, i zaczęłam je przekonywać, że ma wszystkie cechy, które cenią sobie matka i córka, a także zalety modeli wybranych przez moją przyjaciółkę. Krawcowa, Pinuccia i donna Maria od razu się ze mną zgodziły. Lila spojrzała na mnie przez zwężone powieki, ale po chwili patrzyła już normalnie i powiedziała, że ona też się zgadza.

Po wyjściu ze sklepu Pinuccia i donna Maria były w świetnych humorach. Do Lili zwracały się bez zwykłej niechęci i komentując zakup, włączały mnie do rozmowy zdaniami typu: „Jak powiedziała Lenuccia...” czy też: „Lenuccia miała rację, kiedy stwierdziła...”. Lila postarała się, żebyśmy zostały same z tyłu, co nie było trudne w wieczornym tłoku na Rettifilo, i zapytała:

– To tego nauczyłaś się w szkole?

– Czego?

– Jak używać słów, żeby zamącić ludziom w głowach.

Poczułam się zraniona. Wybąkałam:

– Nie podoba ci się sukienka, którą wybrałyśmy?

– Bardzo mi się podoba.

– Więc o co ci chodzi?

– Chcę, żebyś była z nami za każdym razem, gdy cię o to poproszę.

Zirytowała mnie. Zapytałam:

– Masz zamiar posłużyć się mną, żeby bałamucić Pinuccię i donnę Marię?

Zrozumiała, że mnie uraziła, ścisnęła mnie za rękę.

– Nie mam ci niczego za złe. Chciałam tylko powiedzieć, że masz talent do zjednywania sobie ludzi. Na tym zawsze polegała różnica między mną a tobą. Mnie ludzie się boją, a ciebie lubią.

– Może dlatego, że jesteś po prostu zła – odparłam, jeszcze bardziej rozgniewana.

– To możliwe – rzekła i zrozumiałam, że zraniłam ją tak samo, jak przedtem ona zraniła mnie. Pożałowałam tego, dodałam więc szybko, żeby złagodzić moje słowa:

– Antonio dałby się za ciebie zabić. Prosił, żebym ci podziękowała za to, że dałaś pracę jego siostrze.

– To Stefano dał jej pracę – odrzekła. – Ja jestem zła.

53.

Od tego dnia często musiałam uczestniczyć w najtrudniejszych wyborach i to nie tylko na prośbę Lili, ale także – jak odkryłam – Pinucci i jej matki. Właściwie to ja wybrałam bomboniery i restaurację przy via Orazio, ja zdecydowałam, któremu fotografowi zlecić uwiecznienie uroczystości, i przekonałam je, żeby zamówiły u niego także krótki film na taśmie Super8. Na wszystkich tych etapach potwierdzało się moje wrażenie, że o ile ja przejmowałam się wszystkimi tymi kwestiami, jakbym organizowała swoje własne wesele, Lila przywiązywała do nich niewielką wagę. Dziwiło mnie to, ale nie miałam wątpliwości, że tak właśnie było.

Jedyne, co zdawało się ją interesować, to ustalenie raz na zawsze, że w jej przyszłym życiu żony i matki szwagierka i teściowa nie będą miały nic do gadania. Nie był to zwykły konflikt między synową, teściową i szwagierką. Obserwując, jak manipulowała Stefanem i jak posługiwała się mną, miałam wrażenie, że miota się

w klatce, w której sama się zamknęła, żeby w niej żyć na swój sposób, którego jednak jeszcze nie знаła.

Traciłam całe popołudnia, by rozstrzygać kwestie, które mnie nie dotyczyły, uczyłam się mniej niż powinnam, a nawet parę razy zwagarowałam ze szkoły. W rezultacie moje świadectwo po pierwszym semestrze nie było najlepsze. Moja nowa nauczycielka łaciny i greki, ciesząca się w szkole ogromnym autorytetem profesor Galiani, nadal ceniła mnie wysoko, ale z filozofii, matematyki i chemii dostałam stopień zaledwie dostateczny. Co gorsza, pewnego ranka napyałam sobie prawdziwej biedy. Nauczyciel religii wygłaszał zwykle na lekcjach tyrady przeciwko komunistom i ich ateizmowi i w końcu poczułam się zobowiązana do reakcji. Sprawilo to moze moje przywiązanie do Pasqualego, który od zawsze deklarował się jako komunista, albo fakt, że byłam teraz pupilką profesor Galiano, słynącej ze swoich lewicowych sympatii. Dość, że pewnego dnia podniosłam rękę. I ja, która ukończyłam ze świetnym wynikiem korespondencyjny kurs teologii, powiedziałam, że człowiek jest w tak ewidentny sposób poddany ślepej furii przypadku, że powierzanie się Bogu, Synowi Bożemu i Duchowi Świętemu, który zresztą jest istotą zupełnie zbyteczną, potrzebną tylko dla dopełnienia Trójcy jako pojęcia szlachetniejszego od dwumianu: Ojciec–Syn, jest tym samym co kolekcjonowanie nalepek, podczas gdy miasto płonie piekielnym ogniem. Alfonso od pierwszych słów odgadł, że mam zamiar zaszarżować, i ciągnął mnie za fartuch, ale ja nie zwracałam na niego uwagi i nie przerwałam przemowy, aż doszłam do tego ostatniego porównania. Po raz pierwszy w życiu wyrzucono mnie z klasy i wpisano uwagę do dziennika.

Znalazłszy się na szkolnym korytarzu, w pierwszej chwili sama nie rozumiałam, jak mogłam zachować się tak nierozważnie, skąd wzięło się u mnie niezachwiane przekonanie o słuszności moich słów i o tym, że należało je wypowiedzieć. Potem przypomniałam sobie, że podobne rozmowy prowadziłam z Lilą, i uświadomiłam sobie, że napyałam sobie biedy tylko dlatego, że pomimo wszystko była dla mnie nadal autorytetem i pobudziła mnie do przeciwstawienia się nauczycielowi religii. Lila już nie czyta książek, nie uczy się, zostanie żoną sklepikarza i skończy pewnie swoją karierę przy sklepowej kasie na miejscu zwolnionym przez teściową, a ja co robię? Inspiruję się jej słowami i wymyślam bluźniercze metafory? Czyli to nieprawda, że szkoła jest moim prywatnym bogactwem, terenem wolnym od jej wpływów. Płakałam cicho przed zamkniętymi drzwiami.

Ale wtedy wszystko niespodziewanie się zmieniło. Na końcu korytarza spostrzegłam Nina Sarratorego. Po ponownym spotkaniu z jego ojcem unikałam go jeszcze staranniej, zachowywałam się, jakby nie istniał, ale jego widok w tej właśnie trudnej

chwili ożywił mnie. Otarłam szybko łzy. On prawdopodobnie odgadł, że było coś ze mną nie w porządku, bo skierował się w moją stronę. Wydorosłał, miał wydatne jabłko Adama, wyraziste rysy twarzy, błękitny cień zarostu, spokojne spojrzenie. Nie mogłam przed nim uciec. Nie mogłam wejść do klasy ani schronić się w toalecie, to jeszcze bardziej skomplikowałoby sytuację, tym bardziej gdyby wyjrzał z klasy nauczyciel religii. Zostałam więc na miejscu i kiedy Nino zatrzymał się przede mną i zapytał, co się stało, dlaczego jestem na korytarzu, wszystko mu opowiedziałam. Zmarszczył brwi i powiedział:

– Zaraz wracam.

Oddalił się, ale zaraz wrócił z profesorem Galiani.

Galiani pochwaliła mnie za moje wystąpienie, ale dodała takim tonem, jakby wyjaśniała Ninowi i mnie jakąś trudną lekcję:

– Teraz, po frontalnym ataku trzeba starać się o ugodę.

Zapukała do drzwi klasy, weszła i zamknęła je za sobą. Po pięciu minutach wyszła uśmiechnięta. Mogłam wrócić na lekcję, o ile przeproszę nauczyciela za agresywny ton, jakiego użyłam. Przeprosiłam. Bałam się konsekwencji tego incydentu, ale jednocześnie byłam dumna, że wsparł mnie Nino i wstawiła się za mną Galiani.

Oczywiście rodzicom nie pisałam o tym ani słowa, ale opowiedziałam o wszystkim Antoniowi. Ten, dumny ze mnie, powtórzył to Pasqualemu, który natknął się pewnego ranka na Lilę i poniesiony emocjami, bo wciąż był w niej zakochany, nie wiedząc, jak zagaic rozmowę, jak po koło ratunkowe sięgnął po historię mojego wybryku. W ten sposób z dnia na dzień stałam się bohaterką moich starych przyjaciół oraz nielicznej, lecz bardzo walecznej grupy nauczycieli i uczniów, którzy od dawna krytykowali wystąpienia nauczyciela religii. Ja jednak zdałam sobie sprawę, że przeprosiny nie wystarczą, i starałam się odzyskać przynajmniej w części przychylność księdza oraz nauczycieli o podobnych poglądach. Bez wysiłku udało mi się oddzielić wypowiedziane słowa od swojej osoby. Do nauczycieli, którzy okazywali mi wrogość, zwracałam się z najwyższym szacunkiem, byłam obowiązkowa, grzeczna, i gorliwa, przez co wkrótce na nowo zaczęli mnie uważać za uczennicę pilną i dobrze ułożoną, której można wybaczyć pojedynczy wybryk. W ten sposób odkryłam, że potrafię się zachowywać jak Galiani: wyłuszczać ze zdecydowaniem swoje poglądy i jednocześnie łagodzić reakcje ich przeciwników nienagannymi manierami, zjednując sobie szacunek i życzliwość wszystkich. W ciągu kilku dni wróciłam do czołówki uczniów naszego zaniedbanego liceum. Znalazłam się w niej razem z Ninem Sarratorem, który był już w piątej licealnej i wkrótce miał zdawać maturę.

Na tym się nie skończyło. Parę tygodni później Nino, bez żadnych wstępów, z tą

samą co zawsze chmurną twarzą, poprosił, żebym napisała krótki, na pół strony zeszytu, tekst o mojej scysji z księdzem.

– Po co?

Wyjaśnił, że współpracuje z czasopismem „Neapol. Hotel ubogich”. W redakcji opowiedział o zajęciu na lekcji religii i zaproponowano, żebym jak najszybciej napisała krótką relację, zamieszczą ją w najbliższym numerze. Pokazał mi egzemplarz pisma. Miało około pięćdziesięciu stron i było drukowane na brudnoszarym papierze. W spisie treści zauważyłam jego nazwisko obok tytułu artykułu: *Nędza w liczbach*. Przyszedł mi na myśl jego ojciec, satysfakcja i duma, z jaką przeczytał mi na plaży Maronti swój artykuł wydrukowany w gazecie „Roma”.

– Pisziesz także wiersze? – zapytałam.

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy z wyrazem wstrętu na twarzy, więc od razu mu obiecałam:

– Dobrze, spróbuję.

Wróciłam do domu bardzo podekscytowana. Głowę miałam pełną zdań, które od razu mogłabym przelać na papier. W drodze ze szkoły rozmawiałam o tym z Alfonsem. Bał się o mnie, błagał, żebym tego tekstu nie pisała.

– Podpiszą go twoim nazwiskiem?

– Tak.

– Lenù, ksiądz się wścieknie i zrobi wszystko, żebyś nie przeszła do następnej klasy. Przeciągnie na swoją stronę nauczycielkę z chemii i z matematyki.

Udzielił mi się jego strach i straciłam zapał. Ale kiedy tylko się rozeszliśmy, nadzieja, że będę mogła pokazać moje nazwisko w czasopiśmie Lili, rodzicom, pani Oliviero i panu Ferrarze, przeważała. Potem znajdę jakąś radę na ewentualne reperkusje. Już raz doświadczyłam aplauzu ze strony osób, które bardzo ceniłam (Galiani i Nino), gdy opowiedziałam się przeciw tym, którymi pogardzałam (ksiądz, nauczycielka chemii i matematyki), nie tracąc przy tym sympatii, jaką darzyli mnie ci ostatni, i było to niezwykle podniecające uczucie. Bardzo pragnęłam doświadczyć go ponownie.

Przez całe popołudnie pisałam, skreślałam, poprawiałam. Układałam zwięzłe i treściwe zdania. Staralam się dodać powagi swoim poglądom, używając wyszukanych słów. Napisałam: „Jeżeli Bóg jest wszechobecny, dlaczego potrzeba pośrednictwa Ducha Świętego, żeby mógł nas przenikać?”. Szybko zapełniłam pół strony samymi tylko zdaniem wprowadzenia. A gdzie reszta? Zaczęłam od nowa, już w szkole podstawowej nauczyłam się wytrwałości. Wreszcie udało mi się ułożyć tekst

spełniający wymogi redakcji i przeszłam do odrabiania lekcji na następny dzień.

Jednak nie minęło pół godziny, a ogarnęły mnie wątpliwości. Pragnęłam, żeby ktoś przeczytał moją relację i ją ocenił. Ale do kogo mogłam się z tym zwrócić? Do matki? Do mojego rodzeństwa? Do Antonia? Jasne, że nie. Mogłam się zwrócić tylko do Lili. To jednak będzie znaczyło, że nadal uznaję jej autorytet, chociaż teraz wiedziałam więcej od niej. Tak więc z początku oparłam się tej pokusie. Bałam się, że skwituje moje pół stroniczki jakimś lekceważącym komentarzem, ten komentarz zasieje we mnie wątpliwości i znowu zasiądę do poprawiania tekstu, niszcząc jego proporcje. W końcu jednak poddałam się i pobiegłam do niej z nadzieją, że zastanę ją w domu. Miałam szczęście. Powiedziałam jej o propozycji Nina i podałam jej zeszyt.

Spojrzała na otwartą stronę z ociąganiem, jak gdyby pismo raniło jej oczy. Zadała mi to samo pytanie co Alfonso:

– Zamieszczą pod tym twoje nazwisko?

Kiwnęłam potakująco głową.

– Napiszą Elena Greco?

– Tak.

Wyciągnęła do mnie rękę z zeszytem.

– Nie potrafię ci powiedzieć, czy to jest dobre.

– Proszę!

– Nie, nie potrafię.

Nalegałam. Powiedziałam, choć to była nieprawda, że jeżeli nie przeczyta tego tekstu albo jeżeli jej się nie spodoba, nie dam go Ninowi do druku.

W końcu przeczytała. Miałam wrażenie, że skurczyła się przy tym, jakbym nałożyła jej na ramiona ciężar, jakby musiała dokonać bolesnego wysiłku, by wydobyć z jakiegoś zapomnianego zakamarka niegdysiejszą Lilę, która czytała, pisała, rysowała, projektowała z naturalną łatwością. Ale widziałam, że jej się to udało i w jednej chwili zadanie, jakie przed nią postawiłam, stało się przyjemne i łatwe.

– Mogę coś skreślić?

– Tak.

Skreśliła wiele pojedynczych wyrazów i całe zdanie.

– Czy mogę coś przestawić?

– Tak.

Zakreśliła fragment jednego zdania i poprowadziła od niego falującą linię na początek strony.

– Czy mogę to przepisać na czystej kartce?

– Ja to przepiszę.

– Nie, pozwól mi to zrobić.

Zajęło jej to kilka minut. Kiedy oddawała mi zeszyt, powiedziała:

– Naprawdę dobrze piszesz. Nic dziwnego, że dostajesz dziesiątki.

Czułam, że nie było w jej słowach ironii, naprawdę chciała mi powiedzieć

komplement. Potem dodała niespodziewanie szorstko:

– Nie chcę już nigdy więcej czytać tego, co napiszesz.

– Dlaczego?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Bo mi to sprawia ból – odparła i uderzyła się ręką w czoło, wybuchając śmiechem.

54.

Wróciłam do domu uszczęśliwiona. Zamknęłam się w łazience, żeby nie przeszkadzać domownikom, i uczyłam się do trzeciej nad ranem. Dopiero wtedy położyłam się spać. Wstałam z łóżka o wpół do siódmej, żeby skopiować tekst. Najpierw jednak przeczytałam go zapisany pięknym okrągłym pismem Lili, niezmiennym od szkoły podstawowej, bardzo różnym od mojego, które w międzyczasie zmniejszyło się i uprościło. Było w nim wszystko, co sama wymyśliłam, ale brzmiało to zgrabniej i zostało jaśniej wyłożone. Z powodu skreślonych, przeniesionych i dodanych wyrazów, a nawet kaligrafii Lili odniosłam wrażenie, jakbym uciekła od siebie i biegła sto kroków dalej, z energią i wdziękiem, których ta biegnąca z tyłu druga ja nigdy u siebie nie podejrzewała.

Zdecydowałam, że zostawię tekst zapisany ręką Lili, żeby zachować jej obecność w moich słowach. Zaniósłam go Ninowi. Czytał, mrugając długimi rzęsami. W końcu powiedział z nagłym smutkiem:

– Galiani ma rację.

– W czym?

– Piszesz lepiej ode mnie.

Zaprzeczyłam, byłam speszona, ale on powtórzył jeszcze raz to samo zdanie, po czym odwrócił się i odszedł bez pożegnania. Nie powiedział nawet, kiedy wyjdzie następny numer czasopisma i gdzie mogę je kupić, a mnie zabrakło odwagi, żeby go o to zapytać. Jego zachowanie zirytowało mnie, tym bardziej że kiedy się oddalał, jego

sposób poruszania się przypomniał mi jego ojca.

W ten sposób zakończyła się historia naszego ponownego spotkania. Kolejny raz wszystko skutecznie zepsuliśmy. Przez wiele dni Nino zachowywał się tak, jakby chciał mnie ukarać za to, że piszę lepiej od niego, jakbym jego zdaniem musiała za to odpokutować. Jeszcze bardziej mnie tym zdenerwował. Kiedy po jakimś czasie znowu pozwolił mi się do siebie zbliżyć, proponując, żebyśmy przeszli kawałek drogi ze szkoły razem, odmówiłam i powiedziałam zimno, że przyjdzie po mnie mój chłopak.

Przez jakiś czas myślał może, że mówiłam o Alfonsie, ale zaczął w to wątpić, kiedy pewnego dnia przy wyjściu ze szkoły spotkała mnie Marisa. Przyszła, bo miała jakąś wiadomość dla Nina. Nie widziałyśmy się od czasu wakacji na Ischii, teraz ucieszyła się na mój widok, przybiegła do mnie, uściskała serdecznie i powiedziała, że bardzo jej brakowało mojego towarzystwa w Barano tego lata. Byłam z Alfonsem, więc przedstawiłam ich sobie. Odprowadziła nas kawałek, bo brata już nie zastała pod szkołą. Najpierw opowiedziała nam o swoich miłosnych historiach, potem, kiedy domyśliła się, że my z Alfonsem jesteśmy jedynie kolegami, przestała mówić tylko do mnie, a zwróciła uwagę na niego i zaczęła się z nim zalotnie przekomarzać. Po powrocie do domu na pewno doniosła bratu, że między mną a Alfonsem nic nie było, bo następnego dnia Nino znów zaczął się przy mnie kręcić. Teraz jednak drażnił mnie sam jego widok. Czy był tak samo próżny jak jego ojciec, chociaż go nienawdził? Uważał, że wszyscy muszą go podziwiać i uwielbiać? Był tak zadufany w sobie, że nie mógł znieść, że inni są w czymś lepsi od niego?

Poprosiłam Antonia, żeby przyszedł po mnie po lekcjach. Zgodził się chętnie, zdziwiony i jednocześnie szczęśliwy. Najbardziej zaskoczyło go pewnie, że pod szkołą, przed wszystkimi wzięłam go za rękę i splotłam moje palce z jego palcami. Nigdy nie chciałam trzymać się z nim za rękę na spacerach, zarówno w naszej dzielnicy, jak i poza nią, bo czułam się przy tym jak mała dziewczynka na spacerze z ojcem. Ale tamtego dnia zrobiłam to, bo wiedziałam, że Nino na nas patrzy, i chciałam, żeby zrozumiał, kim jestem. Pisałam lepiej od niego, mój tekst zostanie wydrukowany w czasopiśmie, w którym i on zamieszcza swoje artykuły, byłam świetną uczennicą i miałam chłopaka. Właśnie dlatego nie może sobie wyobrazić, że będę za nim biegać jak wierny piesek.

Poprosiłam też Antonia, żeby towarzyszył mi na ślubie i weselu Lili i nie zostawiał mnie ani na chwilę samej, żeby rozmawiał i tańczył tylko ze mną. Bardzo się bałam tego dnia, miał dla mnie symboliczny wymiar definitywnego rozstania i pragnęłam mieć przy sobie kogoś, kto pomoże mi to przeżyć.

Ta prośba na pewno jeszcze bardziej skomplikowała mi życie.

Lila do wszystkich wysłała zaproszenie na ślub. Od dłuższego już czasu matki i babcie na naszym osiedlu szyły sukienki, dobierały do nich torebki i kapelusze, poszukiwały odpowiednich prezentów ślubnych, wybierając między kompletami szklanek, talerzy czy sztuców. Zależało im na tym, żeby wypaść jak najlepiej nie dla Lili, tylko dla Stefana, który był porządnym człowiekiem i pozwalał regulować rachunki na koniec miesiąca. Zresztą to naturalne, że ludziom zależało na tym, żeby zrobić dobre wrażenie na takiej uroczystości, szczególnie zaś dziewczętom, które nie miały jeszcze narzeczonych i które przy tej okazji mogły ich znaleźć, i za jakiś czas też wyjść za mąż.

Pragnęłam, żeby Antonio mi towarzyszył, choć nie miałam najmniejszego zamiaru nadawać oficjalnego charakteru naszemu związkowi. Przez cały czas bardzo się starałam, żeby nie wyszedł na jaw, ale w tym dniu zależało mi na spokoju, chciałam nie przejmować się swoim wyglądem, okularami, starymi pantoflami i skromną sukienką uszytą przez matkę. Myślałam sobie, że mam wszystko, czego potrzebuje szesnastoletnia dziewczyna, nie potrzebuję niczego ani nikogo.

Ale Antonio podszedł do tego inaczej. Kochał się we mnie szczerze, nasz związek uważał za największe szczęście, jakie mu się kiedykolwiek przydarzyło. Często zastanawiał się na głos, dlaczego wybrałam właśnie jego, prostaka, który nie potrafi sklecić dwóch zdań. Mówił to lekkim tonem, ale czułam jego niepokój.

W rzeczywistości nie mógł się doczekać, kiedy zaproszę go do domu, przedstawię rodzicom i zaręczymy się oficjalnie. Dlatego moją prośbą zrobiłam mu pewnie nadzieję, że w końcu zdecydowałam się skończyć z ukrywaniem naszego związku, więc zapożyczył się, żeby uszyć sobie garnitur u krawca, kupić prezent ślubny, ubranie dla Ady i reszty rodzeństwa oraz jako takie odzienie dla Meliny.

Ja nie zdawałam sobie z tego w ogóle sprawy. Życie płynęło mi na szkolnej nauce, przygotowaniach do ślubu Lili – zwłaszcza gdy potrzebna była moja pomoc, bo stosunki między Lilą a jej szwagierką i teściową komplikowały się – i na pełnym przyjemnego podniecenia oczekiwaniu na pojawienie się mojego tekstu w druku. Gdzieś głęboko w duszy byłam przekonana, że naprawdę zacznę żyć dopiero w chwili, gdy zobaczę w czasopiśmie moje nazwisko: Elena Greco. Na razie żyłam z dnia na dzień i nie skupiałam się na Antoniu. On zaś wbił sobie do głowy, że do nowego

garnituru kupi buty marki Cerullo. Co jakiś czas pytał, czy wiem, na jakim etapie jest ich produkcja.

– Zapytaj Rina, nie Lili – odpowiadałam mu – ona na pewno tego nie wie.

Rzeczywiście. Fernando i Rino w listopadzie wezwali do warsztatu Stefana, żeby mu pokazać gotowe buty, a nie przyszło im do głowy, żeby przedtem pokazać je Lili, chociaż przecież razem mieszkali. Stefano specjalnie przyszedł z narzeczoną i z Pinuccią. Wszyscy troje prezentowali się, jakby wyszli z ekranu telewizora. Lila wyznała mi, że bardzo się wzruszyła na widok butów uszytych według jej rysunków sprzed lat, poczuła się, jakby jakaś dobra wróżka spełniła jej marzenie. Buty wyglądały dokładnie tak, jak je sobie kiedyś wyobraziła. Także Pinuccia była zachwycona. Chciała przymierzyć model, który podobał jej się najbardziej, a pochwałami obsypała Rina – pewnie uznała go za głównego twórcę tego arcydzieła: butów lekkich i jednocześnie solidnych, o harmonijnych proporcjach i oryginalnej estetyce. Jedynie Stefano okazał niezadowolenie. Przerwał Lili wychwalającą brata, ojca i praktykantów, uciszył Pinuccię gratulującą słodkim głosikiem Rinowi i każącą wszystkim podziwiać swoją nogę w nowym pantoflu, i zaczął wymieniać szczegóły, które nie zgadzały się z oryginalnymi szkicami jego narzeczonej. Najbardziej się rozłościł przy porównywaniu modelu wykonanego w tajemnicy przez Rina i Lilę z późniejszą realizacją tego samego projektu.

– Po co te ozdóbki i dodatkowe szwy, dlaczego dodaliście złożoną klamerkę? – pytał wzburzony.

Fernando usprawiedliwiał zmiany wymogami technicznymi, czasem należało buty wzmocnić albo zakamuflować jakieś niedoskonałości, ale Stefano nie dał się przekonać. Powiedział, że zainwestował tyle pieniędzy nie po to, żeby w rezultacie uzyskać jakieś buty, ale po to, żeby powstały buty identyczne jak te na rysunkach Lili.

Atmosfera stała się napięta. Lila broniła ojca, łagodnym tonem prosiła narzeczonego, żeby dał spokój, jej rysunki to tylko dziecięce fantazje i prawdopodobnie zmiany były konieczne. Zresztą nie są znowu takie duże. Rino jednak poparł Stefana, więc dyskusja jeszcze długo nie milkła. Skończyła się dopiero wtedy, gdy Fernando, wyczerpany, usiadł w kącie na zydlu i patrząc na rysunki na ścianie, powiedział:

– Jeżeli chcesz mieć gotowe buty przed Bożym Narodzeniem, musisz się pogodzić z ich wyglądem. Jeżeli zaś chcesz, żeby były identyczne z tymi, jakie narysowała moja córka, niech je uszyje ktoś inny.

Stefano ustąpił, ustąpił też Rino.

Przed Bożym Narodzeniem buty zostały wystawione w witrynie ozdobionej gwiazdą

betlejenską z waty. Poszłam je obejrzeć. Były bardzo eleganckie i starannie wykończone, dawały wrażenie luksusu, bardzo kontrastowały ze skromnym oknem wystawowym, z przygnębiającym widokiem za nim i z wnętrzem warsztatu zagraconym skrawkami skóry, szydłami, prawidłami szewskimi i skrzynkami ustawionymi jedna na drugiej aż do sufitu. Pomimo zmian wprowadzonych przez Fernanda, były to pantofle z dziecięcych snów, niemające nic wspólnego z rzeczywistością naszej dzielnicy.

Istotnie, na Boże Narodzenie nikt nie kupił ani jednej pary. Zapytał o nie tylko Antonio, zmierzył rozmiar 44. Opowiadał mi później, jak przyjemnie było mieć je na nogach i wyobrażać sobie, że towarzyszy mi na ślubie Lili w nowym garniturze i tych pięknych pantoflach. Ale nic z tego nie wyszło. Kiedy Rino podał mu cenę, zaniemówił.

– Zwariowałaś? – zapytał wreszcie, na co Rino zaproponował, żeby zapłacił w ratach. Antonio roześmiał się i odparł: – Zamiast nich kupię sobie lambrettę.

56.

Lila, zaabsorbowana przygotowaniami do ślubu, nie od razu zauważyła, że Rino, do niedawna wesoły i zadowolony z życia, choć wyczerpany pracą, znowu spochmurniał, złościł się o lada głupstwo, a nocami nie mógł spać.

– On jest jak dziecko – usprawiedliwiała go przed Pinuccią – zmienia mu się humor w zależności od tego, czy jego kaprysy zostają od razu zaspokojone czy nie. Nie potrafi czekać.

Lila, podobnie zresztą jak Fernando, nie uznała braku popytu na buty marki Cerullo w świątecznym okresie za przegraną. W końcu ich produkcja nie odbywała się według żadnego planu. Narodziły się z woli Stefana, który chciał w ten sposób nadać konkretną formę czystej fantazji Lili. Teraz białe skrzynki poukładane w wysokie wieże w zakładzie szewskim Cerullo zawierały bogaty asortyment butów, lżejszych i cięższych, bardziej otwartych i bardziej zabudowanych, na prawie wszystkie pory roku. Wystarczyło poczekać i zimą, wiosną, jesienią – wcześniej czy później – zostaną sprzedane.

Za to Rina zżerał niepokój. Po Bożym Narodzeniu z własnej inicjatywy udał się do właściciela zakurzonego sklepu obuwniczego przy jezdni i choć wiedział, że jest

uzależniony od rodziny Solara, zaproponował mu, by wystawił kilka par w swoim sklepie, ot tak, bez zobowiązań, żeby zobaczyć, czy ludzie się nimi zainteresują. Właściciel odmówił grzecznie, mówiąc, że obuwiu tego typu nie jest odpowiednie dla jego klienteli. Rino poczuł się urażony i zakończyło się głośną wymianą wulgarnych wyzwisk, o której dowiedziała się cała dzielnica. Fernando poważnie rozżłościł się na syna, Rino nie poskąpił mu ciężkich słów i Lila znowu zobaczyła w bracie siłę niszczącą, która tak bardzo ją kiedyś wystraszyła. Kiedy wychodzili gdzieś w czwórkę, moja przyjaciółka widziała, że Rino tak manewruje, żeby ona szła przodem z Pinuccią, a sam zostawał z tyłu i dyskutował ze Stefanem. Ten ostatni zwykle słuchał go, nie okazując zniecierpliwienia. Tylko raz Lila usłyszała, jak powiedział:

– Wybacz, Rino, ale czy twoim zdaniem włożyłem tyle pieniędzy w produkcję butów, żeby przeznaczyć je na straty? Z czystej miłości do twojej siostry? Buty są gotowe, są piękne, teraz musimy je tylko sprzedać. Problem polega na tym, żeby znaleźć miejsce, gdzie ktoś je kupi.

Lili nie podobała się ironia w pytaniu: „z czystej miłości do twojej siostry?“, ale nie wzięła mu tego za złe, bo słowa Stefana pozytywnie zadziałały na Rina – tego dnia uspokoił się i zaczął pozować na stratega sprzedaży, zwłaszcza przed Pinuccią. Mówił, że nie należy się bać ryzyka, trzeba mierzyć wysoko. Dlaczego tyle mądrych przedsięwzięć kończy się niepowodzeniem? Dlaczego Gorresio musiał zrezygnować z produkcji motorowerów w swoim warsztacie samochodowym? Dlaczego pracownia krawiecka przy pasmanterii działała tylko sześć miesięcy? Bo to były zbyt skromne przedsięwzięcia. Natomiast obuwiu marki Cerullo wkrótce opuści naszą dzielnicę i odniesie sukces w bogatej części miasta.

Tymczasem zbliżała się data ślubu. Lila chodziła na przymiarki sukni ślubnej, wprowadzała ostatnie ulepszenia do swojego przyszłego mieszkania, walczyła z Pinuccią i donną Marią, które poza wszystkim z trudem tolerowały ingerencje Nunzii w przygotowania do uroczystości. W miarę jak zbliżał się dzień dwunastego marca, rosło napięcie.

Ale najmocniejsze ciosy, takie, które mogły spowodować powstanie prawdziwych pęknięć, spadły z innej strony. Dwa zajścia, jedno po drugim, głęboko zraniły Lilę.

Pewnego zimnego popołudnia w lutym zapytała mnie niespodziewanie, czy mogłabym pójść z nią do pani Oliviero. Nigdy dotąd nie interesowała się naszą nauczycielką, nie okazała w stosunku do niej nawet cienia sympatii ani wdzięczności. Teraz zaś zapragnęła zanieść jej osobiście zaproszenie na ślub. W przeszłości nie mówiłam jej o nieprzyjaznych komentarzach Oliviero na jej temat, nie uważałam, że to potrzebne również teraz, tym bardziej że ostatnio nauczycielka wydawała mi się

mniej bojowa, bardziej skłonna do melancholii, więc mogła przyjąć ją serdecznie.

Lila starannie wybrała strój na tę wizytę. Pieszko przeszliśmy drogę do domu nauczycielki przy probostwie. Gdy wchodziłyśmy po schodach, zauważyłam, że Lila jest bardzo spięta, nie odezwała się ani słowem. Ja byłam przyzwyczajona do wizyt w tym domu, więc zadzwoniłam bez chwili wahania do drzwi i usłyszałam człapiące kroki pani Oliviero.

– Kto tam?

– Elena Greco.

Otworzyła. Miała na ramionach fioletową narzutkę, pół twarzy zakrywał jej szalik. Lila od razu uśmiechnęła się do niej i zapytała:

– Czy mnie pani pamięta?

Oliviero wbiła w nią nieruchomy wzrok, tak samo jak to robiła w szkole, gdy Lila zachowywała się nagannie, potem zwróciła się do mnie, mówiąc z trudem, jakby miała coś w ustach:

– Kto to jest? Nie znam tej dziewczyny.

Lila zmieszała się i powiedziała szybko, posługując się literackim językiem:

– Nazywam się Lina Cerullo. Przyniosłam pani zaproszenie na ślub, wychodzę za męża. Byłabym szczęśliwa, gdyby pani przyszła.

Nauczycielka znowu zwróciła się do mnie:

– Pamiętam Linę Cerullo, ale tej tutaj nie znam.

I zamknęła nam drzwi przed nosem.

Stałyśmy przez chwilę nieruchomo na podeście, potem dotknęłam jej dłoni, bo widziałam, że jest jej przykro. Lila cofnęła rękę, wsunęła zaproszenie w szparę pod drzwiami i zaczęła schodzić po schodach. Na ulicy usta jej się nie zamykały, mówiła o kłopotach z biurokracją w magistracie i w parafii i o tym, jak bardzo im pomógł mój ojciec.

Drugi cios, jaki zadano jej w tym okresie, był jeszcze bardziej dotkliwy.

Niespodziewanie pochodził od Stefana i miał związek z butami. Już dawno postanowili, że świadkiem ślubu będzie krewny donny Marii, który po wojnie osiadł we Florencji i prowadził tam skup starych przedmiotów metalowych. Ten człowiek ożenił się z florentynką i nabrał miejscowego akcentu, z której to przyczyny cieszył się w rodzinie szczególnym autorytetem i był już świadkiem bierzmowania Stefana. Niespodziewanie jednak przyszły pan młody zmienił zdanie.

Początkowo Lila opowiadała o tym jako o oznace nerwowości w ferworze przygotowań. Dla niej nie miało znaczenia, czy świadkiem będzie ten czy inny krewny, ważne, żeby na kogoś się definitywnie zdecydować. Przez kilka dni Stefano

dawał wymijające odpowiedzi, nie powiedział, kto zastąpi parę z Florencji. Później, niespełna tydzień przed ślubem, prawda wyszła na jaw. Stefano oznajmił, że świadkiem będzie Silvio Solara, ojciec Marcella i Michelego. Zakomunikował jej to bez żadnego usprawiedliwienia, jako fakt dokonany.

Lila, której aż do tej chwili nie przeszło nawet przez myśl, że ktoś z rodziny Solara mógłby być obecny na jej ślubie, na jakiś czas znów wróciła do postaci tak dobrze mi znanej z dzieciństwa. Obrzuciła Stefana wulgarnymi wyzwiskami i powiedziała, że nie chce go już nigdy widzieć na oczy. Zamknęła się w domu rodziców, przestała się zajmować przygotowaniem do uroczystości, nie poszła na ostatnią przymiarękę do krawcowej, nie robiła nic, co miałyby jakikolwiek związek ze ślubem.

Zaczęła się procesja krewnych. Pierwsza zapukała do drzwi pokoju Lili jej matka i mówiła ze strapioną miną o dobru rodziny. Po niej pojawił się Fernando, powiedział szorstko, żeby nie zachowywała się jak dziecko, wiadomo, że każdy, kto chce mieć spokojną przyszłość w dzielnicy, musi dobrze żyć z Silviem Solarą. W końcu przyszedł Rino i ostrym tonem, pozując na człowieka interesu, wyjaśnił jej sytuację: ojciec braci Solara jest jak bank i co dla nich najważniejsze, ma kontakty, dzięki którym będzie można wstawić buty marki Cerullo do eleganckich sklepów.

– Co chcesz zrobić?! – krzyczał czerwony na twarzy ze złości, z oczami nabiegłymi krwią. – Chcesz zniszczyć mnie i naszą rodzinę? Chcesz, żeby cała nasza ciężka praca poszła na marne?

Zaraz po nim zajrzała do Lili także Pinuccia, mówiąc fałszywie miłym tonem, że ona też wolałaby mieć jako świadka na ślubie handlarza starociami z Florencji, ale trzeba być rozsądnym, Lila nie chce chyba wycofać się ze ślubu i wyrzec miłości przez taką błahostkę.

Minął cały dzień i noc. Nunzia siedziała w milczeniu w kącie kuchni, nic nie robiła i nie położyła się do łóżka. W pewnej chwili wymknęła się niepostrzeżenie z domu, tak żeby córka się o tym nie dowiedziała, i przybiegła do mnie. Prosiła, żebym porozmawiała z Lilą, żebym ją przekonała. Pochlebilo mi to, długo się zastanawiałam, kogo poprzeć. Stawką było małżeństwo, ważna sprawa powiązana z uczuciami i interesami różnych osób. Wystraszyłam się. Ja, która byłam w stanie wystąpić publicznie przeciwko Duchowi Świętemu, stawiając czoła nauczycielowi religii, gdybym znalazła się na miejscu Lili, na pewno nie potrafiłabym się zatrzymać o krok od ślubu. Ale ona tak, ona była do tego zdolna. Co robić? Czułam, że bez trudu mogłabym ją skłonić do powzięcia takiej decyzji i że sprawiłoby mi to ogromną przyjemność. Tak naprawdę właśnie tego chciałam najbardziej: mieć znowu przy sobie Lilę z bladą twarzą, z włosami związanymi w koński ogon, z oczami zwężonymi jak

u drapieżnika, w skromnej sukience i nie oglądać więcej domorosłej Jacqueline Kennedy.

Niestety, na moje i jej nieszczęście, wydało mi się, że byłoby to z mojej strony małostkowe i podłe, nie chciałam jej wepchnąć na powrót w szarzyzną życia rodziny Cerullo. I tak, sądząc, że robię to dla jej dobra, zaczęłam ją łagodnie przekonywać:

– Silvio Solara nie jest Marcellem ani Michele. Nie wolno wsadzać ludzi do jednego worka, wiesz to lepiej ode mnie, sama tak mówiłaś przy wielu okazjach. On nie wciągnął Ady do samochodu, nie strzelał do nas w noc sylwestrową, nie nachodził cię w domu i nie rozpowiadał o tobie świństwach. Silvio będzie świadkiem na ślubie i pomoże Stefanowi sprzedać buty, nic więcej. Potem nie odegra już żadnej innej roli w twoim życiu.

Zagrałam kartami, które wielokrotnie rozdawałyśmy między sobą. Mówiłam o *kiedyś* i *teraz*, o starszym pokoleniu i o tym, jak bardzo my, jak bardzo ona i Stefano się od niego różnią. Ten ostatni argument zrobił wyłom w jej uporze. Zauważyłam to, więc się na nim zatrzymałam. Słuchała mnie w milczeniu, na pewno chciała, żeby ktoś pomógł jej się uspokoić. I rzeczywiście, powoli wracał jej spokój. Mogłam jednak wyczytać z jej twarzy, że postępek Stefana ujawnił w nim coś, czego ciągle jeszcze nie rozumiała, i dlatego przerażało ją to jeszcze bardziej niż pożądlivość Rina.

W końcu powiedziała:

– Może to wcale nie jest prawda, że Stefano mnie kocha.

– Jak to: nie kocha cię? Robi dla ciebie wszystko!

– Tylko wtedy, gdy nie musi wydać naprawdę dużych pieniędzy – stwierdziła pogardliwym tonem, którego dotąd nie używała w stosunku do Stefana Carracciego.

Tak czy inaczej wróciła do życia, chociaż nie pokazała się w sklepie, nie poszła do nowego mieszkania, słowem – nie szukała okazji do pojednania ze Stefanem. To on przyszedł do niej i powiedział:

– Dziękuję. Bardzo cię kocham. Wiesz, są takie sytuacje, w których człowiek nie ma wyboru.

Dopiero wtedy pozwoliła mu się przytulić do swoich pleców i pocałować w kark. Ale zaraz potem obróciła się gwałtownym ruchem i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Na moim ślubie absolutnie nie chcę widzieć Marcella Solary.

– Jak mam to zrobić?

– Nie wiem, ale musisz mi to przyrzec.

Stefano westchnął i odparł z uśmiechem:

– Dobrze, Lina, przyrzekam.

57.

Nadszedł dwunasty marca, dzień pogodny, już wiosenny. Lila chciała, żebym przyszła wcześniej rano do jej domu i pomogła jej się umyć, uczesać i ubrać. Odprawiła matkę, zostałyśmy same. Usiadła na brzegu łóżka w samych majtkach i staniczku. Obok niej leżała ślubna sukienka, przypominała martwe ciało. Przy łóżku, na podłodze wyłożonej sześciokątnymi płytkami, stała miedziana miska z parującą wodą. Lila zapytała bez wstępów:

– Myślisz, że popełniam błąd?

– Jaki błąd?

– Że wychodzę za mąż.

– Nie możesz zapomnieć tej historii ze świadkiem?

– Nie. Nie mogę zapomnieć pani Oliviero. Dlaczego nie wpuściła mnie do domu?

– To stara dziwaczka.

Przez chwilę milczała, wpatrując się w wodę lśniącą w misce, potem powiedziała:

– Cokolwiek się wydarzy, ty ucz się dalej.

– Jeszcze dwa lata, potem zdam egzamin maturalny i skończę z nauką.

– Nie, nie kończ. Ja ci dam pieniądze, musisz się dalej uczyć.

Zaśmiałam się nerwowo i odparłam:

– Dziękuję, ale w pewnym momencie kończy się szkolna edukacja.

– Nie dla ciebie. Ty jesteś moją genialną przyjaciółką. Musisz być mądrzejsza od

wszystkich.

Wstała, zdjęła majtki i staniczek.

– Pomóż mi, bo się spóźnię – poprosiła.

Nigdy dotąd nie widziałam jej nagiej. Byłam zażenowana. Dzisiaj mogę powiedzieć, że wstydziłam się swojego spojrzenia – świadka piękna jej szesnastoletniego ciała na kilka godzin, zanim Stefano zacznie ją dotykać, penetrować, może i deformować, czyniąc brzemienną. Wtedy była to tylko gwałtowna, nieokreślona emocja pochodząca pewnie od wpojonego poczucia przyzwoitości, skrępowanie naturalne w sytuacji, kiedy nie można odwrócić wzroku czy odsunąć ręki, bo byłoby to równoznaczne z

przyznaniem się do własnego wzburzenia, nieprzystającego do niezmałconego spokoju tej, która była jego przyczyną.

Tak więc zmusiłam się do pozostania na miejscu i nieodwracania wzroku od chłopięcych ramion, od piersi ze sterczącymi sutkami, wąskich bioder, twardych pośladków, czarnego wzgórką łonowego, długich nóg, delikatnych kolan, kształtnych łydek i pięknie sklepionych stóp.

I zachowywałam się, jakby nic się nie działo, podczas gdy działo się wszystko – w tym pokoju pograżonym w półmroku,umeblowanym skromnymi sprzętami, na podłodze pochłapanej wodą. Tylko serce nie przestawało bić bardzo silnie, rozgrzewając mi krew w żyłach.

Myłam ją wolnymi ruchami, starannie. Najpierw kazałam jej przykucnąć w misce, potem poprosiłam, żeby wstała. Słyszę jeszcze plusk wody spływającej z jej ciała, pamiętam wrażenie, że jest ono równie gładkie, twarde i niewzruszone jak miedź miski. Moje myśli i pragnienia były pomieszane i niejasne – nie wiedziałam, czy ją uściskać i ucałować, czy śmiać się i płakać razem z nią, czy może powinnam udawać doświadczoną i uświadomić jej autorytatywnym tonem, co ją czeka tej nocy, a może odsunąć ją od siebie w tym momencie największej bliskości.

Silniejsza niż inne była gorzka myśl, że myję ją wczesnym rankiem od twarzy po palce u nóg po to, żeby Stefano pobrudził ją w nocy. Wyobraziłam ją sobie nagą jak teraz, w objęciach męża, w nowym łóżku, w nowym mieszkaniu, podczas gdy po szynach pod ich oknami przejeżdża pociąg. Wyobraziłam sobie, jak jego agresywny członek wchodzi w nią jednym silnym ruchem jak korek wciśnięty wnętrzem dłoni do butelki z winem. I niespodziewanie przyszło mi do głowy, że cierpienie, jakiego doznałam i jakiego jeszcze doznam, mogę uśmierzyć w jeden tylko sposób: pozwalając Antoniowi w jakimś ustronnym miejscu w tym samym czasie zrobić ze mną dokładnie to samo.

Pomogłam Lili wytrzeć się do sucha i włożyć ślubną sukienkę, którą sama jej wybrałam – co uświadomiłam sobie z dumą i bólem jednocześnie. Suknia nabrała życia. Śnieżna biel ogrzała się ciepłem ciała Lili, odbłaskiem jej czerwonych ust i czarnych, twardych oczu. Na końcu Lila wsunęła stopy w pantofle, które sama zaprojektowała. Zależało na tym zwłaszcza Rinowi – w przeciwnym razie poczułby się zdradzony. Wybrała model na płaskim obcasie, żeby pozostać trochę tylko wyższą od Stefana. Spojrzała na siebie w lustrze, uniosła lekko sukienkę, odkrywając buty.

– Są brzydkie – stwierdziła.

– Nieprawda.

Zaśmiała się nerwowo.

- Ależ tak! Spójrz: marzenia, które urodziły mi się w głowie, depczę teraz nogami. Obróciła się do mnie, na jej twarzy zobaczyłam lęk.
- Co ze mną będzie, Lenù?

58.

W kuchni czekali na nas Fernando i Nunzia. Byli już dawno gotowi, nigdy jeszcze nie widziałam ich tak starannie ubranych. W tamtych czasach nasi rodzice wydawali mi się starzy. Nie widziałam większej różnicy między nimi a dziadkami, czy to ze strony matki czy ojca. W moich oczach wszyscy prowadzili życie pozbawione ciepła i kolorów, zupełnie inaczej niż my: Lila, Stefano, Antonio czy Pasquale. Dopiero teraz, kiedy piszę te słowa, uświadamiam sobie, że Fernando nie mógł wtedy mieć więcej niż czterdzieści pięć lat, a Nunzia na pewno była od niego młodsza. Tamtego ranka on w białej koszuli i ciemnym garniturze, ze swoją twarzą Randolpha Scotta, i ona cała na niebiesko, w błękitnym kapeluszu z woalką, tworzyli piękną parę. To samo dotyczy moich rodziców, których wiek mogę jednak określić z większą precyzją: ojciec miał wtedy trzydzieści dziewięć, a matka trzydzieści pięć lat. W kościele długo im się przyglądałam. Domyślałam się, że tego dnia moje sukcesy w szkole ani trochę ich nie pocieszały, może nawet bardziej niż kiedykolwiek byli przeświadczeni, że moja nauka to tylko strata czasu. Gdy Lila, prześliczna w oślepiająco białej sukni i chmurze lekkiego jak mgiełka welonu, szła przez kościół pod wezwaniem Świętej Rodziny prowadzona przez szewca, by połączyć się ze Stefanem czekającym na nią przy ołtarzu bogato udekorowanym kwiatami, moja matka spojrzała na mnie ciężko, ganiąc mnie w ten sposób za to, że siedzę w tych moich okularach daleko od centrum wydarzeń, podczas gdy moja przyjaciółka o złym charakterze zdobyła bogatego męża, pomogła rodzinie stanąć na nogi i ma własne mieszkanie z wanną, lodówką, telewizorem i telefonem.

Uroczystość w kościele była długa, a ksiądz postarał się, żeby wydawała się jeszcze dłuższa. Po wejściu do świątyni rodzina i znajomi pana młodego zajęli miejsca po jednej stronie nawy, a ci, którzy przyszli dla pani młodej, po przeciwnej. Przez cały czas fotograf robił niezliczoną liczbę zdjęć, pomagając sobie lampą błyskową i reflektorami, podczas gdy jego młody asystent filmował ważniejsze momenty

ceremonii.

Antonio siedział obok mnie, w pięknym garniturze szytym na miarę, przydzieliwszy Adzie zadanie opiekowania się matką. Ada była zawiedziona, bo musiała zostać z Meliną i resztą rodzeństwa w głębi kościoła, podczas gdy jako ekspedientka zatrudniona w sklepie Stefana mogła liczyć na lepsze miejsce. Antonio parę razy szepnął mi coś na ucho, ale nie odpowiedziałam. Wolałam, żeby tylko przy mnie siedział i nie okazywał zbytnej zażyłości, chciałam uniknąć plotek.

Przebiegłam spojrzeniem po wypełnionym kościele, ludzie nudzili się i podobnie jak ja rozglądali dokoła. W powietrzu unosił się silny zapach kwiatów i nowych ubrań. Gigliola była śliczna, podobnie zresztą jak Carmela Peluso. Chłopcy też świetnie się prezentowali. Enzo i – jeszcze bardziej – Pasquale chcieli pokazać, że przy ołtarzu obok Lili wyglądaliby o wiele lepiej niż Stefano. Stali w głębi kościoła i robili wrażenie, jakby sprawowali pieczę nad powodzeniem ceremonii. Rino, brat panny młodej, naruszył tradycyjny porządek i usiadł obok Pinucci, w części kościoła zajętej przez krewnych pana młodego. On też wyglądał nienagannie w nowym garniturze i półbutach marki Cerullo błyszczących tak samo jak jego wybrylantowane włosy. Co za pompa! Wszyscy, którzy dostali zaproszenie na ślub, nie tylko zdecydowali się w nim uczestniczyć, ale stawili się w kościele wysztafirowani jak wielcy państwo, co oznaczało – wiedziałam to doskonale i wszyscy to wiedzieli – że wielu, wśród nich także siedzący przy mnie Antonio, musiało się w tym celu zapożyczyć. Spojrzałam na Silvia Solarę, wyglądał imponująco w swoim ciemnym ubraniu, gdy stał obok nowożeńca, z nadgarstkami lśniąco od złota. Spojrzałam na obwieszoną biżuterią jego żonę, Manuele, w różowej sukni przy pannie młodej. Od nich pochodziły pieniądze na cały ten przepych. Po śmierci don Achillego to ten wyłysiały mężczyzna o ogorzałej twarzy i niebieskich oczach oraz ta chuda kobieta z długim nosem i wąskimi ustami pożyczali pieniądze całej dzielnicy. Ścisłej – donna Manuela zajmowała się praktyczną stroną tej działalności, sławny był jej czerwony zeszyt, w którym zapisywała pożyczone sumy i terminy oddania. Istotnie, ślub Lili był świetnym interesem nie tylko dla kwiaciarza i fotografa, ale przede wszystkim dla tej pary, która poza wszystkim dostarczyła także tort weselny i migdałowe cukierki do bombonier.

Zauważyłam, że Lila ani razu na nich nie spojrzała, nie odwracała się też do Stefana, patrzyła tylko na księdza. Pomyślałam, że widziani od tyłu nie byli piękną parą. Lila, wyższa od niego, emanowała energią, której nie dało się nie zauważyć, Stefano wyglądał przy niej szaro i pospolicie. Ona sprawiała wrażenie, jakby była bardzo skupiona na słowach księdza, jakby chciała dogłębnie zrozumieć, co tak naprawdę znaczy ten rytuał, on natomiast obracał się co jakiś czas do matki,

wymieniał uśmieški z Silviem Solarą albo drapał się po głowie. W pewnej chwili ogarnął mnie strach: a jeżeli Stefano rzeczywiście nie jest taki, na jakiego wygląda? Ale nie zatrzymałam się dłużej na tej myśli. Po pierwsze dlatego, że Lila i Stefano jasno i zdecydowanie, wśród powszechnego wzruszenia, wypowiedzieli sakramentalne „tak”, wymienili się obrączkami i pocałowali się, więc musiałam przyjąć do wiadomości, że moja przyjaciółka wyszła za mąż. Poza tym zdarzyło się coś, przez co w jednej chwili przestałam zwracać uwagę na nowożeńców. Uświadomiłam sobie, że w kościele widziałam wszystkich oprócz Alfonsa, poszukałam go więc wzrokiem wśród najbliższej rodziny pana młodego, potem w pierwszych rzędach po drugiej stronie kościoła i w końcu znalazłam go w głębi, prawie ukrytego za kolumną. Pozdrowiłam go ruchem ręki, odpowiedział i ruszył w moim kierunku. Za nim dostrzegłam wystrojoną Marisę Sarratore i w tej samej chwili – Nina, chudego jak szczapa, z rękami w kieszeniach i zmierzwionymi włosami, w wygniecionych spodniach i kurteczce, którą nosił w szkole.

59.

Ludzie tłoczyli się wokół nowożeńców wychodzących z kościoła przy akompaniamencie muzyki organów i błysków fleszy aparatów fotograficznych. Lila i Stefano zatrzymali się na kościelnym dziedzińcu i przyjmowali życzenia w chaosie ruszających z miejsca samochodów i nerwowych reakcji krewnych, którzy musieli czekać, pozostawieni sami sobie, podczas gdy inni zaproszeni goście, choć nienależący do rodziny, ale z innych względów ważniejsi, bo może lepiej ubrani czy z partnerkami w ekstrawaganckich kapeluszach, byli w pierwszej kolejności zabierani do restauracji przy via Orazio.

Alfonso zrobił na mnie miłe wrażenie. Po raz pierwszy w życiu widziałam go w ciemnym garniturze, białej koszuli i krawacie, a nie w szkolnym ubiorze albo w fartuchu sprzedawcy kiełbasy, i wydawał mi się nie tylko starszy, ale – ku memu zaskoczeniu – niepodobny do brata. Był od niego wyższy i szczuplejszy, miał duże oczy, nabrzmiałe usta i ani śladu zarostu, przypominał mi pewnego hiszpańskiego tancerza, którego widziałam w telewizji. Od razu odgadłam, że Marisa przyczepiła się do niego na dłużej, ich znajomość rozwinęła się, pewnie spotykali się czasem, choć nic

o tym nie wiedziałam. Alfonso był mi wprawdzie bardzo oddany, ale poddał się urokowi jej loków i został porwany przez niepowstrzymany potok jej słów, który zwalniał tego nieśmiałego chłopca od konieczności wypełniania przerw w konwersacji. Wątpiłam, żeby chodzili z sobą, na pewno powiedziałyby mi o tym. Ale ich stosunki stały się na tyle zażyłe, że zaprosił ją na wesele brata, zaś ona, prawdopodobnie, żeby uzyskać pozwolenie od rodziców, zaciągnęła z sobą Nina.

Oto więc młody Sarratore na dziedzińcu kościoła – niepasujący do reszty w swoim niedbałym stroju, zbyt chudy, zbyt wysoki, ze zbyt długimi rozczochranymi włosami i rękami zbyt głęboko wsadzonymi w kieszenie spodni – wyglądał jak ktoś, kto czuje się absolutnie nie na miejscu. Oczy skierował, jak wszyscy, na nowożeńców, ale patrzył na nich bez zainteresowania, tylko dlatego, że musiał na czymś zatrzymać wzrok. Jego niespodziewana obecność jeszcze powiększyła emocjonalny zamęt, jaki miałam tego dnia w sercu. Pozdrowiliśmy się w kościele krótkim: „cześć, cześć”. Nino przyłączył się do siostry i Alfonsa, mnie zatrzymało ramię Antonia i chociaż szybko się od niego uwolniłam, skończyłam w towarzystwie Ady, Meliny, Pasqualego, Carmeli i Enza. Teraz, w ścisłości i zamieszaniu, podczas gdy nowożeńcy wsiadali do wielkiego białego samochodu razem z fotografem i jego asystentem, by zrobić sobie zdjęcia w parku Virgiliano, ogarnął mnie lęk, że matka Antonia rozpozna Nina, zauważy w jego twarzy podobieństwo do Donata. Na szczęście niepotrzebnie się martwiłam. Matka Lili, Nunzia, wsadziła Melinę wraz z Adą i młodszymi dziećmi do jednego z samochodów, który zabrał ich do restauracji.

Nikt nie poznał Nina, łącznie z Gigliolą, Carmelą czy Enzem. Nie skojarzyli też Marisy, chociaż nie zmieniła się zbyt wiele od dzieciństwa. Na razie młodzi Sarratore pozostali w tle. Tymczasem Antonio zaciągnął mnie do starego auta Pasqualego, z nami wsiedli Carmela i Enzo, a ja nie odważyłam się na nic więcej niż na pytanie:
– Gdzie są moi rodzice? Miejmy nadzieję, że ktoś się nimi zajmie.

Na co jednak Enzo odpowiedział od razu, że widział ich w jakimś samochodzie, nie mogłam więc nic zrobić. Ruszyliśmy spod kościoła i mogłam już tylko raz spojrzeć na Nina, który stał jeszcze na dziedzińcu przy Alfonsie i Marisie z zagubioną miną. Potem straciłam go z pola widzenia.

Byłam rozdrażniona. Antonio, wrażliwy na każdą zmianę mojego humoru, szepnął mi do ucha:

- Co się stało?
- Nic.
- Coś sprawiło ci przykrość?
- Nie.

Carmela zaśmiała się:

- Przykro jej, że Lina wyszła za męża, a ona nie.
- A co, ty byś nie chciała wyjść za męża? – zapytał ją Enzo.
- Jeżeli chodzi o mnie, mogłabym pójść do ślubu nawet jutro.
- Tak? A z kim?
- Już ja wiem z kim.
- Nie gadaj – uciszył ją Pasquale – z tobą nikt się nie ożeni.

Jechaliśmy w stronę morza. Pasquale prowadził po wariacku. Antonio tak dobrze wyszykował mu ten stary samochód, że poczuł się, jakby miał auto wyścigowe. Pędził, nie przejmując się wstrząsami na dziurawych ulicach. Dojeżdżał z wielką prędkością do pojazdów przed nim, jakby chciał się wbić w ich zderzak, w ostatniej chwili hamował, skręcał kierownicę i wyprzedzał. My, dziewczęta, krzyczałyśmy ze strachu albo oburzone wydawałyśmy mu polecenia, z których tylko się śmiał i naciskał pedał gazu jeszcze mocniej. Antonio i Enzo byli niewzruszeni, tylko czasem robili jakiś komentarz na temat powolnych kierowców, otwierali okienko i podczas gdy Pasquale wyprzedzał, wykrzykiwali wulgarne wyzwiska.

Właśnie w drodze do restauracji przy via Orazio zaczęłam się czuć obco w ich towarzystwie i ta obcość przywiodła mnie do smutku. Wyrosłam z nimi, ich zachowanie uważałam zawsze za normalne, ich język był moim językiem. Jednak od sześciu lat byłam częścią także innego świata, świata którego oni nie znali w najmniejszym nawet stopniu, a w którym ja sprawdziłam się znakomicie i należałam w nim do najlepszych. W towarzystwie przyjaciół z mojej dzielnicy nie mogłam sięgać do niczego, czego codziennie się uczyłam, musiałam się ograniczać, zniżyć do ich poziomu. To, co zdobyłam w szkole, odkładałam na bok, żeby ich nie onieśmielać. Zastanawiałam się, co ja właściwie robię w tym samochodzie. Podróżowałam z przyjaciółmi i z moim chłopakiem, jechaliśmy na wesele Lili, to prawda. Ale właśnie to wesele mnie od nich oddalało. Lila, jedyna pochodząca z ich świata osoba, której bliskości potrzebowałam, już do niego nie należała, a bez niej wyczerpały się wszelkie więzi między mną a tymi młodymi ludźmi i ich rozpedzonym autem.

Dlaczego więc nie jestem z Alfonsem, z którym łączyło mnie nie tylko pochodzenie, ale i próba ucieczki z tego świata? Dlaczego nie zatrzymałam się przy Ninie i nie poprosiłam, żeby został na przyjęciu weselnym? Dowiedziałabym się, kiedy wyjdzie gazeta z moim tekstem, porozmawialibyśmy nareszcie, wydrążylibyśmy dla siebie jamę, w której razem schronilibyśmy się przed wulgarnością i gwałtownością Pasqualego, Carmeli, Enza i Antoniego. Tak, także jego.

Jako pierwsi przedstawiciele młodzieży weszliśmy do sali bankietowej. Byłam w coraz gorszym nastroju. Silvio i Manuela Solara siedzieli już przy stole razem z handlarzem starociami, jego florencką żoną i matką Stefana. Rodzicom Lili wyznaczono miejsce przy długim stole razem z krewnymi, moimi rodzicami, Meliną i Adą, która przyjęła Antonia wymówkami. Na miejscu byli już muzycy, którzy stroili instrumenty, a wokalista próbował mikrofon. Kręciliśmy się po sali, byliśmy onieśmieleni, nie wiedzieliśmy, gdzie usiąść, nikt z nas nie odważył się zapytać o to kelnerów. Antonio nie odstępował mnie ani na krok i starał się mnie rozbawić.

Matka wezwała mnie do siebie, ale udałam, że tego nie słyszę. Spróbowała jeszcze raz, ja znowu nie zareagowałam. Wtedy wstała i podeszła do mnie, utykając. Chciała, żebym usiadła przy niej. Odmówiłam. Wysyczała mi do ucha:

– Dlaczego syn Meliny kręci się ciągle przy tobie?

– Nikt się przy mnie nie kręci, mammo.

– Myślisz, że jestem głupia?

– Nie.

– Usiądź przy mnie.

– Nie.

– Masz usiąść przy mnie. Nie po to posłaliśmy cię do szkoły, żebyś się wiązała z robotnikiem, co ma matkę wariatkę.

Posłuchałam jej, bo była naprawdę rozwścieczona. Na salę weszli następni młodzi ludzie, znajomi Stefana. Wśród nich zauważyłam Gigliolę, która gestem wezwała mnie do siebie. Matka mnie przytrzymała. Pasquale, Carmela, Enzo i Antonio usiedli wreszcie przy jednym stole z grupą Giglioli. Ada, której udało się uwolnić od matki, zostawiwszy ją Nunzii, podeszła do mnie i szepnęła mi na ucho:

– Chodź!

Spróbowałam się podnieść, ale matka złapała mnie za rękę ze złością. Ada zrobiła zawiedzioną minę i usiadła obok brata. Antonio co jakiś czas spoglądał na mnie, a ja wtedy podnosiłam oczy ku niebu, na znak, że jestem uwięziona.

Muzycy zaczęli grać. Wokalista, prawie łysy czterdziestolatek o delikatnych rysach

twarży, zaśpiewał coś na próbę. Wchodzili następni goście, sala się zapełniła. Nikt nie ukrywał głodu, ale naturalnie należało poczekać na nowożeńców. Znowu spróbowałam się podnieść, matka jednak syknęła:

– Masz zostać przy mnie!

Zostać przy niej... Pomyślałam, że była niekonsekwentna ze swoimi atakami złości i władczym tonem. Nie chciała, żebym się uczyła, ale teraz, kiedy już chodziłam do liceum, uważała, że jestem lepsza od moich przyjaciół, wśród których wyrosłam, i stwierdziła, podobnie zresztą jak ja, że moje miejsce już nie jest przy nich.

Kazała mi siedzieć przy sobie, żeby mnie ustrzec przed nie wiadomo jaką burzą, topielą czy przepaścią, których uosobieniem stał się dla niej w tym momencie Antonio. Ale zostać przy niej, to znaczyło zostać w jej świetle, upodobnić się do niej. Gdybym zaś stała się podobna do niej, z kim mogłabym się związać jak nie z Antoniem?

Tymczasem na salę weszli nowożeńcy, powitały ich oklaski. Muzycy od razu zaczęli grać marsz weselny. Coraz wyraźniej zdawałam sobie sprawę z tego, że narastające we mnie poczucie wyobcowania miało nierozzerwalny związek z matką, z jej kalekim ciałem. Lila oklaskiwana przez mieszkańców naszej dzielnicy wyglądała na szczęśliwą. Uśmiechała się miło, trzymała się z mężem za rękę, była piękna. Naśladowałam ją kiedyś, jej gesty, jej sposób poruszania się, żeby uciec od matki. Byłam w błędzie. Lila została w miejscu, zamknięta w świetle, z którego, jak jej się wydawało, wzięła co najlepsze. To „najlepsze”, to był ten młody mężczyzna, to małżeństwo, to wesele i przygoda z butami wymyślona dla brata i ojca. Nic, co miałyby punkty styczności z moją drogą. Poczułam się strasznie samotna.

Nowożeńcy tańczyli oślepiani co chwilę fleszem. Wirowali po sali, wykonując precyzyjne, zgodne ruchy. Muszę przyjąć do wiadomości – myślałam – że nawet Lili pomimo wszystko nie udało się uciec ze świata mojej matki. Ale mnie musi się udać, nie mogę matce dłużej ulegać. Będę ją ignorować tak samo jak to robiła Oliviero, gdy pojawiała się w naszym domu, by dla mego dobra narzucić jej swoją wolę. Trzyma mnie za ramię, ale nie mogę na nią zważać, muszę pamiętać, że byłam najlepsza z łaciny, greki i języka włoskiego, że stawiałam czoła nauczycielowi religii i że wkrótce artykuł podpisany moim nazwiskiem ukaże się w gazecie, dla której pisze pewien śliczny i mądry chłopak z maturalnej klasy.

W tym momencie do sali bankietowej wszedł Nino Sarratore. Zobaczyłam go, zanim jeszcze dostrzegłam Alfonsa i Marisę, i zerwałam się na nogi. Matka próbowała przytrzymać mnie za brzeg sukienki, ale wyszarpnęłam się. Antonio, który nie spuszczał ze mnie wzroku, rozpogodził się i posłał zapraszające spojrzenie. Ja jednak poszłam w kierunku odwrotnym do tego, który obrali Lila i Stefano, by zająć miejsce

przy stole w środku sali bankietowej między małżeństwem Solara i parą z Florencji – zmierzałam prosto do drzwi wejściowych, do Alfonsa, Marisy i Nina.

61.

Znaleźliśmy miejsce dla siebie. Porozmawiałam trochę na obojętne tematy z Alfonsem i Marisą w nadziei, że Nino zdecyduje się skierować do mnie choć słowo. Tymczasem za moimi plecami stanął Antonio, nachylił się do mojego ucha i powiedział:

– Trzymam dla ciebie miejsce.

– Wracaj do swojego stołu. Moja matka wszystkiego się domyśliła – szepnęłam.

Rozejrzał się dokoła niepewnie, bardzo onieśmielony, i wrócił na miejsce.

W powietrzu roznosił się szmer. Najbardziej zawistni goście znaleźli kilka powodów do niezadowolenia. Do stołów podano wino różnej jakości, na niektórych postawiono już talerze z pierwszym daniem, podczas gdy na inne nie dotarła jeszcze przystawka. Podniosły się głosy, że lepiej obsługiwano te stoły, przy których siedzieli krewni i znajomi pana młodego, niż te, przy których siedzieli goście ze strony młodej pani. Poczulałam nienawiść do ludzi, którzy wprowadzali atmosferę napięcia, koniecznie chcieli się kłócić. Wzięłam się na odwagę i wciągnęłam Nina do rozmowy, poprosiłam, żeby powiedział mi coś o swoim artykule na temat biedy w Neapolu, licząc na to, że później, w sposób naturalny będę go mogła zapytać, kiedy ukaze się nowy numer czasopisma z moim tekstem. Nino zaczął mówić interesujące rzeczy o sytuacji ekonomicznej mieszkańców miasta. Widać było, że jest dobrze poinformowany, zrobiła na mnie wrażenie jego pewność siebie. Na Ischii był jeszcze udręczonym młodym chłopcem, teraz wydawał mi się aż nazbyt dojrzały jak na swoje osiemnaście lat. Nie mówił o biedzie ogólnikowo, emocjonalnie, przygnębionym tonem, jak to robił Pasquale, ale wyrażał się chłodno i rzeczowo o konkretnych faktach, szpikując swą wypowiedź precyzyjnymi danymi.

– Gdzie się tego dowiedziałeś?

– Wystarczy trochę poczytać.

– Co poczytać?

– Gazety, czasopisma, książki, w których pisze się o tych sprawach.

Ja nie sięgałam po gazety i czasopisma, czytałam tylko beletrystykę. Także Lila,

w czasach kiedy jeszcze czytała, wypożyczała w bibliotece pana Ferraro jedynie powieści w obszarpanych okładkach. Miałam ogromne zaległości, ale Nino mógł mi pomóc je nadrobić.

Zadawałam mu coraz więcej pytań, a on odpowiadał. Jego odpowiedzi nie były jednak tak błyskotliwe jak opinie Lili, nie miał daru uwodzenia słuchacza słowami. Każde moje pytanie było jak kamyczek poruszający lawinę. Nino odpowiadał, nie robiąc przerw, nie sięgając do ironii, budował wypowiedzi naukowym stylem, szpikował je konkretnymi przykładami i nie uatrakcyjniał w żaden sposób. Alfonso i Marisa szybko poczuli się wyłączeni. Marisa powiedziała:

– O matko! Co za nudziarz z tego mojego brata – i konwersowała już tylko z Alfonsem.

Nino i ja odizolowaliśmy się od otoczenia, nic nie słyszeliśmy, nie wiedzieliśmy, co pojawiło się na stole, co zjedliśmy i wypiliśmy. Układałam sobie pytania, jakie mogłabym mu zadać, i słuchałam długich i wyczerpujących odpowiedzi. Szybko zauważyłam, że konstruował je zawsze podobnie: nie używał pustych, ogólnikowych słów, wyodrębniał konkretne problemy, jasno stawiał tezy, a na koniec formułował hipotezy możliwych rozwiązań.

Ja kiwałam potakująco głową i zgadzałam się ze wszystkim. Okazałam wahanie tylko wtedy, gdy skrytykował literaturę. Powiedział, że najbardziej złości go ludzie parający się pisaniem, którzy robią ludziom wodę z mózgu.

– Jeżeli chcą ludziom mydlić oczy, niech piszą powieści. Chętnie sobie poczytam. Ale jeżeli chcą naprawdę coś zmienić, muszą sięgnąć po inne środki.

Jak zrozumiałam, dał za przykład literaturę tylko po to, by skrytykować tych, którzy, jak to określił, biją pianę. Na moją słabą obronę literatury zareagował słowami:

– Z powieści może się narodzić tylko nowy *Don Kichot*, a przy całym szacunku dla *Don Kichota*, Lenù, nie powinniśmy tu w Neapolu bić się z wiatrakami. To tylko marnowanie odwagi. Potrzebujemy ludzi, którzy wiedzą, jak wiatraki działają, i potrafią je uruchamiać.

Już wiedziałam, że nade wszystko chciałabym móc codziennie prowadzić rozmowy na takim poziomie. Ileż błędów popełniłam w moich stosunkach z tym chłopcem, jaką głupotą było lubić go, kochać się w nim, a mimo to zawsze go unikać. To wina jego ojca, ale i moja. Ja, która uważałam się za tak różną od swojej matki, pozwoliłam, żeby cień ojca padł na syna. Szczerze tego żałowałam i rozkoszowałam się tym moim żalem, romantyczną historią, której czułam się bohaterką. Często podnosiłam głos, by

pokonać wrzawę panującą na sali i dźwięki muzyki. Nino robił to samo. Czasami patrzyłam w stronę stołu Lili, która śmiała się, jadła, rozmawiała i pewnie nawet nie zauważyła, gdzie i obok kogo siedzę. Nigdy za to nie patrzyłam na stół Antonia, bo bałam się, że przywoła mnie do siebie. Czułam jednak, że na mnie patrzy, że jest nerwowy i coraz bardziej zagniewany. Trudno, myślałam sobie, i tak już zdecydowałam, że jutro go rzucę. Nie mogę z nim chodzić, za bardzo różnimy się od siebie. To prawda, że mnie uwielbia i jest mi bezgranicznie oddany, ale to taki sam związek jak między pieskiem a jego panią. Ja zaś byłam zafascynowana sposobem mówienia Nina, w którym nie było śladu podporządkowania. Przedstawiał mi swoją przyszłość i idee, na bazie których zamierzał ją zbudować. Słuchając go, czułam, jak rozjaśnia mi się w głowie, podobnie jak wtedy, kiedy słuchałam Lili. Gdyby to on był mi oddany, stałabym się bardziej dojrzała. Byłam pewna, że on oddaliłby ode mnie widmo mojej matki, bo sam nie chciał niczego bardziej, jak oddalić od siebie widmo własnego ojca.

Poczułam, że ktoś dotyka mego ramienia. To był znowu Antonio. Powiedział ponuro:

– Idziemy zatańczyć.

– Matka mi nie pozwala – bąknęłam.

Odrzekł na to głośniej, bardzo zdenerwowany:

– Przecież wszyscy tańczą, co to za problem?

Uśmiechnęłam się przepaszająco do Nina – wiedział, że Antonio to mój chłopak.

Spojrzał na mnie poważnie i zwrócił się do Alfonsa. Poszłam z Antoniem.

– Nie przyciskaj mnie.

– Nie przyciskam.

W sali panował harmider i wesołość zakropiona alkoholem. Tańczyli młodzi, starzy i dzieci. Ale ja wiedziałam, co naprawdę kryła ta wesołość. Krewni młodej pani sygnalizowali ponurymi twarzami swoje niezadowolenie. Zwłaszcza kobiety.

Wykosztowały się na prezent i nowe stroje, zadłużyły się, a teraz traktowano je jak gości drugiej kategorii. Podano im gorsze wino i obsługiwano je z opóźnieniem.

Dlaczego Lila nie ujęła się za nimi, dlaczego się nie sprzeciwiła, nie powiedziała czegoś Stefanowi? Znałam je. Zatrzymają w sobie złość, zrobią to dla Lili, ale pod koniec przyjęcia, kiedy młoda małżonka pójdzie się przebrać, a potem wróci, rozda bomboniery i wyjdzie w towarzystwie męża, elegancko ubrana, wybuchnie gigantyczna kłótnia, która da początek nienawiści trwającej miesiące albo nawet lata. Zostaną w nią włączeni mężowie i synowie, poczuwający się do obowiązku udowodnienia matkom, siostrom i babkom, że są prawdziwymi mężczyznami. Znałam je wszystkie, znałam wszystkich. Widziałam złe spojrzenia chłopców skierowane na

wokalistę i muzyków, którzy pozwolili sobie popatrzeć w sposób niewłaściwy na ich dziewczyny albo co gorsza, zwrócili się do nich z jakąś dwuznaczną odzywką. Widziałam, jak rozmawiali z sobą w tańcu Enzo i Carmela, widziałam Pasqualego i Adę przy stole. Mogłam odgadnąć, że przed końcem przyjęcia on zaproponuje jej, żeby z nim chodziła, potem się zaręczą i prawdopodobnie po roku czy po kilku latach pobiorą. Widziałam Rina i Pinuccię. W ich przypadku wszystko pójdzie szybciej: jeżeli fabryczka butów Cerullo zacznie przynosić zyski, najdalej za rok odbędzie się nie mniej wystawny ślub. Tańczyli, patrzyli sobie w oczy, tulili się do siebie. Miłość i interesy. Sklep z wędlinami i fabryczka butów. Osiedle nowe i stare. Czy byłam taka jak oni? Czy byłam jeszcze taka jak oni?

– Kto to jest? – zapytał Antonio.

– Jak to, nie poznałeś?

– Nie.

– To Nino, najstarszy syn Donata Sarratorego. A ta dziewczyna to Marisa, pamiętasz ją?

Marisa nic go nie obchodziła. Obchodził go tylko Nino. Powiedział nerwowo:

– Najpierw prowadzisz mnie do Donata Sarratorego i chcesz, żebym mu zagroził, a potem godzinami gadasz z jego synem? Dałem sobie uszyć nowy garnitur, żeby patrzeć, jak dobrze się bawisz z tym chłystkiem, który nawet nie przyciął sobie włosów i nie założył krawata?

Zostawił mnie na środku sali i poszedł szybkim krokiem w stronę oszklonych drzwi prowadzących na taras.

Stałam przez chwilę w miejscu, nie wiedząc, co robić. Pójść za nim? Wrócić do Nina? Czułam na sobie spojrzenie matki, choć jej zezujące oko zdawało się patrzeć w inną stronę. Czułam na sobie spojrzenie ojca i nie było to miłe uczucie. Pomyślałam sobie: jeżeli wrócę do Nina, jeżeli nie pójdę za Antoniem, on mnie zostawi i tak będzie dla mnie lepiej. Przeszłam przez salę, podczas gdy zespół grał i pary tańczyły. Usiadłam na swoim miejscu. Nino sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył, że coś się wydarzyło. Mówił teraz w zwykły sobie sposób, jakby spływał potok słów, o profesor Galiani. Bronił jej przed Alfonsem, o którym wiedziałam, że jej nie cierpi. Stwierdził, że on też często się z nią spierał, bo jest zbyt sztywna, ale to świetna nauczycielka. Potrafiła zachęcić go do wytężonej pracy, od niej dowiedział się, jak należy się uczyć. Nie chciałam, żeby Nino dyskutował z moim kolegą z klasy w ten sam sposób, w jaki dopiero co dyskutował ze mną. Próbowałam włączyć się do rozmowy. Potrzebowałam tego, bo bałam się, że nie wytrzymam i pobiegnę do Antonia, żeby się z nim pogodzić, powiedzieć mu wśród łez: „Tak, masz rację, nie wiem, kim jestem i czego naprawdę

chę. Posługuję się tobą, potem cię odrzucam, ale to nie moja wina. Czuję się, jakbym w połowie należała do was, a w połowie do innego świata. Wybacz mi!”. Pragnęłam, żeby Nino definitywnie wciągnął mnie w sprawy, które tak dobrze znał, żeby zobaczył we mnie pokrewną duszę. Dlatego wtrąciłam się w jego słowa i podczas gdy on próbował wrócić do przerwanej wypowiedzi, wymieniłam tytuły książek, które Galiani pożyczyła mi w tym roku, i rady, jakich mi udzieliła. Lekko naburmuszony, zgodził się ze mną ruchem głowy i przypomniał sobie, że jedną z tych książek pożyczyła także jemu, po czym zaczął mówić o swoich wrażeniach z tej lektury. Ja jednak bardzo potrzebowałam natychmiastowego, konkretnego wynagrodzenia, które pomogłoby mi nie myśleć o Antoniu, zapytałam więc, bez żadnego związku z naszą rozmową:

– Kiedy wyjdzie gazeta?

Spojrzał na mnie niepewnie, jakby lekko spłoszony.

– Już wyszła jakieś dwa tygodnie temu.

Zadrżałam z radości. Zapytałam:

– Gdzie mogę ją kupić?

– Sprzedają ją w księgarni Guida. Ale mogę ci ją przynieść.

– Dziękuję.

Zawahał się, a potem powiedział:

– Tylko że twojego tekstu nie zamieścili, okazało się, że zabrakło miejsca.

Alfonso uśmiechnął się z ulgą i powiedział:

– Całe szczęście.

62.

Miałyśmy szesnaście lat. Ja siedziałam naprzeciw Nina Sarratorego, Alfonsa i Marisy, wysilałam się na uśmiech i mówiłam z udawaną obojętnością:

– Nie szkodzi. Nie teraz, to kiedy indziej.

Lila siedziała na przeciwległym końcu sali, była panną młodą, królową tej uroczystości, Stefano mówił jej coś na ucho, a ona się uśmiechała.

Długie, wyczerpujące przyjęcie weselne dobiegało końca. Muzycy jeszcze grali, wokalista śpiewał. Antonio stał do mnie plecami, patrzył na morze i pewnie tłumił w sobie ból, jaki mu sprawiałam. Enzo szeptał coś do Carmeli, może wyznawał jej, że ją

kocha. Rino na pewno już to powiedział Pinuccii, która mówiła teraz coś do niego, patrząc mu prosto w oczy. Pasquale prawdopodobnie wykręcał się jeszcze, lekko wystraszony, ale przed końcem przyjęcia Ada na pewno zdoła mu wyrwać z ust właściwe słowa. Od dłuższej chwili dało się słyszeć toasty z obscenicznymi aluzjami, w tej sztuce przodował krewny z Florencji, handlarz metalową starzyzną. Podłoga była poplamiona sosem wychlapanym z talerza rozbitego przez jakieś dziecko i winem rozlanym przez dziadka Stefana. Przełknęłam łyżę. Pomyślałam, że może zamieszczą mój tekst w następnym numerze, może Nino nie dość się starał, może lepiej byłoby, gdybym sama zniosła tekst do redakcji. Nic jednak nie powiedziałam, nie przestawałam się uśmiechać, znalazłam nawet dość sił, by stwierdzić:

– Zresztą z księdzem już raz się z tego powodu pokłóciłam, lepiej, że nie muszę tego robić ponownie.

– No właśnie! – zgodził się ze mną Alfonso.

Nic nie zmniejszało mojego rozczarowania. Starłam się pozbyć mrocznej chmury, jaka wypełniała mi głowę, ale to nie było łatwe. Odkryłam, że publikacja kilku linijek tekstu podpisanych moim nazwiskiem miała dla mnie symboliczne znaczenie, że naprawdę czeka mnie lepsza przyszłość, a trud nauki prowadzi do sukcesu i że pani Oliviero miała rację, wspierając moje wysiłki, a Lilę zostawiając swojemu losowi. „Czy wiesz, co to jest plebs?” „Tak, proszę pani”. Czym jest plebs, dowiedziałam się dopiero teraz, zrozumiałam to jasno i wyraźnie, o wiele jaśniej i wyraźniej niż mogłam to zrozumieć przed laty, gdy nauczycielka zadała mi to pytanie. Plebs to byliśmy my. Plebs to były kłótnie o wino i jedzenie, o to, kogo obsłużono w pierwszej kolejności. Plebs to była brudna podłoga, po której chodzili kelnerzy, plebs to były coraz bardziej wulgarne toasty. Plebs to była moja matka, która wypijała za dużo wina i teraz, oparta plecami o ramię ojca, śmiała się na cały głos z erotycznych podtekstów w odzywkach handlarza starzyzną. Wszyscy się śmiali, łącznie z Lilą, która miała minę kogoś, kto wypełnia swe zadanie aż do końca.

Nino, prawdopodobnie zde gustowany spektaklem, jaki rozgrywał się wokół nas, wstał od stołu i powiedział, że wychodzi. Umówił się z Marisą, że razem wrócą do domu, spotkawszy się wcześniej w miejscu, do którego o pewnej godzinie odprowadzi ją Alfonso. Marisa była zadowolona, że ma tak miłego i usłużnego kawalera. Głos zadrżał mi lekko, gdy zapytałam Nina:

– Nie pożegnasz się z panną młodą?

Wykonał ręką szeroki gest, wymamrotał coś o swoim stroju i nie uściskawszy nikomu ręki, nie kiwnawszy nawet głową w kierunku Alfonsa albo mnie, poszedł w stronę drzwi zwykłym sobie, rozkołysanym krokiem. Umiał wchodzić i wychodzić

z naszej dzielnicy w chwili i w sposób, jakie były mu wygodne. Być może nauczył się tego w czasie burzliwej przeprowadzki swojej rodziny, kiedy to o mało nie stracił życia.

Zwątpiłam, czy mnie się to kiedykolwiek uda. Na nic nauka, mogłam dostawać same dziesiątki, ale to dotyczyło tylko szkoły. Redaktorzy periodyku zapoznali się z moim tekstem, z tekstem moim i Lili, i nie zdecydowali się go wydrukować. Nino mógł wszystko, miał twarz, gesty i ruchy kogoś, komu się powiedzie. Kiedy wyszedł, pomyślałam, że oto zniknęła jedyna osoba w całej tej sali bankietowej, która mogła mnie stąd wyciągnąć.

Później zdawało mi się, że nagły podmuch wiatru zamknął gwałtownie drzwi do restauracji. Myliłam się: nie było wiatru, drzwi się nie zamknęły. Stało się tylko to, co było do przewidzenia. Pojawili się dokładnie w chwili, gdy młoda para zabierała się do krojenia tortu, przyszli na czas, żeby dostać bomboniery, przystojni i elegancy bracia Solara. Przemierzyli wolno salę, pozdrawiając znajomych ze zwykłymi u nich manierami panów dzielnicy. Gigliola zarzuciła ramiona na szyję Michelego i przyciągnęła go na krzesło obok siebie. Lila, która dostała nagle czerwonych plam na szyi i pod oczami, szarpnęła męża energicznie za rękaw i powiedziała mu coś na ucho. Silvio pozdrowił synów ledwo widocznym gestem, Manuela patrzyła na nich z dumą matki. Wokalista zaczął śpiewać *Lazzarellę*, nieźle naśladując Aurelia Fierra. Rino, z przyjacielskim uśmiechem na twarzy, zaprosił Marcella do stołu. Ten usiadł, rozluźnił krawat i założył nogę na nogę.

Dopiero teraz wyszło na jaw to, co było nie do przewidzenia.

Zobaczyłam, że Lila traci kolory, stała się bledziutka jak wtedy, kiedy była dzieckiem, bielsza od swojej ślubnej sukienki, a oczy zwężyły jej się do szparek. Miała przed sobą butelkę wina, przez chwilę bałam się, że rozbije ją wzrokiem na tysiąc kawałków i trunek rozprysnie się na wszystkie strony. Ale ona nie patrzyła na butelkę. Patrzyła znacznie dalej – na buty Marcella Solary.

Były to buty marki Cerullo, model męski. Nie ten, który znajdował się w sprzedaży, nie ten ze złoconą klamerką. Marcello miał na nogach buty kupione kiedyś przez Stefana, jej męża. Tę parę, którą Lila wraz z Rinem szyla miesiącami, raniąc sobie ręce.

Genialna Przyjaciółka

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Motto

Postaci występujące w powieści

PROLOG Zacieranie śladów

- 1.
- 2.
- 3.

DZIECIŃSTWO Opowieść o don Achillem

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.

WIEK DOJRZEWANIA Opowieść o butach

- 1.
- 2.
- 3.

- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.

- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.
- 52.
- 53.
- 54.
- 55.
- 56.
- 57.
- 58.
- 59.
- 60.
- 61.
- 62.

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:
L'AMICA GENIALE

Copyright © 2011 by Edizioni e/o
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan
Korekta: Magdalena Bargłowska, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7999-099-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2014



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl al. Szucha 8, 00-582 Warszawa e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl



Elena
Ferrante
Genialna
przyjaciółka

„Niezwykła powieść, która przysporzy tej znanej włoskiej pisarce kolejne rzesze fanów”.

The Barnes and Noble Review



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA